

ANETA PONOMARENKO

STRAŽNIK  
SKARBU



ANETA PONOMARENKO

STRĄŻNIK  
SKARBŪ



SZARA GODZINA



*MOIM RODZICOM,  
MOJEMU MIASTU,  
MOIM PRZYJACIOŁOM*

# Rozdział 1

Widział, że idzie za nim co najmniej dwóch. Każdy po innej stronie ulicy. Wyglądali na rzezimieszków. Miał tylko nadzieję, że nie ośmielą się dopaść go teraz, gdy sporo ludzi właśnie wychodziło z pobliskiego teatru. Postanowił więc pójść przez park, ulubione miejsce spacerów kaliszan o każdej niemal porze roku, jeśli tylko nie lało jak z cebra. Mógł się tam zmieszać ze spacerowiczami i wracającymi z przedstawienia, albo nawet zniknąć w mroku.

Nie znał swoich prześladowców, ale domyślał się, kto ich wynajął. Ten człowiek miał długie ręce. Był chciwy, bogaty, ustosunkowany w całej Europie i mściwy. A on, jak ostatni głupiec, stanął mu na drodze. Żałował teraz, że w ogóle dał się namówić na to wszystko, ale omamiła go wizja szybkiego wzbogacenia się. Pieniądze były mu wtedy rozpaczliwie potrzebne, zresztą komu nie były? Już niedaleko, może uda się uciec. Jeśli tylko dopadnie placu św. Józefa i dawnej kamienicy Bajera. Jeszcze raz obejrzał się ukradkiem przez ramię, ale nikogo nie zobaczył. Spostrzegł za to, że ktoś przygląda mu się z boku. Odetchnął z ulgą, gdy zorientował się, że to tylko strażnik z parku. Mimo to spuścił głowę i przyspieszył kroku.

Stanisław Kowalski, parkowy, kończył swój obchód, potrząsając drewnianą kołatką, której dźwięk przypominał mieszkańcom, że za kilka minut park zostanie zamknięty. Dochodziła dziesiąta wieczorem, za chwilę miał zabrzmieć dzwon z pobliskiej kolegiaty pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Ostatnie grupki miłośników teatru lub świeżego wiosennego powietrza szły spiesznie wśród wesołych okrzyków i chichotów. Parkowy uśmiechnął się pobłaźliwie, widząc jak młodzieniec zręcznie skradł pannie całusa, korzystając z chwili nieuwagi groźnego cerbera, zapewne matki lub ciotki panny. Ta jedną ręką potrząsała gniewnie parasolką, usiłując zrzucić zeszłoroczny suchy liść, który się nadział na jej szpic, drugą tuliła do łona bombonierkę. Usta jej się oczywiście nie zamykały, wyrzucając istne potoki słów. Sroga przyzwoitka tak bardzo przypominała mu teściową i świętej pamięci żonę,

że parkowy z niesmakiem odwrócił głowę. A tam co znowu?

Kowalski zatrzymał się i z groźnie zmarszczoną brwią spojrzął na przemykającego skrajem alejki samotnego mężczyznę, który go właśnie minął. Przez moment dojrzał za nim w oddali dwie niewyraźne w mroku sylwetki. Ale może mu się tylko zdawało. Mimo to Kowalski przyjrzał się mężczyźnie wprawnym okiem, nawykłym do wyluskiwania z tłumu łobuzerii, panien lekkich obyczajów, pijaków oraz wszelakich typów spod ciemnej gwiazdy. Nigdy takich nie brakowało w malowniczym i pełnym odludnych alejek kaliskim parku. Ten jegomość jednak nie pasował do żadnej z tych kategorii. Kowalski przyglądał mu się dalej, bo coś go w nim zaniepokoiło. Ale nie, musiał się pomylić. Mężczyzna w sile wieku, porządnie ubrany, na pewno nie pijany. Spieszy się, ale to nic dziwnego, skoro park zaraz zostanie zamknięty. Pewnie szedł tędy, by skrócić sobie drogę. Tylko że coś dziwnie często rozgląda się wokół, spod oka, ukradkiem. Jakby się czegoś bał albo miał nieczyste sumienie. Nie, zupełnie tak, jakby się obawiał, że ktoś za nim idzie. Ale przecież porządnego człowieka nikt nie śledzi!

Parkowy potrząsnął głową, jakby chciał pozbyć się tych dziwacznych myśli, jakie wzbudził w nim zwykły przechodzień, i spojrzął na nadchodzącą w pośpiechu parę. Ci wyglądali na młode małżeństwo, żywo rozmawiali o przedstawieniu i aktorach. Ani chybi wracali z teatru. Jeśli można to nazwać teatrem. Tu parkowy Kowalski prychnął, bo miał swoje zdanie na ten temat. W młodości, kiedy wzięli go do wojska pruskiego, przebywał kilka lat w Berlinie. Tam były teatry! A tu? Słów szkoda i tyle! Bo ze starego teatru, wybudowanego na zjazd monarchów w 1835 roku, nic już nie zostało. A był całkiem ładny, choć nieduży. Niestety, już dawno popadł w ruinę i przedstawienia na jakiś czas wróciły do Hotelu Polskiego. Cóż, kiedy jego właściciel nie miał zrozumienia dla sztuki i zdzierał z aktorów ciężkie pieniądze, więc niezbyt chętnie tam występowali. Sprawa nieco się polepszyła, gdy w sześćdziesiątym piątym kupiec Neuman-Goliński przerobił swoją starą ujeżdżalnię koni na przybytek Melpomeny. Podobno wydał na to 16 tysięcy rubli! Może i tak, ale ani wtedy, ani tym bardziej teraz, dwadzieścia trzy lata później, nic o tym nie świadczyło. Teatr, wyposażony w najprostsze urządzenia



sceniczne i niewyszukaną widownię, niczym szczególnym się nie wyróżniał. Kilka lat później obok teatru letniego jego właściciel postawił też drewniany teatr zimowy, tylko częściowo zadaszony, przeznaczony dla trzystu osób, tyle że trzy lata temu budynek ten został znacznie uszkodzony przez powódź, a ostatni jej nawrót niemal go wykończył. I znów nie będzie gdzie teatru wystawiać... Chociaż może wkrótce coś się zmieni, bo kulejącą i prawie już bezdomną Melpomeną zainteresował się ponoć sam gubernator.

Z parku wychodzili ostatni spacerowicze. Było tak ciemno, że potykali się od czasu do czasu w bujnej już trawie. Tego roku wiosna była ciepła, choć nadzwyczaj mokra. Dużo padało, nic dziwnego więc, że Prosna w zeszłym miesiącu znów wylała! Parkowy aż się wzdrygnął, gdy przypomniał sobie niedawne przeżycia. Bo też marzec 1888 roku rozpoczął się dramatycznie. Wielka woda, która niespodziewanie wtargnęła do miasta, spowodowała znaczne zniszczenia. Kiedy przerwała wały i wdarła się do parku, licznie zebrana w alei Józefiny publiczność wpadła w panikę. Uciekając przed żywiołem, ludzie w popłochu opuszczali przerwane przedstawienie. On sam spędził dwie długie godziny na dachu domku szwajcarskiego, czekając na pomoc! Na szczęście kaliscy strażacy szybko się zjawili, by ratować park oraz znajdujących się w nim ludzi i zwierzęta.

Mimo powodzi i dość niemrawo nadchodzącej wiosny życie miasta szybko powracało do zwykłego rytmu. Wraz z nastaniem cieplejszych dni w parku rozpoczęło się naprawianie wyrządzonych szkód, pojawili się też pierwsi odwiedzający. Miejskowa gazeta, „Kaliszanin”, cieszyła się z góry, że „trochę jeszcze deszczu i ciepła, a zazielenią się drzewa i krzewy i zwabią ptactwo śpiewające swe hejnały spacerowiczom”<sup>1</sup>. Nawiasem mówiąc, ta notka w gazecie wprawiała parkowego w osłupienie. W głowie mu się nie mieściło, żeby pisać o tak oczywistych rzeczach! „Pismaki nudzą się widać”, mrucał do siebie, „ale jak pan Adam wróci z podróży, da tym leniom do wiwatu, oj da!”. Parkowy znał bowiem osobiście Adama Chodyńskiego, współzałożyciela i nieoficjalnego redaktora naczelnego „Kaliszanina”. Był z tej znajomości niezmiernie dumny, jak i z tego, że rozpoznaje go również sam gubernator Daragan! Chociaż

Rosjanin, to taki ludzki pan! Często gęsto rubelka mu wciśnie za pieczę nad parkiem, po którym bardzo lubi się przechadzać. Teraz nawet kazał, jako atrakcję dla spacerowiczów, jakoweś ruiny zbudować na sztucznie usypanym wzgórzu. Już się za to wzięli...

Zaprzątnięty takimi myślami Kowalski całkiem zapomniał o dziwnym mężczyźnie i poszedł dalej, terkocząc swą kołatką. Deszcz znów zaczął siąpić. Co robić, kwiecień!

Nazajutrz z samego rana miasto obiegła wieść o tragicznej śmierci Jana Żebrowskiego, trzydziestoletniego pomocnika aptekarza Prusinowskiego. Gazety i plotki głosiły dość jednomyślnie, że mężczyzna najprawdopodobniej (gazety) albo na pewno (plotki) popełnił samobójstwo, rzucając się z wieży kolegiaty pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Przyczyna tak dramatycznego kroku stała się przedmiotem zainteresowań i dociekań większości kaliszan, co było o tyle zrozumiałe, że od czasu powodzi w mieście nie wydarzyło się nic ciekawego. Nie licząc drobnych włamań i kilku przypadków pobic, jakie odnotowywano z rzadka i głównie na wsiach, w samym Kaliszu nic się nie działo. Ostatnie takie ekscytujące zdarzenie miało miejsce w latach siedemdziesiątych obecnego stulecia, kiedy to w parkowym budynku Pijalni Wód Mineralnych bandyci zamordowali subiekta Radzickiego. Mord ten bardzo wówczas wzburzył kaliszan, gdyż złoczyńcy zabili go dla tak marnego łupu jak 6 łyżeczek platerowanych, 2 butelki wódki i 2 złote polskie!<sup>2</sup>

Nic zatem dziwnego, że dziś miasto aż kipiało od plotek na temat nieszczęsnego Żebrowskiego, który przecież nie był zony, nie miał kochanki („Czy aby na pewno, droga pani?”, zastanawiały się kumoszki) ani starych rodziców na utrzymaniu. Jednym słowem, żadnych ciężarów i obowiązków. Więc czemu rzucił się z wieży?

Wszystkie te snute naprędce przypuszczenia sprawiły, że nim Walery Konstantynowicz Jezierski, agent do specjalnych poruczeń w wysokiej randze radcy stanu<sup>3</sup>, dotarł na miejsce zdarzenia, usłyszał co najmniej dwadzieścia różnych wersji samobójstwa Żebrowskiego. A nie miał wcale daleko, jako że wynajmował mieszkanie przy ul. Sukienniczej, nieopodal



kościół Franciszkanów, choć po prawdzie rzadko tam bywał. Ale za to płacił regularnie, nie brudził, nie sprowadzał kobiet podejrzanej konduity... Idealny lokator!

Jezierskiemu trudno było tego ranka dotrzeć gdziekolwiek, gdyż co chwila ktoś go zatrzymywał. Cóż było robić, każdy chciał się pokazać z ekscelencją, drugim co do ważności po gubernatorze dostojnikiem Kalisza. Zwłaszcza że został on nowym, choć na razie nieoficjalnym szefem całej gubernialnej policji, któremu podlegała także żandarmeria, a to wszak był główny filar, na którym opierała się *Kaliszskaja Gubernija*!<sup>4</sup>

Cóż można począć na to, że w niezbyt dużym, ale i nie całkiem małym, bo ponad dwudziestotysięcznym Kaliszu wieści rozchodziły się szybko? Niemal każde dziecko znało już twarz Jezierskiego, jego zaczesane do tyłu, dość długie włosy pszenicznej barwy oraz nieco melancholijnie zwisające, ale starannie utrzymane wąsy. Trzeba przyznać, że wyjąwszy kolor włosów, przypominał z wyglądu samego gubernatora. Ten także nosił dłuższe, zaczesane do tyłu włosy, ale miały one kolor dojrzałych kasztanów. Twarz o wysokim, myślącym czole zdobiły bardzo podobne wąsy: dość długie, lekko zwisające, tyle że na końcach podkręcone do góry.

Agent Jezierski także wiekiem był zbliżony do swojego zwierzchnika, miał czterdzieści sześć lat, podczas gdy gubernator liczył ich sobie pięćdziesiąt cztery. Ale w jasnych włosach nieco młodszego Jezierskiego gdzieś tam pojawiły się już srebrne nitki, choć reszta zarostu w ogóle nie była tknięta siwizną. Podobał się kobietom, szczególnie że był też barczysty i wysoki, mierzył bowiem sporo ponad sześć stóp wzrostu<sup>5</sup>. Widać było, że to chłop nie ułomek, z mocną ręką i stanowczym krokiem. Zapewne z tego samego powodu mężczyźni wypowiadali się o nim w miarę pochlebnie. Powszechnie uważano, że szef policji, choćby i wrogiej, bo carskiej, nie może być cherławą ciepłą kluchą, co jeszcze do niedawna miało miejsce. A że Jezierski był przy tym uprzejmy, a wobec pań wręcz szarmancki, no i mówił po polsku jak Polak, miejscowa ludność obdarzyła go sporym kredytem zaufania. Na jego korzyść przemawiał

również fakt, że nie obnosił się ze swą władzą, choć bez wątpienia należał do ludzi o charyzma-tycznym charakterze, z gatunku urodzonych przywódców.

Nic dziwnego zatem, że tego dnia swoimi przemyśleniami dzielili się z nim prawie wszyscy mniej lub bardziej znajomi mieszkańcy i przechodnie, jakich napotkał na drodze, w tym piekarz, rzeźnik, cukiernik, gazeciarz, sąsiadka z naprzeciwka, a także mijany po drodze asesor sądowy. Ten ostatni najbardziej dał mu się we znaki, uczepiwszy się bowiem agenta dosłownie jak rzep i kręcąc w palcach guzik jego surduta, koniecznie, ale to koniecznie musiał mu przekazać swoje wnioski dotyczące sprawy. Miał już nawet prawie gotowy projekt uchwały dla radnych miejskich i okólnik dla policji... Z wielkim trudem pozbywszy się asesora Majewskiego, i ocaliwszy w ten sposób guzik przed całkowitym oderwaniem, agent z ponurą miną przyspieszył kroku i w końcu dotarł do kolegiaty. Tam czekali już na niego policjanci. Jeden z nich był na tyle przytomny, że wystawił wokół ludzi, by nie dopuścić zbyt blisko ciekawskich gapiów, którzy całkiem by zdeptali miejsce tragicznego wypadku.

Radca stanu w milczeniu skinął głową swoim nowym podwładnym na powitanie i od razu podszedł do nieboszczyka.

– Nikt nic nie ruszał? – zapytał.

– Przy nas nikt, ekscelencjo – odparł służbiście oberpolicmajster Piotr Sokołow. – Ale jak przyjechaliliśmy na miejsce, to kilka osób już tu stało i się gapiło.

– Przegoniliście?

– Tak jest, ekscelencjo! – Sokołow wyprężył się na baczność.

– A zapisaliście przedtem nazwiska i adresy?

– Niestety nie, ekscelencjo, o wybaczenie proszę.

– Następnym razem pamiętajcie o tym. Mogliby nam powiedzieć, czy coś ruszali.

– Pozwolę sobie stwierdzić, że baliby się przyznać, że coś ruszali, ekscelencjo.

– Tylko wtedy, jeśli mielibyście do nich niewłaściwe podejście. Na świadka nie trzeba od razu się wydierać, tylko łagodnie

perswadować. Nie uczyła was matka, że więcej much się złapie na miód, niż na ocet?

– Melduję, że nie, ekscelencjo!

– No trudno, ale teraz już wiecie. Postraszyć zawsze zdążycie, więc się tak do tego nie spieszcie. Inaczej nikt wam nic nie powie, szczególnie że w tym kraju wielu za wrogów nas uważa, choć są przecież poddanymi cara naszego, najmiłościwiej nam panującego. Tutejszy buntowniczy naród nie chce się pogodzić z tą podległością. Ale polityka to nie nasza rzecz, my tu mamy łapać przestępców.

Sokołow wytrzeszczył oczy w zdumieniu, bo nigdy dotąd nie słyszał, by w tym dzikim kraju rosyjski dostojnik mówił, że nie zajmuje się polityką, ale posłusznie wypiął pierś i wyrzucił z siebie:

– Tak jest, ekscelencjo!

– Zapamiętajcie, Sokołow, i przekazcie kolegom, że nie będę tolerował zastraszania miejscowej ludności. Jego ekscelencja gubernator Daragan sobie tego nie życzy. Wiele trudu kosztowało go przekonanie do siebie kaliszan. Teraz gubernatora zapraszają do siebie najlepsze rodziny z całej guberni i okolic, a do niedawna przyjmowanie przedstawicieli naszej władzy w domu prywatnym uchodziło wśród Polaków za postępek wysoce naganny. Ekscelencja gubernator sprawił, że teraz nikt się w Kaliszu nie buntuje, wszyscy są zadowoleni z władzy, więc byle policjant nie będzie mu psuł szyków. Zrozumiano?

– Tak jest!

– Od teraz każdy policjant ma być greczny i uprzejmy, chyba że zajmuje się podejrzanym. Wtedy też ma być greczny, ale i stanowczy. W razie konieczności może też postraszyć. Zresztą zorganizujcie odprawę w tym tygodniu, to wyłożę od razu wszy-stkim, co i jak. Termin musicie uzgodnić z sekretarzem guber-nialnym, Władimirem Osipowiczem Kaminskim. A otóż i on.

Mężczyzna, który właśnie nadchodził, wyprężony jak struna, dobiegał trzydziestki i był elegancko ubrany, wręcz wymuskany, z nienagannie zawiązanym krawatem i kosztowną skórzaną teczką w ręku. Miał rzadkie ciemnoblonde włosy z zaczątkami łysiny i bladoniebieskie oczy za okularami bez oprawek. Twarz, zgodnie z panującą modą, zdobiły mu

pokażne faworyty, wąsy i broda, jakby rekompensował sobie zarostem braki w owłosieniu głowy.

– Kaminski, to oberpolicmajster Sokołow. Znasz go? To i dobrze. On ci powie, co mu zleciłem.

– Tak jest, ekscelencjo.

– No to do roboty. Jest nasz lekarz?

– Jeszcze nie, ekscelencjo. Musieliśmy posłać po zastępcę doktora Szelistowa, który zasłabł – powiedział Sokołow.

– No tak, to już stary człowiek. Chyba czas, żeby wybrał zastępcę, hę?

– Ośmielę się powiedzieć, że właśnie wybrał. Doktora Zaifa, który od pół roku mu asystuje. Właśnie po niego posłaliśmy.

– A cóż to za człowiek, ten doktor Zaif? Dziwne jakieś nazwisko. Znacnie go?

– To Żyd, ekscelencjo, dlatego tak dziwnie się nazywa. Kilka razy zdarzyło mi się już z nim współpracować. Młody, bogaty, małomówny, ale bardzo uzdolniony. Ośmielę się stwierdzić, że bardziej kompetentny niż stary Szelistow. Zresztą nic dziwnego, bo kształcił się za granicą, a tu praktykował u doktora Rymarkiewicza<sup>6</sup>. Szelistowa, jako swego przełożonego, traktował zawsze z najgłębszym szacunkiem i nigdy nie podważał jego autorytetu, choć nieraz widziałem, że co innego sądził. Zresztą doktor Szelistow i tak w końcu pytał go o zdanie, więc ekscelencja rozumie...

– Rozumiem. Ciekawe, Żyd, bogaty, wykształcony i w dodatku dyplomata. Chyba nie ma zbyt wielu przyjaciół. Żydów nigdzie nie lubią, a jak się trafi w dodatku bogaty i wykształcony, to za bardzo w oczy kole. A sympatyczny chociaż czy zarozumiały?

Sokołow zastanawiał się przez chwilę.

– Zarozumiały chyba nie, ekscelencjo, ale tak o nim mówią. Pewnie dlatego, że choć zawsze grzeczny, słowa bez potrzeby nie wymówi, więc nie wiem, czy on sympatyczny... Może zwyczajnie nieśmiały?

– No dobrze, zaraz się zresztą przekonamy. Czy to on? – radca wskazał dyskretnie na nadchodzącego trotuarem wysokiego młodego mężczyznę o ciemnych włosach i takich samych oczach. Nic nie wskazywało na jego żydowskie pochodzenie. Jezierski wiedział, że zdecydowana większość tej

społeczności należała do ortodoksów, nosiła więc brody i pejsy, a ubierała się w czarne chałaty, lecz ten mężczyzna do niej nie należał. Ubrany był bowiem zdecydowanie po mieszczańsku. Z pewnością nie zaliczał się też do zacofanych i fanatycznych chasydów wierzących w cadyków cudotwórców, których też było w Kaliszu niemało.

Pochodził zatem z dość pokaźnej i stale powiększającej się grupy zasymilowanych Żydów, których od ludności polskiej odróżniała tylko religia, a którzy na swój użytek nawet zbudowali odrębną synagogę poza dzielnicą żydowską. Wywodzili się ze sfer inteligencji, bogatych kupców, często przemysłowców i wszyscy od dawna mieszkali poza Rozmarkiem<sup>7</sup>, tradycyjnym skupiskiem społeczności żydowskiej.

Zbliżający się mężczyzna miał zwracające uwagę oblicze z powodu powagi i surowości rysów, myślących oczu i całkowitego lekceważenia mody. Jakby na przekór jej nakazom, jego twarz była całkowicie pozbawiona zarostu. A przecież każdy dystyngowany mężczyzna powinien mieć brodę, a przynajmniej wąsy! Ten nie miał nawet faworytów, był szczupły, skromnie, ale elegancko ubrany. W jednej ręce dzierżył nieodłączny atrybut lekarza – skórzaną torbę. Szybki, zdecydowany krok i nieco kwadratowy zarys podbródka od razu zdradził spostrzegawczemu Jezierskiemu, że młody lekarz na pewno do nieśmiałych nie należy. Uznał zatem, że jest po prostu małomówny, a może skryty i nieufny wobec obcych.

– To on, ekscelencjo – potwierdził konfidencyjnym szeptem Sokołów.

Po krótkiej chwili młody lekarz dotarł do nich.

– Witamy, panie doktorze – Jezierski postąpił krok naprzód, uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę. – Walery Konstantynowicz Jezierski, agent do specjalnych poruczeń w randze radcy stanu – przedstawił się. – Z łaski gubernatora Michała Piotrowicza Daragana przejąłem niedawno pieczę nad policją w kaliskiej guberni. Jego ekscelencja życzy sobie bowiem, aby resort ten był bardziej nowoczesny, skuteczny i miał lepiej wykształconych ludzi. A oto sekretarz gubernialny Kaminski i oberpolicmajster Sokołów – wskazał na towarzyszące mu osoby.

Zaif skłonił się wszystkim krótko.

– Jakub Zaif, asystent doktora Szelistowa, wolontariusz w Szpitalu Starozakonnym i św. Trójcy<sup>8</sup> oraz lekarz wolno praktykujący – przedstawił się.

– Bardzo się cieszę. Słyszałem, że jest pan świetnie wykształconym młodym człowiekiem. Bardzo nam tacy potrzebni w Kaliszu! Służba zdrowia tu niewielka, więc ma pełne ręce roboty<sup>9</sup>. Będę panu wdzięczny za wszelkie sugestie, nie tylko za suchy raport z oględzin zwłok czy sekcji. Proszę się też nie obawiać stosować nowatorskie metody, jeśli tylko będzie pan potrafił wykazać ich sens oraz przydatność. W razie czego mogę też panu sfinansować lub kazać wykonać potrzebny do badań sprzęt i inne rzeczy. Gubernator dał mi wolną rękę, ale zażądał w zamian wyników. Kaliska policja i medycyna sądowa muszą świecić przykładem i nowoczesnością na cały kraj. Nie będę panu w niczym przeszkadzał, proszę tylko o cierpliwość dla mnie jako laika w dziedzinie medycyny, któremu trzeba będzie wiele rzeczy wyjaśniać. Czy jest pan w stanie zaakceptować takie warunki współpracy?

– Ależ jest ekscelencja nazbyt łaskaw! – zaskoczenie na twarzy młodego człowieka było wyraźne. – Nie spodziewałem się, że nowy zwierzchnik policji będzie, hm... tak postępowy! Przepraszam, jeśli pana obraziłem – dorzucił pośpiesznie młody medyk. – Nie chciałem być niegrzeczny.

– Nie obraził mnie pan. Nazwanie człowieka postępowym to przecież komplement. Miło mi choćby z tego powodu, że będziemy się teraz częściej spotykać, gdyż doktor Szelistow jest już stary, schorowany, więc lada dzień odejdzie na zasłużoną emeryturę. Cieszę się, że wybrał sobie młodego i tak zdolnego zastępcę.

– Doprawdy zbyt pan łaskaw, panie radco stanu. Proszę nie chwalić mnie na wyrost, bo jeszcze niczym się nie zasłużyłem.

– No to ma pan teraz okazję – Jeziński wskazał na zwłoki. – Proszę obejrzeć denata i coś powiedzieć na jego temat. Ja już przyjrzałem mu się na tyle, ile można było bez odwracania ciała. Sam niczego nie ruszałem i swoim ludziom też zakazałem. Ale zanim policja przybyła na miejsce, ciekawscy już się gapili, więc nie mamy pewności, czy wszystko jest



rzeczywiście tak jak było.

Zaif skinął w milczeniu głową i przykucnął przy zwłokach mężczyzny. Dokładnie przyjrzał się ciału, coś szybko naszkicował w notesie, który wyjął z kieszeni płaszcza. Potem odwrócił denata na plecy i kontynuował oględziny. Wyjął nawet szkło powiększające i dokładnie zbadał głowę oraz rękę. Znowu coś naszkicował, w końcu wstał, otrzepał spodnie i kazał zabrać ciało do kostnicy szpitala św. Trójcy na sekcję.

– I cóż pan powie na temat tego samobójstwa? – zapytał Jezierski.

– Samobójstwa? – zdziwił się Zaif i zamilkł na chwilę, przyglądając się agentowi, jakby sprawdzał, czy ten z niego nie żartuje. – To było zabójstwo.

Teraz z kolei zaniemówił agent.

– Jak to... zabójstwo? – wykrztusił wreszcie. – Przecież widziałem ciało!

– No i co pan spostrzegł?

– Nic, co by sugerowało zabójstwo! Dlatego nawet gapie wpadli na to, że denat musiał popełnić samobójstwo! Ze dwadzieścia osób mówiło mi o tym, zanim doszedłem na miejsce! Skąd panu przyszło do głowy, że to zabójstwo?!

Stojący za swoim zwierzchnikiem policjanci byli równie zaskoczeni, jak on sam, jednak, w przeciwieństwie do niego, nie ukrywali pobłażliwego lekceważenia, patrząc na młodego lekarza z wyższością starych wyg.

– Ponieważ leży zbyt daleko od muru. Poza tym na tylnej części czaszki, pod włosami, widać wyraźny ślad po uderzeniu, które nastąpiło przed śmiercią. Cios był tak silny, że mężczyzna prawdopodobnie zmarł niemal natychmiast. Dopiero jakiś czas potem został zepchnięty z wieży. W wyniku upadku ma pogruchotane niemal wszystkie kości, podejrzewam też urazy narządów wewnętrznych, ale krwi nigdzie nie widać. Nie sądzi pan, że to dziwne?

– Ale czy ten ślad po rzekomym uderzeniu nie mógł powstać właśnie w wyniku skoku z wieży? Spadł, więc także głowa uderzyła o ziemię. To chyba normalne?

– Wykluczone. Po pierwsze, jak już mówiłem, nieboszczyk leży zbyt daleko od miejsca, na które by upadł, rzucając się z góry. Co najmniej

o pół metra za daleko. To sugeruje, że został wypchnięty lub wyrzucony. Po drugie, krew na tej niedużej ranie zdążyła zakrzepnąć i po trzecie, w miejscu, gdzie upadł nieboszczyk, nie ma żadnych innych śladów krwi. To oznacza, że upłynęło trochę czasu od momentu zadania ciosu do wyrzucenia ciała, inaczej krew z rany wypłynęłaby na podłogę. To prowadzi do oczywistego wniosku, że człowiek ten nie żył już w chwili zderzenia z ziemią, ergo: nie mógł popełnić samobójstwa. Chyba że mógł, waszym zdaniem, sam uderzyć się śmiertelnie w tył głowy. Ale jak udało mu się po śmierci wyskoczyć, tego już nie wiem...

Medyk powiódł surowym wzrokiem po twarzach policjantów, na których jeden po drugim gasły lekceważące uśmieшки. Nikt się nie odezwał.

– Poza tym w ranie i włosach są wyraźne ślady po jakimś tępym narzędziu wykonanym z drewna. Zostały drzazgi. Najlepiej by pasowała do tego gruba, nieheblowana deska. Ten cios zadano, gdy ofiara jeszcze żyła, nastąpiło bowiem niewielkie krwawienie. Niewielkie na zewnątrz, podejrzewam bowiem obfitsze krwawienie wewnętrzne. Także odłupane drzazgi, wbijając się w ranę, zahamowały wypływ krwi.

– Ale skąd wiadomo, że te wszystkie obrażenia nie powstały na skutek skoku z wieży? Mógł upaść na deskę – upierał się radca stanu.

– A widzi pan tu gdzieś coś drewnianego? Kawałek deski albo chociaż gałęzi, na którą musiałby spaść denat? I to spaść tak, by trafić w deskę tyłem głowy, a nie twarzą, jak leży teraz. Poza tym, nawet jeśli ktoś dał mu w głowę tu, na dole, ale nie zepchnął z wieży, to nie byłoby złamań. Jakim więc cudem nieboszczyk był w stanie wejść na górę i skoczyć?

– Może ktoś dał mu w łeb na wieży? No tak, ale to przecież też byłoby zabójstwo – zreflektował się Jezierski. – Przyznam, doktorze, że czuję się nieco oszołomiony tym, co pan powiedział. Byłem tak pewien samobójstwa... Proszę mi wybaczyć, gdyż popełniłem błąd zółtodzioba, którym przecież już nie jestem. Nie zwróciłem uwagi na szczegóły, uczepliłem się wersji samobójstwa, choć fakty, które pan podał, temu przeczą. To niewybaczalny błąd: naginać fakty do własnej teorii. Doprawdy wstyd mi za siebie!

– Proszę się tak nie winić. Widać, że zabójca zadał sobie sporo trudu

i tak wszystko zaplanował, żeby policjanci od razu pomyśleli o samobójstwie. Wtedy sprawę szybko się zamyka i nikt nie drąży tematu. No cóż, nie ma co snuć dalszych domysłów, trzeba zabrać denata na sekcję i zdać się na naukę.

– Jeśli dobrze zrozumiałem pański wywód, doktorze – zaczął ostrożnie agent – to mężczyznę uderzono tu, na dole, a potem wniesiono na górę, czy tak?

– Niekoniecznie. Nie ma tu żadnych śladów krwi. Po wstępnych oględzinach jestem tylko pewien, że zgon nastąpił zaraz po uderzeniu w głowę. Podejrzewam, że ktoś zaszedł go od tyłu i uderzył, a potem zrzucił z wieży, pozorując samobójstwo. Ale czy go tam wniósł, czy też poszedł za nim i na górze go zaskoczył, nie wiem. Tylko po co, u licha, ten człowiek miałby wchodzić nocą na wieżę?

Wyraźnie poruszony Jezierski tarł podbródek i w zamyśleniu wpatrywał się w lekarza.

– Może przed kimś uciekał, a mógł też się z kimś umówić potajemnie, wtedy wieża w nocy ma sens. Hm, niech pomyślę. W pierwszym przypadku mielibyśmy do czynienia z silnym mężczyzną lub nawet kilkoma mężczyznami, bo wniesienie dorosłego, dobrze zbudowanego człowieka na tę wieżę to niełatwa sprawa. Żadna kobieta nie dałaby rady.

Zaif skinął potakująco głową.

– W drugim wypadku... hm... Mogłaby to być kobieta?

– Uderzyć mogłaby i kobieta, ale to mało prawdopodobne. W każdym razie nie dama, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Krzepka chłopka, nawykła do pracy i dźwigania ciężarów, bez trudu dałaby radę, ale nie kobieta z miasta, w dodatku skrępowana gorsetem... Stawiałbym na mężczyznę. Poza tym pozostaje kwestia wyrzucenia zwłok. Bezwładne ciało jest ciężkie...

– Wiem, co ma pan na myśli. Nawet gdyby sam wszedł na wieżę i tam dostał po łbie, to i tak ktoś musiałby jego bezwładne ciało wciągnąć na parapet okna i zrzucić. A okna, jak widać, są tu umieszczone wysoko. Też niełatwa sprawa z takim ciężarem.

– Właśnie.

– Słyszeliście? – agent specjalny odwrócił się do swoich ludzi, którzy

niepewnie przestępowali z nogi na nogę i kiwali głowami. Po ich wyższości wobec młodego lekarza nie został nawet ślad. – Szukajcie jednego lub kilku mężczyzn, może ktoś ich widział wczoraj wieczorem w pobliżu Żebrowskiego. Nie wiemy skąd ani dokąd szedł denat, to trzeba dopiero ustalić. Musicie więc przepytąć wszystkich w okolicy, może uda się wam odtworzyć ostatnią trasę, jaką nieboszczyk odbył za życia. Popytajcie strażników parku, to wymarzone miejsce, żeby się na kogoś zacząć. Ale mógł też iść od strony miasta. To wasze zadanie na najbliższe godziny. I natychmiast meldować, gdy na coś natraficie! Sokołow, podziel ludzi na patrole i przydziel rejony do sprawdzenia!

– Tak jest, ekscelencjo! – zsalutował Sokołow i przystąpił do rozdzielania zadań.

– Ty, Kaminski, idź do mieszkania denata, a potem popytaj o niego sąsiadów. Zajrzyj też do pobliskich sklepów i knajp, może się czegoś o nim dowiesz. Tu masz adres, przepisuj sobie.

Kaminski wziął kartkę z rąk szefa, szybko przepisał dane do notatnika, pożegnał się i odszedł z miną człowieka, który doskonale wie, co ma robić.

– No cóż. Jeśli okaże się, że ma pan rację i to było morderstwo, to mamy kłopot. Tutejsza policja nie jest zbyt dobrze wyszkolona do wyjaśniania takich poważnych przestępstw. Nie umieją zabezpieczyć miejsca, dowodów... Co ja mówię! Nie potrafią znaleźć tych dowodów, choćby w nie wdepnęli! Słyszałem, że to bardzo spokojne miasto, zabójstwa rzadko się tu zdarzają. Pomijam pijackie awantury, choćby i najkrwawsze, bo wtedy sprawa jest od początku jasna i od razu wiadomo, kto i dlaczego zabił. Ale takie morderstwo? Oj, ekscelencja nie będzie zadowolony! Zabójstwo tuż pod jego nosem!

– Myślę, że za wcześnie się pan martwi. Może to były jakieś porachunki, które łatwo da się wykryć? W końcu, ilu bandziorów zdolnych do czegoś takiego przebywa w mieście? Szybko pan ich odnajdzie. No i ma pan świetną okazję, by od razu zacząć uczyć policjantów, jak mają prowadzić takie śledztwo. Nie ma to jak praktyka! Szybciej się nauczą i w dodatku tak zdobytą wiedzę zapamiętają.

– Być może ma pan rację, doktorze.

– W takim razie pozwoli pan, że udam się do szpitala, by sprawdzić, jakie obrażenia odniósł denat. Zna pan jego nazwisko?

– Jan Żebrowski, lat trzydzieści, pomocnik aptekarza... jak mu tam? A, mam, Prusinowskiego...

– Powiedział pan Prusinowskiego? Feliksa?<sup>10</sup> – przerwał mu zdumiony Zaif.

– Tak. A czy to coś dziwnego?

– O tyle, że oględzin zwłok w tym mieście dokonuje właśnie pan Prusinowski. Doktor Szelistow także do niego kazał zawozić zwłoki i dopiero u niego rzucał na nie okiem. Teraz akurat pan Prusinowski wyjechał na kilka miesięcy za granicę, więc ja, dysponując własnym laboratorium, zgodziłem się chwilowo przejąć jego obowiązki, szczególnie że łączą się one z obowiązkami doktora Szelistowa, którego też mam zaszczyt zastępować.

– Prusinowski jest lekarzem?

– Aptekarzem. Ma laboratorium analityczno-chemiczno-sądowe, na co dzień bowiem prowadzi aptekę przy ul. Warszawskiej<sup>11</sup>, tę przy cerkwi. Zdaje się, że na czas nieobecności pryncypała jego pomocnik miał pieczę nad jego interesem. A teraz leży tu zamordowany...

– No tak, niemiła to sprawa, przyznaję. Identyfikacji zwłok dokonali na razie przechodnie, jeszcze nie potwierdził tego nikt z rodziny czy przyjaciół. Kaminski uda się do jego mieszkania, by je dokładnie sprawdzić. Sumienny z niego funkcjonariusz i wie, że to, jak człowiek mieszka, dużo o nim mówi. Zwłaszcza gdy nie ma żony, która pilnuje porządku. Podobno mieszkał przy ul. Babinej...

Jeziński nie dokończył, bo za jego plecami rozległ się głośny tupot i sapanie. Agent odwrócił się, by sprawdzić, co się dzieje.

– Wasza ekscelencjo! – krzyczał, biegnąc młody chłopak w mundurze stójkowego. Po jego pyzatej twarzy ściekał pot, ale najbardziej rzucające się w oczy było nie jego zmęczenie, lecz przerażenie.

– Co się stało?

– Melduję waszej wielmożności, że są kolejne zwłoki... – wysapał młodzieniec.

## Rozdział 2

Radca Jezierski i doktor Zaif nie dali po sobie poznać, jak zaskoczyła ich nowina przyniesiona przez stójkowego. Pozostali policjanci przeciwnie, wymieniali między sobą spojrzenia i szeptali z podnieceniem.

– Mów! – odezwał się szorstkim tonem agent Jezierski. – Kto nie żyje i gdzie?

– Kobieta... – dyszał młody stójkowy. – Wdowa po radcy prawnym... Mam zapisane nazwisko...

Młodzieniec szperał rozpaczliwie w kieszeni munduru, w końcu wyszarpnął pomiętą kartkę i przeczytał:

– Nazywa się... nazywała się – poprawił się – Józefina Radziejowska i mieszkała tuż obok, przy placu św. Józefa w tej kamienicy z kolumnami.

– W dawnym domu Bajera? – zapytał doktor Zaif z zainteresowaniem.

– O właśnie! – ucieszył się młodziutki policjant. – Miała tam duże mieszkanie. Była bardzo bogata. Tak mi się przynajmniej wydaje...

– Hm – mruknął agent do specjalnych poruczeń. – A co jej się stało, że tak tu pędziłeś?

– Wysłał mnie doktor Wilczewski, który był jej lekarzem. A jego wezwała pokojówka pani Radziejowskiej, która znalazła ją w strasznym stanie!

– No dobrze, ale co się w końcu stało?

– Ona zmarła nagle!...

– No, zdarza się. Dlaczego doktor cię tu przysłał?

– Nie wiem dokładnie – zaczerwienił się chłopak. – Nie powiedział. Wysłał służącą na ulicę i kazał jej przyprowadzić pierwszego napotkanego stójkowego. Akurat ja tamtędy szedłem...

– Rozumiem. Poszedłeś z tą służącą i co dalej? – indagował cierpliwie radca stanu. – A jak ty się w ogóle nazywasz, chłopcze?

– Jasiak Poraj, wasza wielmożność. To znaczy ekscelencjo... To jest... Nazywam się Jan Poraj – poprawił się chłopak i znów zdradliwy rumieniec pokrył jego gładkie policzki bez śladu zarostu.



Jeziński przyjrzał mu się uważnie, co jeszcze bardziej onieśmieliło młodzieńca.

– Chyba niedługo jesteś w policji, ile masz lat?

– Osiemnaście, wasza ekscelencjo – wybąkał z trudem Jasiek, już buraczkowy ze wstydu. – Zostałem przyjęty miesiąc temu...

– Co zatem zastałeś w mieszkaniu wdowy?

– Doktora Wilczewskiego, który powiedział, że wdowa przed chwilą zmarła. I kazał mi natychmiast wezwać waszą ekscelencję. Powiedział, że to bardzo ważne.

– A skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Całe miasto aż huczy o samobójstwie młodszego aptekarza, więc pomyślałem, że wasza... jego...

– Mów mi po prostu szefie – przerwał Jeziński. – Tak będzie prościej.

– No więc pomyślałem, że szef może być tam, gdzie on się zabił. Jakby nie, to poszedłbym do cyrkułu, ale tu było bliżej.

– Bardzo dobrze – pochwalił go szef. – Powiedz mi jeszcze, czy coś zwróciło twoją uwagę w domu pani Radziejowskiej? Coś, co sprawiło, że bez protestu pobiegłeś mnie szukać, zamiast na miejscu wypytać tego lekarza i spisać raport?

Jasiek z ciemnoczerwonego zrobił się biały jak chusta, gdy uświadomił sobie, że być może nie postąpił regulaminowo.

– Ja przepraszam, panie szefie... – zaczął zgnębiony.

– Mów, co tam widziałeś – przerwał mu Jeziński.

– Niewiele. Lekarz siedział na brzegu łóżka, w którym leżała wdowa. Wokół był straszny bałagan, wszędzie szmaty, miski, dzbanki z wodą... Wdowa miała chyba jakiś atak, skoro było takie zamieszanie. Służba była przestraszona i wzburzona, doktor wyglądał na przybitego. Nawet pomyślałem sobie...

– No?

– Pomyślałem, że może ktoś ją zabił, ale nie widziałem krwi.

– Czy lekarz powiedział, na co zachorowała?

– Nie, prawie od razu wysłał mnie po pana. Ale musiała cierpieć, skoro tyle wokół było zamieszania. No i czuć było... eee... rzygowiny...

– Otrucie – wtrącił cicho doktor Zaif, który do tej pory w milczeniu

przysłuchiwał się rozmowie. – Sądzę, że doktor Wilczewski podejrzewa otrucie, dlatego kazał pana wezwać.

– Na to wygląda – zgodził się agent do specjalnych poruczeń. – Ale to bardzo mi się nie podoba. Dwie gwałtowne śmierci w jeden dzień? A to miało być takie spokojne miasto!

– W dwa dni – sprostował flegmatycznie Zaif.

– Słucham? Nie zrozumiałem.

– Dwie śmierci w dwa dni – wyjaśnił Zaif. – Według mnie Żebrowski nie żyje od wczorajszego wieczora lub nocy. A poza tym to *jest* spokojne miasto. Coś musiało się stać, bo to nie jest normalna sytuacja.

Jasiek przysłuchiwał się uważnie tej cichej rozmowie, wpatrując się w czubki swoich butów. Starał się wyglądać „regulaminowo”, mimo to uszy płonęły mu z wrażenia, a oczy strzelały w stronę agenta i doktora. Takie rewelacje! Gdyby matula wiedzieli, do jakich tajemnic ma teraz dostęp, to by nie lamentowali, że poszedł do policji. A gdzie miał iść, żeby pewny grosz zarobić i pomóc rodzinie? Odkąd ojca zabrakło, matka utrzymywała dom, przyjmując pranie, czasami też trafiło jej się sprzątanie. Jasiek miał dużo rodzeństwa i był najstarszy, zatem i on od kilku lat pracował. Jako nieletni zarabiał jednak marnie, więc gdy tylko skończył osiemnaście lat i usłyszał, że szukają ludzi do pracy w policji, nie namyślał się ani chwili. I nie żałował swojej decyzji. Teraz znowu nastawił ucha.

– Niewątpliwie musiało się coś stać, skoro mamy dwa trupy – stwierdził z przekąsem agent. – Ale nie wiemy co. I czy coś te dwie sprawy łączy.

– Myślę, że tak, bo jak już mówiłem, w Kaliszu ludzie nie mordują się tak często. Oczywiście może to być przypadek i nie wiemy na pewno, czy wdowa została otruta. Ale jeśli tak, to byłby to zbyt duży zbieg okoliczności, gdyby się okazało, że mamy do czynienia z dwoma różnymi sprawami – powiedział młody medyk.

– No cóż, chodźmy w takim razie do mieszkania wdowy. Czy zechce mi pan towarzyszyć, doktorze?

Lekarz skłonił się lekko na znak zgody.

– Ty, Pietia, zastąpisz mnie tutaj – zwrócił się agent do Sokołowa, który

po rozesłaniu ludzi w teren został na miejscu, czekając na ostatnie rozkazy przełożonego. – Wejdiesz na wieżę kościoła i dokładnie sprawdzisz, czy nie zostały jakieś ślady, które mógł zostawić nasz nieboszczyk lub jego zabójcy. Szukaj deski, krwi, śladów stóp na zakurzonej posadzce, pomiętych kartek, niedopałków, czego się da. Tylko pamiętaj, żebyś sam jakiś śladów nie zdeptał! Patrz pod nogi i weź ze sobą ręczną latarnię, bo na schodach może być ciemno. Ale nie świecę, bo kapie! Zrób szkic pomieszczeń, w których coś znajdziesz, i zaznacz to na nim. Gdyby było coś ciekawego, to sprowadź nawet fotografa, żeby najważniejsze rzeczy utrwalił. Pamiętaj tylko, żeby wziąć od niego rachunek! Kaminski sobie poradzi ze zbieraniem informacji o denacie, może jeszcze dziś dowiemy się, co robił, jaki był, w kim się kochał, czy miał wrogów. Ja z doktorem i Jaśkiem – tu agent uśmiechnął się szelmowsko do zakłopotanego młodziutkiego policjanta – pójdziemy do pani Radziejowskiej. Jak skończysz, leć do cyrkułu i pisz raport. Poczekaj tam na mnie.

– Robi się, szefie! – wykrzyknął uśmiechnięty Sokołow, dumny z przydzielenia mu tak odpowiedzialnego zadania. Zasalutował i odmaszerował w stronę zakrystii.

– Masz coś do pisania? – radca stanu zwrócił się teraz do Poraja.

– Tak jest! – młodzieniec wyszarpnął z kieszeni na piersi nieco sfatygowany notes i ołówek.

– Wystarczy. Będziesz wszystko notował. Zobaczymy, jak ci pójdzie, bo nie każdy potrafi zręcznie pisać. A ja nie mam czasu, żeby wszystko powoli dyktować. Musisz sam decydować, co i jak zapisać, byleś to później odcyfrował. Jak się dobrze sprawisz, pozwolę ci pracować przy tej sprawie. Jak nie, wrócisz patrolować ulice. Zrozumiano?

– Tak jest, szefie! – zasalutował radośnie chłopak, zaskoczony takim pomyślnym dla niego obrotem sprawy. – To dla mnie zaszczyt, szefie!

– No to idź przodem, my z doktorem za tobą.

Ruszyli szybkim krokiem, ale już po chwili agent zwolnił, aż w końcu przystanął, by móc bez świadków chwilę porozmawiać z Zaifem.

– Ma pan teraz dużo pracy, doktorze, czy może coś przełożyć? – spytał cicho Jezierski. – Bo byłbym wdzięczny, gdyby to pan przeprowadził obie

sekcje, najlepiej jeszcze dzisiaj...

– Dam radę. Ale skończę późno, może nawet w nocy. Rozumiem jednak, że chce pan szybko czegoś się dowiedzieć.

– Oczywiście. Co by nie mówić, mam za sobą wiele lat doświadczenia w służbie kryminalnej i dużo się przez ten czas nauczyłem. Nie tylko z książek, choć i z nich korzystałem. Mam na myśli praktykę i instynkt, który wyrabia w sobie każdy rasowy śledczy. A mój instynkt mi mówi, że coś niedobrego dzieje się w tym mieście. I że to jeszcze nie koniec...

– Ma pan na myśli więcej zabójstw? – Zaif aż przystanął z wrażenia.

– Otóż to. A ludzie tu niewyszkoleni, poza mną i Sokołowem, który jest moją prawą ręką od trzech lat. Jest jeszcze Kaminski. Niegłupi, ambitny, ale to tylko urzędnik. Instynktu nie ma i mieć nie będzie. Dokładny, solidny, rzetelny, typowy biurokrata i służbista. Świetnie prowadzi za mnie sprawy administracyjne, których ja nie cierpię. Inaczej bym go nie trzymał przy sobie, ale nie mam kim go zastąpić, choć nie nadaje się do typowej policyjnej roboty i nie ma inwencji. Za to dobrze wykonuje zlecenia, tylko trzeba mu dokładnie powiedzieć, czego się od niego oczekuje. Ten młody Poraj bardziej mi się podoba. Całkiem zielony jeszcze, ale już widać, że bystry.

– Ach, to dlatego tak go pan wypytywał, co widział w mieszkaniu tej nieszczęsnej wdowy! Trochę się dziwiłem, czemu tak go pan naciska, ale teraz widzę, że chciał pan go trochę przeegzaminować. Ma pan oko i rękę do ludzi, a to rzadka rzecz. Potrafi pan rozmawiać, dobrze traktuje podwładnych, choć jest pan też surowy. Ale chyba i sprawiedliwy...

– To było pytanie czy stwierdzenie? – zaśmiał się Jeziński. – Próbuje pan zmusić mnie do samooceny? Tak, chyba jestem sprawiedliwy, a przynajmniej się staram. Wymagam dużo od innych, ale i od siebie. Ludzi, bez względu na to, kim są, szanuję, choć na głowę sobie nie dam wejść. Poza tym wiadomo, że muchy łapią się na miód, nie na ocet, staram się więc słodzić, gdzie tylko to możliwe – roześmiał się.

– No to już rozumiem, dlaczego gubernator pana ściągnął! – teraz z kolei zaśmiał się Zaif. – Pański poprzednik był kompletnym przeciwieństwem! Musiał jego ekscelencji napsuć dużo krwi swoimi prostackimi wybrykami, o łapówkach już nie wspominając!

– O tym nic mi nie wiadomo – agent puścił oko. – Mój poprzednik przeszedł po prostu na emeryturę.

– Nadzwyczajny człowiek! – zakpił medyk. – Musiał zacząć pracować na etacie mając dziesięć lat! Cudowne dziecko, prawdziwy Mozart rosyjskiej służby państwowej!

– Od razu wiedziałem, że pan jest nie w ciemną bitą! – Jezierski roześmiał się serdecznie. – Myślę, że znajdę w tym mieście trochę ludzi, z którymi będzie można się porozumieć. Bo to trudna rzecz, w końcu jestem carskim policjantem, a wasz kraj... Rozumie pan...

– Tak, chociaż jestem Żydem, więc nie dla wszystkich Polakiem. Jesteśmy pod zaborami i wcale się nam to nie podoba – odparł bez ogródek Zaif.

– Ale gubernator naprawdę ceni to miasto i chce, by się rozwijało, choć rozumie, że dla niektórych na zawsze pozostanie wrogiem. Nie traktuje jednak tej guberni jak zdobyczy wojennej. Dla niego ludzie są najważniejsi. Tak samo zarządzałyby swoim rodzinnym miastem, mogę pana zapewnić.

– Długo pan zna gubernatora? Jeśli można spytać.

– Kilka lat. Nie za długo, ale wystarczy, by trochę poznać człowieka. Pomógł mi kiedyś, gdy miałem kłopoty. No cóż, powiem panu od razu, bo może dotrzeć do pana jakaś inna, nieprawdziwa wersja, rozpowszechniana przez moich wrogów... Tak, mam wrogów, jak każdy porządny stróż prawa. Otóż moja matka była Polką. Jej bracia brali udział w powstaniu styczniowym i zostali aresztowani. Majątek zarekwirowano. Chciałem im nieco pomóc finansowo, czyniłem też starania, by choć część majątku odzyskać. Wszak to rodzina! Źle to jednak zostało odebrane przez moich zwierzchników. Wyrzucono mnie z pracy, a na odchodne usłyszałem, że tylko moja dotychczasowa nienaganna postawa uratowała mnie przed więzieniem. Tylko jedna osoba zechciała wniknąć nieco w szczegóły moich kłopotów, choć przedtem na oczy mnie nie widziała. Jak pan się zapewne domyśla, był to właśnie Michał Piotrowicz Daragan, który wówczas przechodził z wojska do służby cywilnej na stanowisko gubernatora mińskiego, gdzie wówczas pracowałem. Po zapoznaniu się z moją sytuacją, nakazał przywrócić mnie do pracy. Mało tego – dostałem

awans, a rodzina odzyskała majątek! Od tego czasu się zaprzyjaźniliśmy i utrzymywaliśmy kontakty, choć Michał Piotrowicz wkrótce potem został przeniesiony na inną placówkę, aż w końcu został tutaj mianowany gubernatorem. Ściągnął mnie, bo pomyślał, że łatwiej mi będzie unowocześnić tutejszą policję i ścigać przestępców, skoro znam język i obyczaje, a nawet mam z polska brzmiące nazwisko i prawdziwą polską rodzinę!

– Chyba dobrze zrobił. Mieszkańcy na pewno pana docenią. Jeśli nie będzie ich pan zanadto szykanował za patriotyzm.

– Nie jestem z ochrony<sup>12</sup>! – oburzył się Jezierski. – Nigdy bym się nie podjął pracy w policji politycznej!

– No to powinno się tu panu dobrze pracować, ale kariery pan nie zrobi. Proszę się nie zrażać początkową niechęcią mieszkańców. A oto kamienica Bajera. Dziwne, że ludzie wciąż tak ją nazywają, skoro Bajer odbudowywał swój dom po pożarze prawie sto lat temu!

– Widać umiał się wbić w pamięć mieszkańców. Czy nie wiązał się z nim jakiś skandal? Może miał kochankę?

– Może i miał, tego nie wiem, ale w końcu nie byłby odosobniony. Zastłnął jednak z tego, że swój dom oddał w części do dyspozycji wolnomularzom, których w Kaliszu raczej nie lubiano.

– Wolnomularzom? – zdziwił się Jezierski.

– Masonom.

– Ach tak! To ciekawe. Co oni takiego robili, że ich nie lubiano? U nas, w Petersburgu, albo na przykład w Berlinie do masonerii należało, a może i nadal należy mnóstwo znanych osób: połowa arystokracji, królowie, uczeni, pisarze, słowem – osoby!

– No cóż, w Polsce też było kilka sławnych nazwisk, które łączono po cichu z masonerią. Mówiono, że masonem był August II Mocny, choć on akurat nie był Polakiem, podejrzewano o to Stanisława Leszczyńskiego, a ponoć i króla Stanisława Augusta Poniatowskiego widywano w masońskich lożach. Kaliszowi jednak daleko do europejskich stolic. O ile wiem, to masoni nic skandalicznego tutaj nie robili, ale mieszkańcy w większości są katolikami, a katolicyzm ich potępia.

Masonów sprowadzili tutaj Prusacy, nie dość, że zaborcy, to jeszcze



protestanci. Król pruski był masonem, tak jak jego ojciec i dziad. Sądzę, że kaliszanie uwierzyli w te wszystkie bajki o zwyrodniałych praktykach masonów, ponieważ kojarzyli im się z wrogami ojczyzny i dlatego, że te plotki rozpowszechniali księża katolicy, którzy zawsze zaciekle zwalczali masonerię. Podobnie bywa z Żydami. Nas też się czasem podejrzewa o krwawe rytuały, zabijanie niemowląt, zatrucie studni...

– Tak, wiem, Żydów na całym świecie spotykają prześladowania – powiedział agent do specjalnych poruczeń. Czując się niezręcznie, spróbował powrócić do poprzedniego tematu. – Z tymi masonami to naprawdę ciekawa historia. Pamięta pan coś jeszcze?

Młody lekarz uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Przypadkiem tak, bo i mnie kiedyś interesowała ta sprawa. W końcu niewiele mieliśmy w Kaliszu tajnych bractw, a tajemniczość masonów zawsze pobudzała wyobraźnię. Otóż wieść niesie, że kiedy Antoni Bajer odbudowywał po pożarze swój dom, przeliczył się z kosztami i zabrakło mu pieniędzy. Ale zamiast iść do banku czy pożyczyć gotówkę od kogoś na procent, ku przerażeniu i zgorszeniu sąsiadów zaprzyjaźnił się z „farmazonami”. Tak tu się do tej pory nazywa masonów. Nie dość tego, szybko sam został ich „bratem”. No i przy ich pomocy wybudował, zdaje się w 1796 roku, ten piękny dom z kolumnami. Dwa piętra, specjalnie przysposobione, przeznaczony na siedzibę loży i kapituły masońskiej. Tutaj przez jakiś czas jawnie spotykali się kaliscy wolnomularze i ich zagraniczni goście. Uwierzy pan, że nie dalej jak przedwczoraj na własne oczy widziałem jak przechodzący tędy starowina przeżegnał się, a potem jeszcze na wszelki wypadek splunął przez ramię?!

– Uwierzę – uśmiechnął się agent. – I co dalej?

– Choć szybko skończyły się czasy pruskie, nikt masonów nie ruszał. Co prawda raz na krótko, w roku 1808, opieczętowano „dom Belzebuba”, jak nazywano kamienicę Bajera. Stało się tak „za karę”, bo znani w Kaliszu pułkownik Cyprian Godebski i generał Józef Niemojewski zaprotestowali ostro na niezbyt lojalny toast jednego z „braci” Niemców. Sprawę jednak wyjaśniono i loża działała dalej, także w czasach Królestwa Polskiego. Wiedział pan, że sam cesarz Aleksander I był masonem? Dlatego początkowo zezwalał na ich działalność. Do kaliskiej loży należało

wiele szanowanych osób. A największym mistrzem był prezes Komisji Wojewódzkiej, Józef Radoszewski. To był z kolei protegowany generała Zajączka, wtedy już księcia namiestnika Królestwa Polskiego, mąż jego bratanicy i ulubienicy!

– Znam nazwisko generała Zajączka, wszak tytuł namiestnikowski odebrał z rąk cara Aleksandra. Przypadł on do serca także wielkiemu księciu Konstantemu i władzom rosyjskim...

– Chyba za swoją uległość!

– ...I w uznaniu tych zasług otrzymał tytuł ksiązęcy – dokończył radca stanu. – Ale co on ma wspólnego z Kaliszem? Wszak urzędował i zmarł w Warszawie, w Pałacu Namiestnikowskim.

– Miał swój majątek w Opatówku pod Kaliszem, nadał mu go jeszcze Napoleon, bodajże w 1807 roku. Tam też został pochowany, choć jego serce spoczywa w warszawskim kościele Bernardynów, a pozostałe wnętrze umieszczono w katakumbach na tamtejszym cmentarzu Powązkowskim. Podobno car nakazał nawet żałobę po jego śmierci...

– A tak, to prawda – przyznał z ożywieniem Jezierski. – Pamiętam, bo ojciec mi to ciekawie opowiadał, jakem był jeszcze mały. Car Mikołaj I po śmierci generała nakazał urzędnikom, a mój ojciec zaczynał właśnie karierę w ich korpusie, trzydniową żałobę. Musiano nosić wówczas ubiory czarne, codzienne, z krepą u kapelusza, mundury zaś z krepą u lewej ręki, u szpady i u kapelusza. Teraz jednak, jeśli dobrze zrozumiałem, nie ma już masonów w tej kamienicy?

– Ani w kamienicy, ani w Kaliszu. W 1821 roku masoneria została w całym kraju urzędowo rozwiązana. Majątek kaliskich masonów poszedł na szpital, gorzej wyszedł na tym „brat” Bajer. Przy likwidacji łoży zażądał zaległego od lat czynszu oraz odszkodowania za koszty, jakie poniósł, przerabiając masońskie pomieszczenia na normalne lokale mieszkalne. Domagał się ponad 5 tysięcy złotych, a po długich targach otrzymał mniej niż połowę.

– To raczej krótko trwała ta przygoda z masonerią!

– Trochę dłużej, bo nie była to jednak pierwsza łoża masońska, jaka powstała w Kaliszu. Trzy lata wcześniej, w 1795 roku, berlińska łoża „Królewski York pod Przyjaźnią” otworzyła w Kaliszu łożę pod nazw

„Sokrates pod Trzema Płomieniami”<sup>13</sup>. Ale nie przetrwała długo. O wiele ważniejsze były prace powstałej chyba w 1801 roku loży „Hesperus”. Założyła ją inna loża berlińska, „Pod Trzema Globami”, która utworzyła także kapitułę niższą „Jana pod Opoką”. Trzeba panu wiedzieć, że w tych lożach Polacy stanowili zaledwie trzecią część „braci”, głównie niższych stopni. A jako ciekawostkę dodam, że członkiem loży był między innymi ówczesny naczelny komendant policji, a późniejszy prezydent miasta, Karol Horning. Co dziwne, mimo wszystko cieszył się ogromną popularnością wśród kaliszczan.

– Widać ludzie u was potrafią odróżnić dobrego człowieka.

– To był naprawdę wyjątkowy człowiek, więc trudno było go nie docenić! Horning był tak oddany miastu, że nie dbał o własne interesy. Umierając, zostawił po sobie spore długi, dlatego jego dom przy ulicy Poprzeczno-Warszawskiej poszedł na licytację. To ostatecznie przekonało nielicznych niedowiarków, że z racji pełnienia ważnej funkcji nie przysporzył sobie żadnych profitów.

– Ależ z pana, drogi doktorze, chodząca kronika miasta!

Zaif spochmurniał na chwilę, a Jeziński pochwycił kątem oka jego dziwnie uważne spojrzenie, jakby młody medyk chciał go przeniknąć, wy badać. Trwało to jednak przez мгnienie, więc zdumiony agent pomyślał, że mu się przywidziało. Zresztą zaraz potem Zaif znów się odezwał, mówiąc zupełnie normalnym tonem.

– Mój ojciec powiadał, że jak się jest Żydem, choćby i urodzonym w Kaliszu, to trzeba znać swoje miasto lepiej niż... nie-Żydzi. Ale mniejsza z tym, chodźmy na górę. My tu pod bramą sobie gawędzimy, a doktor Wilczewski z Jaśkiem pewnie skręcają się z niecierpliwości.

– Ma pan słuszność, chodźmy. O mieście opowie mi pan przy innej okazji.

Ruszyli szybko po schodach, na których czekał na nich Jasiek Poraj, nerwowo przestępując z nogi na nogę, ale nie mając odwagi przerwać rozmowy tak ważnych osób. Chłopak poprowadził ich na piętro, gdzie skręcił w lewo, minął dwoje drzwi, i przystanął przed trzecimi, do których zapukał.

– Wejść! – zabrzmiała krótka komenda. Jak się okazało, wydał ją

doktor Wilczewski. Był to człowiek w średnim wieku, mający niewiele ponad pięćdziesiąt lat, zażywny, ale dość wysoki. Elegancko ubrany, choć teraz jego płaszcz, kapelusz i laska dość niedbale spoczywały na krześle przy drzwiach. Widać wbiegł tu w pośpiechu i od razu podszedł do łóżka pacjentki. Twarz miał trochę zbyt nalaną, zmęczoną, oczy podkrążone. Resztki włosów starannie zaczesywał na powiększającą się łysinę. Sprawiał wrażenie człowieka przyzwyczajonego do rozkazywania i posłuchu, ale miękki zarys podbródka zdradził agentowi, że to osobnik słaby, rozkazywać więc odważy się tylko słabszym od siebie. Na widok mężczyzn w towarzystwie młodziutkiego policjanta zerwał się z fotela i zawołał:

– No nareszcie! Już miałem sam wyjść na poszukiwanie jakiegoś przedstawiciela władzy! Witam, kolego! – zwrócił się krótko do Zaifa, ale nie podał mu ręki. – A pan to...? – zwrócił się do radcy.

– Jezierski, agent do specjalnych poruczeń – odparł krótko zapytany.

– Nowy szef kaliskiej policji we własnej osobie, no, no, niemały zaszczyt mnie spotkał! – Wilczewski natychmiast zmienił ton i stał się nieomal służalczy. – *Protégé* samego gubernatora!

– Widzę, że należy pan do osób niezwykle dobrze poinformowanych – odparł sucho radca stanu, któremu nowy lekarz nie przypadł zbytnio do gustu. Poza tym uważał go na razie za pierwszego podejrzanego. Któż ma lepszą sposobność do otrucia niż lekarz? – Trochę to trwało, zanim przyszliśmy, ale jak pan zapewne już wie, wcześniej byliśmy na miejscu innej tragicznej śmierci...

– Tak, tak, całe miasto kipi od plotek o tym samobójstwie! – przerwał mu Wilczewski. – Teraz plotkarze będą mieć jeszcze lepszy żer! Sądzę jednak, panie radco, że ta sprawa będzie dla pana ważniejsza, bo podejrzewam otrucie, ot co! – wykrzyknął z emfazą i spojrzał na nich, jakby oczekiwał pochwały za przekazanie tak niezwyklej nowiny.

– Mamy tu do czynienia z morderstwem! – podkreślił, gdy nie doczekał się żadnej widocznej reakcji, nie mówiąc już o stosownych według niego okrzykach zaskoczenia i podziwu.

– Wiem – odparł w końcu flegmatycznie agent. – Doktor Zaif od razu to stwierdził, gdy tylko stójkowy Poraj przyniósł nam wiadomość od pana.

Na twarzy Wilczewskiego odmalowało się tak wielkie rozczarowanie, że agent dorzucił litościwie:

– Ale oczywiście najważniejsze jest to, co pan ma do powiedzenia. Proszę nam bardzo dokładnie opowiedzieć, kiedy pana wezwano i co pan tu zastał. I niech pan nie żałuje szczegółów, bo jeśli rzeczywiście okaże się, że to otrucie, w co oczywiście nie wątpię, wówczas, jak pan wie, musimy to jeszcze oficjalnie potwierdzić...

– Tak, oczywiście – znów przerwał mu Wilczewski, na którego słowa radcy stanu podziałały jak balsam. – Doskonale pana rozumiem, panie radco! Nieczęsto tu wprawdzie mamy do czynienia z morderstwem, ale wszak lekarz to człowiek światły, wykształcony, musi umieć pomóc władzy...

– Otóż to! – przerwał grzecznie, lecz stanowczo agent. – Proszę powiedzieć, kiedy widział pan denatkę po raz ostatni, zanim pana dziś wezwano.

– Oczywiście, oczywiście! Hm, kiedyż to ja ją widziałem? Hm... Mam! Dokładnie tydzień temu. Jej stan zdrowia nieco się pogorszył, więc poprosiła mnie o wizytę domową. Skarzyła się biedaczka na kołatanie serca, które do tej pory miała w znakomitym stanie. Naprawdę, jak dzwon, panie radco!

– Tak, oczywiście. Musiało to pana zdziwić?

– Oczywiście, oczywiście! – podjął natychmiast Wilczewski, używając swoich ulubionych słów. – Zbadałem ją bardzo dokładnie, osłuchałem ze wszystkich stron i faktycznie, serce biło nieregularnie.

– To znaczy? Proszę to sprecyzować, bo mówi pan do laika.

Lekarz uśmiechnął się z pobłażliwą wyższością.

– Bicie serca było raz gwałtowne, raz przerywane, chwilami prawie niedosłyszalne. Przyznam, że bardzo się zaniepokoiłem. Spytałem ją nawet, czy nie bierze jakichś specyfików bez mojej wiedzy. Wie pan, kobiety mają nieraz najdziwaczniejsze pomysły! Może ktoś jej coś zaproponował jako niegroźny medykament lub modną używkę... Krótko mówiąc, podejrzewałem, że zaczęła brać morfinę...

– Hm – chrząknął Zaif. Jezierski spojrział na niego przelotnie i obaj widać porozumieli się bez słów, bo młody doktor natychmiast zamilkł.

– I co dalej, doktorze? – zapytał agent, starając się, by jego głos wyrażał maksymalne zaniepokojenie. Przysunął się przy tym bliżej rozmówcy, by zasłonić mu Zaifa. Takie zainteresowanie ze strony ważnej osobistości, drugiej po gubernatorze, jak powiadają, lekarz odebrał jako wyróżnienie. Wszak nie od dziś wiadomo, że bez policji żadna władza sobie nie poradzi. Tak niezwykle mu to pochlebiło, że od razu zapomniał o koledze po fachu i wrócił do opowiadania.

Zaif tymczasem spojrzął ze współczuciem na młodego policjanta, który zmagął się z potokiem słów, jaki wyrzucał z siebie lekarz. Podeszedł do niego i zajrzał mu przez ramię.

– Nie notuj, chłopcze, wszystkiego, co mówi doktor – szepnął Zaif – bo większość to czcza paplanina. Posłuchaj chwilę i notuj w punktach same fakty, nawet nie zdania. Jeśli jeszcze dziś weźmiesz się za pisanie raportu, to wiele rzeczy przypomni ci się od razu. Napisz lepiej „wezwanie dr, serce” zamiast tego długiego zdania. Ja tymczasem trochę się tu rozejrzę.

Poraj uśmiechnął się do niego z wdzięcznością, ale nie odważył się odezwać, by nie uronić ani słowa z toczącej się obok rozmowy.

Młody lekarz przystąpił do ostrożnych oględzin całego pokoju, niektóre przedmioty podnosił przez chusteczkę, by móc im się lepiej przyjrzeć, inne dotykał ołówkiem. Zanim uczynił kolejny krok, dokładnie sprawdzał podłogę pod stopami, by czegoś nie nadepnąć lub nie przesunąć. W końcu skupił się na zwłokach. Wyjął notes i zaczął w nim coś szkicować, a potem zapisywać. Zachowywał się tak cicho, że jego poczynania nie dostrzegł nikt poza agentem, który się jednak z niczym nie zdradził, starając się wyglądać jak wcielenie uwagi. Spijał niemal słowa z ust Wilczewskiego. Z ich zalewu radca starannie wyluskiwał fakty. Wynikało z nich, że wdowa nie zawarła żadnych nowych znajomości na gruncie towarzyskim, zarzekała się też na wszystkie świętości, że nie bierze do ust niczego, co nie było zaordynowane przez kochanego doktora Wilczewskiego. Że owszem, miała ofertę od jakiegoś bogatego osobnika, który szukał pamiątek po masonach i chciał za wielkie pieniądze odkupić od niej wszystko, co po nich zostało, lecz ona nie słyszała o niczym takim, o czym ze szczerym żalem niedosłusznego kupca jasno poinformowała.

Kupiec pojechał zatem dalej w świat, szukać farmazońskich pamiątek,

a jej się wtedy przypomniał stary kufer na strychu, który przecież mógł należeć do masonów. Zaprosiła więc radcę prawnego, przyjaciela jeszcze jej męża nieboszczyka, który znany był z zamiłowania do różnych osobliwości i starożytności, w tym i farmazońskich, by przejrzał jej rupiecie na strychu, w tym i kufer. Ów zaś wziął nawet ze sobą bibliotekarza czy sekretarza, kto go tam wie, zatrudnionego od niedawna do porządkowania prywatnych zbiorów, ale nic nie znaleźli. Wedle słów wdowy radca orzekł, że po masonach nic nie zostało, ale kufer i parę książek chętnie od niej odkupi, bo lubi kolekcjonować takie starocie. Zanim jednak doszło do transakcji, ktoś się na strych włamał. Już miała zgłosić to na policję, ale okazało się, że nic nie zginęło, przynajmniej nic wartościowego, więc potwierdziła Garszyńskiemu termin transakcji, co wypadło akurat w ten dzień, kiedy wdowa po raz pierwszy zachorowała. Rzec całą przełożono więc na dzisiaj, ale jak pan sam widzi, pani Radziejowska od rana tak strasznie zaniemogła, że natychmiast posłano po doktora, który jednak niewiele mógł już pomóc, bo zastał ją w agonii. Z całych sił starał się ratować nieszczęsną kobietę, ale bez skutku. Jednak objawy, jakie sam zdążył zaobserwować, oraz informacje, które wyciągnął od przerażonej służby, sprawiły, że postanowił natychmiast zawiadomić władze o tym haniebnym postępku. Wszak wdowa straciła życie, a on niezły stały dochód, jaki mu przynosiły częste wizyty u tej nieco przewrażliwionej na swoim punkcie, ale w gruncie rzeczy zdrowej kobiety. Z pełnych goryczy słów lekarza wynikało też, że poza „nerwami”, napadami łakomstwa kończącymi się niedomaganiem wątroby i słabszym wzrokiem nic jej właściwie nie dolegało i mogła żyć jeszcze długie lata, zasilając kieszeń doktora, o czym już wszakże nie wspomniał.

– Rozumie pan, ona nie mogła zejść śmiercią naturalną, skoro nic poważnego jej nie dolegało! – zawołał na koniec Wilczewski i otarł spocone czoło chusteczką.

– Nic dziwnego, że pan się zdenerwował, tracąc tak zamożną, a przy tym nietrudną w leczeniu pacjentkę – powiedział nieopatrznie agent, znużony jego przydługą tyradą.

Zaskoczony lekarz spojrział na niego z niepokojem, ale nie dojrzał nic poza życzliwym współczuciem i zrozumieniem, zaraz się więc odprężył.

Pomyślał nawet, że gubernator ściągnął wreszcie do miasta rozumnego człowieka, który zrobi porządek z niemrawą kaliską policją i przestępczością, do której doktor Wilczewski zaliczał także wszelkiej maści praktykujących pokątnie znachorów, poniekórych felczerów, a nawet, o zgrozo, lekarzy... Sam w zeszłym roku złożył na policji donos o nielegalnej praktyce jakiegoś Żyda. Po kilku dniach mu powiedzieli, że chociaż Żyd, papiery ma wszystkie w porządku, a dyplomów więcej niż sam Wilczewski, a wszystkie z zagranicy. Doktor uznał, że to jest przecież niemożliwe w przypadku Żyda! Na pewno fałszywe lub skradzione! Zaraz, jak on się nazywał, ten oszust... Jakoś tak z cudzoziemska... Zajdler, Zajfer... Tu doktor Wilczewski z przerażeniem uświadomił sobie, że zaskarżony przez niego lekarz nazywał się Zaif. Spojrzał zaniepokojony w jego stronę, a widząc, że ten mu się przygląda z miną, jakby doskonale wiedział, o czym myśli, zaczerwienił się, spuścił oczy i zamilkł, co z kolei wprawilo w zdumienie agenta. Jego zdziwienie pogłębiło się, gdy zaraz potem spojrzął na Zaifa, który przyglądał się zmieszanemu Wilczewskiemu z dziwnym uśmiechem.

Jeziński mężnie zwalczył chęć natychmiastowego wyjaśnienia sprawy i postanowił, że spyta o to Zaifa nieco później w cztery oczy. Teraz musiał zająć się kolejnym miejscem zbrodni i jak najszybciej pozbyć się tego nadętego bufona Wilczewskiego. Bardzo wylewnie podziękował mu więc za współpracę i wzorową postawę obywatelską. Obiecał również, że nie będzie go fatygował do cyrkułu, lecz przyśle kogoś po podpis, gdy tylko jego zeznania zostaną przepisane. Potem kazał Jaśkowi Porajowi wezwać kogoś ze służby, by odprowadził doktora do wyjścia, a im wskazał jakiś pokój, gdzie będą mogli spokojnie popracować. Wkrótce zjawia się policjanci, którzy przeczeszą miejsce domniemanej zbrodni. Potem Jasiak miał się zająć spisywaniem zeznań służby.

Wilczewski, będąc już w drzwiach, zatrzymał się niespodziewanie i odwrócił.

– W całym tym zamieszaniu całkiem zapomniałem o tym, że wdowa usiłowała coś powiedzieć przed śmiercią.

Jeziński natychmiast się tym zainteresował, mając nadzieję, że było to coś sensownego.



– Tak? – zapytał zachęcająco, bo lekarz zamilkł.

– Mogła już wtedy majaczyć, więc nie wiem, czy na coś się to panu przyda...

– Co powiedziała, doktorze? – przerwał mu uprzejmie agent, mając chęć go udusić.

Lekarz napuszył się jeszcze bardziej w poczuciu własnej ważności i przybrał nieco teatralną pozę.

– Powiedziała: „Za obrazem” i wydała ostatnie tchnienie – oznajmił z niezwykłym namaszczeniem, a potem skłonił się i wyszedł, pozostawiając trzech mężczyzn w osłupieniu.

## Rozdział 3

Z oszołomienia wywołanego słowami Wilczewskiego najszybciej wyrwał się Zaif, który jak gdyby nigdy nic wrócił do przerwanych czynności. Jezierski wpatrywał się z natężeniem w ścianę naprzeciwko, prawie całą zawieszoną obrazami. Już wcześniej zauważył, że w tym domu aż roiło się od obrazów różnej wielkości i wszelkiej maści bibelotów. Wszystkie możliwe powierzchnie – poza ścianami – pokrywały figurki z porcelany, zegary, suszone i woskowe kwiaty. Agent potrząsnął ze złością głową i mruknął coś, co zabrzmiało jak „osioł”.

W tym momencie wszedł dostojaśnie kamerdyner. Skłonił się przed agentem i zaprowadził dwóch dostojskich gości do gabinetu nieboszczki wdowy, który przejęła po śmierci męża. Jasiek pozostał na miejscu, kończąc notatki.

Gabinet okazał się bardzo wygodnym i przestronnym pomieszczeniem. Wdowa chyba niewiele w nim zmieniła, bo poza kwiatami w doniczkach i wazonach, pokój był urządzony w męskim stylu. Oprócz wielkiego dębowego biurka był tu też duży stół oraz kilka małych stolików, przy których dwie osoby mogły wygodnie napić się kawy lub porozmawiać. Nie brakowało krzeseł i wygodnych foteli, pod ścianami stały przeszklone szafy biblioteczne wypełnione książkami, zapewne także odziedziczonymi po mężu, a niemal na środku królował wielki globus, w którym Jezierski natychmiast rozpoznał barek.

Radca stanu obejrzał go sobie dokładnie, a Zaif bez zainteresowania. Żaden z nich nie tknął alkoholu, lecz Jezierski poprosił kamerdynera o kawę i kilka kanapek, jeśli to nie kłopot, jak się wyraził. Kamerdyner skłonił się z uszanowaniem i powiedział, że zaraz wszystko przyśle.

– Zanim jednak pójdziecie, chciałbym zamienić z wami kilka słów – tu agent uprzejmie wskazał mu miejsce przy jednym ze stolików, sam usiadł obok.

Kamerdyner ani na moment nie stracił opanowania i z godnością zajął wskazane miejsce.

- Słucham, ekscelencjo – powiedział.
- Najpierw chciałbym się dowiedzieć, czy długo służyliście u nieboszczki Radziejowskiej?
- Blisko czterdzieści lat, bo zacząłem służbę jeszcze u pana Radziejowskiego, zanim się był ożenił.
- To bardzo dobrze! – ucieszył się radca stanu. – W takim razie jesteście osobą, która wie o tym domu i jego mieszkańcach, jeśli nie wszystko, to przynajmniej dużo, czyż nie?
- Tak mniemam, ekscelencjo – ostrożnie odparł kamerdyner. – Ale swoje lata mam i pamięć już nie ta...
- To tylko znaczy, żeście już nie młodzik, lecz dojrzały mężczyzna w sile wieku! – zaprotestował Jezierski.
- Zaif uśmiechnął się pod nosem, przypominając sobie słowa radcy o łapaniu much na miód, a nie ocet. Najwyraźniej sam stosował się do swoich nauk, i to z dobrym skutkiem, bo kamerdyner od razu się wyprostował i dumnie wypiął pierś.
- Powiedzcie mi zatem, czy nie zauważyliście, by w domu od jakiegoś czasu działo się coś niezwykłego? Coś, co by odbiegało od codziennej rutyny? Może wdowa poznała nowych ludzi, jakieś przyjaciółki, panów?
- Nie, ekscelencjo, pani Radziejowska miała grono starych przyjaciół, u których bywała i których zapraszała. Tu nic się na pewno nie zmieniło, bo każdy ze służby by to zauważył.
- A propos służby – ciągnął niezrażony Jezierski – może ktoś nowy się u was zatrudnił?
- Też nie, ekscelencjo – pokręcił głową stary sługa. – Ja i kucharka pracujemy najdłużej, ale cała reszta jest co najmniej od siedmiu lat w tym domu.
- A kto kupuje żywność?
- Kucharka, ekscelencjo. Czasem pani sama zamawia w sklepie, potem nam to chłopak lub subiekt przynosi do domu.
- A kucharka nie narzekała ostatnio na jakieś produkty? Że nie takie jak trzeba? Nieświeże albo nie te, które zamawiała? Albo że inaczej smakują? – drążył agent.
- Przy mnie, ekscelencjo, nic takiego nie mówiła. Może z panią

rozmawiała, ale ja nic nie słyszałem ani od niej, ani od pani. To już musi pan kucharkę zapytać.

– Nie omieszkam, wróćmy jednak do was. Naprawdę nic was ostatnimi czasy nie zdziwiło, choćby odrobinę? Możecie nawet nie zdawać sobie sprawy, że jakaś informacja, dla was błaha i bez znaczenia, dla mnie może okazać się bezcenna.

Kamerdyner poskrobał się po głowie i widać było, że usilnie stara sobie coś przypomnieć. Agent milczał, by nie rozpraszać jego uwagi.

– Właściwie to nic takiego, ekscelencjo...

– Nie szkodzi, proszę mówić! – przynaglił go Jezierski. – Nawet jeśli to według was nic ważnego.

– Trochę dziwny wydawał mi się ten obcy, który pamiątek po farmazonach szukał...

– Tak? – spytał obojętnym tonem radca, ale Zaif zauważył błysk w jego oku.

– On nie z Kalisza był, chociaż Polak. Przyszedł jednak w towarzystwie innego pana, który prawie nic nie mówił, tyle że przywitał się i pożegnał z panią po francusku. Dlatego pomyślałem, że to cudzoziemiec, choć i u nas wiele osób częściej po francusku niż po polsku mówi.

– Coś jeszcze? Przypomnijcie sobie.

– No, zdziwiło mnie trochę ich zachowanie. Bardzo grzeczni byli, nie powiem, elegancko odziani, ale bardzo się rozglądali, choć starali się to robić ukradkiem. Ale mnie się widziało, że najchętniej to sami by przetrząsnęli cały dom, czy czegoś nie znajdą. I nie wiem, czy naprawdę im o te farmazońskie pamiątki chodziło, czy też o coś całkiem innego. Może sprawdzali, czy coś warto tu ukraść?

– Wielu rabusiów tak robi, że najpierw teren rozpoznaje – zgodził się radca. – Żeby potem czasu nie tracić, tylko zabierać rzeczy wcześniej upatrzone i zmykać.

– Właśnie tak samo sobie pomyślałem! – stwierdził zadowolony z siebie kamerdyner. – Że oni tacy gładcy, sztywnie ubrani, ale niezbyt dobrze im z oczu patrzy. No i tak podejrzanie się rozglądają. A pani miała przecież sporo cennych rzeczy, także biżuterię i gotówkę... Chociaż nie, gotówkę w banku raczej trzymała. W domu nie było dużo, chyba że akurat

wypadał dzień wypłat dla służby i regulowania rachunków. Pani oszczędna była, nie lubiła niepotrzebnie grosza wydawać, za to miło jej było pieniądź dostawać. Dlatego widziałem, że chętnie by im jakieś niepotrzebne graty sprzedała, lecz nie miała nic po tych, jak im tam, farmazonach czy masonach. Tfu, diabelskie nasienie!

Jezierski zignorował święte oburzenie kamerdynera i nie wdając się w dyskusję o naturze tajnego bractwa, drążył wątek bliższy jego śledztwu, w którym trup padał prawdziwy. On musiał złapać mordercę, bez względu na motywy jego działania czy przynależność do jakichś stowarzyszeń. Wiele jednak wskazywało na to, że wszystko dziwnie jakoś kręci się wokół masonerii. Tak czy inaczej, agent specjalny nie zamierzał teraz zajmować się jej oceną.

– Może jednak przejrzyście rzeczy w domu i sprawdźcie, czy nic nie zginęło? Mogli ukraść przedmiot, który nie stał na wierzchu lub coś, co nie rzucało się w oczy, jakiś drobiazg. Coś, co dla was i pani było nieważnym drobiazgiem, ale dla nich mogło być z jakichś względów cenne.

– Dobrze, ekscelencjo. Ale co do biżuterii czy innych takich rzeczy, to ja nie bardzo wiem, co pani miała. Może pokojówka bardziej... Ale lepiej, jak pan z jej prawnikiem porozmawia albo bankierem...

– Tym się nie kłopotcie. Czy wdowa miała jakąś rodzinę, którą można by zawiadomić? Kogoś, kto po niej dziedziczy?

– Nie wiem, ekscelencjo. Rodziny bliskiej już nie miała, wszyscy pomarli. Są gdzieś pewnie jacyś dalecy krewni jej, czy też świętej pamięci pana Radziejowskiego, ale nie w Kaliszu. I nie wiem, czy dziedziczą.

– A wiecie może, czy pani testament spisała?

– To akurat wiem, ekscelencjo, bośmy wraz z kucharką za świadków służyli. Oboje podpisywaliśmy, ale zapisów nie znamy, bo testament pan Garszyński zakrył czystą kartką, zostawiając tylko miejsce na nasze podpisy. Pani podpisała już wcześniej.

– Pan Garszyński? Czy to nie on miał odkupić od pani Radziejowskiej kufer i jakieś książki? Tak mówił doktor Wilczewski.

– Ten sam, ekscelencjo.

– Czy to wartościowe rzeczy?

– Nie sędzę, ekscelencjo. Kufer stał na strychu od lat. Był tu już, gdy pan Radziejowski dom kupił. Pan przeglądał jego zawartość, ale powiedział, że nic ciekawego tam nie znalazł, trochę zwykłych rupieci i starych książek. Ale nie żadnych tam nadzwyczajnych, tylko zwykłe, zniszczone książki. Nawet ich do swojej biblioteki nie wziął. A nie, przepraszam, wziął jedną albo dwie. Nie pamiętam dokładnie, to dawno było. Muszą tu gdzieś być – wskazał na szafy biblioteczne. – Pan Garszyński też powiedział, że na strychu nic cennego nie ma, a jego pomocnik biblioteczny, co z nim przyszedł, to potwierdził. Ja myślę, że radcy żal się zrobiło naszej pani, bo taka była rozczarowana, więc postanowił kupić od niej te rupiecie. Oni się bardzo lubili z panią, dawno się znali. Radca był jeszcze przyjacielem świętej pamięci pana Radziejowskiego, który mu pieczę nad jej majątkiem powierzył.

– Czyli pan Garszyński nic cennego nie kupił od wdowy?

– Nie. Chociaż kufer jest w dobrym stanie, tyle że to żaden antyk. Ot, porządny drewniany kufer i tyle.

– Czy ktoś jeszcze się dopytywał o rzeczy po masonach? Powiedzmy w ciągu ostatnich trzech lat?

– Nie, ekscelencjo, przynajmniej mnie nic o tym nie wiadomo. Ale było takie ogłoszenie w „Kaliszaninie”, nie pamiętam kiedy, ale nie tak znów dawno. Jakoś zimą. Może w zeszłym roku? I tam ktoś pisał, że skupuje do kolekcji osobliwości wszelkie rzeczy, jakie pozostawili po sobie masoni. I płaci gotówką.

– Tu, w Kaliszu, skupuje?

– Tego to ja nie wiem, proszę jaśnie pana. Ale można się z nim skontaktować przez księgarnię Szczepankiewicza przy Warszawskiej, bodajże pod 64 numerem.

– A skąd wiecie o tym ogłoszeniu?

– Sam przeczytałem w gazecie. A i pani je zauważyła, bo mówiła o nim ze swoimi przyjaciółkami, które przychodziły do niej zawsze w czwartki. Taką damską herbatkę sobie robiły, bez mężów. Co nie było trudne... – tu kamerdyner kaszlnął przepraszająco – bo większość z tych dam już owdowiała. Śmiały się z tego ogłoszenia, ale zaciekawione były. Wybierały się nawet do Szczepankiewicza, żeby wywiedzieć się o więcej szczegółów,

ale nie wiem, czy co z tego wyszło.

– Ciekawe, ciekawe. No nic, ustalę to z panem Szczepankiewiczem. A gdzie mieszka radca Garszyński?

– Przy ulicy Sukienniczej, zaprowadzę pana – odezwał się po raz pierwszy doktor Zaif, więc radca podziękował kamerdynerowi i poprosił go, by wskazał młodemu Porajowi jakiś pokój, w którym ten mógłby wstępnie spisać zeznania reszty służby i zanotować ich dane.

– My tymczasem z doktorem wypijemy kawę, a potem dokonamy oględzin ciała – powiedział agent. – Proszę teraz wysłać kogoś do cyrkułu, może znajdzie się tam ze dwóch policjantów, i podać im tę kartkę ode mnie.

Tu radca stanu szybko skreślił kilka słów po rosyjsku i podał kartkę kamerdynerowi.

– I proszę nas zawiadomić, gdy przyjdą policjanci.

– Oczywiście, ekscelencjo – kamerdyner skłonił się z uszanowaniem. – Zaraz służąca poda panom kawę i kanapki.

– Dziękuję bardzo. Przepróście kucharkę za kłopot w takim dniu.

– To żaden kłopot. Pani sama chętnie by panów ugościła i nie wybaczyłaby nam braku gościnności – tu głos kamerdynera podejrzenie zadrżał, więc czym prędzej się skłonił i wyszedł z gabinetu.

– No i co pan na to?! – zawołał podekscytowany Jezierski do doktora, ledwo drzwi się zamknęły za starym sługą. – Bo ja tu widzę co najmniej dziwne zbiegi okoliczności!

– To zależy, co pan ma na myśli – ostrożnie odpowiedział mu Zaif.

– Te podejrzone wizyty, żeby zbadać grunt i okraść wdowę, ot co! – wykrzyknął triumfalnie Jezierski. – Już ja znam takie ptaszki, co to mydlą oczy jakimiś masonami czy innymi pamiątkami, a potem napadają na niczego niespodziewające się wdowy i okradają je! Głowę dam, że tu też zamierzali dokonać kradzieży, tylko coś ich spłoszyło i nie dokończyli dzieła! Chociaż, kto wie, na razie nie możemy stwierdzić, czy zginęła jakaś biżuteria lub pieniądze.

– Czy aby zbyt pochopnie nie wyciąga pan wniosków? – zatroskał się Zaif. – Nie dalej jak dwie godziny temu był pan pewien, że pomocnik aptekarza popełnił samobójstwo.

– Ma pan rację! – zafrasował się Jezierski. – Zupełnie nie wiem, co mi się stało. To miasto tak dziwnie na mnie działa. Przyjechałem tu zaledwie trzy miesiące temu i nic się nie działo. Kompletnie nic! Nawet bójki żadnej nie było czy awantury domowej, chyba że gdzieś na wsi, ale tym się nie zajmuję, agentowi do specjalnych poruczeń nie wypada – zaśmiał się. – Wykorzystałem ten czas, by zacząć uczyć tutejszych policjantów procedury i nowych technik śledczych, badania miejsc zbrodni, ale opornie to idzie. Zakute łby mają niektórzy, a ci bystrzejsi znowu się rozleniwili. Musiałem wyplenić to ogólne rozprężenie, więc ich ganiałem po polach, żeby dyscyplinę zaprowadzić. Ostrą musztrę dostali. Przy okazji kondycję poprawili. Tyle że nie było na czym nowych technik praktycznie ćwiczyć, skoro nic się nie działo... Widać brakowało mi tej gorączki, jaka panuje w wielkich miastach, a pracowałem i w Moskwie, i w Sankt Petersburgu, potem trochę w Warszawie. Ale dosyć o mnie. Wracajmy do śledztwa. Najpierw obejrzy pan ciało, a potem ustalmy, jakie mamy fakty.

– Ciało już obejrzałem, więc od razu możemy przejść do faktów.

Jezierski skinął głową.

– W takim razie będę zapisywał, a pan niech mówi, co pan zauważył, bo już wiem, że głowę ma pan nie od parady. Będę miał z pana pociechę w każdym śledztwie! Najpierw jednak niech pan powie coś o nieboszczce, bo widziałem, że obejrzał pan dokładnie pokój.

– Nie jestem pewien, czy to zabójstwo, ale z pewnością w grę wchodzi trucizna. Tylko nie wiem, czy to było świadome działanie, czy też pomyłka.

– Pomyłka jest mało prawdopodobna! – uznał radca. – Sam pan chyba w to nie wierzy. I czyja to miałyby być pomyłka? Samej nieboszczki? Kogoś ze służby? Aptekarza czy może lekarza, który nie ten lek przepisał? Hm... aptekarz... No, tu się sprawa komplikuje. Może to faktycznie pomyłka? Nie wydaje się panu szczególne, że dziwnym trafem mamy też zwłoki aptekarza? Pasowałoby to do jego samobójstwa... Zorientował się, że niechcący uśmiercił wdowę, miał wyrzuty sumienia...

– Ależ pan uparty! I według pana popełnił to samobójstwo dzień przed śmiercią wdowy, zamiast iść do niej i ostrzec ją albo zacierać ślady swojej



ewentualnej pomyłki? Powinien nie dopuścić, by zażyła lek, i czym prędzej zabrać go z jej domu! Mógł wszak wymyślić byle jaki pretekst, jeśli bał się kompromitacji i posądzeń o niedbalstwo czy roztargnienie.

– No tak, proszę mi wybaczyć, doktorze. Ale muszę rozpatrywać sprawę z każdego punktu widzenia. Trzeba mieć otwarty umysł!

– Byle nie wrzucał pan do niego wszystkiego, jak popadnie, bo wyjdzie z tego galimatias.

– Złośliwy pan, doktorze, ale wróćmy do naszej nieboszczki. Na razie nie wiemy, czy coś ją łączyło z Żebrowskim, to sprawdzimy później. Może to jednak była pomyłka aptekarska, tylko inny aptekarz zawinił. A teraz, co pan powie o jej śmierci? Rozpoznał pan objawy?

– Muszę zrobić sekcję i przeprowadzić badania chemiczne, żeby stwierdzić, czym została otruta. Pobrałem już próbki wymiocin i za pana pozwoleniem udam się do szpitala, żeby zrobić sekcję Żebrowskiego. W tym czasie pan tu skończy i prześle mi ciało pani Radziejowskiej oraz wszelkie recepty i medykamenty, jakie znajdziecie w domu. Sprawdzę przynajmniej, czy jakiś lek nie był źle przyrządzony lub celowo czymś doprawiony. Tak się jednak zastanawiam...

– Tak? Może będę mógł panu pomóc? Brakuje panu jakiegoś sprzętu? Specyfików? Wszystko pan dostanie, całkowicie wyposażone miejsce do badań, tylko proszę podać, co potrzeba! Kto wie, ile jeszcze trupów nas czeka.

– Co też pan wygaduje!

– Tak może być. Takie tajemnicze sprawy zwykle ciągną się miesiącami, a trup pada gęsto. Może to jakiś wariat grasuje? No, niech pan mówi, co pana gnębi?

– Z objawów, jakie wymieniał doktor Wilczewski, nasuwa mi się pewien pomysł. Niedawno słyszałem o podobnym przypadku dziwnej śmierci, choć objawy nie były takie gwałtowne. Lekarz orzekł śmierć na skutek perforacji żołądka, a właśnie na żołądek chory leczył się przez ostatnie lata. Teraz się zastanawiam, czy to też nie było otrucie.

– A kto to był? – natychmiast zainteresował się agent do specjalnych poruczeń. – Może trzeba ekshumować zwłoki?

– Można by, choć nie wiem, czy po upływie miesiąca coś znajdziemy.

To zależy od rodzaju trucizny, niektóre są trudne lub wręcz niemożliwe do wykrycia. A nieboszczykiem był jeden z księgarzy. To stało się jakoś w zeszłym miesiącu. Pamiętam, bo wkrótce po jego śmierci mieliśmy powódź...

– A tak, powódź pamiętam, ale o księgarzu nie słyszałem.

– To dlatego, że nikt nie podejrzewał otrucia. Ja też nie, choć zastanowiła mnie taka nagła śmierć u stosunkowo młodego jeszcze człowieka, ale przecież wszystko jest możliwe. Nie wiem jednak, czy cokolwiek da się wykryć, nawet jeśli rzeczywiście został otruty.

– No cóż, warto spróbować. Bo to by oznaczało, że morderca grasuje tu już od dłuższego czasu i najwyraźniej dopiero nabiera animuszu! Nasuwa mi się pewien wniosek, a mianowicie taki, że morderca czegoś szuka, coś chce zdobyć. I gdy nie udaje mu się tego dostać legalną drogą, to zabija i sam zabiera.

– Ale przecież wdowa chciała tym nieznajomym coś sprzedać, tylko nie miała co! – zaprotestował Zaif. – To obala pańską teorię.

– Oho, teraz pan wyciąga pochopne wnioski – uśmiechnął się agent. – A skąd wiadomo, że to akurat ci nieznajomi zabijają? To może być ktoś zupełnie inny. Ktoś, kto na przykład nie chciał, żeby wdowa coś sprzedała, bo sam zamierzał to od niej kupić. Albo ukraść. Mogło mu się przecież wydawać, że łatwiej okraść wdowę niż prawnika, który miał od niej odkupić kufer, nie sądzi pan? To by jednak oznaczało, że w kufrze było coś cennego. A może wdowa coś wiedziała, coś niebezpiecznego dla mordercy? To nieistotne na razie, bo i tak nie wiemy, czego on naprawdę szuka.

– Właściwie nic jeszcze nie wiemy – przyznał Zaif w zamyśleniu. – A może zwyczajnie nie chce płacić, dlatego zabija ofiary, by potem móc je okraść?

– Cóż, niczego nie można wykluczyć – przyznał bez przekonania radca stanu. – Ale po co niepotrzebnie zabijać? Za zabójstwo stryżek murowany, a za kradzież więzienie, czasem ciężkie roboty. Lepiej okraść żywego. Wróćmy do faktów, mogę notować.

Zaif potrząsnął przecząco głową.

– Szkoda czasu, bym tu siedział i gadał, lepiej wezmę się za sekcję

i badania, a pan spisze wszystko, co panu przyjdzie do głowy. Spotkamy się jutro i to omówimy. Wtedy będę więcej wiedział, pana ludzie może też coś znajdą.

– Dobrze, doktorze. Tak chyba rzeczywiście będzie najlepiej. Ja tu i tak muszę zostać, żeby poczekać na moich zuchów, to sobie popiszę troszkę. A pan niech złapie na mój koszt dorożkę i jedzie do szpitala. Aha, doktorze! A wizyta u radcy Garszyńskiego? Miał mi pan pokazać drogę.

Zaif odwrócił się, już z ręką na klamce.

– Wizyta może poczekać do jutra?

– Oczywiście. Dziś i tak mamy aż nadto roboty. Mam jeszcze tylko jedno pytanie... właściwie dwa. Powie mi pan, dlaczego w pokoju nieboszczki tak dziwnie patrzył pan na doktora Wilczewskiego? Jakby był czegoś winny – zapytał trochę zażenowany Jezierski.

– Ach, zauważył pan?

– Wydało mi się to nieco dziwne.

– To nic takiego. Po prostu doktor Wilczewski był łaskaw oskarżyć mnie o nielegalną praktykę lekarską. Tylko dlatego, że jestem Żydem, a on nie wierzy, by jakikolwiek Żyd był zdolny do nauki, a tym bardziej do uczciwej pracy.

– Rozumiem – chrząknął Jezierski. – A dlaczego brał pan przedmioty przez chusteczkę? Niezręcznie mi pytać, ale moja ciekawość jest silniejsza.

Zaif nie zwrócił uwagi na zmieszanie agenta, za co tamten był mu wdzięczny.

– Słyszał pan o odciskach palców? – zapytał medyk.

– Coś mi się o uszy obilo, to jakaś nowinka, tak? – ostrożnie przyznał agent.

– Można tak to nazwać, ale właśnie ze względu na te odciski nie dotykałem niczego gołymi rękoma. Jutro panu wszystko dokładnie wytłumaczę. Niech pan ponagli ludzi, żeby możliwie szybko przywieziono ciało wdowy.

– Oczywiście, doktorze. Jeszcze raz panu dziękuję za cenną pomoc i do zobaczenia.

Gdy Zaif wyszedł, agent do specjalnych poruczeń w stopniu radcy

stanu postanowił najpierw rozejrzeć się po gabinecie, by uspokoić myśli i uporządkować wydarzenia, w jakie obfitował ten dzień. Przejrzał tytuły książek w biblioteczkach. Jako że mąż wdowy był prawnikiem, niemal wszystkie dotyczyły tej dziedziny. Trochę wydawnictw albumowych, bedekerów po głównych miastach Europy i wspomnień ludzi, o których Jezierski nigdy nie słyszał. Żadnych powieści, romansów, w sumie – nic ciekawego. Przeszedł więc w drugi koniec gabinetu, gdzie stała sofa i kilka foteli oraz pulpit z wyeksponowaną księgą. Okazało się, że jest to rodzaj albumu zawierającego widoki Kalisza. Księga miała nadzwyczaj nieporęczny format, wielkością bowiem przypominała gazetę, a nie książkę. Nie mieściła się na pewno na żadnej półce biblioteczej, chyba że położona na płask. Nieboszczyk Radziejowski lub jego żona woleli jednak wystawić ją na pulpicie. Inaczej pewnie w ogóle nie dałoby się jej oglądać, jak bowiem utrzymać takie tomiszczę w rękach?

Tytuł też miała nieco dziwny: *Album kaliskie*<sup>14</sup>. Chyba błąd w druku? – zastanawiał się Jezierski, który językiem polskim władał niemal równie biegle jak rosyjskim. Odwrócił kilka kart. Zobaczył na nich ryciny przedstawiające damy i kawalerów przechadzających się po cienistych zielonych alejach. Panie chroniły swą jasną pleć przed słońcem kapeluszami i koronkowymi parasolkami. W czasach kiedy album powstawał, najwyraźniej modne były pastelowe kolory i kwiaty na kapelusikach plecionych ze słomki.

Jezierski jeszcze raz zerknął na kartę tytułową. Album wydano w 1858 roku. Trzydzieści lat temu! Nic dziwnego, że tracił myszką. Agent specjalny był z natury dociekliwy, szczególnie gdy coś przykuło jego uwagę, więc obejrzał dziwną księgę dokładnie. Dowiedział się, że autorem tekstu był Edward Stawecki, rysunki wykonał Stanisław Barcikowski. Dzieło zostało wydane bardzo starannie, wręcz luksusowo, u S. Olgebranda w Warszawie w czterech tomach. Całość oprawiono w granatowe płótno ze złotymi literami. Jezierski przeczytał adnotację, że „posyty” można było nabyć w „głównych składach” w Warszawie u S. H. Merzebacha przy ul. Miodowej 486 lub w Kaliszu u H. Hurtinga. Poza tym autor opatrzył księgę własną pieczęcią z herbem Lubicz, co radca stanu przyjął z aprobatą, uznając to za niezły sposób ochrony przed

nielegalnym kopiowaniem i sprzedażą.

Musiał przyznać, że mimo nieporęczności księgi, ilustracje zyskiwały na tak dużym formacie. Radcę zaciekawiło wyłaniające się z kart albumu miasto, które dla niego było wciąż nowe i w jakiś tajemniczy sposób niezrozumiałe. Był w połowie Polakiem, od urodzenia mówiącym w obu językach i znającym nieźle kraj i zwyczaje swej matki. Ale to miasto stanowiło dla niego zagadkę, choć nie potrafiłby wyjaśnić dlaczego. Przecież nie było ani tak duże jak Warszawa czy Poznań (nie mówiąc już o Petersburgu czy Moskwie), ani czystsze czy ładniejsze od setek innych. Na początku nie mógł zrozumieć, dlaczego gubernator Daragan tak nalegał, by do miejscowej ludności podchodzić łagodnie, chronić ją przed przestępczością i nie psuć mu dobrej reputacji, jaką osiągnął ciężką pracą i wytrwałością. A jeszcze bardziej nie mógł pojąć tego, co Michał Piotrowicz powiedział na koniec ich pierwszej po latach rozmowy, zresztą cicho i jakby do siebie, że gdyby mógł wybierać, to urodziłby się właśnie tutaj. A już na pewno chciałby tu umrzeć. Dlatego teraz agent przeglądał ryciny pokazujące widoki tego dziwnego miasta, które jego przyjaciela tak chwyciło za serce.

Były tam zarówno zabytki, jak i rzeczy współczesne autorowi. Obejrzał z zainteresowaniem rycinę przedstawiającą pałac gubernatora, Fabrykę sukna Repphana, widok na park i teatr, po którym już nie było śladu, oraz gmach trybunału. Także kolegiata pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, u stóp której kilka godzin temu oglądał zwłoki pomocnika aptekarza, wyglądała jak żywa. Podobnie kościół pw. św. Wojciecha na Zawodziu, który nie tak dawno pokazywał mu Michał Piotrowicz Daragan, gdy obwoził go po mieście i okolicach.

Nagle Jezierski zauważył, że z albumu coś wystaje, jakby kartka wykonana z zupełnie innego rodzaju papieru. Przewrócił ostrożnie kilka kart, by niczego nie uszkodzić, i z albumu wypadła poślódką koperta. Wydobył z niej kilka litografii również przedstawiających Kalisz, tyle że w mniejszym formacie. Na pierwszej z brzegu ujrzał kamienicę, w której właśnie przebywał. Przeczytał podpis: W. Ehrentraut. Gmach dawnej łoży masońskiej, 1835 r. Odwrócił kartę i na jej odwrocie spostrzegł dopisek wykonany ołówkiem: *własność J. Garszyńskiego*. Już miał odłożyć kartę,

gdy w prawym dolnym rogu coś dojrzał. To, co początkowo wziął za zabrudzenie, rozmazaną plamę, okazało się ledwie widoczną adnotacją wykonaną przez kogoś wyblakłym już teraz atramentem: *Zabiliśmy tego dyabła y iego brata farmazona, w imię Boże. Tak szcześnie kaźden, ku przestrodze...*

Tu napis się gwałtownie urywał, mimo to emanowała z niego jakaś złowroga siła; widać było, że ktoś ze złością czy gniewem mocno przyciskał stalówkę, aż w części napisu zrobiła ona głębokie wyżłobienia, by na końcu rozedrzeć gruby papier ryciny. Jezierskiemu na moment ścierpła skóra, ale szybko się opanował. Ciekawe, co to znaczy, zastanowił się, czując teraz przebiegający po plecach dreszcz podniecenia. Coś dzisiaj za dużo tych masonów. Za dużo przypadków. A on nie wierzył w przypadki. Postanowił jak najszybciej wybadać radcę Garszyńskiego, po czym pobieżnie obejrzał pozostałe litografie: znów pałac gubernatora, teatr z 1835 roku i fabryka Repphana. Właśnie gdy kończył, rozległo się pukanie do drzwi.

Jezierski złożył litografie, wsunął je do koperty, którą postanowił zabrać ze sobą, i odszedł od pulpitu. Dopiero gdy znalazł się przy jednym ze stoliczków, zawołał:

– Wejść!

Do gabinetu weszła pokojówka z zaczerwienionymi oczami i dygnawszy z wdziękiem, postawiła przed radcą tacę, na której apetycznie parował porcelanowy dzbanek świeżo zaparzonej kawy, a obok stały dwie filiżanki, srebrna cukiernica i talerz z kanapkami. Dziewczyna dygnęła raz jeszcze i wybąkała, że przyszli właśnie „panowie policjanci”. Radca podziękował jej uprzejmie za poczęstunek i powiedział, żeby wprowadziła tu jego ludzi. Spytał też o młodego Poraja, który, jak się okazało, rezydował w kuchni, gdzie spisywał zeznania służby. Uznawszy, że w takim razie młodzieniec raczej nie głoduje, sam nalał sobie kawy i zabrał się do kanapek.

## Rozdział 4

Powstały prawdopodobnie w 1462 roku szpital św. Trójcy miał długą historię. Wybudowano go na gruntach kanoników regularnych laterańskich, których do Kalisza sprowadził w 1358 roku Kazimierz Wielki i oddał im w zarząd kościół parafialny pw. św. Mikołaja. Był to szpital pełniący jednocześnie funkcję przytułku, a opiekę nad nim sprawowały władze miejskie. Niestety, miały niewielkie fundusze, więc nie można było go rozbudować i chorzy, czy raczej rezydenci, musieli utrzymywać się z jałmużny, a szpital przez wieki balansował na granicy ubóstwa.

Dopiero październik 1836 roku przyniósł zapowiedź dużych zmian. Wtedy to Rada Opiekuńcza szpitala przy Komisji Wojewódzkiej zdecydowała się na budowę nowych gmachów szpitalnych. Projekt sporządził w 1839 roku sam Henryk Marconi, stołeczny architekt pochodzenia włoskiego. Szpital był jak na owe czasy bardzo nowoczesny, a duża liczba pomieszczeń umożliwiała rozdzielenie chorych według płci i rodzaju chorób. Pracowało w nim czterech lekarzy stałych, co pozwoliło na utworzenie specjalizacji. Był więc „oddział” chirurgiczny, chorób wewnętrznych, nerwowych i wenerycznych oraz akuszeria. Oprócz tego pracowali tam też lekarze dochodzący, a studenci medycyny odbywali praktyki. Przy szpitalu istniało również laboratorium chemiczno-bakteriologiczne. Dzięki temu szpital św. Trójcy należał do wyróżniających się w Królestwie Polskim.

W tym właśnie szpitalu Zaif wynajął niedawno za własne pieniądze spore pomieszczenie tuż obok lodowni do przechowywania zwłok, zanim wydano je rodzinie zmarłego, w którym urządził swoje laboratorium. Bardzo nowoczesne, co nie wszystkim kolegom po fachu było w smak. Wielu z dezaprobatą potrząsało głowami i wciąż napomykało o „Żydach, co się dorobili na lichwie”, „bezczelnych młodzikach, myślących, że wszystkie rozумы zjedli” lub – w najlepszym przypadku – o „nadmiernej wierze w nowomodne wynalazki i teorie”. Mimo tej niechęci lekarze

zazdrościli Zaifowi wyposażenia laboratorium. Także pan Prusinowski był pod wrażeniem, gdy je obejrzał miesiąc czy dwa temu, ale on zawsze odnosił się do młodego medyka z sympatią. Co prawda wyraził wątpliwość, czy taki sprzęt będzie w pełni wykorzystany w miasteczku tak sennym jak Kalisz, ale Zaif zapewnił go, że ma zamiar pracować przede wszystkim naukowo. Uznał jednak, że przedtem potrzebna mu jest również praktyka, dlatego zatrudnił się w szpitalu jako wolontariusz, a przed sześcioma miesiącami otworzył prywatny gabinet.

Póki co jednak nie miał wielu pacjentów i nie cierpiał na nadmiar pracy. Na swoje szczęście był całkowicie niezależny finansowo, gdyż przed dwoma laty odziedziczył duży majątek swego stryja, bogatego przemysłowca bezpotomnie zmarłego w Niemczech. Ale nawet gdyby stryj nic mu nie zostawił, Zaif nie cierpiałby biedy, ponieważ jego ojciec był zamożnym bankierem, znanym w całej guberni z uczciwości, mimo żydowskich korzeni. Już samo to wystarczało, by niejeden czuł do młodego medyka niechęć, choć nikt nie wyrażał tego otwarcie, bowiem „stary Zaif” cieszył się powszechnym szacunkiem, szczególnie u starszych obywateli i władz miasta.

Lecz teraz doktor właśnie ocierał z potu twarz. Był zmęczony po kilku godzinach spędzonych na autopsji nieszczęsnego pomocnika aptekarza Prusinowskiego. Nie chcąc narażać się na uszczyplive lub pełne wyższości i złośliwości komentarze kolegów po fachu, postanowił przeprowadzać sekcje zwłok w swoim laboratorium, a nie w sali należącej do szpitala. Niestety, pomieszczenie, choć bardzo nowoczesne, nie było przystosowane do takiej działalności, zatem Zaif nie dysponował jeszcze nowoczesnymi narzędziami. Miał tylko to, co udało mu się naprędce zdobyć, gdyż nowy sprzęt zamierzał dopiero zamówić. Używanie starych, wysłużonych narzędzi było bardzo męczące, mimo to doktor nie skarżył się, bo wszystkie te niedogodności rekompensował mu komfort samodzielnej pracy, bez wścibskich spojrzeń i niespodziewanych „wizyt” w trakcie sekcji.

Odgarnął włosy i znów otarł zroszone potem czoło. Oględziny zwłok Żebrowskiego potwierdziły jego poprzednie przypuszczenia. Podstawa czaszki była niemal zgruchotana, nastąpiło przerwanie rdzenia kręgowego



i niemal natychmiastowa śmierć. Na skutek upadku z dużej wysokości kości rąk i nóg były połamane, niektóre narządy popękały, lecz nie wystąpiło wewnętrzne krwawienie, co oznaczało, że mężczyzna nie żył już, kiedy go zrzucano z wieży kościelnej. Zaif sporządził notatki i poprosił młodego praktykanta o napisanie na ich podstawie raportu dla policji.

Praktykant, znany światu pod imieniem i nazwiskiem Stanisława Małyszki, był młodym, chudym jak szczapa synem chłopa, który tak łaknął wiedzy, że mimo naprawdę wielu przeciwności losu i srogiego ojca, został w końcu studentem medycyny. Co prawda niemal zagłodzonym i tak lichy odzianym, że niejeden kaliski żebrak prezentował się lepiej, ale wciąż pełnym zapału do nauki i pracy. Jednak dopiero przy doktorze Zaifie odżył i poczuł, że może coś osiągnąć, dlatego z ochotą zajął się sporządzaniem raportu.

Kiedy doktor kończył oględziny zwłok Żebrowskiego, stary Maciąg przywiózł swoją furmanką ciało pani Radziejowskiej. Często najmował się do tego typu przewozów, gdy przedsiębiorcy pogrzebowi byli akurat zbyt zajęci lub im się po prostu nie chciało. Zazwyczaj to drugie. Przedsiębiorca wolał jechać do domu nieboszczyka i od razu brać rozmiar na trumnę, a nie wozić ciało do szpitala lub do Prusinowskiego na sekcję. Dlatego ofiary „gwałtownych” zgonów zwykle dostawały się Maciągowi. Przedsiębiorcy zajmowali się nimi dopiero, gdy rodzina odebrała już ciało.

Na szczęście dla przedsiębiorstw pogrzebowych i zakładów kamieniarskich w Kaliszu gwałtowne zgony zdarzały się niezmiernie rzadko, za to naturalne zejścia następowały dość regularnie. Toteż interes kwitł aż miło. Na przykład tak bardzo zwiększyło się zapotrzebowanie na pomniki nagrobne, że jak grzyby po deszczu zaczęły się pojawiać zakłady kamieniarskie wyspecjalizowane w rzeźbie nagrobkowej, zajmując miejsce indywidualnego kamieniarza czy niewielkiego zakładu. Nagrobki, trumny i odzież pochówkowa stały się takim samym towarem jak wszystko inne. Pierwszą firmą tego typu był powstały w 1887 roku zakład Karola Gintera, który w prasie reklamował się, że: „Przyjmuje wszystkiego rodzaju obstalunki, jako to na pomniki, figury, groby, kaplice, ołtarze (...) roboty metalowe, stoły, bufety (...) po cenach nader

przystępnych”<sup>15</sup>.

Stary Maciąg wraz z pomocnikiem lekarza wyładował zwłoki i umieścił je na stole z metalowym blatem. Nie odzywając się słowem, przyjął hojną zapłatę (drugą, bo pierwszą dostał od policjantów, do czego się, rzecz jasna, nie przyznał), skłonił z szacunkiem i wyszedł.

Stach Małyszko stanął przy stole sekcyjnym, z zaciekawieniem przyglądając się ciału. Mimo że zawsze z zapałem wykonywał polecenia Zaifa, tym razem trochę marudził z powrotem do papierkowej roboty. Bardzo chciał wziąć udział w sekcji, bo młody doktor robił to dużo dokładniej i ciekawiej niż inni lekarze. Staś wiedział, że Zaif jest Żydem i niezbyt go lubią w środowisku lekarskim, sam jednak kochał go i szanował. Ten pogardzany przez wielu „żydowski doktor” bardzo dyskretnie, by nie urazić dumy młodzieńca, wspomagał go finansowo. Poza tym był życzliwy, nie dawał odczuć swojej wyższości i zawsze, w przeciwieństwie do innych dyplomowanych lekarzy, udzielał mu odpowiedzi, wyjaśnień i rad. Teraz też poprosił go, by po skończeniu raportu był tak łaskaw (on, student!) i przyniósł im coś do jedzenia, bo ma dziś dużo pilnej pracy. Tak więc nie dość, że Staś Małyszko zje dziś pierwszy od trzech dni porządny posiłek, to jeszcze pan Zaif na pewno każe mu zatrzymać resztę, a zawsze była to suma niebagatelna dla Staszka, wystarczająca przy oszczędnym gospodarowaniu na trzy posiłki dziennie przez co najmniej tydzień... Tu student oderwał się od marzeń i rzucił się podnosić metalowe pudełko na narzędzia chirurgiczne, które z hałasem spadło na podłogę.

– Dziękuję ci, Stasiu – powiedział Zaif z uśmiechem. – Tak się zamyśliłem, że niechcący je strąciłem. Skończ szybko raport, bo kiszki marsza mi grają.

Staś, któremu kiszki już dawno przestały grać, bo niemal przyschły do krzyża, mężnie odłożył na bok własne potrzeby.

– Czy nie mógłbym panu asystować, doktorze? – zapytał nieśmiało. – Byłoby szybciej, gdyby ktoś panu podawał narzędzia...

– Ma być dokładnie, a nie szybciej, Stasiu – powiedział surowo, lecz z uśmiechem lekarz. – Ale to prawda, że twoja pomoc usprawniłaby pracę. Widzisz jednak, nowy szef policji, agent do specjalnych poruczeń

naszego gubernatora w randze radcy stanu, bardzo czeka na ten raport. To naprawdę ważna sprawa. Ale oczywiście, jeśli wszystko szybko skończysz, to możesz mi pomóc, choć nadal uważam, że powinieneś najpierw zaopatrzyć nas w coś do jedzenia.

Funkcja i ranga nowego szefa policji zrobiły należyte wrażenie na Stasiu, ale w najmniejszym stopniu nie wpłynęły na lojalne i pełne uwielbienia oddanie dla Zaifa. Wciąż uważał, że to doktor ma przed wszystkimi pierwszeństwo i prędeej kazałby czekać samemu gubernatorowi, niż spóźnić się z wykonaniem polecenia medyka. Właśnie z tego tylko powodu zgodził się wrócić do raportu, który jego prywatnym zdaniem spokojnie mógł poczekać na drugą, a nawet jeszcze dalszą kolej.

Podczas gdy uradowany perspektywą pomocy przy sekcji student mozolił się nad papierami, zerkając co i rusz z respektem i niemym uwielbieniem na swojego mentora, ten bynajmniej nie czuł się taki pewny siebie. Przed młodym doktorem stało bowiem teraz trudniejsze niż dotychczas zadanie: miał nie tylko stwierdzić, czy pani Radziejowska została otruta, ale jeszcze tak to udowodnić, by agent do specjalnych poruczeń Jezierski mógł potem ewentualnego mordercę postawić przed sądem i doprowadzić do skazania. Lekarz skończył zewnętrzne oględziny zwłok, notując wszelkie spostrzeżenia, potem rozciął ciało i rozpoczął wstępne badanie.

Zaif jeszcze w mieszkaniu wdowy wykluczył użycie którejś z trucizn zrączych, bo objawy byłyby zupełnie inne. Teraz na wszelki wypadek zamierzał przeprowadzić pełną sekcję zwłok, by wykluczyć wewnętrzne obrażenia, jak na przykład perforację żołądka. Ale na pierwszy rzut oka wszystkie narządy zmarłej, w tym także serce, wydawały się zdrowe, choć pamiętał z relacji Wilczewskiego, że serce wdowy przed jej zgonem dziwnie się zachowywało. Wykluczył też możliwość, by kobieta zmarła na cholere, która mogła dawać podobne objawy, w tym wymioty. W końcu zostawił ciało i przeszedł do sprawdzania, czy nie posłużono się arsenem, antymonem czy też inną trucizną metaliczną lub mineralną. Niestety, czas płynął, a wszelkie zastosowane przez niego metody wykrywania dawały wynik ujemny.

Na tym etapie pracy zastał go Jezierski, który po dwóch dniach

daremneho oczekiwania na wieści, odwiedził młodego lekarza. Zastał go pośród dymiących retort i szklanych słoików pełnych różnobarwnych cieczy i dziwnych substancji o tajemniczym przeznaczeniu.

– Ależ ma pan tu prawdziwą pracownię alchemiczną! – wykrzyknął w zdumieniu, oglądając zupełnie mu nieznane przyrządy i instrumenty medyczne. – Czy zajmuje się pan również przemianą zwykłych metali w złoto, czy też wyrabia może eliksir młodości? – zażartował.

– Nic z tych rzeczy – zaśmiał się Zaif, przecierając spoconą twarz i zmęczone oczy.

Jeziński przeszedł w głąb obszernej sali, gdzie młody medyk wygospodarował miejsce na metalowy stół. Jego oczom ukazał się budzący dreszcz grozy widok porozkładanych tam rozmaitych narzędzi, niektórych wyraźnie nadgryzionych zębem czasu. Oto szczyrzyła się do niego w upiornym uśmiechu nieco wyszczerbiona piła tarczowa Graefego stosowana w operacji usunięcia fragmentu zuchwy, rozwieracz laryngologiczny zdawał się mrugać porozumiewawczo, jakby zapraszając go do współpracy. Kleszcze litotomiczne do chwytania małych kamieni pęcherzowych, narzędzia do wyrywania zębów i gilotyna do usuwania migdałków starały się ze wszystkich sił wyglądać zachęcająco i niegroźnie, aczkolwiek nożyczki jelitowe Dupuytrena dawno dały sobie z tym spokój. Jeszcze bardziej przerażająco prezentowała się wiertarka ręczna z wymiennymi ostrzami do trepanacji czaszki. Podobnie jak instrumenty położnicze z kutego żelaza i łańcuchowa piła amputacyjna używana do przecinania kości udowej. Szpryca, czyli strzykawka służąca do przepłukiwania ran, wyglądała przy nich zupełnie niewinnie.

Twarc agenta mocno przybladła. Nawet nie zauważył, jak bardzo zaschło mu w gardle. Z trudem przełknął ślinę, chrząknął i z wysiłkiem poprawił sobie krawat pod szyją, jakby przeszkadzał mu w oddychaniu.

– Czy to sala tortur? – zażartował, zdobywając się na słaby uśmiech, by ocalić resztki honoru i nie okazać większej słabości.

– Ach nie! – roześmiał się swobodnie medyk, rzuciwszy okiem na instrumenty. – To poniekąd antyki, okazy kolekcjonerskie, przynajmniej niektóre z nich. Niedługo jednak przyślą mi nowe narzędzia, które nie będą wyglądały tak archaicznie.

– To świetnie – odparł zdawkowo agent, całkowicie pewien, że nawet najnowsze narzędzia nie wzbudzą w nim entuzjazmu, bo będą równie – albo i bardziej – przerażające. Wystarczy sobie wyobrazić ich wypolerowany, morderczy błysk!...

Wzdrygnął się nerwowo i szybko odwrócił wzrok. Wrócił do „bezpieczniejszej” części pomieszczenia, gdzie królowały tajemnicze retorty i próbówki. Podobało mu się tu znacznie bardziej niż w kąci z narzędziami tortur.

– Nad czym pan teraz pracuje? Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– Niespecjalnie. I tak muszę chwilę odsapnąć i pomyśleć. Sprawdzam, czym otruto Radziejowską, ale to trudne zadanie. Zrobiłem wyciągi z narządów zmarłej oraz jej wymiocin, ale na razie wiem tylko tyle, że nie użyto żadnej z trucizn metalicznych czy mineralnych, takich jak arszenik. Właściwie jestem niemal pewien, że mamy do czynienia z trucizną pochodzenia roślinnego, ale zbadłem wyciągi metodą Stasa<sup>16</sup> i nic.

– Cóż to za metoda? Jakaś nowa?

– Skądże, jest dobrze znana w całej zachodniej Europie, a i u nas posługują się nią odcytani lekarze i naukowcy. Stas odkrył, że wszystkie trucizny roślinne zachowujące się jak substancje zasadowe rozpuszczają się w wodzie i w alkoholu. Natomiast składniki ludzkiego organizmu, jak białka czy tłuszcze, zawartość żołądka, jelit i tym podobne, nie rozpuszczają się ani w jednym, ani w drugim...

– A w jednym i drugim razem? – przerwał mu Jezierski z chytrym uśmiechem.

– Ani w obydwu razem. – Zaif ani mrugnął okiem na podstępne pytanie agenta. – Dlatego podejrzewając zatrucie, można przeprowadzić odpowiednie badania. Nie wiem, czy panu tłumaczyć takie szczegóły, ludzie o wrażliwym żołądku mogą mieć kłopoty...

Zaif spojrzał pytająco na Jezierskiego, zauważył bowiem, jak agent pobladał na widok starych narzędzi chirurgicznych, choć nie dał po sobie nic poznać.

– Wal pan śmiało – Jezierski odzyskał już pewność siebie. – Taki wrażliwy to ja znowu nie jestem. A nauczyć się czegoś zawsze warto. Kto wie, może kiedyś dzięki temu uda mi się sprawdzić jakiegoś innego

doktora, czy prawidłowo badał ciało nieboszczyka wyprawionego na tamten świat za pomocą trucizny.

– Jak pan chce. Otóż po uprzednim rozdrobnieniu na papkę należy narządy lub ich zawartość, którą my lekarze nazywamy treścią, zmieszać z dużą ilością alkoholu z dodatkiem kwasu. Zakwaszony alkohol wnika bowiem w masę badanej substancji, wydzielając i wiążąc ze sobą trucizny zasadowe, czyli alkaloidy. Potem nasyconą alkoholem papkę przenosi się na sączek, gdzie pozostają wszystkie składniki tkanek nierozpuszczalnych w alkoholu. Czynność tę należy powtarzać dotąd, aż alkohol po odsączeniu pozostanie zupełnie czysty. Wtedy można mieć pewność, że większość trujących alkaloidów przeszła z papki organicznej do alkoholu. Wówczas należy ów przesącz alkoholowy podgrzewać, odparowując do gęstości syropu, syrop zalać wodą i znów wielokrotnie przesączyć, odparować, znów zalać alkoholem i wodą, odparować...

– Ale po co tyle razy to powtarzać? – zdziwił się radca stanu. – Na początku rozumiem, ale dlaczego pod koniec trzeba w kółko zalewać i odparowywać?

– Robi się tak, by pozbyć się zanieczyszczeń i otrzymać jak najczystszy roztwór poszukiwanej trucizny, wtedy łatwiej ją zidentyfikować. To ma ogromne znaczenie, zwłaszcza w sytuacji, gdy bada się ekshumowane ciało, w którym część trucizny mogła już ulec rozpadowi.

– Teraz rozumiem. Ale pan, doktorze, powinien zostać wykładowcą, dobrze pan tłumaczy – pochwalił Jeziński, uśmiechając się pod nosem na widok Stasia Małyszki gorliwie potakującego głową w swoim kącie. Zaif tylko wzruszył ramionami i kontynuował wykład.

– Taki roztwór jest nadal kwaśny, bo jak pan pamięta, na początku dodaje się kwasu, żeby alkohol łatwiej wnikał w badaną papkę.

Jeziński kiwnął głową.

– Trzeba zatem dodać do niego substancji zasadowej, czyli inaczej alkalizującej, jak choćby ług sodowy albo potasowy, która uwolni z roztworu alkaloidy. Potem trzeba oddzielić uwolnione alkaloidy z tego zasadowego roztworu za pomocą rozpuszczalnika, który by się okresowo łączył z wodą w emulsję, a po odstaniu znowu od niej oddzielał. Genialny Stas posłużył się eterem, który jest lżejszy od wody, łatwo paruje i jak pan

wie, świetnie sprawdza się podczas operacji jako narkoza. Odsączając eter lub odparowując go na miseczce, uzyskujemy w końcu sam alkaloid, którego szukamy. Potem pozostaje już tylko użyć odpowiednich odczynników, aby doprowadzić do określonych reakcji barwnych, które wskazują, jakiej trucizny użyto. Zostały one całkiem dokładnie opisane i skatalogowane dzięki innym chemikom, którzy stale uzupełniają i ulepszają metodę Stasa. Na szczęście świat nauki szybko dzieli się swoimi odkryciami, więc jeśli ktoś zada sobie trochę trudu, może być na bieżąco z nowinkami.

– Ale jest pan pewien, że to było otrucie? – upewnił się Jezierski, ukradkiem ocierając pot z czoła po przydługim wykładzie, który – jak agent zauważył – Małyszko skrupulatnie notował.

– Całkowicie. Jeszcze wczoraj w nocy wprowadziłem do krwiobiegu psa wyciąg z narządów zmarłej i pies ciężko się rozchorował, ale nie zmarł. Proszę się nie obawiać! – zawołał, widząc wyraz twarzy Jezierskiego. – Sam wiem, że każdy adwokat od razu stwierdzi, że w takim razie wdowa też nie mogła umrzeć. To samo więc zrobiłem z wyciągiem z wymiocin, które przecież powstały, gdy pani Radziejowska jeszcze żyła. Po dwunastu godzinach pies zdechł. Kobietę na pewno otruto, tylko nadal nie wiem czym.

– Może nie da się wykryć tej substancji? – zaniepokoił się Jezierski. – Przecież na pewno jest wiele jeszcze rzeczy, których naukowcy nie odkryli, są więc i trucizny, które nie zostawiają śladów w ciele.

– Oczywiście, nauka wciąż się rozwija i doskonali. Choć moim zdaniem zawsze zostają jakieś ślady, tylko my nie umiemy jeszcze wszystkich rozpoznać. Gdybym wiedział, kto ją otruł, to można by sprawdzić, czy trzymał jakieś trucizny w domu. Wtedy miałbym od czego zacząć, zamiast szukać w ciemno igły w stogu siana!

– A co pan na to, że otruł ją ten pomocnik aptekarza, ten, jak mu tam, Żebrowski? Mielibyśmy jakiś związek między tymi dwoma zgonami.

– Obawiam się, że to mogą być tylko pańskie pobożne życzenia, ale od czegoś trzeba zacząć. pomocnik aptekarza z pewnością miał dostęp do wielu trucizn, które w niewielkiej ilości stanowią znakomite lekarstwo.

– I tu pana zaskoczę. Otóż może i nie są to tylko moje pobożne

zyczenia. Kiedy pan tu siedział i eksperymentował, ja i moi ludzie przesłuchaliśmy wszystkich, którzy choćby trochę znali wdowę lub mieli z nią jakiś inny związek. Tak samo zrobiliśmy w przypadku Żebrowskiego. Przejrzeliśmy też wszystkie papiery, jakie zdołaliśmy u nich znaleźć. I na coś natrafiliśmy.

Tu agent zrobił pauzę dla zwiększenia efektu i Zaif po raz pierwszy okazał jakieś emocje: był najwyraźniej zaintrygowany.

– Niechże pan mówi, zamiast mnie trzymać w niepewności!

Jeziernski uśmiechnął się.

– Kilka przyjaciółek pani Radziejowskiej przypomniało sobie, że w ostatnim miesiącu wdowę kilkakrotnie odwiedzał Żebrowski, przynosząc jakieś lekarstwa sporządzone specjalnie dla niej. Podobno zlecił je jakiś sławny niemiecki lekarz, który przebywał niedawno z wizytą pod Kaliszem u dalszej rodziny. Wdowa poznała go, bo to jacyś jej dobrzy znajomi, a ona chciała koniecznie poznać tę sławę medycyny, więc ją zaprosili. Podobno nawet się polubili, bo lekarz przepisał wdowie jakąś miksturę wzmacniającą.

– Znalazł pan receptę?

– Niestety nie. Żadnej recepty na nazwisko wdowy. Ale Żebrowski mógł ją usunąć albo...

– Tak?

– Albo był współnikiem tego tajemniczego lekarza i wiedział, że daje wdowie truciznę! Wtedy nie zawracaliby sobie głowy żadną receptą.

Zaif pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Recepta musi być, choćby fałszywa. Inaczej wzbudziłoby to podejrzenia. Potem niewygodny świstek można usunąć, ale jestem pewien, że wdowa otrzymała przepis na receptę. A co z tym lekarzem?

– Nic. Przepadł jak kamień w wodę, a rzekoma rodzina nigdy wcześniej go nie widziała. Przyjechał z listem polecającym, ale okazało się, że list został zręcznie sfalszowany, tak jak i podpis brata pana domu mieszkającego na stałe w Berlinie. Ów pan kategorycznie wyparł się znajomości z jakimś Hansem Hertzem i stwierdził, że nigdy nie słyszał o takim lekarzu ani żadnego listu do rodziny pod Kaliszem nie pisał.

– A sprawdziliście nazwisko lekarza w Berlinie?



– Za kogo pan mnie ma? To zrobiliśmy od razu, gdy się okazało, że doktor Hertz naprawdę może być kimś innym.

– I co?

– Nic. Nie ma lekarza o takim imieniu i nazwisku. Było fałszywe. To daje do myślenia, nieprawdaż?

– Istotnie. To zmienia postać rzeczy. Pozostaje nam tylko jedno. Musi pan dostarczyć mi od pana Prusinowskiego próbki wszystkich trucizn, do jakich mógł mieć dostęp Żebrowski. Bo jeśli to on pomógł w otruciu wdowy, to nic dziwnego, że potem ktoś pozbył się tak niewygodnego świadka!

– A co z tym świętej pamięci księgarzem, o którym pan wspominał w mieszkaniu wdowy?

– Jakim księgarzem?

– Tym, który mógł zostać otruty. Może warto sprawdzić i ten trop?

– Pewnie, choć przypomniałem sobie, że to nie księgarz, tylko właściciel mieszczącego się obok cerkwi<sup>17</sup> sklepu z bardzo różnorodnym towarem. W jego sklepie można kupić prawie wszystko – od albumów fotograficznych, poprzez lampy i kandelabry, aż po szkatułki z pozytywkami. Są tam i inne nowości: mydło w kartkach<sup>18</sup> i „talerzyk do trucia much”.

– Ach, już wiem, który to sklep! Rzeczywiście, trudno stamtąd wyjść! Na początku mojego pobytu w Kaliszu nie miałem nic do roboty, więc często tam zaglądałem, wychodząc z cerkwi. Zdaje się, że poznałem właściciela... Hm, chyba ma pan rację. Od jakiegoś czasu sklep prowadzi ktoś inny, ale nawet nie przypuszczałem, że właścicielowi się zmarło! Ten sklepikarz nazywał się Lubelski, tak?

– Tak. Chyba Jan mu było na imię. Przypominam jednak panu, że ten zgon nie musi mieć związku z prowadzonym przez pana śledztwem. Mógł go otruć ktoś z rodziny, jakiś rywal w miłości czy ktokolwiek inny, kto czuł do niego urazę.

– Ale sprawdzić nie zawadzi, prawda? Co trzeba zrobić?

Zaif się zastanowił.

– Nigdy jeszcze nie przeprowadzałem ekshumacji, ale myślę, że

powinien pan uzyskać zgodę rodziny, choć nie jestem pewien. Na pewno jest potrzebna zgoda jakiegoś urzędnika gubernialnego. Może to podlegać inspektorowi lekarskiemu, a może zajmuje się tym Referat Ogólny lub Wydział Lekarski<sup>19</sup>. Na pewno pan sam lepiej się zorientuje, jak to załatwić. Proszę mi oszczędzić formalności biurokratycznych, w zamian za to chętnie pomogę przy samej ekshumacji i zajmę się sekcją.

– Zaraz zagonię ludzi do roboty, a pan niech się prześpi – agent spojrział z troską na przekrwione oczy medyka i sine cienie pod nimi. – Jest pan tak zmęczony, że przez nieuwagę jeszcze sam pan sobie robi krzywdę wśród tego szkła i żelastwa.

Nie wiadomo, czy medyk wziął sobie do serca słowa Jezierskiego i spał tej nocy, ale nazajutrz jak nowy przystąpił do syzyfowej pracy badania ogromnej ilości próbek dostarczonych przez policjantów z apteki pana Prusinowskiego. Szybko jednak doszedł do wniosku, że powinien zacząć od tych środków, których działanie było podobne do objawów, jakie wystąpiły u wdowy. Postanowił więc najpierw posegregować dostarczone mu próbki i badać je systematycznie.

Małyszko w lot pojął, o co chodzi doktorowi, więc bez słowa zaczął mu pomagać. Czuł się wspaniale, mógł góry przenosić, zjadł bowiem wczoraj późny obiad i jeszcze późniejszą kolację, a rano ogromne śniadanie. Pokrzepione ciało od razu zyskało lotnego ducha, choć doktor go przestrzegł, że czeka ich dużo zmudnej pracy. Jemu tam wszystko się podobało, cokolwiek by Zaif nie zarządził.

Na tej czynności zastał ich posłaniec od Jezierskiego, który przyniósł niedużą paczuszkę wraz z listem od przełożonego i zaraz zniknął. Zaif miał litość dla zwykle cichego i nienarzucającego się Małyszki, więc przeczytał list na głos:

– *Wielce szanowny... – pomińmy te wstępy – ...przesyłam panu dwa listy od pani Radziejowskiej, które znaleźliśmy u nieboszczyka Żebrowskiego. Myślę, że mogą się panu przydać, bo wdowa wspomina w jednym z nich o pewnej substancji, jaką zażyła z porady znajomych, by się „podniecić”. W drugim prosi go o dostarczenie większej ilości jakiegoś leku, który jej bardzo pomaga. Ponadto niedługo zawiadomię pana o dokładnym terminie ekshumacji, do której będzie można*

przystąpić prawdopodobnie za tydzień lub dwa. Tym razem to nie wina biurokracji rządowej, przetrzymującej każde pismo, tylko przepisy tak nakazują...

Zaif złożył list i uśmiechnął się do pomocnika.

– No, Stasiu – zawołał radośnie. – Dawaj te listy wdowy. Jest nadzieja, że uda się nam uniknąć tej żmudnej pracy, która by nas tu uwięziła na kilka tygodni. Zwłaszcza że, jak sam słyszałeś, szykuje się nam ekshumacja...

– A to ci cyrk będzie! – wykrzyknął podekscytowany Staś.

– Nie wypada, Stachu, tak mówić. Trzeba mieć szacunek dla szczątków ludzkich – łagodnie upomniął studenta Zaif.

– Ale ja mam szacunek, panie doktorze! – zapewnił gorąco chłopak, bijąc się mocno w piersi dla podkreślenia swej szczerości. – Naprawdę! Chodziło mi tylko o to, że nie co dzień się trafia taka... niecodzienna sekcja...

– Wystarczy gadania. Do roboty, Stasiu.

Małyszko otworzył pakiet dostarczony przez posłańca i wyjął z niego dwa nieco zmięte listy. Zaif otworzył pierwszy i szybko przebiegł oczyma tekst, po czym z niezadowoloną miną rzucił papier na stół. Staś natychmiast podał mu drugi list i już po chwili z ust młodego medyka wyrwał się okrzyk.

– Dygitalina! Słyszysz Stasiu? To może być właśnie to!

– A co to jest, panie doktorze?

– To wyciąg z płatków czerwonej naparstnicy, *Digitalis purpurea*. Jej lecznicze działanie zostało odkryte już dawno temu, zdaje się w 1775 roku. Dokonał tego wiejski lekarz z Anglii, nazywał się chyba William Withering. Miał pacjenta z zatrzymaniem się płynów w organizmie w związku z niewydolnością serca, któremu nie dawał szans na przeżycie. Tymczasem wyleczyła go zielarka, wykorzystując zioła zbierane w okolicy, w której mieszkała. Withering przejrzał jej torbę i wśród zwykłych chwastów znalazł naparstnicę purpurową. Zbadał ją szczegółowo i ustalił, że jest ona także śmiertelną trucizną, potrafi więc zarówno leczyć, jak i zabijać. Po serii eksperymentów dla ustalenia właściwych dawek nowego leku w 1785 roku opublikował pracę, w której poinformował środowisko

lekarskie o swoim odkryciu i obecnie dokument ten należy do klasyki literatury medycznej. Cały czas napar z tej rośliny stosuje się też w leczeniu nerwic. W składzie chemicznym wyciągu przeważają liczne toksyny, glikozydy: digitoksyna, digitalina i inne oraz saponiny i flawonoidy. Już niewielkie ilości glikozydów mają silne właściwości trujące. Groźna w skutkach może być dawka 1–2 gramów wysuszonych liści, dlatego z tą rośliną trzeba bardzo uważać.

– A objawy zatrucia pasują do tych, które widział pan u wdowy?

– U wdowy nic nie widziałem, bo była już martwa, kiedy tam przyszedłem. Na szczęście doktor Wilczewski dokładnie wszystko nam zrelacjonował, a na miejscu mogłem obejrzeć skutki zatrucia. Ale tak, objawy zatrucia dygitaliną pasują do przypadku pani Radziejowskiej. Po zażyciu większej dawki obserwuje się początkowo stany podniecenia, niepokój, a potem wymioty, osłabienie mięśni i – rzecz bardzo charakterystyczna – nieregularność pracy serca. W końcu następuje bezwład mięśnia sercowego i śmierć. No to do roboty, Stasiu, musimy szybko sprawdzić, czy nasza teoria jest prawdziwa.

We dwóch rażno uporali się tego dnia z całym pracochłonnym procesem oczyszczania treści żołądka i wymiocin nieboszczki wdowy, których część Zaif przezornie zachował do dalszych badań. Wreszcie mogli przystąpić do zaprawienia uzyskanego alkaloidu odpowiednimi odczynnikami, by sprawdzić, czy wyizolowaną trucizną okaże się dygitalina. Potem na wszelki wypadek przeprowadzili jeszcze kilka testów na żabach i psach, by sprawdzić, czy objawy po zatruciu będą takie same jak u wdowy. Nad ranem Stach skończył pisanie raportu i Zaif odwiózł go swoim powozem na wynajmowaną przez studenta stancję (czyli norę na nieogrzewanym strychu) i na pożegnanie wcisnął w dłoń chłopaka garść rubli. Potem wrócił do siebie. Każdy z nich zdążył się tylko rozebrać i paść na łóżko, zasypiając, nim głowa zdążyła dotknąć poduszki.

## Rozdział 5

Nazajutrz około południa Zaif zjawił się u agenta Jezierskiego, który miał swój gabinet w pałacu gubernatora. Młody doktor, zmęczony, z podkrążonymi oczyma, ale wyraźnie zadowolony, rażno tam wkroczył, wymachując niedbale laseczką. Radca stanu usadowił gościa wygodnie w wielkim fotelu obitym jedwabiem, zamówił u służącego dużo mocnej i gorącej kawy, a dla siebie herbatę i dopiero wtedy przystąpił do rzeczy.

– Ma pan taką minę doktorze, że ośmielam się mieć nadzieję na dobre wieści – zagaił.

– I słusznie. Wiem już z całą pewnością, że pani Radziejowska została otruta dygitaliną. Teraz do pana należy wyjaśnienie, czy otruła się sama, na skutek nieuwagi, czy też ktoś maczał w tym palce.

– To mi się nie uda bez pana pomocy. Zbadał pan lekarstwa wdowy? Czy któryś lek zawierał dużą dawkę tej trucizny?

Zaif uśmiechnął się szeroko.

– Trafił pan w dziesiątkę, panie agencie do specjalnych poruczeń. Jedna z butelek zawierała resztkę nieopisanego lekarstwa, które ktoś zaprawił kilkoma gramami tej substancji. To bardzo duża dawka. Nie sądzę, żeby to zrobiła sama wdowa, bo przecież nie miała pojęcia o farmakologii. Poza tym nie miała dostępu do czystej dygitaliny. Do sporządzenia jej lekarstwa, chociaż to nie był lek w ścisłym tego słowa znaczeniu, tylko popularna mikstura wzmacniająca, na pewno była potrzebna wiedza farmaceutyczna. Mogę też pana zapewnić, że normalnie w skład takiej mikstury absolutnie nie wchodzi dygitalina ani żadna inna trucizna, choć do niedawna przyrządzano leki z dodatkiem arszeniku, jak choćby roztwór Fowlera stosowany w chorobach skóry.

– Ale z listów do Żebrowskiego wynika, że wdowa samowolnie zażywała jakiś specyfik – zafrasował się Jezierski. – Chyba właśnie dygitalinę.

– Cóż, osobiście myślę, że Żebrowski lub ktoś inny, na przykład ten rzekomy lekarz z Berlina, namówił wdowę do napisania takiego listu,

który w razie kłopotów mógłby stanowić znakomitą zasłonę dymną dla mordercy. Miał stanowić dowód, że wdowa sama lekkomyślnie przedawkowała dygitalinę. Nawet gdyby tak było, to pozostaje pytanie, skąd ją wzięła? Przecież nie wierzy pan chyba, że wystarczy zamówić u aptekarza lub jego pomocnika każdą substancję, jaką się chce! A tym bardziej coś, co nawet w niewielkiej dawce jest silnie trujące! Jak pan pamięta, wdowa w liście napisała, że „z porady znajomych zażyłam niewielką dawkę pewnej substancji, aby się podniecić. Wspaniałe uczucie” i coś tam dalej w tym stylu. Moim zdaniem to ten rzekomy „znajomy” ją otruił albo kazał Żebrowskiemu otruić. Nawet nie wiemy, czy wdowa rzeczywiście eksperymentowała z takimi substancjami. To ostatnio modne, ale używa się do tego morfiny czy innego narkotyku, no i robią to ludzie raczej młodzi, a nie kobiety w wieku wdowy. Zdarza się, że starsi wiekiem zostają morfinistami, lecz na skutek choroby, podczas której dostają ten specyfik na uśmierzanie bólu. A właściwie, czy sprawdził pan, że to wdowa napisała oba listy? Może ktoś je sfalszował i podrzucił?

– To jest myśl! – Jezierski zerwał się ze swojego fotela. – Muszę wysłać Jaśka Poraja, żeby przyniósł próbki pisma wdowy. A teraz panu coś pokażę – dorzucił tajemniczo.

Skierował się w stronę ściany, a za nim ruszył zaciekawiony medyk. Jezierski odchylił piękny gobelin przedstawiający jakąś średniowieczną scenę myśliwską, za którym znajdowały się drzwi. Otworzył je i zdumionym oczom młodego lekarza ukazało się niewielkie pomieszczenie wypełnione przedziwnymi przedmiotami niewiadomego przeznaczenia. Część z nich miała duże rozmiary, część mniejsze, a wszystko oplątywały różne kable. Zza ogromnego biurka podniósł się skromnie ubrany, szczupły młody człowiek w binoklach. Skłonił się grzecznie. Jezierski szepnął mu kilka słów i młodzian, skłoniwszy się raz jeszcze, wyszedł.

– To jest najnowszy wynalazek, który od niedawna całkiem zawojował Amerykę – powiedział Jezierski. – Nazywa się telefon. Właściwie w tym pomieszczeniu jest cała centrala telefoniczna, telefon to tylko to jedno urządzenie – wskazał na aparat.

– Ach! – wykrzyknął podekscytowany Zaif, rozglądając się wokół roziskrzonym wzrokiem. – Słyszałem o tym, ale nigdy nie widziałem tego wynalazku na własne oczy! Mój ojciec opowiadał mi, że wiele lat temu Władysław Ehm i Wiktor Weigt zorganizowali w Kaliszu pokaz telefonu. Poprowadzono wtedy przewody między redakcją „Kaliszanina” a salą koncertową przy Łaziennej. Za 10 kopiejek każdy mógł obejrzeć to urządzenie oraz zadać przez nie jedno pytanie redaktorom i usłyszeć odpowiedź. Podobno mimo mrozu przez kilka tygodni ludzie przychodzili obejrzeć to cudo techniki, bo każdy chciał osobiście sprawdzić, czy takie pudełko naprawdę przenosi dźwięk na odległość. Ojciec mówił, że wszyscy świetnie się bawili, gwizdząc, śpiewając, no i oczywiście dowcipkując przy zadawaniu pytań. Tylko pogoda niezbyt sprzyjała i aparat popsuł się kilka razy<sup>20</sup>. Potem urządzenie zdemontowano i mimo że minęło już z dziesięć lat, do tej pory nie ma w mieście telefonów.

– To było dziesięć lat temu? No proszę! Mielicie tu telefon zaledwie dwa lata po jego wynalezieniu! – zdziwił się Jezierski. Na jego twarzy malowała się konsternacja. – Nie przypuszczałem, że tutejsi ludzie tak idą z duchem czasu.

– Tylko niektórzy – odparł kwaśno Zaif. – Ojciec mój do tej pory zabawia gości dykteryjką, jak to zapytał pewnego znanego w mieście hotelarza, czy zainstaluje u siebie ten wynalazek dla wygody gości i podniesienia standardu. A ten spytał najpierw zgryźliwie mojego ojca, czy sam już założył telefon. Mój fater, nie w ciemię bity, odparł, że ma w Ameryce rodzinę, którą bardzo kocha między innymi z tego właśnie powodu, iż jest tak daleko. Gdyby założył telefon, to nawet mieszkający bliżej krewni ciągle by się wtrącali w jego sprawy, poza tym nie prowadzi hotelu. Na co hotelarz miał odpowiedzieć: „Mój panie, wszystko to ładnie i pięknie, ale żyłem dotychczas bez tych tam telefonów, to i dalej żyć będę. Gdyby nawet goście chcieli, gdyby nawet policja żądała, to ja u siebie telefonów nie zaprowadzę”<sup>21</sup>.

– Tu widać jak na dłoni waszą rogatą duszę – zaśmiał się agent. – Niepokorny z was naród, bez dwóch zdań!

– Kto wynalazł to zmyślne urządzenie? – zapytał Zaif, nie chcąc wdawać się w rozmowę, która niechybnie zeszlaby na niewygodne tematy związane z utratą przez Polskę niepodległości. – Podobno jakiś Włoch?

– Włoch? – zdumiał się Jezierski, biorąc do ręki swoje notatki. – Ja tu mam napisane, że Amerykanin. Aleksander Graham Bell. Skąd panu przyszedł Włoch do głowy?

– Mój kolega ze studiów zamieszkał we Włoszech ze względu na klimat, bo często chorował na płuca. Tam poznał człowieka nazwiskiem Antonio Meucci, który był już wtedy stary. Wcześniej, w 1857 roku, kiedy jego żona zaniemogła, ów Meucci skonstruował urządzenie, dzięki któremu chora mogła z domu porozumiewać się z jego warsztatem. Później tak usprawnił swój wynalazek, że można było się porozumiewać na większą odległość. O ile mi wiadomo, nigdy tego nie zarejestrował, był po prostu za biedny na opłacenie patentu. Ciekawe w takim razie, jak to było z tym Bellem.

– Tu mogę panu trochę pomóc – Jezierski był wyraźnie dumny, że może zaimponować młodemu medykowi, który do tej pory zawsze górował nad nim wiedzą i znajomością najnowszych zdobyczy nauki. –

Zanim jego ekscelencja gubernator zgodził się na zakup tak drogiego i mało znanego urządzenia, choć, jak się okazuje, nie w Kaliszu – tu agent puścił oko do medyka – kazał sobie przysłać najpierw dokładne informacje na jego temat. O, proszę, tu mam list od naszego informatora z Ameryki. Niestety po angielsku...

– Nie szkodzi, ja dobrze znam angielski. Poradzę sobie.

– A może pan od razu tłumaczyć? Przypomnę sobie co nieco. Rosyjski przekład jest u jego ekscelencji, nie będę mu przecież teraz zawracał głowy...

– Ależ oczywiście. Przypuszczam jednak, że akurat pamięć ma pan dobrą. Po prostu chce pan przy okazji albo sprawdzić moją znajomość angielskiego, albo tłumacza, który przekładał to na rosyjski.

– Panu wierzę bez zastrzeżeń – odpowiedział dyplomatycznie Jezierski, skłaniając głowę z galanterią.

– No dobrze, co my tu mamy... – zamruczał Zaif, przebiegając wzrokiem zadrukowane kartki. Po chwili zaczął czytać na głos:



– Wynalazek pana Bella został opatentowany 7 marca 1876 roku. Pan Alexander Graham Bell, naturalizowany Amerykanin, urodzony w Szkocji, oparł działanie swego telefonu o mikrofon elektromagnetyczny, który zamienia głos w sygnały elektryczne. Te, przesyłane kablem, docierają do drugiego aparatu, gdzie są z kolei przetwarzane na dźwięki mowy przez taki sam mikrofon. Alexander Bell i jego teść założyli przedsiębiorstwo Bell Telephone Company, aby rozpowszechnić wynalazek, a ten zrobił furorę na pokazie podczas Wystawy Stulecia w Filadelfii. Bell dostał astronomiczną nagrodę 50 000 dolarów od Filadelfijskiego Towarzystwa Naukowego i rozpoczął z teściem produkcję swojego wynalazku. Dwa lata od prezentacji powstały w Stanach Zjednoczonych Ameryki pierwsze linie telefoniczne, a do łączenia abonentów zatrudniono operatorów... Bardzo ciekawe informacje gromadzą wasi... ludzie! A jest do tego jakaś instrukcja obsługi samego aparatu?

– Nie potrzeba, już umiem go obsługiwać – Jezierski dumnie wypiął pierś. – Od trzech dni mam stałe połączenie z jego ekscelencją i cyrkułem. Choć ze smutkiem muszę wyznać, że niektórzy z moich ludzi to prawdziwe matolki – dorzucił z goryczą.

– A co się stało? – zapytał doktor, uśmiechając się pod nosem, dobrze bowiem znał reakcje dużo bardziej światłych mieszkańców grodu nad Prosną na jakikolwiek powiew nowoczesności czy zdobyczy nauki.

– Ech, jeden padł na kolana i płakał, żeby wezwać księdza, bo to diabelskie urządzenie. Drugi nie wspominał wprawdzie o diable, ale i tak nadal boi się podejść do aparatu! Skaranie boskie z takim ciemnym ludem!

– Teraz już pan wie, jak się czuje krzewiciel nowoczesności na prowincji – Zaif skwitował uśmiechem narzekania szefa policji. – Proszę mi jednak powiedzieć, jak pan wpadł na pomysł, żeby sprowadzić to urządzenie?

– Cóż. Oficjalnie nikt się nie dowie, że mamy tu telefon, w ostateczności powie się, że przywiózł go jakiś kupiec, by zademonstrować jego działanie, co nie powinno nikogo dziwić. Sam pan mówił, że taki pokaz już raz miał miejsce. Ale przecież my wcale nie

musimy tego wynalazku kupować, na razie jest tylko na próbę. A inne pogłoski będą bezwzględnie dementował.

W oczach Zaifa nadal malowało się pytanie, więc zakłopotany Jezierski potarł brodę i rzekł:

– Jakby to panu wyjaśnić... Jego ekscelencja ma wielu wrogów... Także w Rosji... Nawet tutaj są rosyjscy szpiedzy, którzy donoszą o wszelkich nieprawidłowościach gubernatora do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych albo i samemu namiestnikowi...

– Nieprawidłowościach? – zdziwił się Zaif. – O niczym takim nie słyszałem. Wręcz przeciwnie, wszyscy kaliszanie chwalą gubernatora, że miasto tak przy nim rozkwitło i wypiękniało. Sam niedawno czytałem, że odbyła się ceremonia poświęcenia fundamentów nowo wznoszonego ratusza. Właśnie w obecności gubernatora, władz miejskich i tak dalej! Wcześniej czynione starania spełzły na niczym, aż dopiero dzięki poparciu gubernatora zatwierdzono projekt budowy ratusza i wreszcie rozpoczęto roboty!

– No i to właśnie są te nieprawidłowości – przerwał mu cicho Jezierski, spuszczać oczy. – Wstyd mi za moich rodaków, ale panu powiem prawdę. Nie podoba mi się, jak Rosjanie traktują podległe narody. Może mówię tak, bo sam jestem na wpół Polakiem? Nie wiem. Nie sądzę, bo jego ekscelencja jest czystej krwi Rosjaninem. To jednak taki świątły człowiek, takie ma dobre serce!... Ech, czuję, że to się może źle dla niego skończyć. Ale on nie umie być inny. Powiada mi: „Walery, dobrocią i sercem więcej zdziałasz niż strachem i kańczugiem”...

– To prawda – powiedział z powagą Zaif. – Jak pan wie, jestem Żydem i sam wiem, jak ludzie potrafią być okrutni lub bezmyślni wobec przedstawiciela innej wiary, więc jestem wyczulony na takie ataki. Zupełnie jakby ci ludzie nie pamiętali, jaki był Chrystus, z którym tak się obnoszą, i w ogóle nie próbują go naśladować. Przypuszczam, że gubernator Daragan spotyka się z czymś podobnym, nie sądziłem jednak, że jakieś zarzuty padają ze strony jego rodaków.

– No właśnie – przytaknął agent do specjalnych poruczeń. – Rosjan w Kaliszu jest coraz więcej i niektórzy z nich bardzo pilnie się przyglądają poczynaniom gubernatora. Teraz też by się rozpętała nagonka przeciw

niemu, że na koszt państwa kupuje drogie urządzenia dla własnej wygody. Chociaż ten aparat jego ekscelencja kupił za własne pieniądze, to i tak jego wrogowie będą twierdzić, że pieniądze ukradł mateczce Rosji. Dlatego oficjalnie telefonu tu nie ma i kropka.

– Ale sam pan powiedział, że ma pan połączenie z cyrkułem i że policjanci wiedzą o aparacie? – zdziwił się Zaif. – Sądzi pan, że utrzymają to w tajemnicy?

– Oni dobrze wiedzą, że jak któryś parę z gęby puści, to nie ma co już szukać pracy w policji czy żandarmerii. A tak naprawdę nigdzie jej nie znajdzie, bo kto zatrudni kogoś z wilczym biletem od szefa policji? Zaryzykowałby pan?

– Tak, ale ja mam własne pieniądze i na razie nikogo na utrzymaniu, więc mogę sobie pozwolić na zatrudnianie kogo chcę.

– No cóż, pan jest odważny, doktorze, choć jeszcze młody i...

– Głupi? To chciał pan powiedzieć?

– Raczej niedoświadczony.

– Pan za to jest cyniczny. Chwali pan gubernatora za podejście do miejscowej ludności, a sam ima się takich niecznych metod jak zastraszenie!

– Przynajmniej nie jestem hipokrytą i nie udaję, że ze mnie jakiś święty! A co do metod, to sam pan się kiedyś przekona, że dzielą się tylko na skuteczne i nie. Nikt nie pyta zwycięzcy, jak dotarł do celu.

– Myli się pan. Wielu pyta. I ja nie uznaję zasady, w myśl której cel uświęca środki.

– Ma pan prawo mieć swoje zdanie, a ja swoje. Poza tym dla pana informacji powiem, że rzadko korzystam z drastycznych metod, chyba że nie mam wyjścia, ale wtedy się nie waham. A co do moich ludzi, to muszą być lojalni, inaczej praca w policji nie ma sensu. Tu liczy się zespół, a jeśli ktoś odstaje, naraża wszystkich. Czyżby pan zapomniał, że policja zajmuje się nie tylko drobnymi kradzieżami czy bójkami? Często policjanci narażają własne życie. Muszą więc mieć pewność, że kolega ich nie zawiedzie i nie zdradzi.

– No cóż, patrząc z tego punktu widzenia... poddaję się – powiedział Zaif, którego zmęczyła ta bezproduktywna sprzeczka. – Nasz spór niczego

konstruktywnego nie wnosi do sprawy, którą się zajmujemy, więc nie ma sensu się kłócić.

– Święte słowa! Niech pan lepiej popatrzy, jak działa to urządzenie.

To mówiąc, podszedł do aparatu stojącego na dużym biurku. Było to sporej wielkości pudło z metalową korbką. Poza tym do aparatu przymocowano na czymś w rodzaju sznura dwie także metalowe części, z których jedną przyłożył do ucha, a drugą przysunął do ust.

– Te trzy aparaty, które mamy, obsługuje na zmianę dwóch zaufanych ludzi gubernatora. To są tak zwani z angielska operatorzy – wyjaśnił Jeziński, odsuwając nieco od siebie mikrofon. – Żeby przeprowadzić rozmowę telefoniczną, najpierw trzeba pokręcić tą korbką. Jej pokręcenie wywołuje dźwięk dzwonka, ale nie w mieszkaniu osoby, z którą chcemy rozmawiać, tylko w stacji telefonicznej – tu wskazał ręką na drugą część biurka, za którą siedział młody człowiek w binoklach. Na blacie znajdowała się większa od aparatu skrzynka z jakimiś wtyczkami.

– My tu nie mamy stacji z prawdziwego zdarzenia – kontynuował agent – bo są tylko trzy aparaty, więc jej rolę pełni operator. Siedzi właśnie w tym pomieszczeniu, ale teraz kazałem mu iść coś zjeść. Operator odbiera po dłuższym dzwonku i wtedy trzeba mu wymienić abonenta, z którym chce się rozmawiać. Po otrzymaniu odpowiedzi „połączone” dzwoni się dłużej po raz drugi i czeka, póki żądana osoba się nie odezwie. Po skończeniu rozmowy daje się słyszeć trzykrotny urywany dzwonek. A, jeszcze jedno. Podczas dzwonienia słuchawka powinna być zawieszona na tym haczyku, a mówić należy głosem zwyczajnym, nie podniesionym<sup>22</sup>.

Jeziński mówiąc, demonstrował po kolei wszystkie wymienione czynności. Pokręcił korbką, aż w stacji rozległ się długi dzwonek. Wtedy przeszedł do niej, a Zaifowi kazał wziąć do ręki słuchawkę i mikrofon.

– Teraz sam się połączę z cyrkulem, pan może się przysłuchiwać, bo ja będę rozmawiał bezpośrednio ze stacji. W cyrkule siedzi teraz Jasiek Poraj. To bardzo pracowity chłopak! Został już niemal moją prawą ręką, bardzo jestem z niego zadowolony. Mam z niego więcej pożytku niż z tego dudka Kamńskiego. Co? Tak! – rzucił do mikrofonu. – Jasiek? Tu agent Jeziński... Tak, tak. Słuchaj Jasiek. Idź zaraz do mieszkania wdowy

Radziejowskiej i przyniesie jakieś próbki jej pisma... Słyszysz mnie?! Nie?! Ależ zakłócenia! Mówię, żebyś poszedł do wdowy Radziejowskiej... To akurat usłyszałeś? Zbierz próbki jej pisma. Pisma! Tak, listy, rachunki, cokolwiek, byle na pewno ona pisała. Niech ci kamerdyner pomoże. Kamerdyner! Lokaj! Słyszysz?! No dobrze... Tak, biegiem do mnie! Do pałacu gubernatora!

Obaj odwiesili swoje słuchawki i mikrofony na poprzednie miejsce. Jezierski otarł pot z czoła.

– Ten telefon to wygodne urządzenie, ale musi zostać dopracowany – westchnął. – Zbyt często zakłócenia utrudniają porozumienie. Sam pan słyszał! Co chwila jakieś nagłe trzaski, piski lub gwizdy, nieraz aż uszy pękają. W Warszawie jest już miejska sieć telefoniczna, ale pod względem jakości rozmów mają niewiele lepiej – zaśmiał się radca stanu.

Zaif przez chwilę stał zamyślony, wreszcie odezwał się:

– Tak sobie myślę... – zaczął. – Może mógłby pan i mnie podłączyć do swojej linii. Oczywiście na mój koszt – dorzucił zaraz. – Jestem majątnym człowiekiem, z niewielkimi potrzebami osobistymi, mogę więc sobie pozwolić na takie ekstrawagancje. Niech pan pomyśli, ile czasu byśmy zaoszczędzili, gdybyśmy mogli się szybko porozumieć! Najważniejsze wiadomości też można by najpierw przekazać ustnie! Wspaniała perspektywa!

– Cóż, nie do końca. Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że to urządzenie nie zapewnia dyskrecji. Wszyscy podłączeni mogą przysłuchiwać się prowadzonym akurat rozmowom. Na przykład jego ekscelencja może słuchać moich rozmów z cyrkułem, a ja jego z córkami.

– Hm, faktycznie to trochę krępujące – stwierdził medyk. – Ale można przecież rozmawiać szyfrem. Mimo to szkoda, że wszyscy mogą się nawzajem słyszeć, wystarczy tylko podnieść tę tubkę.

– Właśnie. Ale na razie jeszcze nie ma się czego obawiać, bo póki co, w Kaliszu nikt inny nie ma dostępu do telefonu. Myślę więc, że to nie jest zły pomysł. Przydałoby mi się połączenie z panem. Ale zdaje pan sobie sprawę z kosztu? Do pana jest dalej niż do cyrkułu, trzeba by położyć kable długie chyba na tysiąc sążni!<sup>23</sup> To mniej więcej równowartość rocznej pensji robotnika!

– Stać mnie. A korzyści i tak są ogromne. Wszak zamiast tracić czas, szukać fiakra lub szykować powóz, potem jechać do pana, wystarczy zadzwonić!

– Jeśli będę u siebie, bo przecież mogę wyjść...

– To niech pan każe operatorowi zapisywać, kto dzwonił i co chciał. O ile mu pan ufa, oczywiście.

– Pan to ma jednak głowę nie od parady – stwierdził z uznaniem Jezierski. – Napije się pan jeszcze kawy? Każę przynieść świeżej. Jacenty! – do pokoju wszedł starszy lokaj w nienagannej liberii i skłonił się w milczeniu. – Zaparz nam świeżą kawę i przynieś jakieś ciastka. A jak przyjdzie stójkowy Poraj, to go zaraz wpuść.

– Tak jest, wasza wielmożność.

Przyszło im jeszcze czekać około godziny, nim zdyszany i zaczerwieniony z wysiłku Jasiek Poraj wkroczył do gabinetu swojego szefa z kartonową teczką pod pachą. Widać było, że biegł całą drogę, za co Jezierski nie omieszkał go pochwalić.

– Przynajmniej ty, chłopcze, wiesz, kiedy sprawa jest pilna, i nie żałujesz wysiłku. Masz tu w nagrodę pięć rubelków.

Wcisnął banknot w rękę oszołomionemu tak ogromną kwotą<sup>24</sup> chłopakowi, który jednak wzdragał się ją przyjąć.

– Bierz, przydadzą ci się. Wiem, że niemal sam utrzymujesz matkę i rodzeństwo.

Jasiek zrobił się jeszcze bardziej czerwony i położywszy teczkę na stole, rzucił się całować dłoń Jezierskiego, który teraz sam się spieszył i schował ręce za siebie.

– A cóż to! – wykrzyknął zawstydzony. – Czy ja jakiś biskup jestem, żebyś ty mnie po rękach całował? Idź lepiej do kuchni, niech ci dadzą coś zjeść i wypić. Jacenty!

Lokaj wkroczył majestatycznie do gabinetu.

– Zabierz stójkowego do kuchni, niech go dobrze nakarmią i napoją. Potem przyprowadź go z powrotem, bo będzie nam jeszcze potrzebny.

W tym czasie Zaif całkowicie pograżył się w studiowaniu papierów przyniesionych przez Poraję. Były tam dwa listy do przyjaciółek, które wdowa zaczęła pisać na dzień przed śmiercią, ale ich nie dokończyła, kilka

starych wykazów sprawunków dla służącej oraz adnotacje na marginesach rachunków ze sklepów. Porównywał je z pismem na listach do Żebrowskiego, które agent do specjalnych poruczeń onegdaj mu przysłał, a które dzisiaj zamierzał mu oddać.

– Nie chcę za wcześnie wyrokować – zawołał podekscytowany do podchodzącego do stołu Jezierskiego – ale chyba mieliśmy rację. Niech pan patrzy! Na przykład tu i tu – wskazywał. – W pisowni tego „s” widać wyraźną różnicę, nie sądzi pan? A litera „k”? Także różnie pisana. Zupełnie jakby ktoś starał się naśladować pismo zmarłej, ale co chwila się zapominał.

Jezierski usiadł i pochylił się nad papierami. Przez chwilę uważnie je oglądał i porównywał, wyjął nawet szkło powiększające, wreszcie sapnął z zadowoleniem.

– Wygląda na to, że szczęście się do nas uśmiechnęło, doktorze – powiedział.

– Dobrze by było, bo na razie niewiele się posunęliśmy naprzód – przyznał medyk.

– Ależ jest pan dla nas zbyt surowy! – zaprotestował Jezierski. – Wykryliśmy dzięki panu dwa morderstwa, które miały wyglądać na samobójstwo lub wypadek, a pan narzeka! Doprawdy, trudno panu dogodzić. O, jest Jacenty z tacą. Niech pan spróbuje tych wspaniałych pierników. To z fabryki dostawcy dworu Gustawa Wesse z Torunia<sup>25</sup>. Palce lizać! Jego ekscelencja tak w nich zasmakował podczas świąt Bożego Narodzenia, że teraz stale je sprowadza, choć nie gardzi wyrobami miejscowej cukierni Fibigera. Ja osobiście zagustowałem w łakociach, jakie ma na składzie pan Nettyn, właściciel handlu kolonialnego przy Mariańskiej 74. Był pan tam? Sam dopiero niedawno dowiedziałem się z waszego „Kaliszanina”, że pan Nettyn jest stałym odbiorcą Parowej Fabryki Pierników, Cukrów i Czekolady w Warszawie<sup>26</sup>. Teraz często do niego zaglądam, bo to i blisko, i wybór ma wielki. A pan co lubi, doktorze?

– Na ten temat za bardzo pan ze mną nie porozmawia – zaśmiał się Zaif. – Obawiam się, że nie mam jakichś szczególnych upodobań, jeśli

chodzi o słodycze czy w ogóle jedzenie. Po prostu jest mi obojętne, co jem, bo zwykle i tak mam głowę zaprzątniętą czym innym i często w ogóle nie wiem, co jadłem. Za to mój ojciec jest wielkim smakoszem, szczególnie wszelakich delikatesów, jak pasztety strasburskie albo rozmaite sery. Na widok czegoś takiego jak fromage de brie lub parmezan ślinka mu cieknie, nie wspominając już o takich frykasach, jak ananasy, trufle, homary albo śliwki francuskie. To podstawa jego diety w każde święta.

– Oho, zdaje się, że powinienem bliżej poznać pańskiego ojca – zażartował Jezierski.

– Ależ bardzo proszę, ojciec będzie bardzo rad poznać pana osobiście. Tyle się o panu nasłuchał...

– Mam nadzieję, że nie były to same narzekania!

– Nie sędzę, inaczej w ogóle nie chciałby pana widzieć. A tak mogę panu zdradzić w zaufaniu, że powinien się pan lada dzień spodziewać zaproszenia na niezobowiązującą partyjkę winta. Nawet jeśli nie umie pan grać, to, gwoli wyjaśnienia, jest to po prostu pretekst do spotkań w męskim gronie.

– Ach tak! – roześmiał się agent. – W takim razie skorzystam, choć gracz ze mnie nietęgi. Przynoszę hańbę moim krajanom, bo wint jest grą bardzo popularną w Rosji. Często hazardową.

– Ale proszę nie mówić mojemu ojcu, że pan wiedział o zaproszeniu. Miałby do mnie żal, że mu popsulem niespodziankę.

– Będę milczał jak grób – zapewnił radca stanu.

W tym momencie wszedł lokaj i z ukłonem oznajmił:

– Jego ekscelencja gubernator Daragan prosi obu panów do siebie.

Zaif spojrzawszy pytającym wzrokiem na Jezierskiego, ale ten przecząco pokręcił głową, dając do zrozumienia, że nie wie, o co chodzi. Nie pozostawało im nic innego jak iść, więc wstali i ruszyli za Jacentym.

Kamerdyner wiódł ich reprezentacyjnymi korytarzami, wśród złocień, marmurów i luster, aż dotarli do leżących w głębi prywatnych apartamentów gubernatora. Jacenty wprowadził ich i zaanonsował, wycofując się zaraz potem z ukłonem. Stali w przestronnej komnacie pomalowanej na pastelowe barwy. Nawet sufit był błękitny i jakiś artysta



umieścił na nim gdzieniegdzie obłoczek, co dawało złudzenie pogodnego letniego nieba. Tylko stiuki były białe, a cały pokój rozświetlały duże okna wychodzące na fragment kaliskiego parku. Wypolerowany parkiet dębowy intarsjowany domieszką innego drewna, układającego się w fantazyjną mozaikę, przyciągał wzrok, gdyż tworzył niemal trójwymiarowy wzór.

Środek pokoju pozostawał pusty. Niezbyt liczne meble rozstawiono przy ścianach. Stało tam kilka sof, dwa szezlongi, kilka stolików, fotele i krzesła – wszystko obite wykwintnym materiałem w delikatny kwiatowy deseń lub brokatem. Niewątpliwie dbano tu o wygodę mieszkańców i gości, każdy mógł bowiem znaleźć coś do siedzenia wedle własnych upodobań i potrzeb. Tu i ówdzie widniały cenne, ale też starannie dobrane dzieła sztuki. Wrażenie robił zwłaszcza przepiękny kryształowy puchar z wizerunkiem Marii Leszczyńskiej<sup>27</sup>. Poza tym Zaif zauważył sporo roślin w donicach i wazonach, kilka perskich dywanów oraz stojący w pobliżu okna nieduży fortepian, przy którym siedziała teraz młoda dziewczyna akompaniująca drugiej, grającej na harfie. Tu spostrzegawczość młodego lekarza się skończyła, gdyż całą uwagę poświęcił młodej harfistce.

Zaifowi od razu skojarzyła się z nimfą, tak smukłą i giętką miała kibić i wdzięczne, pełne gracji ruchy. Na plecy spływała ujarzmiona kaskada brązowych pukli częściowo upiętych, tworząc wytworną i skomplikowaną fryzurę. Nawet suknia, zupełnie inna od tych, jakie dotąd widział u kobiet, kojarzyła mu się z nimfą. Nie miała tiurniury<sup>28</sup> i całej masy falbanek, plisek, upięć i czego tam jeszcze kobiety używały do wzbogacania swych kreacji. Była uszyta z jakiejś zwiewnej zielonkawej materii, a za całą biżuterię służył dziewczynie kwiat wpięty we włosy i błyszczące oczy, błękitne jak niezapominajki. W tych oczach utonął ostatecznie tak, że w ogóle nie wiedział, co się wokół dzieje. Nie słyszał, co do niego mówią. Dopiero przyjacielskie, lecz mocne klepięcie w plecy przywołało go do rzeczywistości. Jezierski, uśmiechając się pod nosem, jeszcze raz przedstawił go gubernatorowi, który spoglądał na medyka z zaciekawieniem, ale i z pobłażliwym uśmiechem. Widać wszyscy byli tu

przyzwyczajeni do wrażenia, jakie robiła jedna z córek pana domu, Anna. Liczyła siedemnaście wiosen, lecz wyglądała na trochę starszą. Prawie wszyscy, którzy widzieli ją po raz pierwszy, byli przekonani, że ma lat dziewiętnaście, była bowiem nie tylko piękna, ale również mądra, wykształcona i jakby trochę nad wiek poważna.

Jej siostra Maria, choć urodzona dokładnie tego samego dnia<sup>29</sup>, nie była już taką piękną, choćby z tego względu, że brakło jej eterycznego wdzięku i smukłości Anny. Miała za to mnóstwo radości życia, tryskała wręcz wesołością. Jej twarzyczka była tak świeża, wesoła i sympatyczna, że młody lekarz od razu ją polubił. Wydawała się bardziej ziemską, realną, podczas gdy tamta przypominała anioła, który przypadkiem zstąpił z obłoków.

Gdy skończyły się prezentacje i powitalne formuły, Michał Piotrowicz Daragan wskazał swoim gościom wygodne fotele wokół większego stołu, na którym przygotowano zastawę do herbaty, kanapki i tosty, konfitury oraz wiele rodzajów ciast i ciastek. Dziewczęta pełniły rolę pań domu, nalewając herbatę i podając gościom talerzyki ze smakołykami.

Dopiero wtedy Zaif ochłonął na tyle, by móc przyjrzeć się gubernatorowi, którego nigdy nie widział z bliska. Był to przystojny mężczyzna w typie słowiańskim, szczupły, wyprostowany, o ciemnych włosach zaczesanych do tyłu tak, że odsłaniały wysokie czoło. Bujne, dość długie wąsy, starannie przycięte, spływały w dół, ale ich końce podkreślone były do góry. Jasne oczy spoglądały rozumnie i nieco melancholijnie, przez co z całej postaci bił niejaki smutek. Nawet gdy Daragan się uśmiechał, jego uśmiech był zawsze łagodny, spokojny i odrobinę nostalgiczny.

Zaif zastanawiał się przez moment, czy w życiu gubernatora były jakieś tragiczne chwile, ale domyślił się, że nawet jeśli tak, to niewielu o tym wiedziało, bo poza prostolinijnością i uczciwością Rosjanina wyczuwał w nim naturę skrytą, jak on sam. Uznał jednak, że łagodny charakter i dobre serce, o których wspominał mu Jezierski, a które zdawały się emanować z oczu dostojnika, nie przysłużyły mu się w karierze wojskowej, lecz – paradoksalnie – przysparzały mu w tym środowisku wielu wrogów. Musiał mieć jednak także przyjaciół lub osobiste zasługi,

wydedukował Zaif, gdyż inaczej nie dostałby tego stanowiska, choć gubernia w Polsce często była traktowana jako kara, rodzaj zsyłki. Ale tylko dla tych, którzy przedtem przebywali blisko carskiego dworu.

Doktor zauważył również, że agent do specjalnych poruczeń niewątpliwie bywał częstym gościem nie tylko gubernatora, ale całej jego rodziny, gdyż traktowano go jak domownika. I w duszy przyznał, że zazdrości mu poufałości, z jaką zwracała się do niego Anna. Ach, gdybyż to jemu położyła tak niedbale swą smukłą dłoń na ramieniu! Aż mu się zakręciło w głowie na samą myśl o takim szczęściu, podczas gdy Jezierski nic sobie z tego nie robił, jakby stała przy nim pierwsza lepsza niewiasta, a nie to eteryczne zjawisko ze świata wróżek i elfów. Doprawdy, musiał być ślepy!

Przez dłuższy czas nie był w stanie skoncentrować się na konwersacji prowadzonej w salonie w kilku językach jednocześnie – trochę po francusku, który królował w całej Europie jako język salonowy, trochę po rosyjsku i polsku, z rzadka przeplatanej niemieckimi lub angielskimi zwrotami. Zaifowi to nie przeszkadzało, ponieważ miał wrodzony talent do języków i biegle władał ośmioma. Prawdę mówiąc, trafiony strzałą Amora medyk w ogóle nie zauważał zmian języka, ale gdyby to spostrzegł, to byłby pełen podziwu, ponieważ niewiele znał w Kaliszu osób, które władałyby więcej niż dwoma językami obcymi.

Teraz jego uwagę przykuło głośniejsze wypowiedziane przez gubernatora zdanie, w którym usłyszał znajome mu nazwisko Henry'ego Fauldsa. Nieco zaskoczony skierował wzrok na Daragana, który zauważywszy spojrzenie lekarza, zagadnął go uprzejmie po francusku:

– Pan zdaje się zna to nazwisko, nieprawdaż?

– Tak, wasza ekscelencjo, choć nie poznałem osobiście tego wybitnego lekarza. Znam jedynie jego prace, wiem, że przez jakiś czas był w Japonii. Tam pracował w szpitalu w Tokio, gdzie wykładał również fizjologię dla studentów medycyny.

– Odniosłem jednak wrażenie, że zna pan jego prace nie tylko z zakresu medycyny?

– Zapewne chodzi panu o jego list opublikowany w czasopiśmie „Nature”, bodajże przed ośmioma laty – odpowiedział Zaif, nie

zauważywszy nawet, jak Jezierski lekko się zmarszczył na użyte przez niego słowo „pan”, zamiast wymaganego grzecznościowego zwrotu „wasza ekscelencjo”. Gubernator był jednak zbyt dobrze wychowanym człowiekiem, by dać po sobie poznać, że zauważył nietakt młodego medyka, a jego córki też specjalnie się tym nie przejęły. Starsza po prostu spojrzała na niego lekko tylko zdziwiona i jednocześnie rozbawiona, natomiast młodsza roześmiała się serdecznie.

Zaif nie zauważył popełnionej gafy, więc nie bardzo wiedział, dlaczego dziewczęta śmiechem zareagowały na jego wzmiankę o szacownym skądinąd piśmie naukowym. Na wszelki wypadek zamilkł, zły na siebie, że nie potrafi zapanować nad rumieńcem. To jeszcze bardziej rozbawiło Marię, natomiast piękna Anna pospieszyła mu z pomocą, podsuwając talerzyk z kanapką i pytając, czy może dolać mu herbaty. To oczywiście jeszcze bardziej zaskarbiło jej uczucia młodego lekarza i gdyby do tej pory jeszcze nie uległ urokowi panny, niewątpliwie teraz „wpadłby jak śliwka w kompot”, jak zwykł mawiać jego rodzony ojciec, słynący z nietaktownych, choć pełnych serdecznej życzliwości uwag.

– Istotnie – przyznał spokojnie gubernator, jak gdyby nigdy nic kontynuując rozpoczętą rozmowę. – Miałem na myśli obserwacje Fauldsa dotyczące odcisków palców. Podobno pan wie coś więcej na ten temat?

– Cóż, tę sprawę znam z dwóch źródeł. Czytałem list Fauldsa w „Nature”, mam nawet ten egzemplarz pisma w domu. Dysponuję również informacjami od kolegi dziennikarza z Anglii, Faulds bowiem wrócił do Londynu i nadaremnie próbował zainteresować Scotland Yard swoimi badaniami. W końcu zwrócił się do prasy, ale tam też nikt, poza moim kolegą, nie zwrócił na niego uwagi, jako że wszyscy ulegli fascynacji metodą Bertillona. Choć moim skromnym zdaniem nie jest ona zbyt wiele warta z naukowego punktu widzenia. Także jej praktyczna użyteczność stoi pod wielkim znakiem zapytania. Te skomplikowane pomiary antropologiczne! Szczegółowe mierzenie różnych części ciała od głowy przez ucho do kończyn, potem klasyfikowanie tego, zapisywanie i późniejsze porównywanie! Kto ma na to czas! No i przestępca raczej rzadko zostawia po sobie tak szczegółowe informacje antropologiczne, by móc później stwierdzić, że to on popełnił przestępstwo. Nie, ta metoda

jest moim zdaniem zbyt zawodna. Natomiast odciski palców to co innego. Sam mam okazałą kartotekę takich odcisków, zebranych od wielu ludzi, nawet zmarłych, i mogę pana zapewnić, że nie ma dwóch takich samych!

Tu Zaif zamilkł na chwilę, by nabrać tchu, ale Jezierski nie pozwolił mu rozwinąć tematu, choć było jasne, że odciski palców stanowią najwyraźniej *idée fixe* młodego medyka. Agent zaniepokoił się, że Zaif, jak większość pasjonatów, dosiadłszy swego konika, może zamęczyć towarzystwo niekończącymi się opowieściami. Zatem rzucił pospiesznie:

– Chętnie obejrzę pańską kartotekę, doktorze, a jeśli jego ekscelencja wyrazi również taką chęć, pomogę panu przewieźć ją do pałacu, teraz jednakowoż...

– Ależ Walery, nie możesz naszego gościa traktować tak obcesowo! – oburzył się gubernator. – Oczywiście, że z przyjemnością obejrzę pański zbiór, doktorze. Walery bardzo pana chwalił za nieocenioną pomoc przy tych... – tu Daragan zerknął niepewnie w stronę córek i dokończył dyplomatycznie – hm... tragicznych wydarzeniach. I z tego, co widzę, miał rację. Jest pan rzeczywiście oddany nauce, doktorze.

Zaif spłonął rumieńcem, nie wiedząc, co odpowiedzieć na taki komplement. I znów z kłopotu wybawiła go Anna, mówiąc:

– Ja również chętnie zobaczę pański zbiór odcisków palców. I będę wdzięczna, jeśli mi go pan przystępnie objaśni, pamiętając przy tym, że daleko mi do pańskiej wiedzy i doświadczenia.

Na te słowa Zaif zerwał się i skłonił panie oraz jej ojcu, co natychmiast wykorzystał Jezierski, również wstając i od razu zaczynając się żegnać.

– W takim razie nie będziemy dłużej zabierać czasu waszej ekscelencji – powiedział do gubernatora. – Na pewno ma ekscelencja wiele ważnych spraw, a i my mamy co robić.

Po kilku grzecznych słowach pożegnania wyprowadził Zaifa na korytarz, gdzie czekał na nich kamerdyner, gotów odprowadzić gości. Jezierski kazał mu jednak iść po Jaśka Poraja, mówiąc, że sam odprowadzi doktora. Po drodze zmył mu po przyjacielsku głowę, że na pierwszej towarzyskiej herbatce zanudzał damy naukowymi wywodami. Skruszony Zaif musiał przyznać mu rację i wpadł w takie przygnębienie,

że Jezierski dla odmiany poczuł się w obowiązku go pocieszyć. Zapewnił, że jego ekscelencja gustuje w ludziach rozumnych i na pewno wkrótce zaprosi go ponownie, możliwe nawet, że ze zbiorem. Zaif jednak cały czas najbardziej martwił się o to, co musiała o nim pomyśleć ta piękna dziewczyna i jakim okazał się gburem i nudziarzem. Zasługiwał tylko na to, by go obić za ten afront wobec dam!

Jezierski, który dobrze widział, co się dzieje w duszy medyka, klepnął go w ramię, mówiąc, że Anna odziedziczyła po ojcu zamiłowanie do nauki i sztuk pięknych, więc na pewno spodobała jej się taka poważna wypowiedź, jaką uraczył ją medyk. Zaif uspokoił się trochę, a nawet rozchmurzył na tyle, by przypomnieć sobie, o czym rozmawiali przed godziną w jego gabinecie.

– Proszę nie zapomnieć o telefonie dla mnie – powiedział normalnym już głosem ku cichej uldze agenta. – Pokryję wszystkie koszty. A póki co, czekam na wiadomości od pana tradycyjną drogą.

– Oczywiście. Może w takim razie od razu umówimy się tutaj jutro o jedenastą i odwiedzimy radcę Garszyńskiego?

– Nie widzę problemu. Chętnie będę panu towarzyszył.

Po czym pożegnali się i Zaif wyszedł, tymczasem Jezierski powrócił do prywatnych apartamentów gubernatora Daragana.

Ledwo Zaif znalazł się na ulicy, a już wiosenne słońce przywołało mu na myśl twarzyczkę panny Daraganówny. Tak się rozmarzył, że zupełnie nie zwracał uwagi na to, co dzieje się wokół. Nagle poczuł silne uderzenie w bok, stracił równowagę i runął na ziemię. Do jego świadomości przedarł się jakiś zgiełk i głośny turkot szybko oddalających się kół, przy nim zaś wylądował zadyszany Staś Małyszko.

– Stach! – krzyknął zaskoczony i oszołomiony upadkiem Zaif. – Co ty wyprawiasz?! Przewróciłeś mnie!

– Ten powóz omal pana nie przejechał, doktorze! – wysapał student. – Jak nic by pan nie żył, gdybym nie zdążył dobiec i odepchnąć pana na bok.

– Bardzo się zamyśliłem – przyznał ze skruchą doktor, wstając i otrzepując ubranie, które i tak nadawało się już tylko do prania. – To moja wina. Wyszedłem na drogę, nawet się nie rozejrzawszy, czy ktoś nie

nadjeżdża.

– Tylko że pan wcale nie wyszedł na drogę, szedł pan prawidłowo  
trotuarem.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi, Stasiu? – Zaif był nadal oszołomiony.

– Myślę, że ktoś chciał pana celowo przejechać, doktorze.

## Rozdział 6

Radca Garszyński mieszkał w kamienicy z oficyną mieszczącej się na rogu ulicy Sukienniczej i Łaziennej. Przed laty dom ów był własnością żony Wiktora Wojniewicza, adwokata Sądu Apelacyjnego, lecz wdowa straciła go, jak i dom na Piekarskiej, w 1847 roku, kiedy to została z nich wywłaszczona z powodu niezapłaconych długów<sup>30</sup>. Nabył go dziad Garszyńskiego i od tej pory mieszkały w nim kolejne pokolenia tej rodziny.

Gdy Jezierski z Zaifem zastukali do drzwi opatrzonej tabliczką z nazwiskiem prawnika, otworzyła im służąca, która zaprowadziła gości przed oblicze radcy. Był to korpulentny, lecz dość wysoki mężczyzna w średnim wieku, łysiejący, ze złotym monoklem w oku o szarej tęczę, ze złotą dewizką od zegarka i spinkami do mankietów. Przyjął ich nader uprzejmie, wylewnie uściśnął dłonie i zaraz z dumą przedstawił stojącą za nim resztę członków rodziny, z ciekawością wręcz wypisaną na pulchnych twarzach.

Pani Garszyńska, niższa od męża, ale równie korpulentna, wystąpiła w wielce jaskrawej kreacji i obwieszona różnoraką biżuterią, podzwaniającą przy każdym ruchu. Włosy miała w krzyczącym tycjanowskim kolorze i tak ufryzowane, że przypominały wielkie ptasie gniazdo. Oczy miała też szare, jak mąż, choć nieco ciemniejsze. Dygnęła jak pensjonarka, co za nią powtórzyły dwie córki w wieku około piętnastu i siedemnastu lat. Wyglądały jak młodsze, ale wierne kopie matki, mimo że ich włosy miały kolor ciemnoblonde. Również one były odświętnie odziane, choć bez takiej ilości biżuterii.

Za nimi, nieco na uboczu, stał młody mężczyzna, dziwnie bezbarwny, choć starannie ubrany. Nawet jego jasne włosy, wydawały się bezbarwne, matowe, a oczy miały kolor spranego błękitu, jakby też wyblakły. Jedyne rzucającym się w oczy akcentem jego wyglądu były złote binokle na takimże łańcuszku. Jezierski przyjrzał się wszystkim dokładnie



z policyjnego nawyku. Gdy przysłała kolej na młodego człowieka, stwierdził w duchu ze współczuciem, że mało jest osób, które wyglądają tak zwyczajnie, by nie rzec pospolicie, iż słabo zapadają w pamięć.

Zaif także odruchowo obejrzał rodzinę Garszyńskich, lecz okiem lekarza, przeto zarejestrował fakt, że młody człowiek różni się bardzo rysami twarzy od reszty, mimo że wszyscy, prócz farbowanej na rudo pani Garszyńskiej, mieli włosy blond. Jednak te u młodzieńca miały wyraźnie jaśniejszy, choć pozbawiony blasku odcień. Jego oczy były bladoniebieskie, podczas gdy oboje Garszyńscy mieli oczy szare. Poza tym zauważył u niego mały dołek w podbródku, którego kształt znamionował upór lub silną wolę, co nieco zaskoczyło Zaifa w połączeniu z nijaką i mdłą powierzchownością mężczyzny. Bo poza tym zdawał się być niemal klasycznym ślamazarą, co wszak nie wykluczało, że mógł być uparty.

Zaif nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie zainteresował go ów dołeczek w brodzie. Nikt z rodziny Garszyńskich nie miał bowiem takiego. Doktor starał się być na bieżąco z nowinami naukowymi, czytał więc prace Darwina i Mendla o dziedziczeniu, którymi był swego czasu zafascynowany. Dlatego, jak można było się spodziewać, prowadził własne amatorskie obserwacje, z których wynikało, że do cech dziedzicznych należał między innymi dołek w brodzie. Teraz zatem mógł mieć pewność, że młodzieniec nie był członkiem rodziny.

Jego przypuszczenia potwierdził wkrótce pan domu, który przedstawił młodego człowieka jako syna jednego ze swych znajomych, który przyjechał z Niemiec, by poszerzyć wiedzę o rzadkich księgach znajdujących się w księgozbiorach na terenie Wielkopolski, a przy okazji przejrzeć i uporządkować zbiory biblioteczne i kolekcję osobliwości Garszyńskiego. Nazywał się Adam Forster i był tak miły, że oprócz katalogowania książek i kolekcji, pomagał często radcy jako sekretarz. Najwyraźniej chciał się odwdziżyć za gościnę, ale Jezierski podejrzewał, że był zbyt nieśmiały, by odmówić Garszyńskiemu, który z pewnością go wykorzystywał. Młodzieniec nie sprawiał jednak wrażenia zmęczonego czy zastraszonego, przeciwnie, skłonił się grzecznie obu gościom i przywitał całkiem znośną polszczyzną. Na tym właściwie skończyły się ich kontakty, bowiem do końca ich wizyty nie odezwał się już ani słowem.

Salon, do którego ich wprowadzono, przypominał panią domu – pełen dużych, ciężkich mebli o jaskrawych, różnobarwnych obiciach i tak przeładowany wszelkimi bibelotami i ozdóbkami, że obaj goście odczuli gwałtowną potrzebę wyjścia na otwartą przestrzeń.

Po zdawkowo grzecznej rozmowie o bliskim wyjeździe panien do Warszawy, gdzie miały ciotkę, i kilku filizankach niezbyt aromatycznej herbaty, do której podano ogromną ilość wykwintnych cukrów, które goście tylko skubnęli, a domownicy wraz z mniemanym sekretarzem zmiotli z talerzy, pan domu zaprosił ich do gabinetu na cygaro i „coś mocniejszego”. Adam Forster nie dostał zaproszenia, co trochę zdziwiło Jezierskiego, ale pan domu, jakby czytając mu w myślach, wyjaśnił, że młodzieniec tak ciężko ostatnio pracował, iż on, radca, musiał mu tego chwilowo zakazać w obawie o jego zdrowie, zatem teraz dotrzymuje towarzystwa paniom. Wkrótce czekała go bowiem podróż do Dobrzycy, gdzie miał nadzieję przejrzeć bardzo rzadkie księgi z kolekcji Agustyna Gorzeńskiego. Zaif drgnął, słysząc to nazwisko, ale Jezierskiemu nic ono nie mówiło. Podejrzewał za to, że Forster pewnie zemdlał z wyczerpania, zanim jego protektor przypomniał sobie, że to nie darmowy wyrobnik, lecz syn znajomych z towarzystwa, który przyjechał tu studiować.

Gabinet prawnika, choć mniej przeładowany ozdobami, był urządony tak, by robić wrażenie na gościach, a więc: przepastne fotele, niskie stoliki, ogromne, rzeźbione biurko, za nim krzesło przypominające bez mała tron królewski, gabloty pełne prawniczych księzek lub różnych zbytkownych przedmiotów, nawet drobnych dzieł sztuki. Ponadto skóra niedźwiedzia przy kominku, a lamparcia na jednej ze ścian. Inne liczne myśliwskie trofea w stylu głowy łośa, wypchanych ptaków, poroży jelenich, a nawet jakiejś wielkiej spreparowanej ryby wisiały na ścianach ponad gablotami.

Zaif, który sam był minimalistą, a z racji swego zawodu walczył ze śmiercią, omiótł wzrokiem gabinet, ledwie hamując wstręt. Wszędzie wokół martwe zwierzęta! Jakież to obrzydliwe!

Jezierski, przyzwyczajony do pełnych bizantyjskiego przepychu gabinetów rosyjskich dostojników, przy których obecny pałac gubernatora Daragana wydawał się raczej skromny, w ogóle nie zwrócił

na ten wystrój uwagi. Zaniepokoiło to pana domu, nawykłego, że każdy nowy gość wznosił tu okrzyki zachwytu i zadawał mnóstwo pytań na temat pochodzenia oryginalnych ozdób. Mógł go wtedy bawić barwnymi opowieściami na temat tego, jak wszedł w posiadanie danego przedmiotu. Gwoli ścisłości, opowieści były w większości zmyślone przez gospodarza, ale liczyło się tylko to, że dodawały mu splendoru.

Teraz Garszyński zastanawiał się, czy ma do czynienia z prostakami, którzy nie potrafią docenić jego bogactwa i oryginalności, czy też z ludźmi, którzy są bogatsi od niego. Na głupców i prostaków nie wyglądali. O Zaifie wiedział niewiele, poza tym, że jest synem bankiera, więc biedny być nie mógł, chyba że bank Zaifa zbankrutował, ale o niczym takim radca nie słyszał... Miał natomiast informacje o Jezierskim, a mianowicie, że to szara eminencja w pałacu gubernatora i nic nie dzieje się bez jego wiedzy. A teraz podobno tych dwóch często widuje się razem... Wielu obywateli było z tego niezadowolonych, szczególnie tych, którzy nie lubili Żydów. Rosjan też nikt nie lubił, ale oni mieli tę przewagę nad Żydami, że akurat byli przy władzy...

Garszyński nie miał uprzedzeń rasowych, ale nie podobało mu się, że taki młodzik jawnie gardzi jego wypieszczonym sanktuarium. Mimo niechęci zdawał sobie jednak sprawę, iż jego goście należą do najbardziej obecnie wpływowych osób w mieście, co sprawiło, że obrał taktykę uczynnego, jowialnego pana domu. Niemal wychodził ze skóry, by okazać swą chęć pomocy i współpracy, w zależności od oczekiwań dostojnych gości. A że był człowiekiem inteligentnym wprawdzie, lecz próżnym i dość chciwym, który nie zawsze prostą drogą zmierzał do celu, obawiał się niewygodnych pytań, jakie mogłyby paść. Dlatego niemal z ulgą przyjął prośbę Jezierskiego o wyjaśnienie spraw dotyczących świętej pamięci pani Radziejowskiej.

– Ależ oczywiście, zaraz panu objaśnię sytuację materialną wdowy oraz jej dyspozycje zawarte w testamencie! – zawołał i usiadł za biurkiem. – O, proszę, tu mam jego kopię – powiedział, wyciągając z szuflady teczkę z dokumentami. – Przygotowałem się, bo wiedziałem, że po tym dziwnym zgonie, jaki się biedaczce przytrafił, na pewno ktoś przyjdzie o to zapytać.

– Proszę nie czytać nam wszystkiego – poprosił agent do specjalnych

poruczeń. – Mamy zbyt mało czasu. Wystarczy, jeśli streści pan najważniejsze punkty.

– Oczywiście, oczywiście – tu radca prawny zamilkł na chwilę, szybko przebiegając tekst wzrokiem. – Otóż może najpierw wyjaśnię, że pani Radziejowska odziedziczyła po mężu, zresztą moim wieloletnim przyjacielu, całkiem pokaźny majątek. Składały się nań głównie pieniądze w gotowiznie, które doradziłem jej trzymać w banku, oraz nieruchomości w mieście i na wsi. Nieruchomość w mieście to kamienica, w której mieszkała. Oczywiście zajmowała tylko część, resztę budynku już dawno podzielono na odrębne lokale i odnajmowano lokatorom.

– Czy miała kłopoty z jakimś lokatorem? – przerwał mu Jezierski.

– Nie, lokatorami są starsi, zamożni ludzie. O ile wiem, nikt nie zalegał z czynszem, nikt się nie skarżył, nikogo nie trzeba było eksmitować.

– A nieruchomości na wsi?

– To nieduży mająteczek tuż pod Kaliszem, w okolicy wsi Majków. Tam właśnie, przy drodze do Warszówki, znaleziono kiedyś skarb – radca się ożywił, wstał zza biurka, podszedł do jednej z gablot i wyjął jakieś naczynie. – To było w 1865 roku, skarb składał się z ozdób bizantyjskich i monet średniowiecznych, wśród których był denar cesarza Ottona I i takież Ottona III – opowiadał, z lubością przyglądając się trzymanemu w rękę naczyniu. – Znalazły się tam także monety króla Stefana: niemieckie, czeskie i węgierskie. Wszystko znajdowało się w naczyniu z czarnej gliny<sup>31</sup>. Proszę, oto właśnie to naczynie, a w nim monety. Mój ojciec je odkupił. Byłem wtedy dzieckiem i zrobiło to na mnie tak wielkie wrażenie, że sam zacząłem kolekcjonować różne osobliwości i cenne przedmioty. W tej gablocie możecie panowie obejrzeć także... – urwał, widząc zniecierpliwioną minę Jezierskiego. Zaif z twarzą bez wyrazu wpatrywał się w zegarek, który wyjął z kieszonki. Radca pojął aluzję, odstawił szybko naczynie i wrócił za biurko.

– W majątku od dawna nikt nie mieszka, a ziemię i inwentarz oddano w dzierżawę – rzekł, wracając do tematu wdowy. – Z tego tytułu pani Radziejowska miała całkiem przyzwoity dodatkowy dochód.

– Bizuteria? Wartościowe przedmioty? – zapytał Jezierski.

Na wzmiankę o bizuterii radca tęsknie spojrział na gablotę, w której

spoczywał skarb.

– Istotnie, wdowa miała piękną biżuterię, ale nie wiem, czy trzymała ją w domu, czy w banku. W salonie była specjalnie wzmocniana kasetka wmurowana w ścianę. Zakryto ją obrazem, a konkretnie portretem Jana Antoniego Bajera. Wiem, że tam pani Radziejowska trzymała biżuterię, a przynajmniej jej część.

– Ten Bajer to jakiś krewny wdowy lub jej męża? – zapytał Jezierski, choć świetnie pamiętał z wyjaśnień Zaifa, że był to poprzedni właściciel, który odbudował swą kamienicę, adaptując ją dla potrzeb kaliskiego wolnomularstwa.

– Cóż, prawdę mówiąc, nie wiem – radca wyglądał na odrobinę zmieszanego. – Nie wydaje mi się jednak. Mąż pani Radziejowskiej kupił tę kamienicę od rodziny Bajerów, więc może i obraz także. Co nie znaczy, że nie mógł być krewnym. Doprawdy, nie umiem panu odpowiedzieć. Co do innych wartościowych przedmiotów, to też nic mi na ten temat nie wiadomo. Oczywiście meble i inne sprzęty można zapewne sprzedać, uzyskując niezłą sumkę.

– A kto dziedziczy po pani Radziejowskiej?

– Testament nie precyzuje tego dokładnie, bowiem pani Radziejowska nie miała, jak się zdaje, żadnej bliskiej rodziny, nie znała także dobrze rodziny męża. W dokumencie jest zatem zapis „dla najbliższego krewnego, który to udokumentuje”.

– To jak pan znajdzie takiego krewnego?

– Dam ogłoszenie w prasie. To normalna i dość częsta praktyka w naszym zawodzie. Zazwyczaj wyznacza się przy tym okres zgłaszania roszczeń. W przypadku pani Radziejowskiej upływa on po roku od momentu ukazania się pierwszych ogłoszeń.

– A jeśli nikt się nie zgłosi?

– Wtedy majątek trafia na licytację, a dochód do skarbu państwa.

– Czy pan coś dziedziczy po wdowie? Podobno przyjaźniliście się i wdowa bardzo ceniła pańską opiekę nad nią i jej majątkiem... – wtrącił niespodziewanie Zaif, który do tej pory milczał. Garszyński zaczerwienił się, ale spokojnie wyjaśnił:

– Mam prawo do wyboru kilku przedmiotów z jej majątku,

nieprzekraczających kwoty tysiąca rubli. Dotyczy to tylko ruchomości, rzecz jasna.

– To wcale nie mała suma – zauważył Jezierski.

– Jestem człowiekiem majątnym i niczego mi nie brakuje – stwierdził sucho radca. – Ale żeby do końca zaspokoić pańską ciekawość, powiem, że chciałem odkupić od wdowy stary kufer z książkami, więc gdybym coś zdecydował się w końcu wybrać, byłby to właśnie on. Może jeszcze coś z biblioteki jej męża. Zapewniam pana jednak, że wszystkie te książki nie są warte nawet połowy kwoty, którą wymieniłem. Poza tym wdowa za życia wystarczająco dobrze płaciła za moje usługi prawne. Jeśli to wszystko...

– Mam jeszcze jedno pytanie – przerwał mu bezceremonialnie agent do specjalnych poruczeń, wyciągając z kieszeni pokaźnych rozmiarów kopertę. – Nie dotyczy ono spraw pani Radziejowskiej, tu już pan wszystko jasno nam wyłożył. Mam tu jednak coś, czego nie rozumiem, a w czym, jak przypuszczam, pan będzie mógł mi pomóc.

Z tymi słowy wyjął z koperty litografię Ehentrauta przedstawiającą gmach dawnej loży masonskiej. Odwrócił kartę i pokazał radcy napis oraz adnotację. Zauważył, że Garszyński wyraźnie zbladł na ten widok, a po chwili wyjął chustkę i starannie otarł zroszone potem czoło i zaczątki łysiny.

– To przywołuje bardzo bolesne w mej rodzinie wspomnienia – powiedział wreszcie radca słabym głosem. Oczy biegały mu niespokojnie na boki, jakby chciał sprawdzić, czy gdzieś w kącie nie czai się jakiś złoczyńca, dybiący na jego życie.

– Jak zatem rozumiem, jest tu mowa o pańskich krewnych?

– Istotnie. Chodzi zapewne o mego dziada, Józefa Garszyńskiego, który był sędzią trybunału, oraz o jego brata, Franciszka, właściciela farbiarni, który mieszkał na stałe we Wrocławiu. Boże, jakże przerażających słów ktoś użył! Nazwali go diabłem, choć był to człowiek bardzo uczciwy i pracowity, a przy tym filantrop. Mordercy! Zwykli mordercy! – krzyknął wzburzony radca, uderzając pięścią w blat biurka.

– Czy może mi pan wyjaśnić, o co chodziło?

– A jaki to ma związek ze śmiercią pani Radziejowskiej? – zareplikował

Garszyński, który po krótkim wybuchu emocji zdawał się powrócić już do siebie. – To rodzinne sprawy, niechętnie o nich mówię.

– Nie wiem, czy ma to jakiś związek z wdową lub jej śmiercią, ale litografię znalazłem w jej domu i chciałbym to wyjaśnić. Choćby po to, by móc ten aspekt ostatecznie wykluczyć ze śledztwa i zająć się innym tropem – wyjaśnił łagodnym głosem Jezierski.

– Ależ to sprawa sprzed sześćdziesięciu lat! – wykrzyknął radca. – Jakież może mieć związek z dzisiejszymi czasy?

– Choćby przez pana nazwisko i fakt, że niedawno szukano u wdowy pamiątek po masonach.

– Jak?! Co?! Kto szukał?! – Garszyński zerwał się z za biurka, spostrzegłszy jednak zaciekawienie w oczach gości, szybko usiadł z powrotem, wyraźnie starając się uspokoić. – Nic o tym nie wiem – dodał słabym głosem.

– To, wybaczy pan, pana nie dotyczy – stalowy ton głosu Jezierskiego nie miał w sobie nic z poprzedniej łagodności. – Jeśli wdowa nie rozmawiała z panem na ten temat, ja tym bardziej nie mogę osobom postronnym zdradzać tajemnic śledztwa. Rozumie pan to, jak mniemam?

– Oczywiście, oczywiście – przytaknął skwapliwie radca, choć jego oczy zdradzały, że ma zgoła odmienne zdanie na ten temat.

– Proszę mi zatem łaskawie odpowiedzieć na pytanie i wyjaśnić związki swojej rodziny z masonami – Jezierski znów stał się człowiekiem, którego można do rany przyłożyć. – Ostatnio ciągle się na nich natykam, a nie mam prawie żadnej wiedzy na ten temat.

– No cóż... Właściwie to żadna tajemnica, lecz tragiczna karta w historii rodziny, przekazywanej z ojca na syna. Już po kasacji łóż masońskich na terenie imperium rosyjskiego, a więc i w Polsce, wielu ich członków nadal się spotykało, co oczywiście nie podobało się ich przeciwnikom... Pan wie, że masoni mieli zajadłych wrogów, głównie wśród kleru i jego owieczek? – przerwał Garszyński. Jezierski skinął głową, więc radca kontynuował. – Jak już mówiłem, mój dziad, Józef Garszyński, został członkiem kaliskiej loży na jakieś dwa lata przed kasacją. Miał stopień czeladnika. Wciągnął go w to jego brat, Franciszek,

który we Wrocławiu od dawna był członkiem którejs z niemieckich łóż mniej znanego rytu szwedzkiego<sup>32</sup>. Wrocław, jako że podlega teraz zwierzchności niemieckiej, to dla nas już zagranica. A co do rytu szwedzkiego...

– Mniejsza na razie o szczegóły – pospiesznie wtrącił Jezierski, przestraszony perspektywą długiego i nudnego wykładu o lichu wie czym, co wywołało dyskretny uśmiech na twarzy milczącego Zaifa.

Radca Garszyński łypnął niechętnym okiem na agenta, gdyż nie lubił, by mu przerywano wypowiedź, ale zrezygnował z reprimendy dla niesfornego rozmówcy.

– Wystarczy jak powiem, że brat dziadka miał dużo wyższy stopień w loży, był chyba Bratem Oświeconym...

– Mniejsza z tym – przerwał mu powtórnie zniecierpliwiony już Jezierski. W ostatniej chwili opanował się i nieco złagodził swą niezbyt grzeczną wypowiedź. – Niech pan łaskawie przejdzie do sedna sprawy, bo choć pańska opowieść jest niezwykle ciekawa, muszę niestety wkrótce pana opuścić. Obowiązki, sam pan rozumie. Z przyjemnością jednak wysłucham tej historii w bardziej sprzyjających okolicznościach, gdyż, jak widzę, jest pan prawdziwym znawcą masonerii.

Udobruchany prawnik rozchmurzył się i po raz kolejny podjął opowieść.

– No cóż, trochę się na tym znam – przyznał z zadowoleniem. – Oczywiście sam masonem nie jestem, broń Boże! Ale zbieram różne rzeczy z nimi związane, przez pamięć dla moich przodków... I nie ma w Kaliszu nikogo, kto miałby taką kolekcję... – urwał raptownie, widząc wściekły wzrok agenta i spiesznie wrócił do tematu. – W tej starej historii chodziło o to, że najwidoczniej ktoś musiał się dowiedzieć, że brat dziadka też jest masonem, i to nie byle jakim. Uznał widać, że masoni nadal działają, chociaż nielegalnie, i postanowił to ukrócić. Szkoda, że sam postąpił równie nielegalnie i zamiast donieść o tym władzom, postanowił masonów zabić. Znalezione ich obu martwych pewnego dnia o świcie na ulicy Browarnej, w pobliżu rzeki. Ktoś ich zasztyletował, ale nie tylko... To okropne!...

– Tak?



– Wycięto im języki i przebito gwoździami ręce i nogi, jakby w imitacji ukrzyżowania...

Garszyński przerwał i otarł twarz chusteczką. Jezierski z Zaifem popatrzyli na siebie zaskoczeni.

– To rzeczywiście bardzo brutalna zbrodnia – przyznał łagodniejszym tonem Jezierski. – Czy znaleziono sprawców?

– Niestety nie – Garszyński uśmiechnął się gorzko. – Nigdy nie wykryto, kto to zrobił. Mój ojciec długo prowadził własne śledztwo, wynajmował prywatnych detektywów, dawał, cóż, mówiąc wprost, łapówki różnym urzędnikom, policjantom, ale absolutnie nic nie wskórał. Miał oczywiście własne podejrzenia, ale sam pan rozumie – podejrzenia bez dowodów są nic nie warte.

– Wnioskuje zatem, że pański ojciec nie usiłował wymierzyć sprawiedliwości na własną rękę?

– Skądże! Zapewniam pana, że to nie leżało w jego naturze. To był łagodny, schorowany człowiek. Chciał tylko poznać prawdę o śmierci ojca, to wszystko. Nawet nie sądzę, by zamierzał kogoś stawiać przed wymiarem sprawiedliwości, choćby i zdobył obciążające dowody.

– Tak, to ciekawa i zarazem niezwykle tragiczna historia – przyznał Jezierski, wstając. Zaif i radca wstali również. – Opowiedział ją panu ojciec? Może wymienił nazwisko tego, kogo podejrzewał?

– Niezupełnie – radca się zaczerwienił. – Za życia nigdy nie napomknął ani słowem, kogo podejrzewa. Dopiero gdy majaczył na łożu śmierci, w gorączce wymknęło mu się, kogo o to posądza, ale nie wprost. Nie wymienił żadnych nazwisk. Dopiero po jego śmierci znalazłem trochę jego zapisków w starych kalendarzach. Nawet zdziwiło mnie, że ich nie wyrzucił. Przejrzałem je, ale tam też nie było żadnych nazwisk, tylko opisy.

Przy ostatnim zdaniu oczy prawnika raptownie uciekły w prawo, więc nauczony wieloletnim doświadczeniem Jezierski natychmiast się zorientował, że ów kłamie. Uznał jednak, że skoro sprawa miała miejsce sześćdziesiąt lat wcześniej, nie było sensu naciskać. W końcu, na co mu byłyby te nazwiska? Pewnie żyli jeszcze potomkowie tych osób, być może prawi teraz i uczciwi ludzie, którym radca nie chciał rujnować życia

wywleczeniem na światło dzienne historii, świadczącej o tym, że któryś z ich przodków był zbrodniarzem. Zamiast tego postanowił zakończyć rozmowę.

– Jestem panu niezmiernie zobowiązany za poświęcony nam czas i cierpliwość – oświadczył kurtuazyjnie. – Mam nadzieję, że nie uzna mnie pan za natręta, jeśli zdarzy mi się zgłosić do pana z jakimś jeszcze pytaniem? I jeszcze jedno. Jak zrozumiałem, nikt się do pana nie zwrócił, jak do pani Radziejowskiej, z propozycją kupna pamiątek po masonach?

– Nie – odparł radca.

– To trochę dziwne, nie sądzi pan? Wszak ma pan, jak zrozumiałem, największą kolekcję w mieście?

– Dlatego byłem bardzo zdziwiony, gdy mi pan o tym wspomniał. Ale może ten ktoś dowiedział się, że nigdy bym nie sprzedał swojej kolekcji. W Kaliszu wszyscy to wiedzą. Sentyment rodzinny, rozumie pan.

– Tak – przyznał agent. – A czy może próbowano włamać się do pana ostatnimi czasy?

– Nie – zdumienie radcy pogłębiło się. – Ale to mnie nie dziwi, bo mam naprawdę solidne drzwi, okna i zamki, a i w domu niemal zawsze ktoś jest.

– A czytał pan może ogłoszenie w miejscowej prasie, że ktoś skupuje takie pamiątki?

– Chyba tak, coś mi się kojarzy. Ale nie byłem zainteresowany. Ja już dawno przejrzałem w Kaliszu i najbliższej okolicy wszystko, co było do obejrzenia w tej materii, i kupiłem, co mi odpowiadało – dodał z dumą. – Nie sądzę, by nagle pojawiło się coś nowego.

– Oczywiście – powiedział agent na głos, a w duchu dodał „możesz się jeszcze zdziwić”. Po czym agent i doktor uścisnęli prawnikowi dłoń, a następnie po krótkich ceremoniach pożegnalnych z jego małżonką, która chciała ich zatrzymać jeszcze „na herbatkę”, udało im się wyjść.

– Uff – Jezierski westchnął z ulgą. – Co za gadatliwa rodzina! Gdybym mu pozwolił, to by nas zamęczył tymi masońskimi... rytami, tak?

– Tak – uśmiechnął się Zaif.

– Pan wie, co to jest ryt szwedzki?

– Tak.

– Przynajmniej nie próbuje mi pan dawać wykładu. A są jakieś inne ryty?

– Tak.

– Ależ pan powściągliwy. Tylko „tak” lub „nie”! Przynajmniej krótko.

– Oszczędzam pański czas. Przed chwilą narzekał pan na gadatliwość swojego interlokutora.

– Ma pan rację. Bierzmy lepiej tę nadjeżdżającą dorożkę i jedźmy do mojego gabinetu, mam dla pana nowiny – machnął ręką i pojazd zatrzymał się przed nimi.

– Ja też.

– Pan też? – agent tak się zdumiał, że przystanął w pół kroku.

– Zanim jednak do nich przejdę – powiedział Zaif, sadowiąc się tymczasem wygodnie w dorożce – chciałem zwrócić panu uwagę, że mówiono, iż ten młody człowiek, Forster, wybiera się do Dobrzycy. Słyszał pan?

– Tak – odparł agent, nadal zdziwiony, po czym zwrócił się do woźnicy: – Do pałacu gubernatora, a żywo! – i znów do Zaifa: – To ważne?

– Nie mam pojęcia. Tyle że w Dobrzycy mieścił się kiedyś bardzo znany ośrodek masonerii w Polsce. Ciekawy zbieg okoliczności, prawda?

– Tak – zgodził się Jezierski, w zamyśleniu trąc podbródek, co było jego cechą charakterystyczną, jak już Zaif zdążył zauważyć. – To dziwne, że prawie wszystko w jakiś sposób kręci się wokół masonerii. Zobaczymy, czy coś z tego wyniknie, czy też to zwykły zbieg okoliczności. W końcu chłopak przyjechał studiować jakieś rzadkie księgi, więc nie byłoby nic dziwnego, gdyby odwiedzał takie miejsca jak ta Dobrzyca. A co z pańskimi nowinami?

– Miałem panu nie mówić – zaczął niepewnie Zaif, rumieniąc się niespodziewanie, co natychmiast wzbudziło czujność agenta. – Ale mój pomocnik... Pamięta pan Stasia Małyszkę? No więc właśnie on mi nie daje spokoju i grozi, że sam panu powie, jeśli ja tego nie zrobię...

– Zaciekawiał mnie pan, doktorze! Co pan zbroił?

Zaif był coraz bardziej zmieszany.

– Nic. Po prostu... No... Chyba ktoś...

– Wal pan prosto z mostu – poradził mu po przyjacielsku Jezierski.  
Lekarz jeszcze chwilę milczał, wreszcie wyrzucił z siebie:  
– Chyba ktoś próbował mnie zabić.  
– Żartuje pan?! – twarz agenta natychmiast przybrała poważny wyraz.  
– Jest pan pewien?

– Nie. Byłem tak zamyślony, że nic nie zauważyłem. Akurat wracałem od pana i zamyśliłem się nad... – Zaif zająknął się i oblał krwistym rumieńcem. – Nad tym wynalazkiem, telefonem, kiedy nagle ktoś mnie popchnął i przewrócił na trotuar. Okazało się, że to Stasiek. Powiedział, że jadący szybko powóz nagle skręcił z ulicy i wjechał na trotuar, pędząc prosto w moją stronę i gdyby mnie nie odepchnął, zgniółby mnie. Faktycznie, jakiś powóz oddalał się od nas ze znaczną prędkością, ale widziałem tylko jego tył i nic poza tym.

– To poważna sprawa, doktorze – powiedział zamyślony Jezierski, szorując podbródek. – Obawiam się, że komuś jest bardzo nie na rękę fakt, że odkrył pan dwa morderstwa, które ktoś upozorował na wypadek. A skoro postanowił pana zabić, to mam wrażenie, że planuje kolejne zabójstwa.

– Może to tylko z zemsty...

– Nie, nie – przerwał mu niecierpliwie agent. – Po co mu zabijać pana po fakcie, czyli po tym, jak już pan odkrył, że to były morderstwa? Przedtem, to rozumiem, wtedy nikt by może nie doszedł prawdy. Ale tak, to... Jak wy to mówicie? Majonez po obiedzie, tak?

– Musztarda – poprawił Zaif, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

– Właśnie. Dlatego moim zdaniem nasz morderca jeszcze nie skończył. Ciekawy jestem tylko, czy ma jakiś konkretny plan, czy też działa na oślep.

– Jedno nie wyklucza drugiego – powiedział flegmatycznie medyk. Agent spojrzał na niego z uwagą.

– Ma pan na myśli, że zaplanował wszystkie działania, ale nie wie, kogo będzie musiał sprzątnąć? – zapytał z niedowierzaniem.

– Sam pan kiedyś powiedział, że on czegoś szuka. A jak szuka, to znaczy, że nie wie, gdzie to jest i kto to może mieć. Ma więc wytyczony cel, ale sposób realizacji dopasowuje do sytuacji.

Mimo ponagleń pasażerów dorożkarz najwyraźniej postanowił się nie spieszyć. Agent uznał, że widać w wieku, w jakim był fiakier, nie czuł już takiej potrzeby. Bo faktycznie był to człek już dość stary, siwy, z sumiastymi wąsiskami i w czapce z daszkiem. Całkowicie głuchy na przynaglenia, pykał fajkę, z rozmarzeniem spoglądając na delikatny woal zieleni okrywający drzewa i krzewy. Jezierski westchnął z rezygnacją i zaprzestał wysiłków, by skłonić starego do zwawszej jazdy. Powrócił więc do rozmowy z doktorem.

– Z tego, co pan mówi, wynika, że zabójca nie ma planu – stwierdził triumfalnie.

– Powiedzmy, że ma plan ogólny.

– Piękna wiosna, co nie? – z nagłą zapytał przyjaźnie dorożkarz, w ogóle nie zauważając konsternacji zaskoczonych jego nagłym wtrętem mężczyzn. – Gdzie to miałim jechać?

– Do pałacu gubernatora – przypomniał Jezierski ze stoickim spokojem, mrugając do krztuszącego się ze śmiechu Zaifa.

– Piękna wiosna! – powtórzył fiakier. – Moja stara co wieczór tera słowików słucha, a te bestie tak się dra, że całkiem spać nie mogę! Panowie młodzi, to pewno wam tera amory w głowie... Pewnie jedzieta do urzędu ślub załatwiać? A któryż z was to pan młody, boć to nie wiek tu ważny...

Podczas tej niespodziewanej tyrady woźnica wstrząsała lejcami. Nagle koń lekko się spłoszył na widok postaci biegnącej ku nim szybko i z głośnym tupotem, już z daleka wymachującej rękami.

– Ki diabeł? – zdziwił się dorożkarz, wstrzymując konia.

Był to Jasiek Poraj. Gdy ich dopadł, chwycił się dorożki i tylko dyszał zmęczony, nie mogąc wykrztusić słowa. Jezierski kazał woźnicy czekać, a sam wysiadł i poprowadził chłopaka do stojącej w pobliżu ławeczki. Zaif został w dorożce, ale dorożkarz szybko się zorientował, że z tym klientem pogadać się nie da, bo odpowiadał monosylabami. Znudzony wyciągnął więc zza pazuchy pomiętą gazetę i zaczął ją sylabizować, głośno komentując niemal wszystko, co przeczytał. Lekturę zaczął od nekrologów.

– *Świętej pamięci Emil Scholtz zmarł zeszłej soboty w Landeck, dokąd*

jeździł dla poratowania zdrowia. Szkoda zbyt wczesnie zgasłego młodego życia – przeczytał na głos. – Trele-morele! – zawołał. – Nie zmarł, jeno zginął w pojedynku! O narzeczoną się, panie, pojedynkował! Wiem, bo moja stara służy u jego przyjaciela, którego był jego sekundnikiem. Tylko że rodzina, panie, bała się skandału i dlatego takie bajdy wypisują w gazecie. Ludziom, panie, oczu nie zamydliś i tak swoje wiedzą, panie. I gadają, panie, że drugim konkurentem do ręki tej panny był jego młodszy brat, Teodor! A obaj to bracia tego sławnego podróżnika, panie. O, to wielki Polak, panie. Teraz, panie, nazywa się Szolc-Rogoziński. Słyszałeś pan o nim?

– Byłem na jego odczytanie<sup>33</sup>, gdy organizował wyprawę do Afryki – odpowiedział Zaif, widząc, że starego najwyraźniej nie zraża milczenie i będzie go tak długo pytał, aż uzyska jakąkolwiek odpowiedź.

– Tak, panie, pamiętam. A żywego Sienkiewicza pan widziałeś?!<sup>34</sup> Jeden i drugi tyle przygód mieli na tych cudzoziemskich łąkach! Sami wśród tych dzikusów w puszczy! Myślisz, panie, że te Murzyny faktycznie są takie czarne?

– Zapewne – odparł Zaif zdawkowo, chcąc uniknąć jałowej dyskusji z laikiem na temat ras ludzkich. Na jego szczęście już inna informacja przyciągnęła wzrok dorożkarza. Pociągając nosem i odkaszłując, dukał półgłosem.

– W Kaliszu wprowadzono zasadę badania pod mikroskopem mięsa pochodzącego z uboju<sup>35</sup>. Hm, co to jest ten misz-ko-prop? – zadziwił się na głos. – Znowu coś, panie, wymyślili, nie wiadomo co. Przedtem żadnych misz-ko-takich tam nie było i dobrze. A jak chciałeś pan mięso zbadać, to je brałeś do gęby i kwita! Taki masarz na przykład, wiem, bo szwagier sam robi kiełbasy, to musi, panie, czysty spiryt pić! Uważasz pan? Musi! Wtedy żadne świństwo mu się nie przyplącze z tego surowego mięsa... O, a tu co mamy? Słuchaj pan: *Przedmiotem szczególnego zainteresowania parkowych spacerowiczów są budujące się obecnie ruiny na nowo usypanym wzgórzu. W murach owych ruin ma być urządzony taras, z którego widok na park i rzekę będzie bardzo rozległy*<sup>36</sup>. Wszystko to staraniem gubernatora Michała Daragana.

Tu stary znów się odwrócił w stronę milczącego pasażera, który na zmianę wpatrywał się to w zegarek na łańcuszku, który wyjmował z kieszonki kamizelki, to w swojego towarzysza pogrążonego w rozmowie z tym dziko wymachującym młodzieńcem. Niezrażony woźnica zwrócił się znów do Zaifa:

– Udał nam się ten gubernator, panie! I chociaż on ruski, to złego słowa na niego nie powiem. Mój drugi szwagier, panie, jest strażnikiem w parku, to mówił, jak na własne oczy widział rzecz taką. Onegdaj jeden z ogrodników zaczął sobie nucić „Mazurka Dąbrowskiego”, a tu akurat gubernator idzie na spacer! To wielki pan, panie, łaskawy, nie żaden służbista, więc zwyczajnie udał, że nie słyszy. No, ale i ten Władek, ogrodnik znaczy się, nie w ciemną bity, panie, więc dokończył to, co zaczął, własnymi słowami: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki Daragan żyje”. Nie w ciemną bity, co, panie?

Zaifowi została oszczędzona konieczność udzielenia odpowiedzi, bo do dorożki wskoczył Jezierski z poważną twarzą, każąc woźnicy natychmiast jechać do pałacu gubernatora. Tym razem ruszyli nieco energiczniej, a Jasiek gdzieś zniknął. Młody medyk nie mógł powstrzymać ciekawości i szeptem zapytał zamysłonego agenta:

– Co się stało?

Jezierski spojrzał na niego i Zaif ze zdumieniem zauważył, że na twarzy radcy wyraźnie maluje się wzburzenie.

– Kolejne morderstwo. Tym razem w kościele Franciszkanów. Zabito dwóch księży. Obaj byli przed śmiercią okrutnie torturowani.

Zaifowi odebrało mowę.

– Muszę szybko zawiadomić jego ekszelencję, bo wkrótce wrzawa się zrobi w mieście, że hej! Pod samym nosem policji!<sup>37</sup> I niedaleko mieszkania, które wynajmuję!

– To straszne – wykrztusił doktor, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

Jezierski jednak nie oczekiwał od niego słów, lecz czynów.

– Musi pan ze mną jechać do kościoła. Pan ma bystre oko, na pewno zauważy pan coś użytecznego. Ale najpierw – do pałacu!

# Rozdział 7

W pałacu gubernatora Zaif przekonał się, że agent rzeczywiście dysponuje ogromną władzą. Tym bardziej wzrósł jego podziw, gdyż, jak zauważył, na co dzień Jezierski prawie w ogóle z niej nie korzystał. Teraz wszelako wydawał szybkie polecenia takim tonem, że cała służba zwijała się jak w ukropie. Nikt nie śmiał protestować nawet wtedy, gdy Jezierski nakazał przerwać gubernatorowi spotkanie z jakimiś gośćmi. Lekarz nie wiedział, co ze sobą zrobić, ale agent pamiętał o wszystkim. Poleciał Jacentemu zaprowadzić medyka do swojego gabinetu i przysłać mu obiad.

– Niech pan się dobrze pożywi – przerwał stanowczo protesty Zaifa – bo nie wiadomo, kiedy dzisiaj pan coś zje. Będziemy bardzo zajęci, proszę mi wierzyć.

W tym momencie w głębi korytarza otworzyły się jakieś drzwi – doktor nie miał pojęcia, dokąd prowadziły – i ukazała się w nich córka gubernatora. Jadąc tu, Zaif nawet nie śmiał marzyć, że znów zobaczy swe bóstwo. Los był jednak dla niego łaskawy, bo panna nie dość, że się nie oddaliła, to wręcz przeciwnie, podeszła do nich.

– Walery Konstantynowiczu – zwróciła się do agenta. – Co się tu dzieje?

– Wybacz, Anno, ale nie mam teraz czasu. Doktor na pewno chętnie ci wszystko wyjaśni. Idźcie do mojego gabinetu i przypilnuj, żeby zjadł obiad. Później nie będzie miał na to czasu.

Oszołomiony Zaif jak w transie podążył za swoją boginią i kamerdynerem. Niczego nie dostrzegał, był ślepy na otoczenie, poza widokiem tej zjawiskowej postaci, która w swej błękitnej jak niebo sukni jeszcze bardziej przypominała mu anioła.

W gabinecie zasiedli w oddalonych od siebie fotelach i zapadła niezręczna cisza. Młody lekarz gorączkowo szukał w myślach jakiegoś błyskotliwego zdania, którym mógłby olśnić tę cudowną istotę, ale jak zwykle w takich sytuacjach, w głowie miał całkowitą pustkę. W rezultacie



rozmowę zaczęła panna, którą widok nieszczęśliwego wyraźnie Zaifa rozbawił. Zapomniawszy więc o początkowej nieśmiałości, zapytała:

– Pan teraz tyle czasu spędza z naszym Walerym Konstantynowiczem, że w ogóle już go nie widzimy. No, może papa. Nie moglibyście panowie częściej przychodzić do nas? Chętnie wysłuchamy najnowszych wieści i na pewno dochowamy tajemnicy. Walery Konstantynowicz wie o tym dobrze!

Jej słowa oprzytomniły zapatrzonego w nią medyka na tyle, że zdołał sensownie odpowiedzieć.

– Ależ to nie zależy ode mnie. Jestem tylko zwykłym lekarzem, który dopiero niedawno rozpoczął praktykę...

– Nieprawda, Walery Konstantynowicz powiedział nam, że jeszcze nie spotkał tak bystrego człowieka i w dodatku lekarza, który tak by się znał na swoim fachu!

Zaif spłonął rumieńcem, odczuwając głęboką wdzięczność dla agenta, a też zaskoczenie, gdyż nie miał pojęcia, że tamten tak wysoko go ceni.

– To oczywista przesada, na pewno Walery Konstantynowicz żartował sobie – zaprotestował.

– Wcale nie żartował. Był poważny, bo opowiadał papie o tych morderstwach. A właśnie, czy mógłby mi pan wyjaśnić, co się dziś stało, że tak wszystkich pogania?

– No cóż, sam nie znam szczegółów. Wiem tylko tyle, że doszło do dwóch kolejnych zabójstw.

– Och, to straszne! – Anna przyłożyła chusteczkę do ust. – Papa bardzo się zmartwi. Czy wie pan, kto zginął?

– Dwaj mnisi z zakonu Franciszkanów – odrzekł powściągliwie Zaif. Informacji o torturach postanowił wcale nie ujawniać. W ogóle mu się nie podobała rozmowa o zbrodni z tą piękną dziewczyną, zdecydowanie wolałby mówić z nią o czymś innym. Panna chyba wyczuła jego rozterki, bo sama zmieniła temat.

– Walery Konstantynowicz pewnie jeszcze jakiś czas zabawi u papy, więc może mi pan opowie trochę o tych odciskach palców? – poprosiła nieśmiało.

Zaif był jej wdzięczny za zmianę tematu, poza tym fakt, że pamiętała

o jego zainteresowaniu tą kwestią, bardzo mu pochlebił. W jego serce wkradł się cień nadziei, że może Anna go chociaż polubi. O większym uczuciu nie śmiał marzyć, bo w tym względzie, jak by nie patrzeć, jego sytuacja była beznadziejna. Pomijając fakt, że Anna była córką gubernatora, a on zwykłym, choć bogatym lekarzem i synem bankiera, pozostawała jeszcze kwestia narodowości i religii. Rosjanka i z pewnością prawosławna z jednej strony, a z drugiej polski Żyd... Zaif westchnął. Szkoda gadać! W takiej sytuacji odciski palców wydawały się zdecydowanie bezpieczniejszym tematem.

– Nie wiem, co pani wiadomo na ten temat... – zaczął, ale Anna zaraz mu przerwała.

– Właściwie to nic nie wiem. Tylko tyle, co powiedział pan ostatnio. Najlepiej, jak mi pan wyłoży wszystko po kolei.

– Historia rzeczywiście jest ciekawa – zapalił się. – Po pierwsze, jak to często z odkryciami bywa, na ten sam pomysł wpadło niezależnie od siebie dwóch różnych ludzi mieszkających w różnych częściach świata. Traf chciał, że obu poznali osobiście moi koledzy ze studiów, z którymi do dziś utrzymuję kontakt. Porozrzucano nas po świecie, ale dzięki wymianie listów orientujemy się na bieżąco w różnych nowościach naukowych. I tak się złożyło, że jeden z nich leczył w Indiach pewnego angielskiego urzędnika, od wielu lat chorującego na malarię i biegunkę amebową. Nazywał się ów pacjent William Herschel. I on to opowiedział kiedyś mojemu przyjacielowi, że wynalazł świetny sposób identyfikacji ludzi, a nawet opracował monografię na ten temat. Zmusiła go do tego konieczność, bowiem Hindusi ciągle podszywali się pod nieżyjących krewnych, by pobierać ich należności, nie wywiązywali się z umów, udając, że ich nie zawarli, i tak dalej. Tak to w końcu zirytowało owego Herschela, że za którymś razem kazał jednemu z tych hinduskich petentów odcisnąć ślady palców poczernionych tuszem pod dokumentem. Miał to być jakoby tajemniczy rytuał, który by zmusił leniwego, lecz zarazem zabobonnego Hindusa do wypełnienia zobowiązań. Wtedy też zwrócił uwagę na linie, które odbiły się na papierze. Odtąd zaczął regularnie zdejmować odciski palców w specjalnie do tego celu przeznaczonym notesie zatytułowanym „Znaki ręki” i zauważył, że żaden

odcisk się nie powtarza.

– Naprawdę się nie powtarzają?

– Naprawdę. Prawdopodobieństwo, że dwóch ludzi ma takie same odciski palców, wynosi 1 do 64 000 000 000. Podejrzewam zresztą, że może to dotyczyć bliźniąt jednojajowych, ale nie udało mi się jeszcze tego sprawdzić. Nie znam żadnych bliźniąt.

Anna uśmiechnęła się tajemniczo.

– To naprawdę fascynująca historia! I co dalej stało się z tym Anglikiem?

– Wysłał nawet list do naczelnika więzienia w Bengalu, wyjaśniając swą prostą metodę identyfikacji, która ukróciłaby wszelkie oszustwa w tej materii, ale w grzecznej odpowiedzi nie było śladu zainteresowania jego metodą. Właściwie naczelnik uznał ją za rezultat niedomagań Herschela, który faktycznie był wtedy bardzo osłabiony chorobą. Tak go to przybiło, że przez kilka następnych lat w ogóle nie zajmował się swoim odkryciem, aż do roku bodajże 1880, kiedy to wrócił do Anglii i przeczytał w „Nature” list na ten sam temat autorstwa pewnego Szkota. Wtedy sam napisał do redakcji, że w Indiach ze dwadzieścia lat wcześniej sporządzał odciski palców i używał ich w różnych celach, ale zły stan zdrowia spowodował, że nigdzie tego nie opublikował.

Zaif zamilkł na chwilę i zerknął na Annę, żeby sprawdzić, czy nie jest znudzona. Słuchała go jednak z wielką uwagą i teraz wtrąciła:

– To musiało być przykre dla tego Anglika, że ktoś przed nim opublikował coś, co sam odkrył tak dawno!

– Z pewnością, ale sam sobie był po trosze winien. Zbyt łatwo się zniechęcił. Jego szkocki rywal, Henry Faulds, uświadomił sobie znaczenie odcisków palców także za granicą. Przebywał wówczas w Japonii, ale nie przeszkodziło mu to napisać do „Nature”, by podzielić się swoimi spostrzeżeniami. Podobno pierwszy raz zwrócił uwagę na odciski palców oglądając starożytne skorupy gliniane, na których dostrzegł ślady palców twórcy. Porównał je z nowo sporządzonymi odciskami i tak go to zafascynowało, że zaczął dogłębnie studiować ten problem. Zauważył między innymi, że odciski nie zmieniają się przez całe życie, więc o wiele pewniej można kogoś rozpoznać tym sposobem, niż na przykład

posługując się fotografią.

Anna przyglądała się swoim dłoniom, co wywołało u młodego lekarza pełen czułości uśmiech, choć w ogóle nie zdał sobie z tego sprawy.

– Czy może pan sporządzić odciski także moich palców? I mojej siostry dla porównania? – zapytała z ciekawością. – Może pan sprawdzić swoją teorię, bo jesteśmy bliźniaczkami, choć nie bardzo do siebie podobnymi.

– Zapewne nie jednojajowymi – automatycznie uznał zaskoczony Zaif. Nigdy by nie przypuszczał, że siostry są bliźniaczkami, tak odmienne mu się wydały. Doszedł do wniosku, że to za sprawą różnic w usposobieniu dziewcząt.

– Chyba nie – zgodziła się z nim Anna, śmiejąc się przy tym uroczo.

– Oczywiście. Tylko muszę mieć ze sobą mój specjalny zestaw. Jest w nim tusz, zmywacz, szmatki do wycierania oraz specjalne fiszki, bo jak sobie zapewne zdaje pani sprawę, wszystkie zebrane odciski trzeba odpowiednio przechowywać i segregować, żeby potem móc szybko odnaleźć odpowiednią kartę do porównania. Przyznam, że na razie to stanowi chyba największy problem i jeszcze nie wpadłem na odpowiedni sposób katalogowania odcisków.

– Na pewno pan sobie poradzi – powiedziała Anna z przekonaniem. – Pan jest taki mądry...

Jakże ten prastary a przemyślny kobiecy komplement podziałał na Zaifa, nieprzyzwyczajonego do miłych słówek ze strony kobiet w ogóle, a ze strony tej właśnie w szczególności! Dech mu zaparło, w głowie zapanował mętlik, a serce poczęło wywijać takie koziołki, że mógłby zacząć obawiać się aneurizmu, gdyby z opresji nie wybawił go Jezierski, który akurat szczęśliwie wrócił od gubernatora.

Anna, najwyraźniej nieświadoma burzy szalejącej w duszy Zaifa, chwilę jeszcze porozmawiała z agentem. Na koniec, już z ręką na klamce, odwróciła się do lekarza, który tymczasem prawie już doszedł do siebie, i oznajmiła:

– Zatem czekam na pana w poniedziałek.

Na te słowa medyk znów tak oniemiał, że zdołał tylko skłonić się głęboko. Jezierski był lekko zdziwiony, ale na szczęście zbyt się spieszył, żeby drażyć słowa Anny, więc tylko wzruszył ramionami i kazał lekarzowi

się pospieszyć. Powóz już na nich czekał. Jezierskiego w drodze wyraźnie coś nurtowało.

– Doktorze, czy ma pan jakąś wiedzę na temat tego kościoła Franciszkanów? – zapytał w końcu. – Wiem, że jest pan innego wyznania, ale i ze mnie, jak pan rozumie, żaden katolik. Pytałem trochę służby, ale po tym, co mi mówili, w ogóle już nie wiem, o co chodzi. Jedyne, co zrozumiałem, to to, że przez wiele lat było tam więzienie. Zatem, co to w końcu jest: kościół, klasztor czy więzienie?

Zaif uśmiechnął się mimo woli i wyjaśnił.

– Rzeczywiście przez wiele lat większa część zabudowań klasztornych pełniła rolę więzienia. Tak było jeszcze trzydzieści lat temu. Potem klasztor wrócił na jakiś czas do franciszkanów, aż do 1864 roku, kiedy został wydany ukaz carski, na mocy którego dokonano ogólnej kasaty wszelkich zakonów działających wówczas na terenie Królestwa Polskiego.

– Kasaty? – zdziwił się Jezierski.

– Likwidacji.

– Ach, rozumiem. Naprawdę bardzo mi przykro.

– Jak pan sam zauważył, ja też nie jestem katolikiem – odparł sucho Zaif. – Chociaż osobiście uważam, że religię należy zostawić w spokoju i nie wtrącać się do tego, w co ludzie wierzą. Ale to teraz nieistotne. Kaliski klasztor nie został całkiem zlikwidowany, wyznaczono mu bowiem funkcję „klasztoru etatowego”, do którego przywieziono kilkudziesięciu zakonników ze zniesionych domów franciszkańskich z całego kraju<sup>38</sup>. O ile pamiętam z lektury czasopism, oddano go pod bezpośredni zarząd biskupa diecezjalnego, który wyznacza gwardiana, wikarego i prokuratora konwentu. Cały dotychczasowy majątek klasztoru przeszedł w zarząd władz rządowych, w zamian za co każdy z zakonników otrzymuje stałą pensję w wysokości 120 rubli.

– Czyli to jednak zakon? – upewnił się Jezierski. – Czy może klasztor? Czym to się właściwie różni?

– Zakon to grupa ludzi żyjących według określonych reguł, których celem jest służba Bogu. Klasztor to po prostu budynek stanowiący wspólne miejsce zamieszkania zakonnic lub zakonników.

– Ach tak. Wdzięczny jestem za objaśnienie. Zaiste jest pan skarbnicą

wiedzy!

– Skądże. Po prostu do niedawna nic się tu prawie nie działo. Wtedy człowiek z nudów czyta gazetę od deski do deski.

– W takim razie ma pan doskonałą pamięć.

– Nie narzekam – przyznał lekarz, wysiadając z powozu, gdyż byli już na miejscu.

Przed furtą czekał na nich bardzo niski i pękaty jak baryłka braciszek, stanowiący żywe i dosłowne uosobienie nazwy swojego zakonu<sup>39</sup>. Sprawiał wrażenie człowieka pogodnego usposobienia, którego pocziwe oblicze na co dzień było zapewne stale uśmiechnięte, lecz teraz malowały się na nim troska i niepokój. Na widok Zaifa okazał lekkie zdziwienie, gdyż wiedział, iż ten jest Żydem, ale natychmiast zawstydził się, więc ze zdwojoną skwapliwością począł zapraszać go do środka. Jezierski z lekarzem wymienili dyskretne uśmiechy – obaj czytali w braciszku jak w otwartej książce.

– Jestem brat Ambroży – przedstawił się pękaty zakonnik, prowadząc ich z namaszczeniem przez bramę i wskazując dyskretnie furtianowi powóz. – Proszę panów do środka, ojciec Klemens, nasz gwardian, już czeka. Furtian zajmie się waszym powozem i końmi.

Mężczyźni weszli powoli, przyglądając się budynkom. Klasztor po wielu przebudowach otrzymał barokowy kształt, a jego zabudowania tworzyły łącznie ze ścianą kościoła i pierwotnym budynkiem klasztornym nieregularny czworobok. Wewnątrz mieścił się trapezowaty wirydarz, otoczony krużgankami. Brat Ambroży z dumą pokazywał im obrazy zdobiące ściany, widać było, że jest bardzo przywiązany do miejsca, które wybrał na swój dom.

– To XVIII-wieczne malowidła, wykonane przez franciszkańskiego malarza, Adama Swacha – wyjaśniał, zatrzymując się przy jednym z nich, widocznie swoim ulubionym. – Ukazują głównie sceny z życia św. Franciszka.

Po chwili ruszyli dalej, skręcając w kolejny krużganek, brat Ambroży zaś nie przestawał mówić o nieszczęściu, jakie ich spotkało, aż trochę się przy tym zasapał.

– Taka tragedia! – wydyszał po raz chyba dwusetny, przystając na

moment, by złapać oddech. – Ojciec Mateusz opiekował się naszą biblioteką, a ojciec Bonawentura mu pomagał. Sam gwardian go skierował do pracy w bibliotece, bo niedawno otrzymaliśmy okazały zbiór ksiąg z różnych klasztorów, które uległy kasacji... – tu mały mnich zamilkł raptownie, uświadamiając sobie, że mówi do agenta rosyjskiego, ale zaraz z jego ust popłynął nowy potok słów, tyle że już na inny temat. – To był taki cichy, spokojny, lecz bardzo uczony zakonnik – potrząsał głową, dając wyraz swojemu niepomiernemu zdumieniu. – Ojciec Mateusz, znaczy się, bo ojciec Bonawentura... – tu mnich znów zamilkł, wymownie potrząsając głową i cmokając w niemym potępieniu. – Zresztą gwardian sam wszystko wytłumaczy, bo...

W tym momencie z przeciwnej części krużganka wyłonił się bezszelestnie jakiś inny mnich, zupełne przeciwieństwo ich przewodnika: wysoki, chudy i kościsty. Jego nagłe pojawienie się wyglądało trochę tak, jakby wyszedł ze ściany, choć najpewniej musiały się tam znajdować jakieś drzwi, których Zaif nie zauważył. Kościsty zakonnik na ich widok przystanął pod ścianą i w milczeniu wbił w nich spojrzenie – natarczywe, ostre i pełne niechęci. Obaj mnisi chyba nie pałali do siebie sympatią, gdyż brat Ambroży go nie przedstawił, mijając jak powietrze. Jednak prawie zamilkł, choć nie do końca, bo mężczyźni słyszeli, jak mamrocze do siebie jakieś modlitwy po łacinie. Do uszu Zaifa dobiegły słowa, które go niepomiernie zdziwiły, zdawało mu się bowiem, że usłyszał „Apage, satanas”<sup>40</sup>.

Dalej szli nieco wolniej, mieli więc czas się rozejrzeć. Wnętrze klasztoru było niemal ascetyczne, franciszkanie bowiem surowo przestrzegali reguły ubóstwa. Mimo to zarówno młody medyk, jak i agent do specjalnych poruczeń przyglądali się wszystkiemu z zainteresowaniem, gdyż żaden z nich dotąd nie był w katolickim klasztorze. Ze skąpych objaśnień przewodnika, który rzucał im krótkie informacje pomiędzy słowami modlitwy, dowiedzieli się, że na parterze minęli dwudzielną zakrytą z kwadratowym filarem środkowym wspierającą konstrukcję, sklepiony kolebkowo refektarz, czyli jadalnię zakonników, salę rekreacyjną, parlatorium (obaj mężczyźni nie mieli pojęcia, co to takiego, a chodziło po prostu o rozmównicę) oraz pomieszczenie furtiana.

Potem brat Ambroży poprowadził ich na pierwsze piętro. Minęli kaplicę, dwadzieścia dwie cele dla zakonników (jak oznajmił, a oni uwierzyli mu na słowo) i skierowali się w stronę otwartych na oścież drzwi. Zasapany mnich przeprowadził ich przez nie, zaraz za progiem skłonił się w milczeniu jakiemuś odwróconemu do nich plecami mężczyźnie w habicie i pospiesznie wyszedł. Mężczyzna odwrócił się. Był bardzo urodziwy, lecz jego uroda miała w sobie coś z więdnącego kwiatu, tak była blada i anemiczna. Dość wysoki, o jasnych, lekko rzędzących włosach, bladoniebieskich oczach i kredowobiałej twarzy i dłoniach, wyłaniających się z rękawów habitu.

– Witam panów, jestem ojciec Klemens – przedstawił się nieznajomy. Jego głos był równie anemiczny jak wygląd. – Mam zaszczyt być gwardianem tutejszego klasztoru. A panowie to... – tu zawiesił głos, czekając aż się przedstawią.

Jezierski natychmiast przejął inicjatywę.

– Agent do specjalnych poruczeń w randze radcy stanu Walery Konstantynowicz Jezierski – przedstawił się z ukłonem. – A to – wskazał ręką na medyka – doktor Jakub Zaif, lekarz medycyny sądowej na terenie guberni kaliskiej.

Zaif z trudem opanował zdumienie, a zaraz potem wesołość, słysząc dumny tytuł, jaki mu samowładnie nadał Jezierski. Na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień, nie odważył się jednak spojrzeć na agenta w obawie, że wybuchnie śmiechem. Zaczął więc pilnie przyglądać się najbliższej szafie bibliotecznej. Już na pierwszy rzut oka było widać, że pomieszczenie to mieści spory księgozbiór. Obszerną piętrową salę wypełniały regały z książkami. Znalazło się tu także trochę miejsca dla ewentualnych czytelników, choć twarde dębowe ławy i stoły w niczym nie przypominały zbytowego wyposażenia gabinetu radcy Garszyńskiego czy samego Jezierskiego. Spojrzał na tytuły: same traktaty religijne, głównie po łacinie. Ciekaw był, jakie jeszcze znajdują się tu książki, ale nie ruszył się z miejsca. Skoro nie obejrzeliby jeszcze zwłok, nie należało niczego zmieniać na miejscu zbrodni, by nie zatrzeć ewentualnych śladów, jakie mógł niechcący zostawić złoczyńca. Wiedział, że jest w tych poglądach zupełnie osamotniony, ale odkąd zaczął współpracować



z Jezierskim, poczęła świtać mu nadzieja, że coś się zmieni w podejściu policji.

Tymczasem agent bardzo zręcznie i taktownie przesłuchiwał gwardiana, tak że ten nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, za to skwapliwie korzystał z okazji oddalenia od siebie wszelkiej odpowiedzialności. Zaifa dobiegł dodający otuchy samym brzmieniem głos Jezierskiego.

– Zanim przejdziemy do miejsca zbrodni, może mi ojciec krótko opowiedzieć o klasztorze?

Gwardian wydawał się nieco zakłopotany.

– Cóż, nie bardzo wiem, o co panu chodzi.

– Czy zdarzyło się ostatnio coś niezwykłego? – wyjaśnił Jezierski. – Czy na teren klasztoru mogą wejść ludzie z zewnątrz? A może budynek był ostatnio remontowany i kręcili się tu robotnicy?

– Hm, nie wiem, co pan zalicza do rzeczy niezwykłych, ale jeśli chodzi o remont, to owszem. Trwa od wielu lat i jeszcze się nie skończył. Otóż po utworzeniu Księstwa Warszawskiego i wkroczeniu w 1806 roku do miasta wojsk napoleońskich zostawiono na potrzeby zakonu jedynie parter zachodniego skrzydła klasztoru, resztę zajmowało więzienie, utworzone jeszcze przez Prusaków. Istniało tam nadal nawet w czasach Królestwa Polskiego, a władze zamiast je zlikwidować, co jakiś czas przebudowywały na jego potrzeby wnętrza naszego klasztoru. Obraza boska, żeby w domu bożym więzić ludzi! Wielu było niewinnych... No, ale mniejsza z tym. Jediną pozytywną stroną tego więzienia było pokrycie dachówką południowego i wschodniego skrzydła. Węzienie w końcu zlikwidowano, ale całkiem niedawno, ledwie jakieś trzydzieści lat temu, gdy urząd gwardiana pełnił ojciec Sebastian Martyński, wielce dla naszego zakonu zasłużony. On też, obok remontu kościoła, rozpoczął prace budowlane w klasztorze, a my staramy się kontynuować to zbożne dzieło.

– Rozumiem zatem, że jesteście tu wszyscy przyzwyczajeni do obecności robotników? – wtrącił szybko agent, zdumiony nieco długością zarówno remontu, jak i wypowiedzi gwardiana. Zmartwiła go ta widoczna u rozmówcy niezdolność jasnego i zwięzłego wysławiania się. Postanowił zatem ograniczyć przesłuchanie do niezbędnego minimum.

– Właśnie – przytaknął gwardian z ulgą, że agent pojął, o co mu chodzi.  
– Zatem obca osoba mogła bez trudu dostać się w obręb klasztoru?  
– Nie do końca. Robotników u nas pracujących znamy bardzo dobrze, bo od lat są to ci sami.

– Może ojciec sprawdzić, czy nie nastąpiły jakieś zmiany? Na przykład ktoś nagle zachorował i przysłano zastępcę? Sposobów jest dużo, ale ten „na chorobę” lub „pilny wyjazd” jest najczęściej stosowany.

Ojciec Klemens zamyslił się na chwilę nad tym nowym dla niego aspektem sprawy.

– Musicie porozmawiać z ojcem Andrzejem, który ma pieczę nad naszymi pracami budowlanymi. On z pewnością będzie wszystko wiedział.

– A czym się zajmuje brat Ambroży? – zapytał Jezierski.

– Jest nauczycielem, zajmuje się studentami naszej szkoły, sprawuje też pieczę nad internatem.

– Po drodze tutaj zauważyłem pewnego mnicha, bardzo wysokiego i szczupłego, którego jednak brat Ambroży nam nie przedstawił – drążył agent.

Gwardian uśmiechnął się blado, lecz z wyrozumiałością.

– To był zapewne właśnie ojciec Andrzej – powiedział. – Ale brat Ambroży z niewiadomych przyczyn nie darzy go sympatią. I zawsze daje mu to do zrozumienia, niestety, choć to bardzo nie po chrześcijańsku. Ale to jego jedyna wada, którą równoważy wielkim oddaniem, z jakim pracuje w naszej szkole i opiekuje się młodzieżą. A teraz co do... – ojciec Klemens zakrztusił się lekko – co do zwłok naszych współbraci...

– Czy znajdują się tutaj? – zapytał zdziwiony Jezierski, rozglądając się.

– Nie widzę niczego, co świadczyłoby o popełnieniu zbrodni. Myślałem, że zabito ich gdzie indziej.

– Są... Bardziej w głębi, za regałami.

Gwardian zrobił się, o ile to możliwe, jeszcze bledszy. Stał niepewnie, słaniając się na nogach. Jezierski podskoczył w jego stronę, by go podtrzymać.

– Niech ojciec idzie do siebie, sami tam trafimy. Zresztą zaraz zjawią się moi ludzie, o, właśnie słyszę kroki na schodach, to pewnie oni.

Faktycznie, po chwili w drzwiach pojawił się Sokołow, zza którego wyglądała zaciekawiona twarz Poraja. Agent kazał im odprowadzić wciąż słaniającego się na nogach gwardiana do jego celi, a potem porozmawiać z robotnikami, jeśli jacyś jeszcze przebywali na terenie klasztoru, i przyjść dopiero wtedy, gdy on z Zaifem skończą wstępne oględziny miejsca zbrodni i ofiar.

Gdy policjanci posłusznie wyszli, Zaif i Jezierski ruszyli w głąb biblioteki. Szli ostrożnie, by nie zdeptać ewentualnych śladów. Po drodze Zaif nie mógł się powstrzymać, by nie zerknąć na półki z książkami. Dostrzegł przede wszystkim literaturę teologiczną i liturgiczną, ale było też kilka dzieł traktujących o samym klasztorze oraz Kaliszu. Chętnie by je przejrzał w wolnej chwili, na przykład tę *Kronikę Prowincji Polskiej Braci Mniejszych św. Franciszka Konwentualnych: Synoptica relatio...* z 1735 roku czy *Thesaurus Provinciae Poloniae...*, czyli *Skarbiec Polskiej Prowincji Zakonu Braci Mniejszych Konwentualnych św. o. Franciszka* z 1762 roku. Z nowszych pozycji zauważył *Kieszonkową kroniczkę historyczną miasta Kalisza* ułożoną w 1885 roku przez Adama Chodyńskiego. Więcej nie zdążył wypatrzeć, gdyż właśnie dotarli niemal do końca sali. Tam poraził ich prawdziwie makabryczny widok.

Najpierw w oczy rzucił im się wielki nieład, wręcz pobojuwisko, jakie pozostawił po sobie morderca w tym kącie. Nieliczne meble, głównie regały, zostały poprzewracane, a rozsypane książki częściowo zniszczone, jakby ktoś gorączkowo czegoś w nich szukał, a potem deptał po nich, nie zważając na kruchy stan niektórych foliałów. Wydarte kartki walały się po podłodze, podobnie grzbiety. Wszystko pokrywały rozbryzgi krwi, która częściowo już skrzepnięta, przybierała brązową barwę.

Pośród tego bałaganu znajdowały się dwa trupy. Jeden mężczyzna leżał rozciągnięty twarzą do podłogi i na pierwszy rzut oka nie było widać u niego żadnych obrażeń. Drugi natomiast został przywiązany do krzesła, a jego ciało nosiło niewątpliwie ślady tortur. Widok był tak makabryczny, że obaj zamarli, wzdragając się podejść bliżej, choć obaj niejedno już widzieli. Teraz mieli przed sobą strzęp człowieka, który praktycznie nie miał już twarzy, tylko jedną wielką ranę. Spod niej połyskiwały upiornie

obnażone szczęki z wyszczerzonymi zębami, na szyję zwisały pasma zdartej skóry. Ręce nosiły ślady przypalania, nogi były dziwnie wykręcone. W końcu Zaif przemógł się i postąpił krok naprzód. Jednak Jezierski go wstrzymał.

– Widziałem, jak pan szkicował w mieszkaniu wdowy Radziejowskiej – odezwał się zachrypniętym głosem. – Myślę, że tu także warto najpierw naszkicować plan sytuacyjny, żebyśmy potem mogli sobie odtworzyć mniej więcej, gdzie co leżało.

– Dobra myśl. Postaram się z tym uwinąć, bo i bez tego szykuje się nam moc pracy. Może zbiorę też odciski palców, jak pan sądzi? Wziąłem swój podręczny zestaw.

– Doskonały pomysł, zobaczymy, czy te odciski palców są naprawdę takie przydatne, jak pan mówił... Annie.

– Muszę też niezwłocznie przeprowadzić sekcję zwłok – Zaif szybko zmienił temat, bo poczuł zdradziecki rumieniec wypełzający mu na twarz.

– Pod tą krwią niewiele widać. Możliwe, że oba ciała mają więcej obrażeń. Szkoda, że nie mamy fotografa, byłoby znacznie szybciej!

– Mamy, robi nam zdjęcia niektórych przestępców, zwłaszcza recydywistów. Czasem fotografuje dla nas jakieś pomieszczenia. Ale jaki normalny człowiek zgodziłby się patrzeć na coś takiego?! Chyba, że pan umie robić zdjęcia?

– Niestety, tego nie potrafię, choć znam ogólne zasady.

– W Kaliszu nie ma zresztą chyba jeszcze fotografa, który by używał takich nowoczesnych technik, jak specjalny powlekany papier zamiast szklanych płytek. Chyba, że pan Boretti z ulicy Niecałej<sup>41</sup>.

– Wystarczy nam stara technika. Zwłaszcza że nie trzeba się spieszyć, bo nieboszczyk już nigdzie się nie ruszy. No, bierzmy się do roboty, ale zastanowię się nad tym. Mimo że to makabryczne, ale może okazać się przydatne. Choćby w sądzie. Jakby taki sędzia albo adwokat zobaczył, do czego zdolny jest osobnik z ławy oskarżonych, to by nie ferował łagodnych wyroków. Kto wie, może jego ekscelencja zgodzi się na dodatkowe wydatki i znajdziemy jakiegoś ochotnika.

Ustalili podział zajęć i przez następne pół godziny pracowali w milczeniu, wymieniając tylko krótkie uwagi. Zrobiwszy kilkanaście

szkiców, na których nanieśli z grubsza wszystko, co widzieli, zrobili sobie przerwę. Jezierski wezwał Poraja i wydał mu dyspozycje dla policjantów. Surowo nakazał, by szukali wszystkich przedmiotów, które mogły posłużyć za narzędzie zbrodni. Mieli ostrożnie chwytać je przez chusteczkę i schować do papierowych toreb w stanie niezmiennym, co sprowadzało się praktycznie do niewycierania z nich krwi. W tym czasie Zaif z grubsza zbada oba ciała, które potem należy przewieźć bezpośrednio do jego laboratorium w szpitalu św. Trójcy. Jasiek słuchał pilnie swego nowego szefa, ale nie mógł się powstrzymać, by co i rusz nie zerknąć na przerażającą scenę zbrodni. W końcu Jezierski musiał go ostro przywołać do porządku.

Gdy nadeszła reszta policjantów, agent z medykiem zeszli do prywatnego lokum gwardiana, gdzie czekał już na nich brat Ambroży. Było większe niż zwykła cela, ale nie raziło zbytkiem. Same proste i niezbędne meble. W oczy najbardziej rzucało się duże biurko i piękny krucyfiks na ścianie. Sam gwardian leżał z zamkniętymi oczyma na czymś w rodzaju szezlonga z zimnym kompresem na czole. Usługiwał mu młody zakonnik, zapewne nowicjusz jeszcze, natomiast brat Ambroży siedział cichutko przy oknie i przesuwiał paciorki różańca.

Na widok gości zerwał się rażno i szeptem poprosił, by za nim poszli. Zaprowadził ich do refektarza, który o tej porze był już pusty.

– Powinienem panów umieścić w parlatorium, które jest pomieszczeniem służącym właśnie do rozmów z osobami spoza klasztoru, ale jest tam za mało miejsca. Pańscy ludzie już tu zostawili swoje rzeczy, można też będzie swobodnie porozmawiać nawet z kilkoma osobami jednocześnie. Może najpierw zechcą panowie spróbować naszego skromnego jadła i napitku?

– Tylko jeśli nie sprawimy kłopotu – odrzekł uprzejmie agent, jak zawsze dbały o wizerunek policji, która jego zdaniem powinna pozostawiać wszystkim postronnym osobom jak najlepsze wrażenie po swojej wizycie, będącej już z natury rzeczy samej w sobie nieprzyjemnej. –

Chciałbym jeszcze prosić brata, żeby wezwał tu z biblioteki Jaśka Poraja, który będzie protokołował.

– Domyślam się, że nie ma pan wystarczającej liczby ludzi do

wykonania tych wszystkich niemiłych czynności, więc jeśli to panu nie sprawia różnicy, mogę przysłać jednego z moich uczniów, znakomitego kopistę. Bardzo wprawnie włada piórem!

– Nie ma takiej potrzeby, a zresztą lepiej będzie dla mojego Jaśka, jeśli znajdzie się daleko od tego krwawego miejsca zbrodni, jeśli brat rozumie, co mam na myśli. Ale dziękuję za chęć pomocy, być może jeszcze z niej skorzystam.

– Zawsze jest pan taki grzeczny, czy też nie ufa mu pan? – zapytał z ciekawości Zaif, gdy braciszek wyszedł.

– Jedno i drugie – uśmiechnął się agent. – Ludzi na razie wystarczy, a ja nie chcę, by na tym etapie śledztwa ktoś obcy słuchał, co inni mają do powiedzenia. W końcu nie mamy pewności, czy morderstwa nie dopuścił się któryś z szacownych mniszków...

– Mało prawdopodobne.

– Tak, ale możliwe. Nie będę więc na razie ryzykował brania sobie na kark szpiega.

– Ależ pan podejrzliwy!

– Policjant musi na początku podejrzewać wszystkich – stwierdził Jeziński, stanowczo potrząsając głową. – Nie może robić wyjątków, bo już nie raz się okazało, że winna była osoba najmniej wydawałoby się podejrzana!

– Mnie też pan podejrzewa?

– Oczywiście, choć dużo mniej niż na początku – roześmiał się agent.

– To i siebie nie powinien pan wykluczać – odciął się lekarz.

Przerwali tę przyjacielską potyczkę, bo do refektarza wrócił brat Ambroży z pomocnikiem. Obaj nieśli zastawione po brzegi tace. Jedzenie nie było może wykwintne, ale świeże i bardzo smaczne.

– Niemal wszystko robimy sami – poinformował ich franciszkanin, wypinając dumnie pękaty brzuch, jakby stanowił on najlepszy dowód na potwierdzenie jego słów.

– I doskonale wam to wychodzi – pochwalił Jeziński. – Nigdy nie jadłem równie smacznego chleba! Ser to po prostu poemat! A owoce takie aromatyczne, że od samego zapachu człowiekowi ślinka cieknie!

Zaif zerknął niespokojnie na zakonnik w obawie, że pochwały agenta

uzna za przesadzone i poczuje się urażony. Jednak grubasek kiwał tylko potakująco głową z rozanielonym uśmiechem na krągłym obliczu. Zaif po raz kolejny musiał docenić niesamowitą wręcz zdolność swego towarzysza do trafnej oceny ludzi oraz jego doskonałe maniery. Jezierski zawsze wiedział, co powiedzieć, i jeśli w ogóle popełniał jakiegokolwiek gafy, to chyba niezmiernie rzadko. Medyk westchnął cicho, bo on sam nie posiadał jeszcze w takim stopniu sztuki konwersacji, nie czuł się także tak swobodny w obecności obcych ludzi.

Gdy kończyli posiłek, do refektarza wszedł Jasiek Poraj. Jezierski wskazał mu gestem miejsce obok siebie i podsunął talerz.

– Nałóż sobie, zanim brzuch przyschnie ci do krzyża – powiedział przyjacielsko. Jasiek rzucił się niemal na kolana, gotów pochwycić i ucałować dłoń szefa, ale agent znał już te jego wybuchy wdzięczności, więc przezornie zdążył schować ręce.

– Jedz, chłopcze, dużo pracy przed nami. Będiesz protokołował rozmowy, jakie musimy przeprowadzić. – Bracie Ambroży – zwrócił się do zakonnika – czy są jeszcze jacyś robotnicy w klasztorze?

– Nie wiem, trzeba by zapytać ojca Andrzeja – odrzekł niechętnie grubasek. – On się nimi zajmuje i nie pozwala nikomu innemu wtrącać się do prac budowlanych. Gdyby mógł, to by nawet gwardianowi nie zdawał relacji! – zatrząsał się z oburzenia mały zakonnik.

– Czy w takim razie można go do nas zaprosić? Potrzebna nam krótka informacja.

– Antoni! – zawołał brat Ambroży w stronę młodzieńca, który przyniósł z nim posiłek dla gości i do tej pory nie odezwał się ani słowem. – Idź po ojca Andrzeja. Powiedz, że ojciec Klemens pozwolił panu... yyy... radcy stanu – zająknął się niepewny, czy dobrze zapamiętał rangę Jezierskiego – na rozmowy z kimkolwiek zechce.

Młodzieniec skinął w milczeniu głową i wyszedł. Jezierski podszedł do zakonnika i zaczął wychwalać klasztor: porządek, jaki w nim panuje, mądrość zakonników, którzy potrafią sami wytwarzać wiele rzeczy, w tym także smaczne jadlo, ich oddanie służbie społecznej. I tak lejąc miód na serce brata Ambrożego, doszedł wreszcie do sedna sprawy.

– A co brat sądzi o ojcu Andrzeju? – zapytał tonem zdradzającym, że

wielką wagę przywiązuje do opinii małego zakonnika. To oczywiście bardzo pochlebilo i tak już pozytywnie do niego nastawionemu mnichowi. – Czy potrafi upilnować robotników? Bo widzi brat, mamy podejrzenie, że zabójca mógł się tu wkraść zamiast któregoś z robotników, który na przykład zachorował lub musiał wyjechać.

– Cóż. Muszę przyznać, że nie lubię ojca Andrzeja, o czym wszyscy wiedzą, nie wyłączając jego samego. Wygląda jak zbój, zachowuje się jak zbój, a i jego życie, zanim wstąpił do zakonu, też było podobno bardzo, hm... burzliwe. Nic nie mówi, chyba że musi, ale jest wtedy zawsze opryskliwy. Wiem, wiem, to tylko zwykłe wady, od jakich nikt z nas nie jest całkiem wolny – tu brat Ambroży się przeżegnał. – Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że ojciec Andrzej nie zerwał z dawnym życiem. Cóż, o nic go nie oskarżam, po prostu mu nie ufam. Ale zapewniam pana, że codziennie proszę Boga o łaskę, bo wiem przecież, jak łatwo kogoś niewinnego skrzywdzić nieuzasadnionym podejrzeniem. Poza tym muszę mu oddać sprawiedliwość – dodał niechętnie – że na robotach budowlanych zna się jak mało kto. Nikt go nie oszuka, choć kilku próbowało. Dlatego ojciec Klemens wyznaczył go do nadzorowania remontów i robotników. Nie przypuszczam, żeby jakiś obcy mógł się tu przemknąć, ojciec Andrzej natychmiast by to zauważył. Ja też bym od razu poznał, że któregoś z moich uczniów brakuje, bo z kolei opiekuję się uczniami naszej szkoły, a także internatem. Mało to razy chłopcy próbowali się wykraść bez mojej zgody na miasto? Zapewniam pana, że niewielu się to udało!

– Oczywiście! Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. A oto i ojciec Andrzej!

W drzwiach rzeczywiście pojawił się ponury zakonnik, górując wzrostem nad wszystkimi w pomieszczeniu, choć gości klasztornych nie można było zaliczyć do mikrusów. Natomiast brat Ambroży wyglądał przy nim jak krasnal. Zakonnik stanął w milczeniu tuż przed Jezierskim, spojrzął mu wyzywająco w oczy, a potem zwrócił wzrok pełen nieukrywanej pogardy na malutkiego brata. Ten zaczerwienił się z tłumionego gniewu, sapnął oburzony i dumnie wymaszerował z refektarza razem z Antonim.



– Zechce ojciec spocząć – powiedział Jeziński, wskazując przybyłemu miejsce za stołem naprzeciwko siebie i zastanawiając się, jakiej taktyki użyć, by skłonić nieprzychylnie nastawionego zakonnika do współpracy. Ten zasiadł w milczeniu, obrzucając obu gości aroganckim spojrzeniem. Jeziński uznał, że pochlebstwem nic tu nie wskóra, postanowił więc zagrać na ambicji mnicha.

– Wiem, że na terenie klasztoru trwa wiele prac budowlanych i że ojciec ich dogląda. Chciałbym się dowiedzieć, czy macie jakiegoś nowego robotnika? A może któryś niedawno zachorował lub wyjechał? Może ojciec akurat zauważył, choć oczywiście zdaję sobie sprawę, że trudno ich wszystkich znać...

Ojciec Andrzej prychnął pogardliwie i odpowiedział:

– Znam ich wszystkich. Nikogo nowego nie ma. Nikt nie choruje. Tylko Nowak musiał wyjechać na pogrzeb matki do Sulisławic.

– Czy ktoś go zastępuje?

Zakonnik rzucił mu dziwne spojrzenie.

– Młody Łukasik. Ale jego znam od dziecka. Nie jego szukacie, nie zrobił nic złego.

– Nie mówię, że zrobił – odparł agent łagodzącym tonem. – Choć radziłbym ojcu nie ręczyć za innych, bo pewnym można być tylko siebie samego, a i to nie zawsze. Chcę z nim porozmawiać.

– Nie ma o czym – opryskliwie odpowiedział zakonnik. – Jest tu od dwóch dni i nic nie wie.

– Ojciec pozwoli, że sam się przekonam. Inaczej wezwę go do cyrkułu.

Po raz pierwszy zakonnik okazał jakieś emocje poza dotychczasową pogardą i arogancją. Teraz wręcz wpadł w gniew.

– Ja dobrze wiem, w co chcecie go uwikłać! – krzyknął, zerwawszy się na równe nogi. – Już ja was dobrze znam, carską policję! Zbrodniarze, tfu, niewinnych ludzi byście tylko za kratki wsadzali, bo wam, leniwym świniom, nie chce się porządnego śledztwa przeprowadzić! Nie pozwolę! Słyszysz pan? Nie pozwolę tknąć chłopaka!

Jeziński siedział spokojnie, spoglądając na miotającego się zakonnika z ciekawością naukowca studiującego nieznaną okaz jakiegoś owada. Nawet lekko się uśmiechał, co całkiem wyprowadziło mnicha

z równowagi. Skoczył w stronę agenta z zaciśniętymi pięściami, ale ten zerwał się błyskawicznie, zrobił zręczny unik, złapał i wykręcił do tyłu rękę zakonnika, jednocześnie ramieniem opasując mu szyję. Tak unieruchomionego zgiął i przycisnął do stołu.

– Jeśli ojciec się nie uspokoi, każę ojca natychmiast aresztować! Jasiiek, skocz po gwardiana, niech tu przyjdzie i wyjaśni mi, dlaczego jeden z jego zakonników zachowuje się jak furia!

Poraj wstał z ociąganiem, bo choć zachowanie ojca Andrzeja go oburzyło, to wszelka przemoc wobec osoby duchownej wydała mu się wołać o pomstę do nieba.

– Nie trzeba – wycharczał przez ściśnięte gardło ojciec Andrzej. – Proszę mnie puścić.

– A nie będzie ojciec znów rwał się do bitki?

– Obiecuję – wychrypiał mnich.

– Siadaj, Jasiiek – powiedział Jezierski, puszczając swojego więźnia. – A teraz proszę mi wytłumaczyć, dlaczego nie chce ojciec dopuścić, bym porozmawiał z tym młodzieńcem. Jak on się nazywa? Łukasik, tak?

– On nic nie wie – odezwał się ponuro zakonnik, rozmasowując sobie wykręcone ramię i szyję. Nagle niespodziewanie uśmiechnął się łobuzersko. – Niezły ma pan chwyt, agencie.

– Lata praktyki – odparł również z uśmiechem radca. – Wracając do Łukasika. Każdy coś wie. Czy to jakiś ojca krewny, że tak się ojciec o niego boi? I ile ma lat?

– To najmłodszy syn mojej siostry, ma zaledwie szesnaście lat. Głową rękę za niego.

Jezierski cmoknął z dezaprobatą.

– Zły nawyk. Niech ojciec go zawoła, porozmawiamy z nim razem, w ojca obecności. Nic mu zresztą nie grozi, jeśli faktycznie nic złego nie zrobił. Tym razem ja rękę, ale słowem, nie głową. Inaczej dawno już bym jej nie miał. To jak, ojciec?

– No dobrze. Ale będę przy nim siedział.

– Byle ojciec za niego nie odpowiadał i go nie straszył. Żadnych rad w stylu „nic nie mów”. To wysoce niepedagogiczne, zwłaszcza w takim świętym miejscu. Nawet jeśli powie niemiłą prawdę, nie zostanie ukarany.

Proszę teraz iść po niego, naprawdę nic mu nie grozi.

Gdy czekali na powrót zakonnika z siostrzeńcem, Jasiak dokończył przerwany posiłek, wymiatając wszystko do ostatniego okruszka, Zaif z Jezierskim zaś naradzali się szeptem, co do dalszych działań, jakie powinni podjąć. Nie trwało to długo, gdyż po niespełna dziesięciu minutach wrócił ojciec Andrzej w towarzystwie trochę przestraszonego chłopaka. Nowo przybyły był silnie zbudowany, widać od dzieciństwa nawykły do ciężkiej pracy fizycznej, ubrany schludnie, choć ubogo. Jedną ręką przyglądał brązowe poczochrane włosy, w drugiej miętosił czapkę.

Jezierski uśmiechnął się szeroko, jakby zobaczył dawno niewidzianego bliskiego przyjaciela, i poprowadził obu do stołu. Ojciec Andrzej, tak jak zapowiedział, usiadł tuż przy siostrzeńcu.

– Nic się nie bój, chłopcze – powiedział uspokajającym tonem agent. – Chcę cię tylko zapytać, jak to się stało, że zastąpiłeś innego robotnika? Czy to ojciec Andrzej cię poprosił?

Zaif zauważył, że zakonnik natychmiast się spał, jakby czekając na cios, ale się nie odezwał. Chłopak spojrzał na wuja z pytającym wyrazem twarzy.

– Mów, Wojtuś – powiedział ten, gdy milczenie się przedłużało. – Pan radca obiecał, że nic ci nie grozi, jeśli nie zrobiłeś niczego złego, a przecież nie zrobiłeś, prawda?

Ku zdumieniu wszystkich zgromadzonych, chłopak nagle wybuchnął płaczem, zawodząc w kółko: „Com ja zrobił, com ja zrobił”.

## Rozdział 8

Takiej reakcji nikt się nie spodziewał. Zgromadzeni w refektarzu mężczyźni gapili się ze zdumieniem na łkającego Wojtka Łukasika, siostrzeńca ojca Andrzeja. Ten ostatni oprzytomniał pierwszy. Zerwał się, chwycił chłopaka za ramiona i mocno nim potrząsnął.

– Cóżes zrobił, nieszczęsny? – zakrzyknął. – Mów natychmiast! Czy to ty zamordowałeś dwóch zakonników?!

– Laboga, wuju! Nikogo nie zabiłem! – zawołał przerażony chłopak. Łzy ciurkiem spływały mu po policzkach. – Przysięgam na Najświętszą Panienkę!

– To cóżes zrobił? Mów, bo zaraz cię zdzieję!

– Ja... – chłopak zawahał się i spojrzał tym razem na agenta.

– Spokojnie, chłopcze – wtrącił Jezierski łagodnie, zdążywszy już ochłonąć ze zdumienia. – Jeśli nikogo nie zabiłeś, nic ci nie zrobimy. Nawet jak coś przeskrobałeś, ja cię nie ukarzę. Chyba, że wuj uzna za stosowne, ale to już wasze rodzinne sprawy. Powiedz jednak prawdę, żebyśmy mogli złapać mordercę. Chyba tego chcesz, prawda?

Chłopak skinął głową. Otarł oczy i nos wystrzępionym rękawem.

– Wiedziałem, że nic dobrego z tego nie będzie, bo ten jegomość za dużo mi zapłacił. Ze dwadzieścia rubli będzie! Nie trza mi było ich brać, teraz żałuję, ale ojciec mieli wypadek i nie mogą pracować, a nas w domu dziewięcioro. Nie starczało na wyzycie, nawet z pomocą wuja – tu spojrzał przeprasząc w stronę zakonnika.

– Czemuś mi od razu nie powiedział, że wam nie starcza?! – wykrzyknął gwałtownie zakonnik. – Byłbym coś wymyślił, znalazł jakąś pomoc!

– Matula nie kazali. Wstyd im było, że sobie nie radzą...

– Głupiec z ciebie! A twoja matka nie lepsza! Już ja z nią porozmawiam!

– To wyjaśnicie sobie później – przerwał pojednawczo Jezierski. – Teraz chcę się wreszcie dowiedzieć, co się stało.

– No... Onegdaj wuj przyszli i rzekli, cobym szedł do klasztoru zastąpić pana Nowaka. Zaraz się też zgodziłem, bo zanosilo się to na kilka dni, to i jaki taki pieniądz byłby z tego. Wuj kazali, cobym się zgłosił do pana Nowaka i uzgodnił z nim, co i jak. No tom poszedł. Pan Nowak był dla mnie bardzo łaskawy, nawet dał mi herbaty i kawałek placka. W kuchni – podkreślił dumnie, jakby to była ważna informacja.

– Dlaczego w kuchni? – zapytał Jezierski, nie bardzo rozumiejąc, o co chłopakowi chodzi. – Czy to ważne, gdzie cię zaprosił?

– No, rozchodzi się o to, że nie gadał ze mną na dworze w drzwiach, ino poprosił do środka. Do kuchni, gdzie najcieplej z całego domu. Bo tam ciągle coś się gotuje na ogniu. Nawet żonie kazał iść. Tom się poczuł jak jaki prawdziwy gość.

– No dobrze, pan Nowak był niezwykle uprzejmy, to mu się chwali. I co dalej?

– No, dalej to powiedział mi, co mam robić. On jest stolarz, więc miałem...

– O tym później – przerwał agent. – Powiedz, o co takiego niezwykłego cię prosił i za co te dodatkowe pieniądze miały być. Bo to miało być dodatkowe wynagrodzenie, prawda?

Chłopak zaczerwienił się i spojrzał niepewnie na wuja. Ten westchnął, ale nic już nie powiedział, gestem nakazując tylko, by ten mówił dalej.

– Tak, to były pieniądze od pana Nowaka, a za robotę w klasztorze dostałbym od wuja.

– Za co więc były te pieniądze?

– Pan Nowak poprosił mnie, cobym nie zawierał całkiem drzwi od bocznego wejścia, jak będę wychodził, tylko na haczyk...

– Kiedy?

– Wczoraj... Chodziło mu tylko o wczorajszy wieczór. Mówił, że jego szwagier potrzebuje na krótko kilku jego narzędzi. Że je sobie w nocy weźmie i nad ranem podrzuci z powrotem. Z początku nie chciałem, ale on bardzo się napierał. No i tyli pieniądz mi dał! Od razu wtedy, w kuchni! Całe dwadzieścia rubli! – zawołał obronnym tonem. – No i dzisiaj niczego nie brakło, specjalnie żem sprawdził. Tom se pomyślał, że wszystko w porządku. Ale jakem usłyszał o tych dwóch zakonnikach,

tom już tak nie myślał, tylko że to pewnie ten szwagier pana Nowaka, no bo kto inny? A wtedy by wychodziło, że to ja z'em go wpuścił!...

Chłopakowi zadrżały usta i znów zaczął płakać, choć już nie tak gwałtownie, jak wcześniej. Jego wuj siedział skamieniały, z wyrazem zdumionego cierpienia na twarzy. Zaif się zamyślił, podobnie jak Jezierski. Tylko Poraj nie snuł żadnych domysłów, uznając za pewnik winę szwagra rzezonego Nowaka. Dziwił się nawet trochę swojemu szefostwu – bo w jego skład począł już włączać Zaifa, jako nieodłącznego przybocznego radcy stanu.

Cisza się przedłużała. Wreszcie przerwał ją Zaif, który rzadko odzywał się przy innych, zostawiając swe uwagi na późniejsze rozmowy z agentem.

– Nie sądzę, żeby sprawcą tej zbrodni był szwagier owego Nowaka – powiedział spokojnie, podczas gdy reszta wpatrywała się w niego z uwagą.  
– O ile w ogóle ma on jakiegoś szwagra. Sądzę, że morderca najpierw przekupił Nowaka, żeby wejść na jego miejsce, a gdy ojciec Andrzej pokrzyżował mu te plany, ściągając na zastępstwo siostrzeńca, kazał Nowakowi przekupić chłopaka. Musiał mu dużo zapłacić, skoro Nowak odzalaował dwadzieścia rubli.

Przerwał i spojrzał na Łukasika.

– Źle zrobiłeś, chłopcze, ale nie mogłeś wiedzieć, o co naprawdę chodzi. Nowak pewnie też nie. Na to już nic nie poradzimy. Ciekawe, co się stało z Nowakiem. Czy faktycznie wyjechał do Sulisławic? Moim zdaniem on też już nie żyje.

– Co też pan mówi, doktorze! – zawołał ojciec Andrzej, zegnając się pospiesznie.

– Doktor ma rację – poparł Zaifa agent z zafrasowaną miną. – Ten morderca jest wyrachowany i bezwzględny. Nie sądzę, by zostawił przy życiu świadka. Do tej pory nie mamy nikogo, kto by coś widział, choćby cień tego człowieka. Nie wiemy o nim absolutnie nic!

– Trochę jednak wiemy – sprzeciwił się Zaif. – Wiemy choćby to, że jest bezwzględny i wyrachowany oraz bardzo inteligentny. To nie jest zwykły zbir, który walnie kogoś łomem w głowę w ciemnej uliczce i obrabuje. On ma wszystko dokładnie zaplanowane, jego działania są do pewnego

stopnia skuteczne...

– Do pewnego stopnia? Nie bardzo rozumiem – zapytał Jezierski. Reszta też wyglądała na zaciekawioną, a Poraj gorliwie wszystko notował.

– Nie znalazł tego, czego szuka – wyjaśnił lakonicznie medyk. – Przynajmniej mam taką nadzieję. Chyba że tutejszy bibliotekarz coś wiedział i mu to na torturach wyznał...

– Taak, zgadzam się z panem – rzekł z namysłem agent. – Tego na razie się nie dowiemy, ale czas pokaże, czy znalazł to coś.

Wszyscy wstrząsnęli się nerwowo, bo było jasne, że tylko kolejne morderstwa lub ich brak będą o tym świadczyć. Po chwili ojciec Andrzej zapytał niepewnie agenta, czy wiadomo, czego morderca szuka.

– Niestety, ojcze. Mam, co prawda, pewne podejrzenia, ale dalekie są one od jakichkolwiek konkretów. Raczej domyślam się, czego to „coś” może dotyczyć. Ale póki co, nie warto łamać sobie głowy. Poczekamy, zobaczymy. Dziękuję ci, chłopcze, za szczerą odpowiedź. Z mojej strony nic ci nie grozi, choć lepiej, byś na przyszłość był rozsądniejszy. Taka duża kwota pieniędzy nawet tobie wydawała się podejrzana, a to prawie zawsze oznacza, że ktoś żąda od ciebie w zamian czegoś niezgodnego z prawem.

– Oddaj panu radcy te judaszowe ruble – nakazał surowo zakonnik.

– Nie trzeba – powstrzymał go natychmiast agent. – Chłopak dał się namówić tylko dlatego, by pomóc rodzinie. Już wie, że źle zrobił i na pewno tego nie powtórzy, prawda?

Chłopak w milczeniu skinął głową.

– Gdyby ci się przydarzyła podobna sytuacja, to lepiej spytaj o poradę wuja albo przyjdź do mnie. A teraz idź już do domu i nie martw się więcej. Ojciec także jest już wolny.

– Chciałbym jeszcze z panem zamienić kilka słów, jeśli można – poprosił z niebywałą jak na niego grzecznością zakonnik. – Ale ty, Wojtuś, już idź, bo zrobiło się późno. I uważaj na siebie, bo już ciemna noc.

Chłopak wstał posłusznie, by się pożegnać, gdy Zaif nagle poderwał się ze swojego miejsca i zawołał:

– Mam inną propozycję. Skoro jest tak późno, niech pan chłopaka przenocuje w klasztorze, a my wracając zawadzimy o jego dom i powiadomimy rodzinę.

Zakonnik już otworzył usta, żeby zaprotestować, ale nie zdążył, bo lekarza niespodziewanie poparł Jezierski.

– Tak będzie najlepiej! Wuj na pewno znajdzie ci jakiś wygodny kąć i coś do jedzenia, prawda?

– Naturalnie – przytaknął nieco zaskoczony zakonnik. – Ale po co, skoro do domu ma niedaleko i...

– Skoro to nie kłopot, to załatwione! – agent zatarł radośnie ręce. – Proszę pokazać chłopakowi jego lokum i wrócić, to dokończymy rozmowę – dodał, patrząc znacząco.

Ojciec Andrzej nic już nie powiedział. Wstał i wyprowadził siostrzeńca.

Gdy obaj wyszli, Jezierski natychmiast zwrócił się do Zaifa.

– Obawia się pan o życie chłopaka, czyż nie?

– Tak. Nie widział, co prawda, mordercy na własne oczy, ale ten nie wie, co mu w końcu powiedział Nowak. Mógł go na przykład opisać lub nawet nieświadomie przekazać o nim jakąś informację, która pozwoliłaby go zidentyfikować lub w jakiś inny sposób do niego dotrzeć. Na przykład, że ma jakieś znamię lub bliznę.

Jasiek aż się zachłysnął z wrażenia, co zwróciło na niego uwagę obu mężczyzn.

– Zachowuj się jak policjant – skarcił go agent. – A policjant nie daje po sobie nic poznać. Przynajmniej się stara. I nikomu ani mru-mru o tym, co tu mówimy. Ani słowa, zrozumiałeś? Teraz skocz do reszty i powiedz, żeby kończyli. Niech też zawiozą ciała do kostnicy. Potem zaraz wracaj.

Poraj tak gorliwie kiwał głową, że omal mu nie odpadła, na wszelki wypadek w ogóle się nie odzywając, i czym prędzej wybiegł.

– Zatem poważnie musimy wziąć pod uwagę możliwość, że morderca będzie chciał pozbyć się chłopaka? – wrócił do tematu Jezierski.

– Tak sądzę. A nawet jeśli nie mam racji, nie zaszkodzi nam chyba odrobina ostrożności w tej sprawie?

– Ale co możemy zrobić, żeby temu zapobiec? Nie mogę dać mu obstawy ani postawić policjanta przed domem na nie wiadomo jak długo!

– Zastanówmy się. Zresztą może jego wuj nam pomoże rozwiązać ten problem.



– Ale wtedy musimy mu powiedzieć, że chłopakowi grozi niebezpieczeństwo. Będzie jeszcze bardziej zdenerwowany.

– To inteligentny człowiek, który niejedno w życiu widział – odparł Zaif. – Na pewno sam już się tego domyślił.

– Nie zasłużyłem na tak dobrą opinię, doktorze! – rozległ się nagle głos zakonnika, który tak cicho wślizgnął się z powrotem do refektarza, że zajęci rozmową mężczyźni go nie zauważyli. – Zachowałem się wobec panów jak ostatni głupiec! Z całego serca przepraszam!

– Przeprosiny przyjęte – powiedział agent. – A teraz musimy poważnie porozmawiać.

W tym momencie wrócił Poraj i cichutko zasiadł za stołem, by kontynuować protokołowanie.

– Tak, to poważna sprawa. Dwóch braci z mojego zakonu nie żyje, a mój siostrzeniec może być następny.

– Skoro już ojciec sam do tego doszedł, nie będę ukrywał, że tak właśnie sądzimy. Teraz musimy coś wymyślić, żeby go przed tą możliwością uchronić. Ma jakąś rodzinę dostatecznie daleko, by mordercy nie opłacało się go ścigać?

Zakonnik pokręcił głową.

– Nie bardzo. Właściwie cała nasza rodzina jest z Kalisza i pobliskiej Warszówki. To ledwie o parę wiorst stąd.

– To nie ma innej rady, musi ojciec zatrudnić Wojtka na dłużej w klasztorze i w ogóle go nie puszczać do domu, aż nie damy znać, że jest bezpiecznie. Chłopak się przyda, zwłaszcza że Nowak pewnie już nie żyje, co szybko sprawdzimy.

– To chyba najlepsze rozwiązanie – zgodził się zakonnik. – Ale chciałbym wam jakoś pomóc w schwytaniu tego łajdaka. Trochę przecież i przeze mnie zginęli dwaj bracia.

– Najbardziej pomoże nam ojciec tu, na miejscu. Po pierwsze trzeba strzec Wojtka i pilnować, by wszystkie drzwi i okna były zamknięte, a chłopak nie może być nigdy sam. Po drugie, pomoże nam ojciec dowiedzieć się, co morderca mógł chcieć od bibliotekarza i jego pomocnika. Musi ojciec się sam zastanowić i popytać innych braci. Ojcu będzie łatwiej, bo jest jednym z nich.

– Ale mnie nie lubią – zauważył zakonnik z krzywym uśmiechem. – Dobrze się o to postarałem, bo chciałem mieć święty spokój. Czy pan wie, jak gadatliwy jest na przykład brat Ambroży? Kilku innych też nie jest lepszych. Człowiek nie miałby chwili spokoju poza porą modlitw.

– Teraz może ojciec powiedzieć, że wstrząsnęły nim te zbrodnie. W takich momentach ludzie lgną do siebie, a po pierwszej żałobie starają się jakoś pojąć, co i dlaczego się stało. Wtedy naturalnie często roztrząsają wszystko, co zaszło, snują przypuszczenia. Oszczędzi mi ojciec dużo czasu, jeśli sam się tym zajmie. Zamiast tego będę mógł skupić się na pozostałych wątkach śledztwa.

– Ma pan rację. Jak mam pana zawiadomić, gdy się czegoś dowiem?

– Może ojciec przyjść do mnie, bo wynajmuję mieszkanie niedaleko klasztoru, przy Sukienniczej. Tyle że rzadko w nim bywam. Częściej może mnie ojciec zastać w pałacu gubernatora. Wystarczy też krótki liścik podany przez kogokolwiek, że chce mnie ojciec widzieć, to zjawię się najszybciej jak będę mógł. Można też dać znać doktorowi, gdyby trudno mnie było znaleźć, choć policjanci z pobliskiego cyrkułu zazwyczaj wiedzą, gdzie mnie szukać. Tylko niech ojciec pod żadnym pozorem nie wysyła Wojtka!

– Ależ za kogo mnie pan uważa, nie jestem aż takim głupcem!

– No to załatwione. Dzięki ojca pomocy możemy teraz opuścić klasztor i nie zajmować się zeznaniami pozostałych braci. Proszę na wszelki wypadek spisywać to, czego ojciec zdoła się dowiedzieć, choćby w punktach. W ten sposób nic nam nie umknie.

– Oczywiście, w końcu pamięć ludzka jest zawodna.

– I proszę nie trzymać tych notatek na wierzchu, ale też specjalnie ich nie ukrywać, bo ktoś na pewno zauważy, że ojciec coś chowa. Schować między innymi papierami albo w jakiejś księdze.

– Znakomity pomysł! Tak zrobię!

– I jeszcze jedno. Może to nic ważnego, ale z obecnym tu doktorem mamy niejasne podejrzenia, że te morderstwa w jakiś sposób łączą się z wolnomularstwem. Szczerze mówiąc, nie mamy na razie nic konkretnego. Po prostu co i rusz natrafiamy na różne wzmianki o masonach, głównie dotyczące przeszłości, choć nie mam pojęcia, jaki

mogłyby mieć związek z tymi zabójstwami. Jednak często przeszłość rzuca cień na teraźniejszość, zatem wszystko jest możliwe. Może to ważne, a może nie. Po prostu proszę zwracać na to szczególną uwagę. Zabicie bibliotekarza sugeruje, że mogło chodzić o jakieś książki związane z wolnomularstwem. Może ostatnio coś takiego dostaliście?

– Cóż, przyznam szczerze, że dotąd nie bardzo interesowałem się zasobami naszej biblioteki, ale obilo mi się o uszy, że faktycznie, nasz księgozbiór trochę się wzbogacił. Właśnie dlatego ojciec Mateusz dostał pomocnika. Ale co to za księgi i skąd pochodzą, nie mam pojęcia. Oczywiście, postaram się dowiedzieć.

Jeziński wstał, za nim Zaif.

– Bardzo liczę na ojca pomoc – powiedział. – No cóż, pora się pożegnać. Nie wiem, czy powinniśmy niepokoić ojca Klemensa o tak późnej porze, bo nie czuł się najlepiej...

– Ja go pożegnam w panów imieniu, bo ojciec Klemens z pewnością już śpi. Najpierw jednak odprowadzę panów do furty. Czy są jeszcze na górze pańscy ludzie?

– Jasięk? – agent zwrócił się w stronę Poraja.

– Wszyscy już poszli, ekscelencjo, ciała też zawieźli do św. Trójcy. Mieli je zostawić dla pana doktora w lodowni – to już było bezpośrednio do Zaifa.

– W takim razie możemy już iść – uznał Jeziński i wszyscy wyszli z refektarza. Nowy sprzymierzeniec poprowadził ich kruzgankami do wyjścia, a następnie serdecznie się z nimi pożegnał, czym wprowadził furtiana w takie zdumienie, że nieborak aż oblał się herbatą.

– Zawieźć pana do domu, doktorze? – zapytał Jeziński, gdy siedzieli już w powozie.

– Nie, do szpitala.

– Słyszałeś, Sierioża? Dawaj do szpitala św. Trójcy – zawołał agent do woźnicy, który tak się wynudził z furtianem i parobkami klasztorными, że teraz ruszył z kopyta. – Naprawdę chce pan pracować po nocy?

– Odeśpię w dzień. Zrobię sekcję i zostawię Stachowi notatki, żeby sporządził dla pana raport.

– Ten telefon w pańskim laboratorium robi się coraz bardziej

potrzebny! Jutro się tym zajmę. Pchnę także ludzi, żeby sprawdzili, co się stało ze stolarzem Nowakiem. A my zobaczymy się w takim razie dopiero pojutrze. Niech pan przyjdzie z rana do mojego gabinetu w pałacu. Zbierzemy i uporządkujemy to, co wiemy. Pomyślimy też, co dalej robić.

– Do tego czasu przygotowuję panu także odciski palców, które zebrałem w klasztorze.

– Niech pan zabierze cały swój zestaw, bo mi Anna suszy głowę, że przeze mnie nie może zobaczyć, jak to wszystko działa, chociaż pan jej obiecał – uśmiechnął się szeroko Jezierski, doskonale się bawiąc zakłopotaniem medyka.

– Oczywiście – bąknął Zaif z pochyloną głową, wysiadając z powozu, bo właśnie stanęli przed szpitalem.

– Do zobaczenia, doktorze, i dziękuję za pomoc! – krzyknął za nim agent.

Panowie, zgodnie z umową, spotkali się dwa dni później. Gdy tylko kamerdyner Jacenty zaanonsował Zaifa, podekscytowany radca zerwał się z fotela i niemal wybiegł mu na powitanie.

– Doktorze, mam masę wieści! – zawołał. – I nie mogę się doczekać, by je z panem omówić. Czego się pan napije? Kawy? Herbaty?

– Może być herbata – powiedział lekarz, wiedząc, że napój ten Rosjanie kochali tak samo, jak Anglicy, choć pijali ją w inny sposób.

– Przynies, Jacenty, herbatę i trochę słodczy do pogryzania. I nie mów jeszcze panience, że pan doktor przyszedł, bo nie da nam w spokoju porozmawiać. Potem sam zaprowadzę do niej doktora.

– Tak jest, ekscelencjo – odparł kamerdyner z ukłonem, starannie powstrzymując zaczątek uśmiechu na twarzy, i wyszedł.

– Niech pan siada, doktorze, gdzie ma pan ochotę – zaprosił gościnnie agent, szerokim gestem omiatając pokój.

– A pan niech już mówi, co się stało, bo zdaje się pan eksplodować z nadmiaru wieści – zażartował doktor, sadowiąc się w jednym z wygodnych foteli.

– A żeby pan wiedział! – Jezierski nie wstydził się swej ekscytacji. Usiadł w ulubionym fotelu za biurkiem i oznajmił. – Otóż mieliśmy rację, Nowak faktycznie nie żyje!

Zaif tylko skinął spokojnie głową, bo takiej wieści się spodziewał.

– Znaleźliśmy jego ciało na drodze, w pobliżu Sulisławic, ale nigdy tam nie dotarł. Poza tym okazało się, że jego matka żyje i ma się dobrze, więc ewidentnie został przekupiony, żeby ułatwić mordercy dostanie się do klasztoru. Ciało leżało w krzakach rosnących w przydrożnym rowie, starannie zamaskowane gałęziami. Szybko by go nie odkryto, gdyby jakiś człowiek, przechodzący tamtędy, nie zauważył skrawka jaskrawoczerwonej chusty w krzakach. Chciał zobaczyć, co to jest, i odkrył ciało. Widocznie jakieś zwierzę próbowało się dobrać do zwłok i trochę naruszyło maskowanie z gałęzi. Zawiadomiono straż ziemską, a oni nas. Szczęśliwie się złożyło, że akurat pchnąłem tam dwóch żandarmów. Po kilku godzinach miałem raport na biurku. Zwłoki oddaliśmy rodzinie, bo denat miał dokumentnie strzaskaną głowę, więc nie było wątpliwości, że ktoś go zdzielił czymś ciężkim. Doszedłem do wniosku, że w takiej sytuacji nie ma po co pana fatygować i robić sekcji, skoro i tak wiadomo, że to morderstwo. Zgodzi się pan, doktorze? – zapytał z lekkim niepokojem agent.

– Pan tu rządzi.

– Nie chciałbym jednak wtrącać się do pana kompetencji.

– Podjął pan słuszną decyzję – uspokoił go lekarz. – Po co przysparzać rodzinie dodatkowych nieprzyjemności i kroić nieboraka, skoro i tak wiadomo, jak zginął.

– Cieszę się, że nie ma mi pan za złe decyzji bez konsultacji z panem. O, jest Jacenty z herbatą!

Na dłuższą chwilę w pokoju zapanowało milczenie, przerywane tylko odgłosami nalewania i mieszania herbaty w cienkich porcelanowych filiżankach oraz chrupaniem słynnych pierników z fabryki dostawcy dworu Gustawa Wesse z Torunia i innych słodczy, które w wielkiej obfitości dostarczył Jacenty, tym razem z pomocą młodszego lokaja.

– Rzecz przedstawia się następująco – wrócił do tematu Jezierski, starannie ocierając serwetką wąsy z resztek konfitury wiśniowej i lukru z pierników. – Mamy pięć zabójstw: pomocnika aptekarza, wdowy Radziejowskiej, dwóch zakonników i stolarza. Początkowo morderca próbował upozorować je na samobójstwo i wypadek. Mam na myśli

Radziejowską, której śmierć mieliśmy wziąć za zatrucie pokarmowe albo nieświadome przedawkowanie substancji narkotycznej. Gdy stało się jasne, że nie dał się pan wywieść w pole, zabójca najpierw próbował pana przejechać powozem, a gdy mu się nie udało, dał sobie spokój i zaprzestał maskowania swych zbrodni. Zakonników torturował, żeby coś od nich wydobyć, a Nowaka zabił, bo go prawdopodobnie widział i mógł rozpoznać. Na razie się wszystko zgadza?

– Wyłożył pan to jasno i obrazowo – zgodził się z nim Zaif.

– Niemal na każdym miejscu zbrodni natrafialiśmy na jakieś związki z masonami – ciągnął dalej Jeziński. Wstał zza biurka i zaczął się przechadzać po pokoju.

– Właściwie takie związki znaleźliśmy tylko u wdowy Radziejowskiej – zaprotestował lekarz. – Chyba że znalazł pan coś u Żebrowskiego?

– Właściwie to nie – przyznał po zastanowieniu agent. – Chociaż...? Zaraz to sprawdzę w papierach, bo coś mi się kołacze po głowie. – Wrócił do biurka i zaczął przerzucać papiery w jednej z teczek. – Przedtem nie zwróciłem na to uwagi... Mam! To spis rzeczy z domu Żebrowskiego. Bodajże Kaminski znalazł u niego między innymi coś takiego: „Kalendarz sprawiedliwej i doskonałej łoży St. Jana pod Imieniem Hesperus na Wschodzie Kalisza na rok 1812/13”<sup>42</sup>. Kaminski zapisał to tylko dlatego, że zdziwił go fakt, iż ktoś tak pieczołowicie przechowuje stary ścienny kalendarz o tak dziwnej nazwie.

– Pieczołowicie?

– Trzymał go razem z kilkoma innymi rzeczami w drewnianej szkatule – wyjaśnił radca stanu.

– A co jeszcze tam trzymał? – zainteresował się doktor.

– Trochę męskiej biżuterii – przeczytał Jeziński, ponownie zaglądając w papiery. – Spinki do mankietów, sygnet, szpilki do krawata, takie tam. Hm, wszystko ze szczerego złota. Ciekawe, skąd miał na to pieniądze, bo na pewno nie z poborów pomocnika aptekarza. Jakies stare kwity dotyczące funduszu żelaznego, cokolwiek to znaczy... i oderwany kawałek kartki z nagryzmlonymi ołówkiem słowami „za Wrocławską Bramą”. Poza złotem – nic ważnego. Nawet się dziwiłem, że przechowywał takie śmieci.

Zaif wyprostował się w fotelu.

– Nie mogę się z panem zgodzić. Fundusze żelazne miały łoże masońskie, choć inne organizacje pewnie też. Taki fundusz łoża zakładała, by zapewnić sobie stabilizację finansową. A za Wrocławską Bramą kaliscy wolnomularze mieli kiedyś swój ogród, wykorzystywany jako miejsce do rekreacji. Podobno robili tam z okazji międzynarodowych uroczystości przepiękne pokazy sztucznych ogni<sup>43</sup>.

– Niemożliwe! – zawołał zaskoczony agent. – Właśnie wykazał pan niezbity związek Żebrowskiego z masonami! Myśli pan, że sam był masonem?

– Przecież mówiłem panu, że wolnomularstwo zostało dawno zlikwidowane.

– Oficjalnie. Ale przecież może działać potajemnie do dziś.

– Niewykluczone, choć mało prawdopodobne – uciął stanowczo Zaif. – Ale Żebrowski mógł być po prostu handlarzem starożytnościami. To by wyjaśniało, skąd miał pieniądze na drogą biżuterię.

– Ma pan rację. Ale związek jest – upierał się Jezierski.

– Oczywiście. Kalendarz jest niewątpliwie masoński.

– Skoro to już uzgodniliśmy, jedźmy dalej. U wdowy znalazłem włożoną do *Albumu kaliskie* litografię przedstawiającą dom Bajera. Z tyłu miała dziwny napis o zabiciu Garszyńskiego i jego brata, którzy podobno też byli masonami. Od jego wnuka dowiedzieliśmy się, że to była prawda. Również u wdowy było dwóch nieznanomych poszukujących pamiątek po masonach... – tu agent trzepnął się w czoło. – Ależ ze mnie głupiec. Na śmierć zapomniałem, żeby sprawdzić to ogłoszenie w gazecie.

– Jakie ogłoszenie?

– To, o którym mówił lokaj Radziejowskiej. Że ktoś skupuje pamiątki po masonach, pamięta pan?

– A tak...

W tym momencie wkroczył Jacenty i z niewzruszoną miną oznajmił:

– Przyszedł ktoś od pani Radziejowskiej. Mówi, że ekscelencja kazał mu przyjsć, jak sobie coś przypomni. Prosić?

Agent z doktorem wymienili zdziwione spojrzenia.

– Proś, Jacenty.

Po chwili kamerdyner wprowadził lokaja wdowy, który w zakłopotaniu ścisnął kapelusz.

– Jego ekscelencja mówił, żeby przyjść i powiedzieć, jak coś mi się przypomni – zaczął nieśmiało. – Boję się, że to nic ważnego, ale wszyscyśmy radzili w tej sprawie, znaczy służba cała, no i wyszło nam, że trzeba dać znać jego ekscelencji...

– Ależ oczywiście, proszę! – Agent powstał zza biurka i podszedł do niespodziewanego gościa. Osobiście podprowadził go do kanapki i zachęcił, by tamten usiadł.

– Może herbatki się napijecie? – zapytał, jakby lokaj był jego dawno niewidzianym przyjacielem.

To zrobiło na nieboraku porażające wrażenie i wprowadziło go w jeszcze większe zakłopotanie.

– Gdzieżbym śmiał...

– Tak wspaniale mnie ugościliście w domu nieboszczki wdowy – zaprotestował agent, osobiście podając mu filiżankę z herbatą. – Chociaż okoliczności były wielce smutne. Chętnie się zrewanżuję.

Jeziński wrócił za biurko i sięgnął po swoją filiżankę, żeby gość nie czuł się tak skrępowany. Zaif, który doskonale wyczuwał intencje agenta, poszedł w jego ślady, z całej siły powstrzymując uśmiech na to niespodziewanie rewolucyjne postępowanie ze służbą.

– Mówcie zatem, co was tu sprowadza – zagaił agent.

Lokaj ostrożnie odstawił na pobliski stolik trzymaną filiżankę wraz ze spodeczkiem. – Na drugi dzień po tym nieszczęściu – wydusił wreszcie – sprawdziłem wszystko w domu, czy nic nie zginęło, tak jak ekscelencja kazał. I gdyby nie przypadek, nigdy bym tego nie zauważył!

– Tak?

– No więc przy okazji sprawdziłem też książki, szczególnie że pan radca Garszyński wyraził chęć nabycia pozostałego księgozbioru, który pewnie na aukcję pójdzie...

– Pozostałego? – nie zrozumiał agent.

– Tego, co zostanie, bo radca ma zagwarantowane testamentem jeszcze nieboszczyka Radziejowskiego, a potem i pani Radziejowskiej, że może sobie wybrać książek za jakąś tam kwotę. Nie wiem jaką, ale raczej



znaczną.

– Rozumiem. Proszę dalej.

– No i nieszczęśliwie jedna z książek wypadła mi z ręki. Podniosłem ją natychmiast i przejrzałem, czy nie ma jakowyś uszkodzeń. I znalazłem to!...

Tu dramatycznym gestem kamerdyner wyjął zza pazuchy nieduży tomik, otworzył go w założonym uprzednio miejscu i podał agentowi. Ten patrzył to na książkę, to na lokaja, ale najwyraźniej nie wiedział, o co mu chodziło. Zaciekawiony Zaif także podszedł i zajrzał agentowi przez ramię.

– Coś wyrwano! – zawołał.

Jezierski odwrócił się zaskoczony.

– Ależ mnie pan przestraszył! No faktycznie. Ale co? I co to w ogóle za dzieło?

Założył palcem stronę i odwrócił książkę.

– To jakiś przewodnik – powiedział i przeczytał na głos – *Reise nach Kalisch*<sup>44</sup>.

– „Podróż do Kalisza” – przetłumaczył na głos Zaif. – To przewodnik wydany z okazji tak zwanego zjazdu monarchów, kiedy to car Mikołaj I zaprosił króla pruskiego. Spotkanie odbyło się właśnie w Kaliszu. Ale to stare dzieje, sprzed półwiecza.

– A co zostało wyrwane?

– Nie mam pojęcia – odparł Zaif. Kamerdyner także potrząsnął przecząco głową.

– Jak to szybko sprawdzić? – zastanowił się głośno agent, trąc podbródek.

– Może jego ekscelencja gubernator będzie miał taki sam w swojej bibliotece. Jego poprzednicy prawdopodobnie nie wszystko ze sobą zabrali<sup>45</sup>.

– Zaraz sprawdzę. Czy coś jeszcze zginęło z domu pani Radziejowskiej?

– Nie. Tylko pan radca Garszyński zabrał ten kufer z książkami, co go nieboszczka chciała sprzedać. I kilka książek z biblioteki pana.

– *Album kaliskie* też zabrał?

– Chyba tak. Nie jestem pewien, ale pan radca skrupulatnie wszystko zapisał. Co było, co wziął, co zostało.

– To dobrze. W razie czego jego spytamy o szczegóły. Tymczasem na jakiś czas zatrzymam tę książkę. Chcecie pokwitowanie? Nie? W takim razie dziękuję wam za cenną pomoc.

– Naprawdę na coś się przydałem? – ucieszył się kamerdyner, zbierając się do wyjścia.

– Oczywiście. Jestem wam wdzięczny w imieniu własnym i jego ekscelencji gubernatora Daragana. Jacenty! Odprowadź naszego gościa!

Gdy zostali sami, Jezierski wstał i ruszył w stronę pomieszczenia, w którym miał telefon.

– A teraz skorzystamy z naszego wynalazku! – zatarł z zadowoleniem rękę. – Przyznam się, że zawsze sprawia mi to uciechę.

– Zadzwoń pan do gubernatora? – zdziwił się Zaif. – Będzie mu pan zwracał głowę starym przewodnikiem?

– Po pierwsze to może być ważny ślad w naszym śledztwie – odparł agent z szelmowskim uśmiechem. – A po drugie zamierzam fatygować nie jego ekscelencję, lecz Annę, która chętnie tu przyjdzie, zapewniam pana!

Zaif spłonął rumieńcem i coś niezrozumiale wymamrotał, czym jeszcze bardziej rozbawił agenta. Wciąż się uśmiechając, wykonał szereg skomplikowanych czynności, których wymagała obsługa nowego wynalazku. Po chwili jął krzyczeć do tubki z mikrofonem.

– Masza?! Jest tam Anna?! Daj ją do telefonu! Anna?! Czy w bibliotece jest książka *Reise nach Kalisch*? Przewodnik! Tak! Niemiecki! Przyniesiesz?! Tylko zaraz! Co mówisz? Jest! Nie wiem! To czekam!

– Anna mnie pytała, czy pan jest i czy wziął pan ze sobą swoją kolekcję odcisków palców – wyjaśnił agent. – Powiedziałem, że nie wiem.

Zaif przez chwilę zmagął się z silnym wzruszeniem, które go opanowało na wieść, że zaraz ujrzy najpiękniejszą istotę na ziemi. W końcu zdołał nieco się opanować i rozluźnić ściśnięte gardło, przynajmniej na tyle, by wychrypieć jedno słowo:

– Mam.

– To świetnie. Zajmiemy się tym za chwilę.

Wrócili do gabinetu akurat w momencie, gdy do pokoju cicho wsunęła się wiotka postać Anny w błękitnej sukni, jak zwykle uszytej z jakiejś zwiewnej materii. Zaif kompletnie nie znał się na modzie, a damskiej w szczególności, ani w ogóle na tekstyliach. Nie znał rodzajów materiałów czy tym bardziej ich nazw. Gdyby nie jego osobisty krawiec, oczywiście Żyd, który był człowiekiem mądrym, nie wiadomo, jak chodziłby ubrany. Na szczęście pan Goldberg, sam zwolennik nierzucającej się w oczy elegancji, dobrze wiedział, w czym „młodemu panu Zaifowi” będzie do twarzy.

Dlatego teraz „młody pan Zaif” całkowicie mógł zatopić się we wrażeniach, jakich dostarczyła mu dziewczyna, bez podświadomego ich analizowania, a zwłaszcza ubioru. Chociaż niedalekie od prawdy byłoby stwierdzenie, że postać jego ukochanej podobałaby mu się nawet, gdyby odziana była w worek po kartoflach.

Anna, w pełni świadoma wrażenia, jakie robi na młodym medyku, udawała oczywiście, że niczego nie zauważa. Ale i jej było bardzo przyjemnie widzieć wysoką, szczupłą postać doktora o ciemnych oczach i włosach. Po raz pierwszy odczuła, że serce dziwnie się w niej trzepocze, gdy idzie w miejsce, gdzie spodziewa się go zastać. Pomyślała też, że stanowczo za rzadko go widuje...

Oczywiście, żadne z tych odczuć nie przedostało się na doskonale obojętne oblicze dziewczyny, gdyż pannie z dobrego domu nie wypadało nic takiego czuć. A szkoda, bo może Zaif śmielej by spojrzał w jej błękitne oczy, zamiast cierpieć katusze miłości, którą sam z góry skazał na niepowodzenie.

Jeziński nie przejął się zbytnio stanem uczuć obojga i ledwie po wejściu Anny usadowił ją z galanterią na kanapie, natychmiast zajął się książką, którą rozłożył na przestronnym biurku obok przewodnika przyniesionego przez kamerdynera Radziejowskich.

– Zniknęła jakaś mapa! – zawołał po chwili triumfalnie, nie odrywając oczu od książek. Zaif drgnął i ocknął się z zapatrzenia w Annę, która także wyglądała, jakby ją ktoś obudził. Oboje, kryjąc zmieszanie, podeszli szybko do biurka.

– Widzi pan, doktorze? Tu była wkładka z mapą. Niech pan popatrzy,

widzi pan? To chyba Kalisz i okolice?

– Tak, to zwykła, niezbyt dokładna mapka, jaką się przygotowuje dla podróżnych.

– Ciekawe dlaczego – odezwała się nagle dziewczyna. – Przecież wydawałoby się, że podróżny potrzebuje raczej dokładnych informacji, bo przeważnie jedzie w miejsca sobie nieznane. Temu, kto zna dane miejsce, nie potrzeba mapy.

– To nad wyraz logiczny wywód, panno Daragan – zachwyił się bystrością swej bogini Zaif.

– Próżno doszukiwać się logiki w niektórych ludzkich działaniach – Jezierski najwyraźniej postanowił bezlitośnie rozwiązać jej złudzenia co do bliźnich. – Zwłaszcza tam, gdzie wkracza machina biurokracji. Wtedy już nic się nie da zmienić. Niestety, Rosja chyli się coraz bardziej pod jej bezdusznym brzemieniem. Po co mu, u licha, ta mapa? – zmienił nagle temat.

– Zwłaszcza że to niemiecka książka, a Niemców może nie dosięgła jeszcze machina biurokracji – zauważyła słodko Anna, doskonale wiedząc, jak wytwornie posłać zatrutą strzałę złośliwości.

– Tu mnie masz! – roześmiał się agent.

– I nie zapominajmy, że książkę wydano pół wieku temu – dorzucił Zaif, po czym wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

Śmiali się długo i szczerze, a to w jakiś niedostrzegalny sposób zbliżyło ich do siebie. Poczuli się tak, jakby znali się od dawna i znajdowali przyjemność w swoim towarzystwie. „Jak przyjaciele”, pomyślał Zaif, który do tej pory niewiele prawdziwej przyjaźni zaznał w rodzinnym mieście. Właściwie jedynych przyjaciół, jakich miał do tej pory, poznał na studiach za granicą. „Ciekawe, czy oni też tak myślą”, zastanowił się, patrząc na roześmiane twarze. „Niezła z nas mieszanka. Ja jestem polskim Żydem, oni Rosjanami w okupowanym przez siebie kraju, a jednak się lubimy. Życie jest dziwne i zawsze dowiedzie, że to człowiek jest ważny, a nie płeć, kolor skóry, narodowość albo wyznanie”, myślał. Tymczasem Jezierski klasnął w dłonie i rzekł:

– Kochani, wspaniale z wami spędzać czas, ale musimy brać się do pracy. Jak to wszystko się skończy, musimy to jakoś uczcić. Najlepiej

niech Anna zacznie już o tym myśleć.

– To znakomity pomysł, Walery Konstantynowiczu! – przyklasnęła mu natychmiast dziewczyna. – Papa będzie szczęśliwy, gdy uda się rozwiązać tę straszną sprawę!

– Wszyscy będziemy, moja panno – zauważył, poważniejąc agent. – A teraz niech mi ktoś wyjaśni, po co mordercy była ta mapka?

Zaif wziął do ręki kompletny egzemplarz i zaczął wnikliwie studiować mapę. Pozostali zagłądali mu przez ramię. Zapadło milczenie, ale wkrótce agent nie wytrzymał i zapytał:

– I co, widzi pan tam coś istotnego dla nas?

– Hm, jedyne, co zwróciło moją uwagę, to fakt, że na mapie dziwnie dobrze jest zaznaczona trasa do Dobrzycy.

– Cóż tam jest takiego? To miasto czy wieś?

– Powiedziałbym, że wieś o charakterze miejskim. Ale ma prawa miejskie.

– A znajdziemy tam coś interesującego z punktu widzenia naszego śledztwa?

– Pałac.

– Pałac?

– Tak.

– Mało to pałaców wokół?

– Ale ten zbudował Augustyn Gorzeński, który był posłem na Sejm Czteroletni, współtwórcą Konstytucji 3 maja i brał udział w insurekcji kościuszkowskiej.

– Zatem patriota – mruknął Jeziński.

– A owszem. Ale był też masonem – miał siódmy stopień wtajemniczenia i był kawalerem Różanego Krzyża. Podobno, chcąc stworzyć odpowiednie miejsce dla zgromadzeń loży masońskiej, wznosił właśnie ów pałac. Pałac ma niepowtarzalną bryłę, ponieważ swym rozplanowaniem nawiązuje do symboliki masońskiej. Tak, tak. Jego skrzydła, różnej długości, ustawione są do siebie pod kątem prostym. Inaczej mówiąc, jest zbudowany na planie węgelnicy masońskiej.

– No, no, znów natykamy się na masonów – pokręcił głową agent. – Czy w takim razie przewodnik wydali masoni?

– To niewykluczone – Zaif wzruszył ramionami. – W Niemczech wolnomularstwo było i jest bardzo rozpowszechnione. Powstało z pewnością wiele publikacji z zakamuflowanymi informacjami, które mógł zauważyć i zrozumieć tylko mason.

– To wszystko pięknie ładnie, ale nadal nie wiemy, po co mu była ta mapa.

– Myślę, że ukradł ją na samym początku swoich poszukiwań – powiedział doktor po krótkim namyśle. – Chciał się zorientować w terenie, a bał się zwracać uwagę tym, że interesuje go coś związanego z masonerią.

– To jest jakiś pomysł. Ale z pana rozumowania wynika, że mordercą jest ktoś przyjezdny, obcy w tych stronach. Zatem na wszelki wypadek zlecę Sokołowowi sprawdzenie wszystkich osób, które w ciągu ostatnich... sześciu wystarczy? – zapytał retorycznie agent. – Sokołow jest pracowity, więc powiedzmy, w ciągu ośmiu miesięcy zjechały do miasta.

– I okolicy – podsunął doktor. – Pamięta pan tego fałszywego lekarza, co podobno doradzał coś wdowie Radziejowskiej?

– I okolicy – powtórzył agent. – Na razie musi nam to wystarczyć, bo nic nowego chyba już nie wymyślimy. Zabierajmy się zatem za odciski palców doktora Zaifa. Ale zajmijmy się tymi z miejsc zbrodni, to za jednym zamachem dowiemy się, o co w tym chodzi i poznamy materiał dowodowy.

– W takim razie pozwoli pan, że zaanektuję pańskie biurko.

Zaif podniósł torbę, którą ze sobą przyniósł. Ale chyba nie dane im było jeszcze zapoznać się z nową techniką identyfikacji, bo nagle otworzyły się drzwi i wszedł Jacenty. Jednak dostoyny krok kamerdynera został zakłócony przez Poraja, który nie zwracając uwagi na lokaja, wpadł jak burza do gabinetu szefa.

– Bronisław Szczepankiewicz zaginął! – krzyknął od progu.

W tym samym momencie rozdzwonił się telefon w pomieszczeniu obok gabinetu. Jezierski poszedł go odebrać. Wrócił po chwili i spojrzał poważnym wzrokiem na Zaifa. – Dzwonił ojciec Andrzej z cyrkułu. Powiedział, że na coś natrafił i że ma to związek z tym, o czym mówiliśmy – stwierdził ogólnikowo ze względu na obecność osób

postronnych.

## Rozdział 9

W gabinecie na chwilę zapadła cisza, przerywana jedynie głośnym oddechem zmęczonego biegiem Poraja.

– Kim, u licha, jest ten Szczepankiewicz?<sup>46</sup> – zapytał nieco zdezorientowany agent, który spojrzawszy na zdyszanego stójkowego, przypomniał sobie jego nowinę.

Jasiek spojrzał zdziwiony na szefa, ale zanim opanował zadyszkę, Zaif go wyręczył.

– Księgarzem – wyjaśnił medyk. – To właśnie za jego pośrednictwem ktoś skupował pamiętki po masonach.

– Ach, chodzi o to ogłoszenie, o którym mówił kamerdyner nieboszczki Radziejowskiej! – przypomniał sobie Jezierski. – Ale co to właściwie znaczy, że zaginął? – zapytał agent, zwracając się do Jaśka.

– To znaczy, że go nie ma i nikt nie wie, gdzie jest – odparł Jasiek, jakby coś tłumaczył nierozgarniętemu dziecku, dając przy okazji dowód niezachwianej chłopskiej logiki.

– Niewątpliwie masz rację – przyznał uroczyście agent, uśmiechając się pod wąsem. – Czy ktoś to oficjalnie zgłosił do cyrkułu, czy to tylko jakaś pogłoska?

– Policjant pogłoskami się nie zajmuje – zgorszył się takim przypuszczeniem Poraj.

– I źle czyni, bo z pogłosek można się wiele pożytecznych dla śledztwa rzeczy dowiedzieć – wytknął mu surowo agent. – Nikt nie powie tyle na oficjalnym przesłuchaniu, ile na przykład sąsiadowi.

– Ale mnie szło o to, że... – jęknął Poraj.

– Dość! Wiem, o co ci szło. Kto zgłosił zaginięcie?

– Jego córka.

– Kiedy zaginął?

Jasiek wyszarpnął z kieszeni bluzy notatnik i przeczytał służbiście:

– Melduję, że dwa dni temu. Wyszedł kupić tytoń i gazetę, a potem miał



się udać do cukierni Wehnera w parku<sup>47</sup>. Był tam około dwóch, trzech godzin. Czytał gazety, pił kawę i jadł ciastka. Widziało go wiele osób, cztery z nim rozmawiały. W razie czego mam ich nazwiska. Potem wyszedł i jakby rozpląnął się w powietrzu. Podobno widział go pewien pijaczyna, jak wsiadał do jakiegoś powozu w alei Józefiny, ale wierzyć mu trudno, bo to straszny moczymorda... o wybaczenie proszę! Do domu już nie wrócił. Rodzina czekała, na drugi dzień szukała na własną rękę, w końcu zgłosiła nam zaginięcie.

– Rozumiem. Bardzo dokładne sprawozdanie. Sam to wszystko sprawdziłeś, zanim do mnie przyszedłeś?

– Tak jest, ekscelencjo!

– Należy ci się pochwała za samodzielność i dobrą robotę!

– Bardzo dziękuję, ekscelencjo!

– Staraj się tak dalej, to niedługo awansujesz...

– Ach, wasza miłość! – tu Jasiak swoim zwyczajem rzucił się całować rękę dobroczyńcy, który, znając już te wybuchy wdzięczności swego podwładnego, i tym razem wykonał zręczny unik, niemniej radość Jaśka szczerze go ubawiła. Również na twarzach pozostałych widzów tej scenki malowały się mniej lub bardziej dyskretne uśmiechy.

– Jasiak! – agent z udawaną surowością przywołał go do porządku. – Już ci mówiłem, że nie jestem biskupem, żebyś mnie po rękach całował! Idź, powiedz Jacentemu, żeby kazał przygotować dla mnie i doktora powóz, a potem pojedziesz z nami. Gdzie to jest?

– Niedaleko, przy ulicy Warszawskiej, pod numerem 64. Tam teraz prawie cała rodzina się zgromadziła.

– No to zmykaj, a jak się szybko uwiniesz, to może zdążysz zajrzeć do kuchni. Antoniowa tak cię polubiła, że jak trzy dni cię nie widzi, to się dopytuje, co z tobą zrobiłem. A Elżbietka tylko oczami strzela i się czerwieni. Bałamut z ciebie, nie ma co!

Zaczerwieniony po uszy Poraj tylko zsalutował całemu towarzystwu i z prędkością błyskawicy uciekł z gabinetu szefa. Jezierski z uśmiechem odwrócił się do swoich przyjaciół i wtedy zauważył nieszczęśliwą minę Anny. Natychmiast domyślił się, co było jej powodem, westchnął więc tylko i mruknął pod nosem „Ach, ci zakochani”, a głośno powiedział:

– Tak sobie pomyślałem, doktorze, że na razie nie mamy kolejnego nieboszczyka, tylko zaginięcie. Może więc pojedę do tej księgarni tylko z Jaśkiem, a pan z Anną przejrzyście do końca te odciski palców.

Widok rozpromienionej twarzy Anny był wystarczającą nagrodą za jego domysłność. Twarzy Zaifa nie widział, gdyż medyk akurat opuścił głowę, jakby zamierzał dokładnie przestudiować posadzkę w gabinecie Jezierskiego.

– Tak chyba będzie najlepiej, bo inaczej nigdy nie sprawdzimy tych odcisków, a kto wie, może coś z tego wyjdzie. A pomoc bardzo nam się przyda, bo póki co, dowodów mamy niewiele, a pojęcia żadnego, kto te zbrodnie popełnia. Ale teraz może pan, doktorze, zacząć swój wykład. Chętnie posłucham, póki Jacenty nie zawiadomi mnie, że powóz czeka.

Zaif w milczeniu skinął głową i znów podszedł do biurka, by dokończyć przygotowywanie pokazu. Wypakował resztę swoich rzeczy, z których większość stanowiły podłużne kasetki wypełnione kartonikami, poza tym kilka brulionów, jakieś pudełka i komplet lup różnej wielkości i o różnym stopniu powiększania. Po chwili odchrząknął i rozpoczął, patrząc na wszelki wypadek na swoje przybory, a nie na Annę.

– W tych drewnianych kasetkach mam coś w rodzaju katalogu zebranych i opisanych odcisków palców. Nazwałem to katalogiem, gdyż z braku innego sposobu, na razie poukładałem karty alfabetycznie według nazwisk ich właścicieli – odwrócił jedną z kaset tak, by Anna z Jezierskim mogli widzieć wystające spomiędzy kart jednakowej wielkości kartoniki z dużą literą alfabetu starannie wykaligrafowaną czarnym atramentem i pokrytą jakimś błyszczącym preparatem.

– Jaki to sprawia kłopot – kontynuował – za chwilę wyjaśnię. Są tam odciski moje, mojej rodziny, służby, przyjaciół, krewnych i sąsiadów. Po prostu zbierałem odciski od wszystkich, którzy zgodzili się, bym je od nich pobrał. Każda z tych osób odcisnęła dla mnie we wskazanym miejscu po kolei wszystkie palce obu dłoni, zatem na jednej karcie znajduje się dziesięć odcisków. Za chwilę zobaczycie, że układ jest zawsze jednakowy, żeby można było jak najszybciej znaleźć odcisk wybranego palca. Zaledwie około piętnastu z tych opisanych w katalogu kart jest opatrzonych na górze czerwonym paskiem – tu Zaif zademonstrował

rozsiane w różnych miejscach karty, które rzucały się w oczy ze względu na ów jaskrawy kolor. – To są odciski przestępców, przeważnie drobnych złodziejasków i oszustów, z którymi się zetknąłem przy różnych okazjach. Oni też wyrazili zgodę na pobranie ich odcisków palców.

Zaif podał swoim słuchaczom po jednej kasetce, by mogli sobie wszystko dokładnie obejrzeć. Potem kazał im wyjąć dowolną kartę i wyjaśnił układ zebranych odcisków oraz proces ich robienia. Zauważył przy tym, że Anna, której trafiła się kasetka z końcowymi literami alfabetu, bez wahania wyszukała jego kartę, natomiast Jezierski uważnie przejrzał zawartość swojej kasety, zanim wyjął kartę z nazwiskiem Prusinowskiego, aptekarza i patologa miejskiego.

– Te karty są czymś pokryte, panie Jakubie – odezwała się trochę nieśmiało Anna, wskazując na trzymaną w ręku kartę. – Co to za substancja?

– Też to zauważyłem – zawtórował Jezierski. – Czy to ma zabezpieczać odciski w tuszu odcisk przed rozmazaniem?

– Tak jest. Zastosowałem jeden z werniksów używanych przez malarzy do utrwalania namalowanych obrazów. To damara, miękka żywica naturalna, pobierana z drzew rodziny *Dipterocarpaceae* w postaci balsamu.

– Znakomity pomysł! – zachwyciła się Anna. – Mogłabym tak utrwalić choćby sekretne przepisy mojej prababki na kotlety nowomichajłowskie<sup>48</sup>, przyrządzane z piersi kurzych, z roztopionym w środku masłem. Albo przepis babki na sałatkę olivie, którą w połowie XIX wieku wymyślił francuski kucharz Olivie. Prowadził wtedy restaurację Ermitaż w Moskwie. Nie wiem, czy wiecie, że Olivie zabrał do grobu tajemnicę swojej znakomitej sałatki, ale zrobił wyjątek dla mojej babki i podał jej podstawowe składniki. Zabronił jej przy tym surowo zdradzania przepisu, bo inaczej jego duch nawiedzi kucharza i tak mu wszystko pomiesza, że wyjdzie z tego rzecz niejadalna.

– Przyrządzisz ją dla nas, Anno, gdy skończymy śledztwo? – zapytał ze śmiechem Jezierski. – Jest przepyszna! Jadł pan kiedyś? – zwrócił się do Zaifa.

– Raz – odparł ku ich zaskoczeniu Zaif. – W Moskwie. Rzeczywiście,

była bardzo smaczna. Tak bardzo, że mój ojciec, wielki smakosz, próbował ją odtworzyć metodą prób i błędów. Ojciec przyjechał raz mnie odwiedzić i zabrał swojego kucharza. Zawsze go zresztą ze sobą zabiera w podróż, bo wtedy najłatwiej zdobyć nowe przepisy. Razem chodzili codziennie do polecanej nam restauracji i jedli tę sałatkę, aby rozpoznać składniki. Potem ojciec kazał przyrządzać ją w domu. O ile pamiętam, używa się do niej cielęciny i jarząbków, gotowanych ziemniaków, selera, oliwek i wiśni bez pestek, nieco korniszonów, szyjek rakowych, trochę świeżych ogórków i gotowanych borowików oraz jajek na twardo. Wszystko sieka się w kostkę i polewa sosem prowansalskim.

– Och! – wyrwało się Annie, która z wrażenia przytknęła sobie obie dłonie do ust. – Pan jest po prostu *niesamowity!* Czy jest coś, czego pan nie wie? – zapytała z rozpaczą. – A ja myślałam, że sałatka olivie jest nadal tajemnicą!

– Ależ jest, na pewno pani przepis zawiera coś, czego nie znam – pocieszył ją pospiesznie Zaif. – Ja tylko wymieniłem to, co udało się rozpoznać mojemu ojcu i kucharzowi.

– Jeszcze dziś to sprawdzę!

– To później, Anno, a teraz pozwól doktorowi skończyć wykład. Mam bardzo mało czasu! – rzekł Jeziński, wyciągając z kieszonki zegarek na łańcuszku i spoglądając na cyferblat.

Powrócili więc do kart z odciskami palców i Zaif podjął przerwany wątek.

– W tej osobnej kasecie – podniósł do góry pojemnik wypełniony zaledwie w jednej czwartej – są odciski palców, które udało mi się zebrać podczas obecnego śledztwa. Starłem się, żeby były to odciski z samego miejsca zbrodni i narzędzia, choć na wszelki wypadek zbierałem też ślady z innych części pomieszczeń. Aha, zawsze też zbieram odciski z futryn i drzwi wejściowych, z drzwi do poszczególnych pokoi, klamek, okien itp. Zabójca przecież musi jakoś wejść i jeśli ktoś po nim nie naciśnie klamki, jest szansa trafić na jego odcisk.

– Strasznie to skomplikowane! – poskarżyła się Anna.

– Tylko pozornie – uspokoił ją medyk. – Jak się pani wprawi, nie będzie to nic trudnego. Jak widzicie, nie ma tu jeszcze żadnej litery, bo karty nie

są opatrzone nazwiskiem. Nie wiadomo, czyje to są odciski. Posegregowałem je tylko według miejsca zbrodni. Nie miałem też jeszcze czasu, żeby je porównać i sprawdzić, czy nie powtarzają się w różnych miejscach. To stanowiłoby dowód, że ich posiadacz tam przebywał. Ale trzeba też pamiętać o tym, że ofiara i jej rodzina, służba, a potem policjanci też zostawili swoje odciski palców. Dlatego na wszelki wypadek zebrałem przy pomocy Poraja i Małyszki odciski ofiar, wszystkich domowników i policjantów, żeby można było je odłożyć na bok.

– Przecież zabójcą może być ktoś ze służby! – zaproponował agent.

– Oczywiście. Także policjant. Tak, i niech pan nie protestuje, bo policjanci to też ludzie, więc podlegają uczuciom i pokusom jak inni. Dlatego powiedziałem „odłożyć na bok”, a nie „wyeliminować”. Zawsze można do nich wrócić. Pierwszą czynnością jednak powinno być sprawdzenie, czy na miejscu zbrodni, a zwłaszcza na narzędziu zbrodni nie znajdują się jakieś obce odciski, a potem, czy któreś nie powtarzają się w różnych miejscach, na przykład u wdowy, w klasztorze albo u Żebrowskiego. À propos klasztoru. Udało mi się tam znaleźć kilka krwawych odcisków zostawionych przez kogoś ubrudzonego krwią zamordowanych. Nie były to odciski ofiar, co od razu sprawdziłem. To dowód, że ktoś musiał być tam w czasie lub tuż po popełnieniu zbrodni i na pewno dotykał zabitych. Ale nie pobrałem jeszcze odcisków od innych zakonników, za dużo czasu by mi to zajęło. W razie potrzeby zdołamy to jeszcze zrobić.

– Udało się panu kiedyś coś udowodnić za pomocą tych odcisków?

– Mnóstwo rzeczy. W domu ojca przez jakiś czas zabawiałem domowników i gości różnymi sztuczkami z odciskami palców. Na przykład dawałem gościom jakąś rzecz, choćby książkę w skórzanej oprawie, którą wcześniej dokładnie wytarłem, żeby zetrzeć poprzednio naniesione odciski palców, potem wychodziłem. Po umówionym czasie wracałem, sprawdzałem odciski i już wiedziałem, kto dotykał książki. Nigdy się nie pomyliłem. Oczywiście wcześniej musiałem od wszystkich biorących udział w zabawie osób pobrać odciski linii papilarnych.

– Szkoda, że pan wtedy nie współpracował z policją – westchnął Jezierski.

– W jednym przypadku udało mi się udowodnić, że stójkowy złapał nie tego człowieka, co trzeba – uśmiechnął się Zaif.

– Doprawdy? – ucieszył się agent. – Jak pan to zrobił?

– Ktoś okradł dom naszych sąsiadów. Złodziej dostał się przez okno w kuchni, które było niedomknięte. W sumie nic wielkiego się nie stało, rabuś potrącił wystygłą fajerkę na kuchni i narobił takiego hałasu, że zaraz uciekł. Nie zdążył więc ukraść niczego naprawdę cennego, ot, trochę drobiazgów kuchennych. Najdroższą rzeczą był stary zegar ścienny. Złodziej uciekając zostawił odcisnięte ślady ubrudzonych sadzą rąk na murze sąsiadów, który niedawno został pobielony. Obudzony hałasem sąsiad wybiegł wkrótce po nim na ulicę i natknął się na stójkowego. Razem ruszyli w pościg w stronę, skąd dobiegł jakiś hałas. I złapali Bogu ducha winnego pijacznę, który akurat się przewrócił. Oczywiście nic przy nim nie znaleziono, ale stójkowy uparł się, że to złodziej, tylko zdążył wyrzucić skradzione przedmioty. Ja akurat byłem w domu ojca, bo trwały wtedy ferie świąteczne. Poprosiłem stójkowego, by mi pozwolił zdjąć odciski palców tego rzekomego złodzieja, żeby porównać je ze śladami na murze. Nie pasowały, więc powiedziałem, że złapali niewłaściwego człowieka. Stójkowy nie bardzo mi uwierzył i niezmiernie podejrzliwie odnosił się do moich fanaberii z odciskami palców, więc pijaka i tak zamknął w kozie. Jednak dwa dni później przyłapał innego mężczyznę, który próbował sprzedać na targu skradziony zegar. Wtedy sam go do mnie przyprowadził, żebym sprawdził jego odciski palców. Tym razem wszystko się zgadzało i pijaczek odzyskał wolność, a prawdziwy złodziej poszedł za kratki.

– Wspaniała historia! – zachwyciła się Anna, której Zaif tak zaimponował tego dnia swoją rozległą wiedzą, że teraz patrzyła w niego jak w obraz. Tak jawny entuzjizm pozwolił młodemu doktorowi odzyskać nieco pewności siebie, którą zwykle tracił na widok dziewczyny. Przestał czuć się tak onieśmielony i mógł zachowywać się bardziej naturalnie. Wręcz zaczął nieco się popisywać, ale któż by tego nie robił w towarzystwie osoby, której obecność powoduje przyspieszone bicie serca i dziwne skurcze zarówno krtani, jak i żołądka?

Jeziński spoglądał na nich z dyskretnym uśmiechem, ale niedługo

bawił go widok dwojga młodych najwyraźniej mających się ku sobie, bo oto wkroczył Jacenty i oznajmił, że powóz już czeka. Przeprosił przy tym w imieniu woźnicy za zwłokę, ale okazało się, że pękł dyszel i trzeba go było wymienić.

Agent pożegnał więc swoich młodych przyjaciół, mówiąc, że postara się wrócić za dwie godziny, a wtedy zastanowią się, co robić dalej. Tymczasem mieli sprawdzić, czy jakieś odciski palców powtarzają się w różnych miejscach zbrodni.

Jezierski szybko dotarł na pobliską ulicę Warszawską i stanął przed kamienicą pod numerem 64, gdzie, jak informowała tabliczka, Bronisław Szczepankiewicz przeniósł nie tylko swoją księgarnię, ale i drukarnię oraz litografię. Przejął pozostałości po księgarni Wartskiego, który w latach siedemdziesiątych miał tu swój sklep. Napoleon Wartski zasłużył się miastu tym, że własnym nakładem wydał *Dawne ustawy m. Kalisza* oraz *Dzieje kościoła i klasztoru OO. Reformatorów* autorstwa Adama Chodyńskiego.

Szczepankiewicz także oddał miastu niemałe usługi, jako że obok księgarni umieścił przejętą od Wartskiego wypożyczalnię i czytelnię dla tych, którzy nie mieli dość pieniędzy, by gazetę lub książkę kupić. Wobec braku biblioteki publicznej była to jedyna forma umożliwiająca kontakt z książką w domu, bez konieczności jej zakupu. Kilka lat później przejął od Asnyków wypożyczalnię książek francuskich i znacznie powiększył jej zbiory. Nie wiadomo, ile było w niej książek obecnie, ale w 1880 roku czytelnia liczyła 1700 dzieł polskich (w tym 120 dla dzieci), 1600 francuskich, 800 niemieckich, a także kilkadziesiąt czasopism polskich i obcojęzycznych. Co również ważne, księgozbiór czytelni stał na dość wysokim poziomie. Obok literatury beletrystycznej znaleźć w nim można było dzieła takich autorów jak Czacki, Czartoryski, Karpiński, Niemcewicz, Naruszewicz, Kochanowski czy bracia Śniadeccy.

Agent wszedł do wnętrza księgarni i rozejrzał się ze zdumieniem po zapchanym wnętrzu. Słyszał już co prawda o tym, jak to pan Szczepankiewicz wzbogacił zbiór książek i ich asortyment, do którego dołączył skład nut i materiałów piśmiennych, ale nie spodziewał się, że księgarz prowadził także przedstawicielstwo Towarzystwa

Ubezpieczeniowego „Rossija” oraz sprzedaż instrumentów muzycznych i dewocjonałów. Jakby tego było mało, w jego księgarni rozprawdzano też bilety na wszelkie przedstawienia amatorskie i bale dobroczynne, koncerty itp. Na półkach był wielki wybór bogato ilustrowanych książek dziecięcych i młodzieżowych. Dużo było też książek o tematyce religijnej i do nabożeństwa, zarówno dla katolików, jak i ewangelików. Były one często bogato zdobione, oprawione w kość słoniową, aksamit, róg, skórę czy płótno. Asortyment wzbogacały dzieła obcojęzyczne, m.in. w języku rosyjskim i niemieckim, ponadto w księgarni był również duży wybór książek specjalistycznych – z zakresu pedagogiki, czy też rolnictwa, hodowli i uprawy roślin oraz o mniej popularnej tematyce, jak na przykład *Magnetyzm i Hypnotyzm* Cullerrego czy *Chemia na usługach człowieka* Dębskiego. Poza tym w sprzedaży były dzieła polskich autorów współczesnych, w tym także te najnowsze. Był więc *Pan Wołodyjowski* Sienkiewicza oraz *Cham Orzeszkowej*, *Z legend dawnego Egiptu* Prusa oraz jego wcześniejsza powieść – będąca solą w oku władz nie tylko pruskich – osławiona *Placówka*, traktująca o walce polskiego chłopca z niemieckim zaborcą.

Jednym słowem była to kolejna nieformalna placówka kulturalna Kalisza, który w ten sposób przeciwstawiał się próbom rusyfikacji i całkowitego zjednoczenia z carskim imperium, co było głównym celem władz rosyjskich wobec podbitych narodów. I to placówka nie była jaka, lecz bardzo porządnie zaopatrzona!

Jezierny uśmiechnął się pod wąsem na myśl o tym, jakie miny zrobiliby na ten widok jego „koledzy” z ochrony, ale nie zamierzał ich o tym informować. Nikt ich nie lubił, także on, gdyż uważali się za lepszych, a przede wszystkim wszechwładnych, czyli w ich mniemaniu po prostu bezkarnych. I dawali to wszystkim odczuć.

Agent całkowicie lekceważył wszelkie okólniki ochrony, zgodnie z którymi działalność kulturalna w innym niż rosyjski języku była działalnością wręcz wywrotową. Zamiast więc zebrać dane do raportu, w którym by „uprzejmie doniósł” o „nieprawidłowościach”, jakie odkrył, zdjął kapelusz i złożył rodzinie zaginionego wyrazy współczucia z powodu trudnych chwil, jakie niewątpliwie przeżywali, nie wiedząc, co dzieje się



z głową rodziny. Obecność agenta do specjalnych poruczeń w randze radcy stanu zrobiła piorunujące wrażenie na zgromadzonych. Część osób, na oko Jezierskiego pracowników, rzuciła się na zaplecze, a reszta stała jak wmurowana, nie wiedząc, co sądzić o tej nieoczekiwanej wizycie. To zapewne rodzina, ewentualnie przyjaciele, stwierdził agent, szacując ich ubiór i wygląd. Panowie mieli kapelusze, ciemne garnitury, starannie wyprasowane koszule z gorssem i wypielęgnowany zarost. Niektórzy trzymali w ręku laseczki, inni bawili się monoklem lub zegarkiem z dewizką. Panie ubrane były w skromne, ale szykowne suknie. Jedna miała koronkowy kołnierzyk spięty ametystową broszką, ramiona drugiej okrywał jedwabny szal.

Ci ludzie spodziewali się policmajstra, a nie szarej eminencji z pałacu gubernatora. Taka wizyta z reguły nie wróżyła niczego dobrego. Nic dziwnego, że czuli się przestraszeni i zdezorientowani. Jezierski był pewien, że w ich głowach trwają właśnie pospieszne analizy i paniczne rachunki, czy aby pan Bronisław nie wplątał się w coś dużo gorszego niż „nieprawomyślna” działalność na niwie kulturalnej. Albo co gorsza, już nie żył.

Zatem gdy agent złożył już wyrazy współczucia, wszyscy nadal stali w milczeniu. Kobieta z szalem, mająca około pięćdziesięciu lat („chyba żona”, pomyślał agent), przyłożyła tylko chusteczkę do oczu w niemym geście rozpacz. W końcu młodsza („zapewne córka”) mężnie wystąpiła naprzód i poprowadziła agenta nieco na bok, do stolika. Zdjęła z niego książki i pocztówki i dopiero wtedy poprosiła, by usiadł.

– Czym mogę panu służyć? – zapytała znużonym głosem.

Agent przyjrzał się jej podkrążonym oczom, uczciwej twarzy i postanowił rozmawiać z nią szczerze.

– Wiem, że dziwi panią moja obecność – powiedział wprost – ale mam podstawę przypuszczać, że pani ojciec mógł zostać zamieszany w jakąś bardzo poważną sprawę. O nic złego go nie posądzam, broń Boże! – dorzucił natychmiast, widząc nagłą błądź rozmówczynie. – Sądzę raczej, że padł ofiarą...

– Czy... Czy mój ojciec nie żyje? – przerwała słabnącym głosem młoda kobieta, sięgając odruchowo do kołnierzyka, jakby chciała go zerwać, bo

zabrakło jej tchu.

– Ależ nie – pospiesznie zaprzeczył agent. – Na razie nie wiemy, co się z nim stało, lecz zakładamy uprowadzenie albo wypadek powodujący utratę pamięci.

– Ach tak – odszepnęła bezbarwnie.

Jeziński wiedział, że jego słowa stanowią marną pociechę, szczególnie że los księgarza nadal był nieznany. Nie mógł jednak nic na to poradzić.

– Będę z panią szczerzy – powiedział, patrząc jej w oczy. Wiedział, że wzbudzi tym jej ciekawość i na chwilę odciągnie jej myśli od niewiadomego losu ojca. – Potrzebuję pani pomocy. Powiem pani mniej więcej, o co chodzi, a pani być może uda się dorzucić jakiś szczegół, który coś by wyjaśnił w tej zagmatwanej sytuacji.

Młoda kobieta podniosła spuszczone dotąd oczy, a na jej twarzy odmalował się cień zainteresowania. Odgarnęła z czoła jasny kosmyk, który wymknął się z ciasno upiętego koka, i powiedziała niepewnym głosem:

– Ale cóż ja mogę panu pomóc, zupełnie nic nie wiem.

– Każdy coś wie, choć nie zawsze sobie zdaje sprawę z wagi posiadanych informacji. Zacznijmy jednak od początku. Otóż w Kaliszu od kilku tygodni ktoś za... – tu Jeziński zawahał się lekko i natychmiast poprawił, uznając, że słowo „zabija” lub „morduje” jest zbyt brutalne w tej sytuacji. – Pozbawia życia ludzi, od których usiłuje coś wydobyć. Na razie nie wiemy ani kto to jest, ani czego szuka. Zauważyliśmy jednak, że ta sprawa musi mieć jakiś związek z masonerią. Niemal w każdym przypadku natrafiamy na jakieś wątki wolnomularskie. Właśnie w trakcie tego śledztwa dowiedzieliśmy się, że pani ojciec udostępnił swą księgarnię komuś, kto skupuje pamiątki po masonach. Początkowo nie przywiązywaliśmy do tego wagi, bo wtedy w ogóle niewiele wiedzieliśmy i nic nie wskazywało na to, by zbrodni miało być więcej. Teraz jednak mamy już pięć trupów i jedno usiłowanie zabójstwa. Pani ojciec zaś niespodziewanie zaginął. Pomyślałem, że może to ma jakiś związek z moim śledztwem. Może mi pani coś powiedzieć o tym ogłoszeniu, które pani ojciec dał do „Kaliszanina”? Wie pani coś więcej na ten temat? A może widziała pani człowieka, który zlecił to pani ojcu?

Młoda kobieta podparła dłonią podbródek i przez chwilę się zastanawiała, podczas gdy agent spoglądał na nią z nadzieją.

– Niewiele wiem o tym ogłoszeniu, bo ojciec też nie wiedział – powiedziała wreszcie. – Byłam przy tym, jak dwóch mężczyzn przyszło z tą propozycją. Wyglądali na statecznych obywateli. Na pewno nie były to jakieś rzezimieszki, tylko zamożni ludzie. Może nawet zza granicy. Przynajmniej jeden z nich.

– Dlaczego pani tak sądzi?

– Bo mówił do ojca tylko po francusku, a do tego drugiego po niemiecku.

– A drugi?

– Drugi mówił po polsku, ale z jakimś obcym akcentem, jakby dawno nie był w kraju. Tłumaczył słowa tamtego, bo ojciec niezbyt biegle włada francuskim, a jeszcze mniej niemieckim, więc nie całkiem rozumiał, czego ten pierwszy od niego chciał.

– Wyglądało jednak na to, że to ten cudzoziemiec był zainteresowany współpracą z pani ojcem, a ten drugi tylko mu pomagał?

– Rządził na pewno ten cudzoziemiec, jeśli o to panu chodzi.

– Dziękuję, doskonale to pani ujęła – uśmiechnął się agent. – A czego konkretnie chcieli?

– Ten cudzoziemiec powiedział, że jest kolekcjonerem różnych osobliwości i dowiedział się, że w Kaliszu działały kiedyś loże masońskie. A że na prowincji ludzie rzadko pozbywają się rzeczy, bo wolą je wynieść na strych niż wyrzucić, to ma nadzieję znaleźć jakieś pamiątki po masonach. Muszę przyznać, że mnie zaskoczył, bo diagnoza prowincjonalnego miasta była bardzo trafna.

– Uważa pani Kalisz za miasto prowincjonalne? – zdziwił się agent.

– A pan nie? – odpowiedziała pytaniem, nieco wyzywająco spoglądając mu w oczy, jakby chciała powiedzieć, że zdaje sobie sprawę, iż Rosjanin z tak wysoką rangą nie dorobił się jej na prowincji. Mądra kobieta, pochwalił ją w myśli agent, ma sporo racji, a już na pewno logicznie rozumuje. Żeby jeszcze nie była taka zimna. Zupełnie, jakbym rozmawiał z rybą. Zamiast więc odpowiedzieć, uśmiechnął się niezobowiązująco, czekając na dalszy ciąg relacji. Nie trwało to długo.

– Dali ojcu znaczną sumę pieniędzy, ale nie wiem dokładnie ile – dodała zaraz. – Miał opublikować to ogłoszenie i skupować wszelkie przedmioty, jeśli tylko uda się stwierdzić, że wiązały się z wolnomularstwem. Ta rozmowa wymagała tłumacza między innymi dlatego, że cudzoziemiec używał wielu specjalistycznych słów, które i mnie, i ojcu były obce. Nasza znajomość francuskiego kończy się na normalnych, codziennych sprawach. Tymczasem ten cudzoziemiec tłumaczył ojcu, jak poznać, czy jakiś przedmiot ma coś wspólnego z wolnomularstwem. Ale okazało się, że ojciec nieźle się na tym zna, więc tamten bardzo się ucieszył. Tak bardzo, że dał ojcu dodatkową kwotę pieniędzy, coś jakby premię. Obiecał też, że po udanych zakupach hojnie się odwdzięczy.

– To mi nieco przypomina radcę Garszyńskiego, który także zbiera różne osobliwości oraz pamiątki po masonach – zamyślił się agent. – Czy ojciec pani zna radcę Garszyńskiego?

– Ojciec zna chyba wszystkich, którzy umieją czytać i pisać – oświadczyła z dumą młoda kobieta. – Każdy, kto choć raz przestąpił próg księgarni lub drukarni, był ojcu znany. Ma świetną pamięć do twarzy oraz imion. To robi ogromne wrażenie na klientach. Ktoś wchodzi drugi raz w życiu do naszej księgarni, a ojciec na jego widok natychmiast woła „witam, panie Witoldzie!”, czy coś w tym rodzaju. Dlatego pewnie większość z nich tu wraca – zaśmiała się.

– Nazwiska też tak dobrze pamięta? – zainteresował się agent.

– Nie, z nazwiskami jest już gorzej – przyznała ze zdziwieniem, widząc, że agent kiwa głową, jakby potwierdziła jakąś jego tezę. – Czy jak ktoś pamięta imiona, to zapomina nazwisk? – zapytała.

– Tak to zwykle bywa – przyznał Rosjanin. – To jak było z tym Garszyńskim? Ojciec go znał?

– Oczywiście! Bardzo dobrze!

– Nie wspomniał o nim tym poszukiwaczom pamiątek? W końcu mieli podobne zainteresowania.

– Ależ tak, wspomniał, lecz ten Polak powiedział, że już znają kolekcję pana Garszyńskiego i nic z jego rzeczy ich nie interesuje.

– To ciekawe, bo radca powiedział, że z nikim obcym na ten temat nie

rozmawiał.

– Może skłamał? – rzekła niezbyt pewnie panna.

– To możliwe – zgodził się agent, któremu przyszły teraz do głowy bardzo niemiłe dla radcy podejrzenia. Ale mogli też kłamać owi nieznajomi. – I co było dalej?

– Nic. Pojechali sobie.

– Zostawili adres?

– Oczywiście, ojciec musiał mieć przecież możliwość skontaktowania się z nimi w razie nagłej konieczności. Zaraz go poszukam – wstała i wygładziła suknię.

– To za moment – powstrzymał ją agent. – Mam jeszcze kilka pytań.

– Proszę pytać – kobieta z powrotem usiadła.

– Zna pani ich nazwiska?

Zamilkła na moment.

– Nie – powiedziała po chwili z lekkim zdumieniem. – To dziwne, ale nie padło nazwisko żadnego z nich. Przy adresie też nie ma nazwiska. Nie mogę uwierzyć, że dotąd nie zwróciłam na to uwagi!

– Nic dziwnego – mruknął Jezierski. – Bo ja na przykład nadal nie znam ani imienia, ani nazwiska pani. Zakładam tylko, że nazywa się pani Szczepankiewicz, bo nie widzę obrączki na pani palcu, ale to o niczym nie świadczy. Obrączkę mogła pani zgubić, zastawić w lombardzie lub sprzedać.

– Och! Przepraszam! To niewybaczalny brak ogłady! – wykrzyknęła skonsternowana. – Niech pan nie myśli, że jestem źle wychowana lub celowo tak pana traktuję! To z powodu zaginięcia ojca! Niech mi pan wierzy...

– Ależ proszę się tak nie przejmować – uspokajał ją agent, nieco zdumiony jej wybuchem. Po „zimnej rybie” nie został nawet ślad. Zamiast niej siedziała przed nim pełna temperamentu kobieta z falującą piersią i błyszczącymi oczami, w których odbijało się każde uczucie. – Nawet przez myśl mi nie przeszło posądzać panią o brak manier lub celowe szykany.

– Nazywam się Felicja Szczepankiewicz i póki co, jestem wciąż niezamężna – dorzuciła, wciąż wzburzona swoim *faux pas*.

Jezierskiemu bardzo spodobała się ta przemiana, ale nie ośmielił się w żaden sposób tego okazać, szczególnie w sytuacji, gdy cała rodzina drżała o życie ojca. Skinął więc tylko głową na znak, że przyjął informację do wiadomości, i wrócił do głównego tematu rozmowy.

– Czy pani by ich rozpoznała? – zapytał. – Potrafiłaby pani ich opisać?

– Więcej. Mogę panu sporządzić portret węglem albo ołówkiem. Umieję trochę rysować – powiedziała, oblewając się rumieńcem, jakby to było coś wstydliwego.

– Znakomicie! – ucieszył się agent, mając zarazem nadzieję, że owo zakłopotanie jest przejawem skromności lub niedoceniań własnych umiejętności. Tym bardziej chciał zobaczyć efekty jej pracy. – A teraz najważniejsze: czy ktoś już coś pani ojcu sprzedał?

– Och, tak. W ciągu kilku miesięcy przyszło sporo ludzi. Niektórzy usiłowali wcisnąć ojcu jakieś rupiecie, ale on na pewno nie dał się nikomu nabrać.

– Tak, oszuci zawsze się w takiej sytuacji znajdują. Mogę zobaczyć te przedmioty?

– Oczywiście – podniosła się. – Musi pan zejść ze mną do piwnicy, gdzie mamy magazyn.

– Nie za wilgotno tam na książki?

– Ojciec niedawno ją osuszył i wyremontował, bo wciąż nam brakuje miejsca – wyjaśniła, prowadząc go w głąb budynku. – Różne przedmioty ładują także w naszym prywatnym mieszkaniu. Ciągłe się potykamy o jakieś paczki. Nawet nie zdążyliśmy jeszcze przenieść tam wszystkiego, więc są tam tylko pamiątki po masonach skupowane dla tego cudzoziemca i najnowsza dostawa magazynów, książek i nut. Reszta towaru jest w sklepie, obok w drukarni bądź w naszym mieszkaniu.

Znaleźli się na zapleczu. Tam panna Szczepankiewiczówna wyjęła z szuflady wielki pęk kluczy, a z szafki świecę umieszczoną na wygodnej podstawce z uchwytem. Wręczyła ją agentowi wraz z zapalkami i skierowała się w stronę niepozornych drzwi w sąsiednim pomieszczeniu. Gdy zajęła się otwieraniem zamków i skobła, Jezierski odruchowo przyjrzał się zapalkom. Z przyjemnością zauważył, że były to tak zwane zapalki bezpieczne, zwane też szwedzkimi. „Przynajmniej nikt w tym

domu się nie otruje”, pomyślał, nawet gdyby pan domu stracił życie<sup>49</sup>. Rozmyślenia przerwał mu pełen zdumienia okrzyk kobiety, która zastygła z pękiem kluczy w ręku.

– Co się stało? – zaniepokoił się Jezierski.

– Ktoś tu się włamał! Jeden z zamków i skobel są wyłamane! Ktoś go starannie odwiesił, żeby wyglądał na nienaruszony. Dopóki nie weźmie się go do ręki, nie widać, że z jednej strony został wyrwany!

Agent z uwagą obejrzał solidne, drewniane drzwi wzmocnione okuciami. Miały aż trzy zamki i skobel zamykany na kłódkę. Faktycznie nosiły na sobie ślady włamania, ale nieznaczne. Dopiero gdy ktoś się uważnie przyjrzał lub zaczął otwierać drzwi, można było je zauważyć. Zaniepokoił się teraz nie na żarty, bo być może niewinne, jak dotąd sądził, zaginięcie pana Szczepankiewicza nabierało w tym kontekście nowego, groźniejszego znaczenia.

– Nie wie pani, kiedy to mogło się stać?

– Najwyżej dwa dni temu – powiedziała panna stanowczo. – W dzień zaginięcia ojca byłam razem z nim rano w piwnicy, bo właśnie przywieźli nam towar. Potem wróciliśmy na górę, a w porze obiadu ojciec wyszedł... I już nie wrócił...

– A później nikt tu nie zaglądał?

– Na pewno nie, bo każdy od razu podniósłby alarm, że było włamanie! Zawiadomilibyśmy policję!

„Tak by było, jeśli ów domownik lub pracownik nie byłby włamywaczem”, pomyślał agent, ale zostawił tę uwagę dla siebie. Na głos natomiast powiedział:

– Włamanie zajmiemy się później, teraz trzeba szybko sprawdzić, czy coś nie zginęło! – uznał z troską i zdecydowanie przekroczył próg.

Za drzwiami ujrzał dość szerokie schody prowadzące w dół. Kobieta zatrzymała go, zapaliła świecę i ruszyła przodem, mówiąc całkiem słusznie, że lepiej zna drogę. Piwnice okazały się małym labiryntem różnej wielkości pomieszczeń. Niektóre były zamykane, inne w ogóle nie miały drzwi, ale wszystkie były właściwie puste. Co najwyżej poniewierały się w nich jakieś stare graty, krzesła z połamanymi nogami, stare komody i zakurzone lampy. Tylko w jednym było kilka paczek z książkami czy

innym towarem. Jezierski kompletnie stracił poczucie kierunku, zastanawiając się, czy panna celowo prowadzi go krętą drogą przez te same pomieszczenia właśnie po to, by go zmylić, choć nie mógł doszukać się sensu w takim zachowaniu. W końcu ktoś już się tu włamał, więc po co tak kluczyć? „Albo weszło jej to w nawyk”, pomyślał, „albo obawia się, że w nocy – ja, policjant – mogę się tu włamać i coś ukraść? A może... znaleźć?” Ta myśl wydała mu się na tyle interesująca, że postanowił ją później dokładniej rozważyć.

Teraz stanął w miejscu i rozglądał się, bo panna wreszcie się zatrzymała – zresztą tak nagle, że omal nie wpadł na nią. Uniosła wyżej świecę i postawiła ją na półeczce, której wcześniej nie zauważył, bo znajdowała się poza zasięgiem światła. Z mroku wyłoniło się więcej szczegółów: paczki, częściowo lub całkiem rozpakowane, jakieś pudła, sterty papierów w większości przypominających stare gazety, coś jakby koperty, w których pewnie kryły się listy, kilka obrazów odwróconych licem do ściany oraz mnóstwo drobnych przedmiotów o niejasnym przeznaczeniu.

Stali tak dłuższą chwilę w milczeniu, przyglądając się zgromadzonym rzeczom. Prawdę mówiąc, agent nie bardzo wiedział, co spodziewał się znaleźć, więc tym bardziej nie wiedział, czego szukać. Nie znosił czuć się tak bezradny, jak w tej chwili. „Mogłem zabrać ze sobą Zaifa, który na tej całej masonerii chociaż trochę się zna”, żałował w myślach, „w końcu Anna może go sobie zaprosić, kiedy tylko zechce”.

– Czy coś stąd zginęło? – zapytał córkę księgarza z nikłą nadzieją, inaczej działanie włamywacza było mało sensowne, choć mógł nie wiedzieć, że w piwnicy nie ma nic cennego. Z jego doświadczeń wszakże wynikało, że złodzieje rzadko szli „na żywioł”, wcześniej sprawdzali, czy ich fatyga się opłaci. – Wiedziała pani, co ojciec kupował dla tego cudzoziemskiego zleceniodawcy?

– Większość rzeczy tak, ale jak sam pan widzi, trochę tego tu jest – odparła, nie przestając się rozglądać. – Powinnam to przejrzeć ze spisem ojca, ale nie wiem, gdzie go schował.

– Pani ojciec sporządził spis kupowanych przedmiotów? – nadzieje agenta na szybkie sprawdzenie, czy coś nie zginęło, gwałtownie wzrosły.



– Ojciec był bardzo skrupulatny w interesach. Wszystko dokładnie notował, żeby w każdej chwili móc pokazać, co, kiedy, za ile i od kogo kupił.

– Jeśli teraz brak czegoś nie rzuci się pani w oczy, to może poszuka pani tego spisu, a potem na spokojnie sprawdzi i mnie zawiadomi.

– Tak będzie najlepiej – przyznała mu rację. – Ale skoro już tu jestem, to chociaż sprawdzę listy od lub do masonów, jakie ojciec zakupił, bo korespondencji jest bardzo niewiele.

Wzięła do ręki teczkę, otworzyła ją i zaczęła powoli przeglądać znajdujące się tam papiery, podczas gdy Jezierski cierpliwie czekał, choć myślami był już w klasztorze Franciszkanów, do którego miał się udać prosto z księgarni. Był bardzo ciekaw, czego dowiedział się ojciec Andrzej.

– Chwileczkę – odezwała się córka księgarza, nie odrywając oczu od przeglądanej korespondencji. Jeszcze raz przewertowała listy, w końcu podniosła oczy na agenta i powiedziała:

– Brakuje dwóch listów. Oba były w języku niemieckim. Pisał je jakiś mason z Niemiec do innego masona w Kaliszu. Nie było tam jednak żadnych adresów ani nazwisk, tylko jakieś symbole i pseudonimy. Listy były niezbyt stare. Jeden napisano w 1873 roku, drugi rok później. Ale były dość ciekawe, chyba dlatego, że strasznie tajemnicze.

– Tak? – zapytał z uprzejmym zainteresowaniem agent, myślami będąc zupełnie gdzie indziej.

– Nie pamiętam co do słowa, lecz znaczenie pierwszego listu było mniej więcej takie, że ktoś będzie przewoził przez Kalisz jakąś ogromnie ważną przesyłkę, choć oczywiście nie napisano, co to konkretnie będzie. Tylko że jeśli wpadnie w niepowołane ręce, może przynieść zgubę setkom ludzi i wywołać niemało zamieszania na największych dworach Europy. Poza tym nadawca prosi adresata listu o pomoc dla kuriera, by bezpiecznie przekroczył granicę z Prusami i dotarł do portu w Gdańsku. Ciekawe, co to mogło być, może złote monety lub klejnoty?

– Dlaczego pani sądzi, że to jakiś skarb? – zapytał nieco pobłaźliwie Jezierski. – Według mnie prędzej chodziło o jakieś dokumenty, listy. W końcu na europejskich dworach wszyscy są przyzwyczajeni do

klejnotów i pieniędzy.

– Ma pan oczywiście rację, ale potwierdza to częściowo drugi list, w którym ten sam tajemniczy nadawca pisze, że ta ogromnie ważna rzecz już została wysłana, a do niej dołączono kuferek, za który każdy złodziej chętnie naraziłby życie. Rozumie pan? Napisano „każdy złodziej”, a co każdy złodziej chętnie ukradnie? Pieniądze, złoto lub kosztowności! Na innych rzeczach może się nie znać, ale pieniądze i klejnoty rozpozna przecież każdy.

– W takim razie muszę pani przyznać rację. Ale to nie kuferek jest tą ogromnie ważną przesyłką, prawda?

– Nie on – przyznała panna. – Odniosłam wrażenie, że kuferek stanowił coś w rodzaju zabezpieczenia finansowego, także na podróż.

– Możliwe. Lub jest zapłatą. Tak czy inaczej, wynika z tego, że oboje możemy mieć rację.

– Zapewne! – roześmiała się nieoczekiwanie. Potem wytarła zakurzone dłonie chusteczką i stwierdziła, że mogą wracać, bo nie zauważyła, by coś innego zginęło.

Na górze Jezierski wziął od panny Felicji adres miłośnika masońskich pamiątek i powiedział, że czeka na obiecany portret oraz spis rzeczy, które zginęły. Pożegnał się szarmancko ze swoją przewodniczką i resztą rodziny, zostawiając na wszelki wypadek jednego ze stójkowych w księgarni. Domownikom również nakazał ostrożność, bo fakt, że pan domu zaginął i nastąpiło włamanie do piwnicy, nie wróżył nic dobrego. Włamywacz, jeśli został spłoszony, mógł powtórnie ich „odwiedzić”, tym razem niekoniecznie ograniczając się do piwnic. Powiedział też, że jeszcze dziś przysle kogoś do zbadania śladów po włamywaczu.

Idąc w stronę powozu, pomyślał, że ta sprawa coraz bardziej go męczy. Dużo przemocy, włamania, kradzieże i nadal nic nie wiadomo! Kto może być tym nieuchwytnym mordercą? Kto wygląda na pozbawionego skrupułów zbrodniarza, który prócz skrytobójczego otrucia nie zawaha się użyć siły, ba! nawet torturować? Agent do specjalnych poruczeń musiał przyznać, że na razie nikt taki w toku śledztwa się nie pojawił. Albo więc jeszcze się nie spotkali twarzą w twarz, albo jest to osoba potrafiąca nad sobą panować na tyle, że wywiodła w pole takiego starego wygę, jak on.

Żadna z tych możliwości mu się nie podobała.

## Rozdział 10

Po wyjściu z księgarni Szczepankiewicza, wsiadł do powozu zachmurzony, bo wciąż nurtował go jakiś niepokój. Obawiał się, że zaginięcie księgarza mogło okazać się czymś dużo gorszym, zwłaszcza że z piwnicy zginęły chyba tylko dwa listy. Dziwne włamanie. Agent nie dał po sobie poznać przy panie Felicji, jakie wrażenie zrobiła na nim ich treść, bo wszystko wskazywało na to, że ukradł je morderca. A jeśli przecucie go nie myliło, to sprawca nadal pozostawał zagadką, bo wykluczało to dwóch cudzoziemskich kupców, poszukujących pamiątek po masonach, którzy odwiedzili wdowę Radziejowską, ale nie odwiedzili radcy Garszyńskiego... Ciekawe dlaczego?

Tu rozważania agenta przerwało szarpnięcie powozu, który właśnie zatrzymał się przed klasztorem Franciszkanów. Jezierski kazał woźnicy czekać, a sam szybkim krokiem ruszył ku bramie. Furtian był widocznie uprzedzony o jego wizycie, bo skoczył otwierać, nim agent do niej dotarł. I nie czekał nawet dwóch minut, gdy zjawił się ojciec Andrzej, który skinął mu tylko głową, poprosił, by szedł za nim, i czym prędzej poprowadził go do biblioteki. Tam, wcześniej uważnie się rozejrzawszy, zamknął drzwi i opadł na jeden z dwu foteli, których Jezierski wcześniej nie widział. Obok stał stolik zarzucony książkami, na których postawiono też tacę z kanapkami, dwoma cynowymi kubkami i winem. Zakonnik, jakby odgadywał jego myśli, machnął ręką w kierunku mebli.

– Kazałem to robotnikom przynieść, bo praca mi zwawiej idzie, gdy mam wszystko pod ręką i mogę choć chwilę wypocząć. A na tych krzesłach, co tu stały, nie dało się zdrzemnąć. Bo też i nie po to one są, by na nich sypiać.

Agent usiadł i westchnął.

– Ciężki dzień, co? – zapytał zakonnik ze zrozumieniem. – Wracaj pan, nie daj Boże, z jakiegoś miejsca zbrodni?

– Na szczęście nie, choć nie wiadomo, co się jeszcze okaże – westchnął znów Jezierski. – Wracam z księgarni Szczepankiewicza, który dwa dni

temu zaginął bez wieści, a ktoś w tym samym niemal czasie włamał się do jego piwnicy i ukradł dwa listy, jakie wymieniali między sobą jacyś masoni związani z Kaliszem.

– Ach, to takie buty! – zafrasował się zakonnik. – Przecież ja ze Szczepankiewiczem nie dalej jak dwa dni temu rozmawiałem! Strasznie się czymś niepokoił. Mówił, że go okradli z rzeczy, które kupił w czyimś imieniu, i że ta osoba jedzie właśnie po odbiór. I że musi się ukryć, bo się boi o życie swoje i rodziny!

– Nic nie rozumiem – zdziwił się agent. – To nie jego wina, że go okradli. Wystarczy, by zwrócił wydane pieniądze.

– Tak też mu tłumaczyłem, ale on powiedział, że mu ten ktoś nie uwierzy, prędzej pomyśli, że przywłaszczył sobie te rzeczy. Jak zrozumiałem, już mu ktoś groził. Dostał nieprzyjemny list. Karety pocztowe szybciej docierają od podróżujących własnym powozem ludzi. Konie rozstawne mają gęściej rozmieszczone, to i szybciej dostarczają przesyłki. Nie sądzi pan, że to musi być coś niezmiernie ważnego, skoro księgarz uciekł? Ale że rodzinę tak zostawił? Może myślał, że ich oszczędzą – kręcił głową zakonnik.

– Równie dobrze mogą mu grozić, że rodzinę skrzywdzą, jeśli będzie się krył – powiedział sceptycznie agent. – Jeżeli jednak faktycznie uciekł, zamiast przyjść do nas, na policję, to niezbyt mądrze postąpił.

– Ekscelencjo – zakonnik spojrział na niego z politowaniem. – Przecież musi pan sobie zdawać sprawę, że w Polsce do carskiej policji zwraca się tylko z konieczności. Ludzie wolą swoje sprawy załatwiać sami.

– Wiem, wiem, ale przecież już mu grozono! – agent machnął ręką z rezygnacją. – Ale gdyby zawiadomił policję, dostałby ochronę. Postawiliby się mundurowego dla odstraszenia i kilku cywilów na wszelki wypadek, bo przestępcy są często nadmiernie pewni siebie...

– To może teraz pośle pan tam kogoś? – zasugerował mnich.

– Już postawiłem stójkowego na ulicy, a i do księgarni lada moment ktoś przyjdzie. Zrobiłem tak z powodu włamania, które w połączeniu z zaginięciem księgarza wydało mi się mocno podejrzane. Szkoda, że tego włamania wcześniej nam nikt nie zgłosił... Zaraz, zaraz! Przecież ze słów ojca wynika, że Szczepankiewicz już wiedział o włamaniu! Dlaczego nie

zgłosił tego nam ani nie powiedział nikomu z rodziny? – zdziwił się agent.

– Może taki właśnie był jego plan? – powiedział zakonnik po chwili namysłu. – Nie chciał iść na policję, ale sprawił, że policja przyszła do niego. Genialny plan!

– No, nie wiem. Mnie to wygląda na przypadek, kiedy delikwent ma więcej szczęścia niż rozumu.

– Dowiemy się, jak pan Bronisław się znajdzie!

– Jeśli znajdzie się żywy – mruknął agent ponuro. – Nie ma co sobie łamać głowy, skoro nic nie można wskórać. Niech mi ojciec powie w końcu, czego się ojciec dowiedział.

– Ano, miał pan rację z tymi masonami – powiedział zakonnik z uśmiechem. Zdjął tacę z książek, odstawił ją na okienny parapet i podał mu jeden z woluminów.

– Co to jest? – zapytał agent, oglądając nieufnie książkę i zwlekając z jej otwarciem, jakby obawiał się, że coś się w niej czai. Była skromnie oprawiona, w skórę, ale bez żadnych złocen i tłoczeń. W końcu zajrzał do środka. – Wygląda na rękopis.

– To zapiski księdza Przybylskiego, które znalazłem w celi naszego bibliotekarza. Widać czytał je przed śmiercią.

– A co to za ksiądz Przybylski?

– To ksiądz, który przybył do Kalisza na początku wieku, bo w 1818 roku, by zostać proboszczem kościoła św. Mikołaja<sup>50</sup>. Niektórzy podejrzewali, że był masonem, przynajmniej tak sądzili ci, którzy nie przywykli do widoku duchownego noszącego się ostentacyjnie po świecku i propagującego naukę matematyki i innych takich „przyziemnych” przedmiotów. Ponoć zajmował się nawet balistyką, czyli nauką o miotaniu i ruchu pocisków oraz rakiet! Osobiście w to nie wierzę, ale przypuszczam, że mógł sprzyjać wolnomularzom, bo bardzo cenił wiedzę, a jak wiadomo, masoni takż. Ot, zwykły sympatyk. Niemniej dla liczącego sobie wówczas ok. 11 tysięcy mieszkańców Kalisza stanowił główne źródło plotek. Chodyński ochrzcił go w biografii despota. A jego złośliwości i napady gniewu znało całe miasto, choć przysparzało mu to wrogów. Zachowała się korespondencja księdza z magistratem i mówię

panu – to świetna lektura! Urzędnik z magistratu, pan Bagiński, sam słynący z ciętego języka, przeczytał mi kiedyś kilka fragmentów. Najeżone kunsztownymi złośliwościami uwagi pod adresem ojców miasta...

O czym to ja właściwie...? A, tak, tak, za dużo gadam. Nie o to mi przecież chodziło. W tych zapiskach z dnia codziennego ksiądz Przybylski wspominał gdzieniegdzie o masonach, ale bardzo mgliście. Najciekawsza wydała mi się informacja – tu zakonnik zniżył głos i rozejrzał się niespokojnie wokół, jakby bał się, że ktoś ich podsłucha – że ksiądz na ich prośbę schował coś w swoim kościele! Skorzystał z remontu katedry, który zresztą sam rozpoczął i w dużej części finansował z własnych funduszy. Wie pan, w czasie remontu najłatwiej coś ukryć, robotnicy to potem zamurują i gotowe! No i co pan na to?!

– Niewątpliwie odkrył ojciec ważną wskazówkę – odrzekł agent ostrożnie, by nie urazić pełnego entuzjazmu zakonnika, bo jeszcze nie był w stanie ocenić wagi tych informacji. – Póki co, trudno stwierdzić z całą pewnością, czy mordercy chodzi właśnie o tę rzecz. Tak naprawdę nie mam pojęcia, czego on szuka. Ale nie rozumiem czegoś innego. Skoro coś zostało ukryte w kościele św. Mikołaja, to czemu morderca włamał się do biblioteki franciszkanów i zabił dwóch zakonników?

– Jak to? – zdziwił się ojciec Andrzej. – Nie wyjaśniłem tego? To proste! Otóż nasz księgozbiór liczył niegdyś sześć tysięcy woluminów<sup>51</sup>. W 1802 roku zakon Franciszkanów został stąd usunięty, bo władzom pruskim zachciało się zrobić tu więzienie. To już pan słyszał? No to jedźmy dalej. Wtedy przewieziono naszą bibliotekę do franciszkańskiego klasztoru w Grabowie nad Prosną. Tam pewien utytułowany nicpoń, hrabia Edward Raczyński, tak upodobał sobie ów księgozbiór, że większą część sobie zabrał, czyli mówiąc bez ogródek, przywłaszczył, pomnażając w ten sposób własne zbiory. Upomnieliśmy się o naszą bibliotekę bodajże w 1828 roku, gdy pozwolono nam wrócić do części zabudowań, ale hrabia słyszeć nie chciał o zwrocie ksiąg. Nie czekając zatem na rezultat starań o zwrot księgozbioru, zaczęliśmy gromadzić go od nowa i według spisu majątku klasztornego z 1867 roku było tu już 146 tomów. Ile jest dzisiaj, sam pan widzi.

– Ale gdzie tu związek z kościołem św. Mikołaja? – przerwał mu agent

z nutą desperacji w głosie.

– No cóż, ta część resztek naszej biblioteki, które uniknęły chciwych rąk hrabiego, zachowała się w skarbcu kościelnym konwentu grabowskiego, który w tym czasie też skasowano. To, co nie zmieściło się w skarbcu, przyjął proboszcz parafii św. Mikołaja i ulokował w pomieszczeniach bibliotecznych swojej parafii<sup>52</sup>. Dopiero niedawno odzyskaliśmy te zbiory ze św. Mikołaja i dlatego nasz bibliotekarz miał tyle pracy<sup>53</sup>.

– Rozumiem, zatem ksiądz Przybylski mógł czytać księgi z waszej biblioteki, gdy były u niego na przechowaniu? – upewnił się agent, coraz bardziej gubiąc się w zawitych losach franciszkańskiego księgozbioru.

– No właśnie! Wspominał o tym w swoich zapiskach, a nawet zaznaczył, że interesują go znajdujące się pod klasztorem lochy. Ich mapę znalazł w jednej z naszych kronik. I właśnie ta kronika z mapą też została skradziona przez mordercę!

– Ojcie Andrzeju, musimy zacząć od początku, bo teraz to ja już nic nie rozumiem – Jezierski wstał i dla rozprostowania kości uczynił parę kroków. – Ojciec chce mi za dużo powiedzieć w za krótkim czasie. Pozwoli więc ojciec, że wrócimy do mojej metody: ja będę zadawał pytania, a ojciec będzie odpowiadał, dobrze?

– Oczywiście. Może rzeczywiście trochę mętnie przedstawiłem tę sprawę.

„Trochę!”, pomyślał agent zgryźliwie, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok twarzy zakonnika, na której malowała się tak gorliwa chęć współpracy.

– Zacznijmy od tego, że nie jestem pewien, skąd się wzięły zapiski księdza Przybylskiego w waszej bibliotece.

– No jak to! – powiedział zakonnik z wyrzutem. – Przecież mówiłem, że część naszego księgozbioru była u nich...

– To wiem, ale skąd się wzięła *ich* książka u was?

– Aaa – ponura twarz zakonnika rozjaśniła się uśmiechem. – Zapewne przez pomyłkę. Zawieruszyła im się pomiędzy naszymi księgami. Będziemy musieli ją oddać. Ojciec Mateusz na pewno już by to zrobił, ale chyba chciał te zapiski najpierw przeczytać, dlatego nie było ich



w bibliotece.

– I dzięki temu morderca ich nie ukradł?

– Właśnie!

– Teraz rozumiem. Do waszej biblioteki trafiły przez pomyłkę zapiski księdza Przybylskiego. Sądzi ojciec, że nasz morderca o tym wiedział?

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Ale chyba nie, wszak ich nie ukradł.

– Może ich nie znalazł?

– Ale przecież torturował ojca Mateusza. Czy w takiej sytuacji ten nieszczęśnik nie powiedziałby, gdzie są zapiski? Wydaje mi się, że morderca nie wiedział o ich istnieniu, więc nie pytał o nie.

– Hm, w takim razie, o co pytał? Dlaczego torturował tych dwóch zakonników?

Ojciec Andrzej wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Na mój rozum chciał od nich uzyskać coś, o czym myślał, że jest tutaj. Oni jednak nie mieli pojęcia, gdzie to coś może być. Pewnie myślał, że nie chcą mu powiedzieć, więc postanowił zmusić ich siłą. Tylko że nie mogli mu powiedzieć czegoś, czego nie wiedzieli. I dlatego umarli męczeńską i zupełnie niepotrzebną śmiercią.

– Ale nie ma pewności, że jednak czegoś się od nich dowiedział?

– Nie – przyznał zakonnik. – Równie dobrze mogli powiedzieć mu to, co chciał, a on potem ich zabił, żeby go nie mogli oskarżyć.

– Albo powiedzieć komuś innemu – zafrasował się Jezierski i nagle uderzył otwartą dłoń w czoło. – Bo możemy mieć do czynienia z dwiema grupami, które szukają tego samego niezależnie od siebie. – Jezierski aż usiadł z wrażenia, gdy zdał sobie sprawę, jakie implikacje zawiera takie postawienie sprawy. Ale teraz część wydarzeń zdawała się nabierać sensu. Jedna grupa, chyba ci dwaj cudzoziemcy, szukała niejako oficjalnie: wynajęli księgarza, odwiedzili kilku kaliszczan, dali ogłoszenie w prasie. Ale czy także mordowali? Było ich dwóch, co ułatwiało sprawę. Na ich korzyść świadczył jednak fakt, że działali oficjalnie, czyli zwracali na siebie uwagę. Nie narazaliby się chyba aż tak bardzo, gdyby zabijali. Nie, Jezierski przypuszczał, że w mroku czai się jeszcze ktoś. Ktoś o wiele bardziej bezwzględny, kto bez oporu pozbawia życia, by dostać to, czego chce. Ktoś

zdeprawowany, dla kogo zbrodnia nie jest niczym niezwykłym. A taki ktoś zwykle działa sam, bo współnik łatwo może mu się stać zawadą, a przede wszystkim – może go wydać.

Agent westchnął, sprawa stawała się naprawdę trudna. Nie miał jeszcze do czynienia z taką serią ciężkich przestępstw i tak znikomą liczbą dowodów, a właściwie poszlak. Błądzenie po omacku i snucie domysłów bardzo mu się nie podobało. Nie miał jednak na to wpływu, więc odłożył rozmyślania na później i wrócił do głównego wątku rozmowy z zakonnikiem.

– Przepraszam ojca, zamyśliłem się. Co w końcu skradziono z waszej biblioteki?

– Mówiłem już, że jedną z naszych kronik, w której znajdowała się mapa lochów, oraz kilka ksiąg masońskich. Są w spisie inwentaryzacyjnym, jaki dołączyli nam księża ze św. Mikołaja. Ojciec Mateusz, nasz bibliotekarz, zaznaczył je na liście, co znaczy, że je widział na własne oczy. Teraz jednak w bibliotece ich nie ma.

– Co to za księgi?

– Tu jest spis – zakonnik podał mu kartkę, którą wyjął z rękawa habitu.  
– Nie wiem, o czym te księgi traktują, nigdy ich nie czytałem. Oprócz tego znalazłem jeszcze zaznaczony w spisie, oprawiony w skórę plik korespondencji wolnomularzy kaliskich z lożą berlińską. Także zniknął i, jak mniemam, to on stanowił główny cel złodzieja. Niewykluczone, że tam znajduje się wyjaśnienie tego, co zostało ukryte przez księdza Przybylskiego w katedrze św. Mikołaja.

– Albo tego, co przewożono przez Kalisz – mruknął do siebie agent, przypominając sobie, co powiedziała mu Felicja Szczepankiewiczówna o treści listów ukradzionych jej ojcu.

– W każdym razie musiało to być coś naprawdę ważnego, skoro tyle osób już pozbawiono życia – zauważył zakonnik ze smutkiem.

– Wszystko na to wskazuje – agent potarł brodę w zamyśleniu i rzucił okiem na listę. – Niektóre tytuły trudno nawet wymówić! Michel Ramsay, *Discours*, Karl Georg Anton, *Versuch einer Geschichte des Tempelherrenordens* (1781), Christoph Friedrich Nicolai, *Versuch über die Beschuldigungen, welche dem Tempelherrenorden gemacht worden*

*und über dessen Geheimnisse nebst einem Anhang über das Entstehen der Freimaurergesellschaft* (1782), Johann Christoph Maiers, *Versuch einer Geschichte der Kreuzzüge und ihrer Folgen* (1781), Hammermeyer, *La crise de la Franc-Maçonnnerie européenne et le convent de Wilhelmsbad* (1782), *Historya Zakonu Rycerskiego Templaryuszów od założenia do upadku (od 1118 do 1314) podług najlepszych źródeł pokrótce zebrana i krytycznie wyłożona przez A. Jurkowskiego, Wilno 1845*. Nic mi te tytuły nie mówią! – poskarżył się. – Wszystkie po niemiecku lub francusku, tylko jeden po polsku. Może doktor coś z tego wywnioskuje albo radca Garszyński. Na razie jedyny sens działań mordercy widzę w tej oprawionej korespondencji. Tylko po co oprawiać listy? Komu się chciało?

– Pewnie jakiemuś kaliskiemu masonowi, który był dumny, że go przyjęto do loży. Może chciał mieć pamiątkę, gdy zlikwidowano wolnomularstwo?

– Pamiątkę po masonach... To nie może być zbieg okoliczności! – wykrzyknął niespodziewanie agent, uderzając pięścią w stół. Zaraz jednak się uspokoił. – Niech mi ojciec wybaczy ten wybuch. Na razie się tego nie dowiemy.

– Chyba że uda nam się odzyskać te księgi...

– Nie liczyłbym na to.

– Wszystko w rękach Boga – uznał sentencjonalnie zakonnik, zegnając się pobożnie. – Będę się za pana modlił. Bóg nie pozwoli tylu niewinnych ofiar pozostawić bez sprawiedliwej kary. Ale ekscelencja zapewne wyznania prawosławnego? Mam nadzieję, że nie uraziłem?

– Skądże, każda modlitwa się przyda. A jeśli uznać, że Bóg jest jeden, tylko różnie widziany i nazywany, w zależności od wyznania, to wszak modlimy się do tego samego Najwyższego.

– Możliwe, lecz nie jestem mocny w teologicznych dysputach – przyznał z krzywym uśmiechem zakonnik. – Moje życie było burzliwe, brałem udział w wielu wojnach, miałem się różnych zawodów. Trochę nosiło mnie po świecie. Potem wstąpiłem do tego zakonu, by dusza zaznała nieco spokoju, a i pokutę chciałem odprawić za grzeszne czyny. Zostanę przy zwykłej modlitwie i nadzorowaniu remontu klasztoru. Mam

jednak nadzieję, że choć trochę ekscelencji pomogłem.

– Oczywiście! – z zapalem zapewnił go agent. – A co z ojca siostrzeńcem?

– Nadal mieszka w klasztorze. Pilnuję go, jak pan przykazał. Siostrę sam odwiedzam, żeby zanieść jej wypłatę i wieści od chłopaka. Źle mu ze mną nie jest. Jak nie ma roboty, to go posyłam do internatu. Siedzi tam z rówieśnikami, oni mu wiele tłumaczą i pokazują. Cieszę się, że chłopak trochę nauki przy tym liźnie.

– To go jeszcze potrzyjmacie w klasztorze. No dobrze, będę się już zbierał. Dziękuję ojcu za pomoc. Mam prośbę, niech ojciec przeczyta te zapiski księdza Przybylskiego, bo ja na razie nie mam czasu. Jeśli będzie tam cokolwiek, co mogłoby zdaniem ojca zainteresować naszego mordercę, proszę to miejsce zaznaczyć. Jak ojciec skończy lub znajdzie coś ważnego, proszę dać mi znać. Nie będzie to dla ojca zbytnim obciążeniem?

– Nie, nie – gorąco zaprzeczył zakonnik. – Sam chciałem o to prosić, bo zależy mi bardzo na złapaniu tego zbrodniarza! Ja tu mam spokój, żadne terminy mnie nie gonią, to łatwiej mi będzie te zawijasy księdza Przybylskiego odcyfrować. No i mam pomoc w braciach oraz księżach kaliskich kościołów. Może i oni coś wiedzą. Na pewno łatwiej mi będzie z nimi porozmawiać i czegoś się dowiedzieć.

– Bez wątpienia – przyznał agent, skłaniając z wdzięcznością głowę. – Tymczasem zanotowałem sobie, że ukradli kilka ksiąg, wśród których była korespondencja masońska.

– Ukradł też jedną z naszych kronik, do której dołączono plan lochów – dopowiedział zakonnik.

– A właśnie, dziękuję – agent uzupełnił notatki. – Swoją drogą, ciekawe, po co zabójcy plan lochów. Może tam też coś ukryto?

– Nie sądzę. Wejście jest zasypane, i to przez pańskich rodaków. Przedtem przez lata nikt poza gwardianem nie wiedział o ich istnieniu. Głośno o nich zrobiło się dopiero w czasie powodzi w 1854 roku, bo woda zalała wtedy jeden z korytarzy, topiąc przy tym ówczesnego gwardiana konwentu, Erazma Niedzielskiego<sup>54</sup>. Kilka lat później te podziemia częściowo odremontowano, co okazało się wielce przydatne, gdy carscy

żołnierze otoczyli klasztor, bo chcieli ojca Sebastiana Martyńskiego, gwardiana, aresztować za udział w powstaniu styczniowym. A on uciekł podziemnym korytarzem<sup>55</sup>. Rosjanie z zemsty zasypali wejście gruzem i zamurowali je, by tego rodzaju wypadek się nie powtórzył.

– I nie ma innego wejścia? Coś nie do końca wierzę, by tak waleczni braciszkanie nie odkopali lochu. I założę się, że ojciec osobiście maczał w tym palce, w końcu kto wie więcej o klasztornych remontach od ojca? Pewnie sam gwardian nie o wszystkim ma pojęcie, bo to niewątpliwie świątobliwy człek, ale taki mdły...

– Nic na ten temat nie wiem – uciął krótko zakonnik. Po chwili milczenia i może trochę pod wpływem żartobliwego spojrzenia sympatycznego Rosjanina westchnął i powiedział:

– Nawet gdyby można tam było wejść, powtarzam, nawet gdyby, co oczywiście nie jest pewne...

– Oczywiście, oczywiście – zgodził się agent.

Zakonnik łypnął na niego surowo, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– ...to bez planu nie radziłbym, bo podobno łatwo tam się zgubić i umrzeć śmiercią głodową. Korytarz ma jakieś fałszywe odnogi, tworzące prawdziwy labirynt.

– Nie macie w klasztorze zapasowego planu? Może u gwardiana?

Zakonnik spojrział na niego z ukosa i westchnął.

– No dobrze, zdradzę ekscelencji tajemnicę, ale jeśli kiedyś wykorzystają pan przeciw Polakom, Bóg pana pokaże!

– Nie jestem fanatykiem ani politykiem, proszę się nie obawiać – uspokoił go agent. – Nie mam też związków z ochroną i nie zamierzam ścigać przekroczeń politycznych!

Ojciec Andrzej przeżegnał się na wszelki wypadek jeszcze raz.

– No więc mamy jedną mapkę – wyznał. – Ojciec Mateusz przerysował ją sobie kiedyś, bo go te lochy bardzo interesowały. Ale nie zdążył ich zwiedzić. Dotychczas gwardian mu nie pozwalał w obawie, że się tam zgubi. A teraz i tak już nie żyje, biedaczysko...

Ojciec Andrzej westchnął i przeżegnał się z lewej ku prawej, a agent, nie chcąc, by zakonnik uznał go bezdusznego, też się przeżegnał, tyle że

zgodnie z prawosławnym rytuałem – z prawej ku lewej. A że siedział naprzeciw zakonnika, nie zdołał powstrzymać zdrożnej myśli, że musiało to śmiesznie wyglądać, jak lustrzane odbicie. Udało mu się jednak zachować powagę. Po chwili milczenia zakonnik westchnął ciężko i powiedział:

– Bez planu to chyba ja jeden mogę wejść do tych lochów. Dobrze je poznałem, bom rzeczywiście pracowałem przy ich remoncie. Robiliśmy to po cichu, żadnym władzom nie zgłaszaliśmy. Zaczęliśmy jeszcze za poprzedniego gwardiana, z którym doszliśmy do wniosku, że im mniej osób wie o tych pracach i samym lochu, tym lepiej, dlatego sam też machałem łopata i kielnią. Ale proszę nikomu nie mówić o podziemiach, bo się nie opędzimy od domorosłych poszukiwaczy przygód. Będą nam się wszystkie kaliskie wyrostki przez mury przekradać, a może i włamywać.

Jeziński skinął głową na znak zgody i wstał.

– Teraz już naprawdę muszę się zbierać. Czeka na mnie jeszcze doktor Zaif z odciskami palców.

– Doktor Zaif? Ach, to z nim byliście tu poprzednio?

– Tak.

– Ludzie was ostatnio często razem widują. Podobno to Żyd i pracuje dla pana?...

Idący już w stronę drzwi agent aż się zatrzymał i zachnął na tę dwuznaczną uwagę, choć ojciec Andrzej wygłosił ją spokojnym, neutralnym tonem. Jeziński zmrużył oczy, a na jego twarzy próżno by teraz szukać sympatii, jaką jeszcze niedawno okazywał zakonnikowi.

– Nie lubi ojciec Żydów? – zapytał, jakby od niechcienia, ale jego oczy zaświeciły złowrogo. – A gdzież miłość bliźniego?

– Źle mnie ekscelencja zrozumiał, moja wina – jał wycofywać się zakonnik. – Nie jestem specjalnie uczony, więc nie zawsze udaje mi się jasno ubrać w słowa to, co chcę wyrazić.

– Mogę ojcu powiedzieć, że Kalisz powinien być dumny z takiego lekarza jak doktor Zaif, bo ja takiego jeszcze nie spotkałem, nawet na carskim dworze – stwierdził sucho agent. – Doktor po prostu współpracuje z policją w zastępstwie gubernialnego inspektora lekarskiego, Szelistowa, który przeszedł na emeryturę, i patologa, pana

Prusinowskiego, który wyjechał. Nie przyjął nawet wynagrodzenia, chociaż wykonuje pracę dwóch ludzi. Nie chciałem, żeby ktoś pomyślał, że jest jakimś konfidentem, i czynił mu wstręty. To bardzo mądry i utalentowany młody człowiek, który pomaga policji ująć groźnego mordercę, a nie policyjny szpicel!

– Nie chciałem obrazić ekscelencji ani doktora Zaifa – powiedział łagodnie zakonnik. – Byłem zwyczajnie ciekaw... W Kaliszu rzadko kiedy ktoś tak młody jak doktor Zaif dochodzi do takich zaszczytów...

– Nie dość, że Żyd, to jeszcze doszedł do zaszczytów! – powiedział sarkastycznie Jezierski. – Ale co to za zaszczyty, skoro nawet pieniędzy nie dostaje, he?

– Że nie bierze pieniędzy, to mu się chwali, lecz ich wszak nie potrzebuje. Niech dostanie je inny, bardziej potrzebujący. Ale że sławę zyskał, znajomości wielkie, temu ekscelencja nie zaprzeczy. Ludzie tu niewiele mają rozrywek, to tym chętniej przyglądają się bliźnim, a znajomość z gubernatorem i... ekscelencją jest wielce pożądana. Wielu starszych, którzy myślą o sobie, że są bardziej zasłużeni, nie może się poszczycić takimi znajomościami. A przecież takie znajomości to wpływy, wpływy zaś to pieniądze... Sam pan rozumie.

Agent pokiwał głową, bo faktycznie rozumiał. Mechanizm władzy wszędzie był taki sam, na całym świecie, różnił się tylko skalą. Ludzie zawsze pożąдали władzy, choć często wypaczała ich, a nierzadko niszczyła. Mało kto miał w sobie wystarczającą siłę bądź umiłowanie innych wartości, by nie pozwolić się jej zdominować. Pomyślał, że do takich ludzi należy właśnie Michał Daragan i chyba także Zaif. Dla nich inne rzeczy miały znaczenie. A on sam? Jezierski nie sądził, by był całkowicie odporny na pokusy władzy, ale też nie można było powiedzieć, że łatwo im ulegał.

Zakonnik miał rację jeszcze w innej sprawie. Pieniądze, które poszłyby na opłacenie dwóch etatów, za darmo teraz wykonywanych przez Zaifa, faktycznie dostały się bardziej potrzebującym: Jaśkowi Porajowi i Stachowi Małyszce. Pierwszemu Jezierski załatwił, w związku z nocnymi obowiązkami, niewielką podwyżkę pensji, a drugiemu rodzaj stypendium, gdy dowiedział się, że Małyszko uratował doktora od śmierci pod kołami

rozpędzonego powozu. Wtedy dłużej porozmawiał ze studentem na osobności i dowiedział się o jego wielkim pragnieniu zostania lekarzem, trudnej sytuacji i oddaniu, z jakim pomagał Zaifowi. Oczywiście Małyszko był zbyt skromny, by mówić o takich rzeczach wprost, ale agent odgadł między wierszami, że właściwie tylko dzięki medykowi Staś utrzymywał się, żywił, kupował podręczniki i najpotrzebniejszą odzież.

Dodatkowa pomoc, jaką otrzymał dzięki Jezierskiemu, dała Stachowi możliwość zamienienia zimnego lokum z przeciągami na strychu na czystą i ciepłą izdebkę w przyzwoitej kamienicy położonej bliżej centrum. Mógł nawet pozwolić sobie na odrobinę luksusu, jakim było kupienie od czasu do czasu tanich łakoci czy pójście na koncert. Wszak wiadomo, że słodycze i koncerty nie są niezbędne do życia, tylko je umilają... Gdy student niedawno z dumą opowiadał to wszystko Jezierskiemu, dziękując mu za jego hojność, agent poczuł się bardzo wzruszony. Potem w nocy długo rozmyślał nad tym, jak dużo satysfakcji daje obdarowywanie innych, pod warunkiem że nie jest się do tego zmuszanym. I czy nie jest to czasem jakaś inna forma poczucia władzy...

Agent ocknął się z zamyślenia i zauważył, że zakonnik przygląda mu się z uwagą, ale życzliwie.

– Zamyśliłem się, przepraszam. Przykro mi także, ojcze, za ostre słowa, ale doktor Zaif jest najzacniejszym z ludzi, może mi ojciec wierzyć. Poza tym nie pora teraz na takie rozważania. Dziękuję ojcu za okazaną pomoc. Proszę mnie nie odprowadzać, już trafię do wyjścia!

Jezierski szybko opuścił klasztor, przemierzając wyciągniętym krokiem krużganki, z których roztaczał się wspaniały widok na rozkwitający właśnie wirydarz. Nie w głowie mu jednak było podziwianie piękna wiosennego kwiecica, analizował teraz po raz setny śledztwo, szukając jakiejś luki, punktu zaczepienia, czegoś, co pomogłoby mu ruszyć z miejsca.

I wtedy przypomniał sobie rozmowę z Garszyńskim o majątku wdowy Radziejowskiej. Poza zapoznaniem się z testamentem i odkryciem przez kamerdynera kradzieży przewodnika po Kaliszu, nie zrobił nic, by sprawdzić, czy wdowa lub jej mąż mieli jeszcze jakieś związki z masonerią, choćby pośrednie. A przecież kupili kamienicę masona, i to za jego



obrazem znajdowała się skrytka na biżuterię. Może było w niej coś jeszcze? Może radca Garszyński coś przed nim ukrywał? Może to on był tym okrutnym mordercą...? Sam siebie by przecież nie okradał, a wdowę mógł łatwo otruć, bo mu ufała. Żebrowskiego trzasnął deską w łeb i zrzucił z wieży – nic trudnego dla tak potężnego, choć nieco otyłego mężczyzny. Ale do klasztoru mógł wejść przecież oficjalnie, w Kaliszu był znaną i szanowaną osobistością, nie musiał się uciekać do takich wybiegów... Chyba że nie chciał działać oficjalnie... No, ale wtedy powinien jednak dla kamuflażu sfingować także włamanie do siebie... Może nie wpadł na to, zapomniał albo zlekceważył policję, może był zbyt pewny siebie...

Tak rozmyślając, gnany nieokreślonym niepokojem, agent wskoczył do powozu i kazał stangretowi wieźć się najpierw do domu wdowy Radziejowskiej. Postanowił osobiście sprawdzić, co jest w skrytce. Nawet jeśli będzie musiał ściągać tam Garszyńskiego z kluczem, gdyby nie znalazł takowego w rzeczach wdowy. Najwyżej radca zorientuje się, co agent już wie.

Ledwie powóz stanął przed kamienicą, Jezierski wyskoczył i ruszył biegiem do drzwi wejściowych. Te akurat otworzyły się na oścież, jakby na niego czekały. Okazało się jednak, że to tylko kucharka wychodziła na zakupy, bowiem tego dnia miała się zjechać dalsza rodzina jej świętej pamięci chlebodawczyni. Jezierski niecierpliwie, choć grzecznie uciął jej wynurzenia i ruszył na poszukiwanie kamerdynera. Znalazł go w salonie, zajętego czyszczeniem sreber stołowych.

– Wasza ekscelencja! – wykrzyknął famulus, zaskoczony, ale i widocznie uradowany widokiem agenta. – Cóż za gość! Czyżby ekscelencja już czegoś się dowiedział?...

– Nie, jeszcze nie – przerwał mu Jezierski. – Ale przypomniało mi się, że mówiliście o sekretnej kasetce wdowy za portretem Bajera. Który to? – zapytał, bo na ścianach wisiało co najmniej dziesięć obrazów.

– Ten największy – kamerdyner wskazał niemal naturalnych rozmiarów portret siedzącego w fotelu mężczyzny we fraku, o nadzwyczaj bujnych faworytach.

– Są w domu klucze do tej kasetki? – wysapał Jezierski, z pomocą sługi

zdejmując ze ściany obraz. Po chwili ostrożnie, mając w pamięci informacje Zaifa o odciskach palców, badał zamek skrytki. Kamerdyner rozejrzał się niezdecydowanie po salonie, jakby klucz mógł leżeć gdzieś na wierzchu, lecz po chwili twarz rozjaśnił mu uśmiech.

– Klucz jest chyba w sypialni pani! Zaraz pójde i sprawdzę – skierował się w stronę drzwi.

– Zaraz, a czy radca Garszyński zaglądał już do tej kasetki? Jak w ogóle posuwają się przygotowania do ewentualnej sprzedaży majątku?

Sługa zatrzymał się na środku pokoju i chwilę się zastanawiał.

– Nie, do skrytki pan radca nie zaglądał, chociaż ma zapasowy klucz w depozycie. Chyba wszyscy o niej zapomnieli. Na razie zrobił ze swoim sekretarzem, tym polskim Niemcem, czy też na odwrót, spis mebli, obrazów, dywanów i książek. Pan radca odłożył sobie przy tym trochę książek z gabinetu państwa i ten kufer z książkami ze strychu. Bardzo był przy tym grzeczny, nie mogę powiedzieć. Pokazał nam w testamencie zapis, który dla niego państwo uczynili, żebyśmy nie myśleli, że chce coś nieuczciwie zdobyć. Ale o skrytce jakoś nikt nie pamiętał...

– Dobrze, to idźcie sprawdzić, czy jest klucz, żebym nie musiał zamka wyłamywać.

Kamerdyner wyszedł, a Jezierski usiadł przy stole, z dala od wyjętych do czyszczenia sreber, by przejrzeć notatki, jakie dziś zrobił. Przy tym cały czas po głowie chodził mu radca Garszyński, który z każdą godziną wydawał mu się coraz bardziej podejrzany, chociaż nic konkretnego przeciwko niemu nie miał.

– Muszę go jeszcze raz odwiedzić – zamruczał do siebie na głos, przewracając kartki notesu. – I przypilnować, żeby panna Felicja szybko zrobiła szkic z twarzami tych zagranicznych kontrahentów ojca.

Agent wyjął ołówek i zapisał sobie, żeby jak najszybciej złożyć wizytę Garszyńskiemu. Najlepiej byłoby mieć portret wykonany przez Szczepankiewiczównę i zapytać radcę, czy widział któregoś z tych mężczyzn. Nie zdążył napisać nic więcej, bo do salonu wrócił kamerdyner, dzierżąc triumfalnie klucz do kasetki. Agent zerwał się z krzesła i wyjął mu go z ręki, niecierpliwie włożył do zamka skrytki, przekręcił i otworzył na oścież metalowe drzwiczki. Zajrzał do środka, a tuż za nim

kamerdyner, który już nie dał rady dłużej powściągnąć ciekawości i teraz nieomal leżał na plecach agenta, zapuszczając żurawia do ciemnego wnętrza.

Przez chwilę w salonie panowała martwa cisza. Gdy dotarło do nich, co mają przed oczyma, rozległ się zduszony pisk kamerdynera i jego pełen ekscytacji okrzyk:

– O Boże!...

Po nim nastąpiły rdzennie rosyjskie zwroty, których lepiej było nie rozumieć.

# Rozdział 11

Agent szybciej zdołał się opanować, więc na widok wnętrza wmurowanej kasetki powiedział jeszcze:

– A niech mnie!...

Po czym zatrzasnął drzwiczki, schował klucz do kieszeni i chwycił kamerdynera za ramię.

– Tylko nikomu ani słowa, zrozumiano?! I żeby mi tu nikt niczego nie dotykał! – rzucił tak groźnym tonem, że tamten aż struchlał i skinął tylko pospiesznie kilka razy głową. Agent puścił go, wybiegł pędem z domu, wskoczył do powozu i kazał się wieźć co koń wyskoczy do pałacu gubernatora. Zaniepokojony marsową miną agenta woźnica gnał na złamanie karku, krzyżąc na ociągających się przechodniów. A że do pałacu z domu wdowy było całkiem niedaleko, już po chwili z łoskotem i rzeniem koni stanęli na podjeździe.

– Czekał tu! – rzucił krótko Jeziński do woźnicy, wysiadając. – Zaraz jedziemy do domu radcy Garszyńskiego.

Po czym wbiegł po stopniach i odtrącając kamerdynera, popędził do swego gabinetu. Wpadłszy jak burza do środka, odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że Zaif jeszcze tam jest.

– Doktorze! – krzyknął od progu. – Stało się coś strasznego! Musi pan natychmiast ze mną jechać!

– Co się stało, wujku Waliesza?<sup>56</sup> – zawołała z przestraczem Anna, zrywając się z kanapy.

– Anno, to nie są wiadomości przeznaczone dla uszu młodej panny – powiedział stanowczym tonem Jeziński, podchodząc do niej. Objął ją po ojcowsku ramieniem i delikatnie skierował w stronę drzwi. – Proszę, idź teraz do siebie. Muszę poważnie porozmawiać z doktorem i poinformować twojego ojca. Na pewno wkrótce i tak się dowiesz, co się stało.

Dziewczynie nie brakowało rozsądku, poza tym jako córka wojskowego świetnie wiedziała, kiedy można nalegać, a kiedy tylko milczeć i słuchać.

Teraz też skinęła głową i posłusznie wyszła. W progu jeszcze obejrzała się za siebie i posłała lekarzowi lekki uśmiech.

– Musi pan ze mną natychmiast jechać do domu Radziejowskiej!

Zaif, jak zwykle milkliwy, i tym razem tylko uniół brwi w wyrazie zdumienia i czekał na dalsze informacje. Jeziński chodził po gabinecie wielkimi krokami i szybko relacjonował:

– Zajrzałem tam, bo mi się w klasztorze przypomniało, że nie zbadaliśmy zawartości kasetki wmurowanej w ścianę salonu wdowy. Postanowiłem więc to po drodze od razu sprawdzić. Wie pan, co w niej było?

Agent przerwał, wyjął chusteczkę i otarł zroszoną nagłym potem twarz. Następnie spojrzał wyczekująco na medyka, który tylko wzruszył ramionami.

– Nigdy nie sądziłem, że coś takiego ujrzę na własne oczy! Doprawdy, przerażający widok! – Jeziński nieświadomie szarpał wąsy.

– Niechże pan mówi wreszcie! – ponaglił go doktor, zaniepokojony już nie na żarty zachowaniem agenta, który do tej pory w chwilach wzburzenia i zamyślenia tylko gładził podbródek.

– Odciętą głowę Garszyńskiego, oto co ujrzałem! – wykrzyknął agent. W jego wzroku malowało się przerażenie pomieszane ze zdumieniem i niedowierzaniem. Ta sama mieszanka uczuć odmalowała się teraz w oczach Zaifa.

– Zapewniam pana, że się nie mylę! – powiedział agent, widząc wyraz twarzy lekarza. – Nie mam też halucynacji, nic nie piłem, nawet nie paliłem!

– Ależ wierzę panu bez zastrzeżeń! – uspokoił go Zaif, który jako lekarz i patolog mający niemal co dzień do czynienia ze zwłokami, szybciej odzyskał panowanie nad sobą. – To jednak niesamowita sprawa!

– Doprawdy – Jeziński nie mógł sobie odmówić odrobiny ironii, zresztą skierowanej głównie do siebie. – Zwłaszcza że jeszcze przed chwilą Garszyński był dla mnie najbardziej podejrzany osobnikiem! Miałem niemal pewność, że to on dokonał tych morderstw, choć zakładałem również, że mógł mieć współnika! Zanim sługa znalazł klucz do skrytki, zanotowałem sobie nawet, że muszę go jak najszybciej odwiedzić

i przesłuchać! A pół minuty później w tej przeklętej skrytce zobaczyłem jego odciętą głowę z zębami wyszczerzonymi jak w jakimś makabrycznym uśmiechu!

Wyrzuciwszy to z siebie, wyczerpany agent opadł na fotel za biurkiem i patrzył bezradnie na Zaifa, jakby szukał u niego pomocy, a może i pociechy.

– Kamerdyner też to widział? – zapytał lekarz, podsuwając mu tacę z resztkami herbaty i ciasta, którym poczęstowała go Anna. Nalał do filizanki niezbyt już gorącego napoju i postawił przed agentem.

– Niech pan to wypije. Właśnie zaczyna pan odczuwać skutki opóźnionego szoku.

Jezierski tylko skinął głową i posłał mu pełne wdzięczności spojrzenie. Ujął filizankę obiema dłońmi, gdyż tak mu drżały, że w jednej z pewnością nie utrzymałby naczynia.

– Czy zabezpieczył pan tę skrytkę?

Odpowiedziało mu znowu tylko skinięcie głowy.

– To dobrze, bo moim zdaniem powinniśmy najpierw zajrzeć do domu Garszyńskiego.

Agent uniósł głowę i spojrzał ze zdziwieniem.

– Skoro głowa radcy jest u Radziejowskiej, to reszta ciała musi być gdzieś indziej – wyjaśnił spokojnie Zaif. Jego opanowanie było wymuszone, gdyż w głębi duszy doktora jał narastać silny niepokój, pogłębiany jeszcze myślami, które przed chwilą przysły mu do głowy. – Jeśli zabito go w domu i nie był tam sam, to istnieje niebezpieczeństwo, że morderca nie zostawił przy życiu innych osób. Trzeba więc sprawdzić, czy nie zginął ktoś jeszcze z domowników radcy.

Jezierski skinął po raz kolejny głową, lecz w jego spojrzeniu wciąż czaiła się groza. Zaniepokojony stanem agenta Zaif wstał i przeszukał szuflady w jego biurku. Koniak znalazł w drugiej od dołu. Wyjął butelkę i nalał trunku do filizanki z resztką herbaty.

– Niech pan to wypije, szybko! – nakazał nieznoszącym sprzeciwu, ale jednocześnie napawającym otuchą lekarskim tonem.

Agent w milczeniu spełnił polecenie i na jego bladą jak ściana twarz powoli zaczął wypełzać rumieniec. Ręce przestały mu drżeć, wzrok się

rozjaśnił. Uspokojony tym nieco lekarz zaaplikował sobie to samo lekarstwo, choć w znacznie mniejszej dawce.

– Teraz niech pan skorzysta z telefonu – poradził medyk – i każe policjantom, by natychmiast ruszali do domu radcy, ale gdyby im nikt nie otwierał, niech lepiej na nas zaczekają na zewnątrz. Potem proszę zadzwonić do gubernatora i powiadomić go o swoim odkryciu i moich przypuszczeniach. Jego ekscelencja będzie miał czas się oswoić z tymi nowinami, podczas gdy my będziemy sprawdzać, co się dzieje w domu Garszyńskiego.

Jezierski wstał i ruszył w stronę pomieszczenia z telefonem. Po drodze jednak rzucił Zaifowi:

– Pierwszy raz słyszę, jak nazwał pan gubernatora „jego ekscelencją”. Dotychczas nazywał go pan gubernatorem lub po prostu panem. Czy to oznacza, że jego ekscelencja zyskał w pana oczach?

– Uznałem, że powinienem docenić człowieka, który tyle dobrego zrobił dla tego miasta, no i przyhołubił sobie takiego agenta – zażartował doktor, pragnąc nieco rozładować napięcie.

– Szczególnie, że człowiek ten ma piękne córki, a jedna z nich zdaje się wpadła panu w oko – odciął się agent, przekraczając próg pokoiku łącznościowego. Zaif się uśmiechnął.

– Widzę, że całkiem już doszedł pan do siebie. Niech pan zamknie drzwi i swobodnie porozmawia z... jego ekscelencją. Zaczekam tu na pana.

Nie musiał czekać długo. Jezierski wrócił po niespełna dziesięciu minutach, oznajmiając, że mogą jechać. Niemal w drzwiach zatrzymał się jednak i zapytał:

– Czy znalazł pan coś ciekawego w tych swoich odciskach palców?

– Tak! – ożywił się medyk i kontynuował, idąc obok agenta wyłożonym marmurem szerokim korytarzem. – Razem z Anną wyodrębniliśmy bez żadnych wątpliwości odciski, które występują na każdym niemal miejscu zbrodni.

– Niemal?

– Nie ma ich tylko u Żebrowskiego w domu i na wieży kolegiaty pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Być może zabił go

ktoś inny, co nie znaczy, że te sprawy mimo wszystko się nie łączą.

– Tak, to by potwierdzało teorię, że morderca ma współnika albo kogoś wynajął.

– Albo że dwie różne grupy ludzi szukają tego samego, niezależnie od siebie.

– Są więc rywalami, a to oznacza... Co właściwie? – zastanawiał się głośno agent.

– Cóż, na przykład to, że nie działają wspólnie i jest mało prawdopodobne, by zaczęli ze sobą współpracować. Choć trzeba się liczyć z tym, że w obliczu policji czy innego zagrożenia mogą na chwilę połączyć siły. Może też oznaczać, że zaczną się nawzajem eliminować. Szczególnie gdy znajdą już to, czego szukają. Wtedy mogą próbować zlikwidować konkurentów, a konkurenci ich.

– Tym bym się chyba nie przejął – uznał agent. – Brutalność i skala tych zbrodni budzą we mnie najgorsze uczucia wobec mordercy. Będę się musiał powstrzymywać, by nie zastrzelić go na miejscu, kiedy go już dopadnę!

I gdy wsiedli do powozu, zakrzyknął na woźnicę: – Pietia, pospieszaj konia i jedź na ulicę Sukienniczą, do domu Garszyńskich! – jakby nie mógł się już doczekać.

Potem zwrócił się do siedzącego obok Zaifa.

– Męczy mnie już cała ta sprawa – poskarżył się. – Takiej zagmatwanej jeszcze nie prowadziłem!

Medyk starał się podtrzymać go na duchu.

– Cóż, przeciwnik jest bardzo sprytny – stwierdził. – To nie byle rzezimieszek. Mimo to wierzę, że uda się nam go pokonać.

– Tylko kiedy? Kiedy? Nie wiem, jak długo jeszcze uda mi się trzymać prasę na odległość, a jeśli się dowiedzą o tej głowie... Wie pan, co się będzie działo?! Opinia publiczna nie zostawi na nas suchej nitki! Musimy jak najszybciej mieć jakieś wyniki, żeby móc coś przedstawić prasie i Hurce!<sup>57</sup> On jest gorszy od tej całej bandy żurnalistów! – nazwisko warszawskiego generał-gubernatora agent wymówił z życzliwością zastrzeżoną dla karalucha znalezionej w talerzu z zupą.

– Gdy omawialiśmy z Anną odciski palców, przyszedł nam do głowy



pewien pomysł – rzekł w zadumie medyk. – Nie zdążyliśmy go panu przedstawić, bo wpadł pan jak huragan. Postanowiłem więc to odłożyć na lepszą chwilę, ale teraz myślę, że tempo tych wszystkich wydarzeń jest takie, iż lepszej nie znajdę, a pomysł może się panu spodobać.

– Wal pan!

– Pomyśleliśmy sobie z Anną, że dobrze byłoby urządzić jakiś bal u jego ekscelencji gubernatora i zaprosić oprócz notabli także trochę osób związanych w jakiś sposób ze śledztwem. Najlepszy do tego celu byłby bal charytatywny, wtedy nikogo nie zdziwi, że obok szlachty pojawią się na nim ziemianie czy kupcy. Na balu każdy dostanie obowiązkową lampkę szampana, a opróżnione kieliszki służba będzie pojedynczo odnosiła do pokoju obok, gdzie ktoś będzie opatrywał je nazwiskami osób, które z nich piły. Żeby nie było pomyłek, trzeba to robić po kolei. I z boku musi czuwać ktoś, kto w razie czego poda lokajowi nazwisko gościa, bo służba może wszystkich nie znać.

– Rozumiem! – agent skinął głową z uznaniem. – Potem pan zbierze odciski palców i porówna je z tymi, które już pan wyodrębnił. Jeśli ta osoba była na balu, to wreszcie poznamy jej nazwisko! Znakomity pomysł! Doprawdy, wlał mi pan trochę otuchy w serce. Może jeszcze los się do nas uśmiechnie!...

Kwadrans później na twarzy agenta oraz towarzyszących mu osób nie było już najmniejszego śladu uśmiechu. W domu Garszyńskich nikt nie odpowiadał na pukanie, więc Jezierski kazał swoim ludziom dyskretnie się włamać. Trwało to dość długo, prawie dziesięć minut, co potwierdziło słowa prawnika, że wejścia do jego domostwa strzeże kilka zamków patentowych. Wytrychy nie dały im rady i trzeba było włamywać się siłą, podważając łomem zawiasy.

W przedpokoju i salonie nic nie wskazywało na to, by coś złego miało spotkać kogokolwiek w tym domu, a panująca cisza z powodzeniem mogła oznaczać, że domownicy po prostu wyszli. Jednak gdy dotarli do bardziej prywatnej części domu, ujrzeni istną jatkę. W łazience leżała twarzą do posadzki korpulentna małżonka radcy. Najwyraźniej uciekała przed napastnikiem, gdyż kilka ran kłutych, jakie otrzymała, znajdowało się na plecach. Zupełnie jakby ktoś biegł za nią i zadawał raz za razem

ciosy – nożem lub sztyletem – narzędzia zbrodni nie było w pobliżu zwłok, za to krwi co niemiara.

W gabinecie, tym samym, w którym niedawno Garszyński przyjmował agenta i lekarza, znaleźli ciało radcy. Pozbawiony głowy korpus ktoś posadził w fotelu pod jedną z gablot zawierających kolekcję osobliwości prawnika. Tutaj krwi było najwięcej. Zaif doszedł więc do wniosku, że właśnie w tym pomieszczeniu sprawca odciął radcy głowę, przecinając tętnice szyjne, z których krew trysnęła na wszystko wokół.

– Dziwne, dziwne – mrucał, przykucając z różnych stron przy zwłokach, by je ostrożnie obejrzeć, nie zdeptując przy tym ewentualnych śladów. – Sprawca musiał być zbryzgany krwią. Jak w takim razie wyszedł, nie zwracając na siebie uwagi?

– Umył się! – odpowiedział jeden z policjantów.

– A co zrobił z ubraniem? Wyprał?

– No nie... Nie wyschłoby...

– Po prostu się przebrał – uciął dywagacje Jeziński.

– Wziął ubranie na zmianę? – zdziwił się Sokołow.

– Jeżeli wcześniej zaplanował odcięcie głowy, to mógł pomyśleć i o tym.

– Mógł też skorzystać z garderoby nieboszczyka – podsunął Zaif.

– Właśnie – podchwycił agent.

– Albo jego żony – zarechotał któryś.

– Czemu nie? – zgodził się niespodziewanie agent. – Teoretycznie mogła to zrobić także kobieta. Albo morderca przed wyjściem przebrał się za kobietę, żeby nikt go nie rozpoznał.

– Mógł tu już przyjść przebrany za kobietę – zauważył Poraj.

– Albo i za Świętego Mikołaja – zirytował się Jeziński. – Nie ma co dywagować, sprawdźcie po prostu garderobę domowników i ustalcie, czy coś nie zginęło!

– Ale skąd mamy wiedzieć, czy coś zginęło? – zapytał Jasiek nieśmiało. Agent uśmiechnął się mimo woli.

– Słuszna uwaga, chłopcze. Lubię, jak moi ludzie myślą. Pomyśl więc jeszcze trochę.

Jasiek posłusznie zamilkł i podparł głowę ręką. Starsi stażem policjanci

przyglądali mu się z lekkim rozbawieniem.

– Mam! Musimy znaleźć kogoś ze służby!

– No widzisz, myślenie nie boli.

– Ale to może potrwać, bo teraz nikogo nie ma w domu.

– No to potrwa. Najwyżej któryś z was zostanie tu i zaczeka.

W tym czasie Zaif dwoił się i troił, mierząc, wachając, notując i pobierając jakieś próbki.

– I co pan o tym sądzi, doktorze? – zapytał go agent, gdy lekarz przysiadł wreszcie z boku, by odsapnąć.

– Dziwna ta śmierć! Mam tu na myśli pana domu. Mordercy naprawdę bardzo rzadko uciekają się do dekapitacji. To raczej trudna metoda zadawania śmierci. Pokutuje też pewien przesąd, że ofiara takiej śmierci żyje jeszcze przez jakiś czas, a w jej oczach utrwała się obraz zabójcy, oczywiście jeśli nie stoi do niego tyłem. A tutaj wszystko świadczy o tym, że zabójca i ofiara byli do siebie zwrócenii twarzami. Garszyński siedział, a ktoś stał przed nim i ściął mu głowę.

– To utrwalanie się obrazu zabójcy – ostrożnie zapytał Jezierski – pan w to wierzy?

Też o tym słyszał, ale zawsze kładł to między bajki, od czasu jednak, gdy poznał Zaifa, czuł wielki szacunek dla rozległej wiedzy rozmiłowanego w nauce medyka.

– Z punktu widzenia nauki jest to chyba nawet możliwe – powiedział medyk z wahaniem. – Głowa po ścięciu może zachować świadomość, ale nie dłużej niż przez 2–3 sekundy, jak sądzę. Ale przypuszczalnie we krwi takiej odciętej głowy znajduje się wystarczająco dużo tlenu, aby podtrzymać metabolizm organizmu przez około 7 sekund. Potem nieuchronnie musi nastąpić śmierć mózgu z powodu niedotlenienia, co wszystko razem może trwać nawet minutę. Oczywiście ofiara wtedy nie jest już niczego świadoma. Podobno Antoine Lavoisier<sup>58</sup>, chemik, podczas własnej egzekucji przeprowadził ostatni eksperyment. Wiedząc już, że zostanie stracony, umówił się z przyjacielem, że po ścięciu będzie próbował mrugać oczami tak długo, jak zdoła. Cóż, według relacji mrugał podobno przez 15 sekund, ale osobiście sądzę, że to mało prawdopodobne!

– Doktorze! Niech mi pan nie straszy ludzi! – upomniał go agent na widok mocno niepewnych min wpatrujących się w medyka policjantów. Pobladli mężczyźni przestępowali z nogi na nogę, jakby mieli ochotę czmychnąć.

– Panowie, nie zwracajcie na mnie uwagi – zwrócił się Zaif do policjantów. – To tylko takie anegdoty, które krążą w naukowym świecie. Naukowcy też czasem żartują, przynajmniej niektórzy.

Policjanci nie wydawali się szczególnie przekonani, ale widząc uśmiechy zwierzchnika i „dziwnego” doktora, trochę się opanowali. Mimo to do końca pobytu we wnętrzu tego domu mieli się na baczności i niechętnie myszkowali po kątach w poszukiwaniu przedmiotów, które mogły posłużyć mordercy za narzędzie zbrodni. W końcu jednak oprócz dwóch sztyletów, które dość szybko zidentyfikowano jako należące do kolekcji osobliwości pana domu, znaleziono w gabinecie tylko duży kuchenny nóż o szerokim ostrzu, zaplamiony krwią. Zaif przyjrzał mu się uważnie, zmierzył go z różnych stron, a potem porównał z ranami pani Garszyńskiej. W końcu oświadczył, że wstępnie może potwierdzić, iż tym właśnie nożem zabito żonę pana domu.

Natomiast ciało radcy nie nosiło żadnych innych obrażeń poza ucięciem głowy. Doktor obejrzał dokładnie zbryzgane krwią ściany, meble i podłogę, aż w końcu doszedł do wniosku, że sprawca musiał najpierw jakoś unieruchomić prawnika, spowodować, by się nie bronił. Ale bez głowy trudno stwierdzić, czy ogłuszył go najpierw czymś ciężkim, czy może poderżnął mu gardło. W czasie sekcji bezgłowego ciała można było jedynie sprawdzić, czy radca nie został oszołomiony jakimś silnym środkiem, a następnie pozbawiony głowy.

– Tak czy inaczej, Garszyński albo jeszcze żył, gdy mu głowę odcinano, albo zmarł tuż przedtem, gdyż wypływ krwi był olbrzymi. Gdy obejrzę głowę, będę mógł więcej powiedzieć, bo jeśli morderca najpierw go ogłuszył, pozostanie ślad. Teraz przyjrzę się jeszcze ranie brzegowej szyi, czy jest poszarpana i składająca się z wielu nacięć, jak po użyciu jakiegoś tępego narzędzia, na przykład starej piły, czy też gładka i jednolita, co by wskazywało na użycie czegoś takiego jak ostra siekiera, topór lub miecz. Wtedy morderca mógł mu obciąć głowę nawet jednym cięciem.

– Jak zawodowy kat – mruknął któryś z policjantów.  
– Właśnie – podchwycił medyk. – Ale taka śmierć byłaby lżejsza dla tego nieszczęśnika, niż gdyby miano go ciąć wielokrotnie, a on by w tym czasie jeszcze żył.

– I tak skończył nieborak jak świąteczny prosiak – powiedział z filozoficznym spokojem Jasio Poraj, który pochodził ze wsi i był nawykły do takich krwawych scen.

– Zapewne – westchnął agent, przybity utratą głównego, i póki co, jedyne, podejrzanego. – Lecz nadal nie wiadomo, kto mógł tego dokonać! Zbieraj pan, doktorze, te swoje odciski, może chociaż w ten sposób do czegoś dojdziemy.

Zaif skinął głową i poprosił jednego z policjantów, by mu pomógł zmienić na nowe ubrudzone krwią specjalne rękawiczki z bardzo cienkiej skórki, których zawsze używał na miejscu zbrodni i podczas sekcji. Jeziński dał mu niedawno sporo par takich rękawic, które specjalnie dla niego zamówił, aby pomoc przy śledztwie nie naraziła doktora na bankructwo. Teraz agent przypomniał sobie coś nagle i zwrócił się do swoich ludzi.

– A znaleźliście gdzieś ciała córek Garszyńskiego?

– Nie, tylko radcy i jego żony.

– Może córki wyjechały już do Warszawy? – podsunął Zaif. – Pamięta pan, była o tym mowa, gdy przyszedliśmy tu po raz pierwszy.

– Daj Boże, żeby to była prawda – westchnął agent. – A zwłoki gościa Garszyńskich, tego Niemca, który przyjechał do Polski, by czegoś tam się uczyć? Jak on się nazywał, Forster, zdaje się?

– Nie, ekscelencjo – odparł pewnie Sokołow. – Osobiście raz jeszcze obszedłem cały dom od piwnicy po dach i nigdzie nie ma innych zwłok. Tylko Garszyńscy, jak sam ekscelencja był łaskaw rozpoznać.

– To dziwne, chyba że wyjechał do Dobrzycy, jak mówił radca. Miałby wtedy chłopak trochę szczęścia. Sokołow, pchnij posłańca do tej całej Dobrzycy, niech sprawdzi, czy jest tam u nich jeszcze pan Forster i czy nic mu się nie stało, bo nie można wykluczyć, że i on miał zostać zabity. Ale na wszelki wypadek niech popyta też, kiedy tam przyjechał, gdzie mieszka i co robi. Nie zawadzi sprawdzić, w końcu Dobrzyca to nie jest

koniec świata. Cóż to za problem wynająć powóz lub konia, pojechać, zrobić swoje, a potem wrócić. Prawda, doktorze?

– Prawda.

– Był pan tam już?

– Tak, kilka lat temu miałem okazję zwiedzić pałac Gorzeńskich w Dobrzycy.

– I są tam jakieś księgi?

– Oczywiście. Niektóre nawet bardzo rzadkie.

– Masońskie też?

– Zapewne, przecież tam także mieściła się ich loża. Pałac został specjalnie przebudowany na jej cele. Sądzę nawet, że miała wyższą rangę, niż wszystkie loże kaliskie razem wzięte.

– No to wracaj, Sokołow, do pałacu gubernatora, tu już nie będziesz mi potrzebny. Jasiek mi wystarczy. Wybierz posłańca i powiedz Kaminskiemu, żeby wystawił dla niego pismo w moim imieniu, w którym będą zawarte te wszystkie pytania.

Sokołow spojrzał wilkiem na młodego Poraja, wyraźnie niezadowolony, że u boku szefa wyrasta mu rywal. Nie odważył się jednak zaprotestować, zasalutował tylko i wymaszerował, choć było widać, że uważał to za swego rodzaju afront, żeby on, zasłużony policmajster, był chłopcem na posyłki. Wiedział, że choć Jezierski był sprawiedliwym i ludzkim szefem, to jednocześnie nie znosił niesubordynacji i podważania jego decyzji, a wszelkie wykroczenia karał z całą surowością, jeśli delikwent nie miał naprawdę dobrego usprawiedliwienia.

– Skończył pan, doktorze? – zapytał agent, widząc, że Zaif zaczął pakować swoje przyrządy. Gdy lekarz potwierdził, Jezierski kazał swoim ludziom zabrać ciała i przewieźć je do lodowni w szpitalu Świętej Trójcy, a potem zabezpieczyć dom Garszyńskich, by nikt na razie nie miał tu wstępu bez wiedzy policji.

– Teraz jedźmy, doktorze, po głowę tego nieszczęśnika i na dzisiaj będzie koniec. Sekcją zajmie się pan później, dziś mi wystarczą te wstępne oględziny. Spodziewa się pan jakichś niespodzianek po otwarciu zwłok?

– Raczej nie, ale głowę chętnie zbadam jeszcze dziś.

Tak rozmawiając wsiedli do powozu, który miał ich zawieźć do

kamienicy Bajera.

– Ale tylko głowę. Musi pan trochę wypocząć, bo wykończony lekarz na nic mi się nie przyda. Łatwo wtedy przeoczyć jakiś drobiazg o kapitalnym znaczeniu. A za cztery dni czeka nas jeszcze ekshumacja tego kupca... Jak mu było... Lubelskiego!

– To już ustalony termin?

– Tak, uzgodniony z cmentarzem. Trzeba było specjalnego pozwolenia, bo minął termin dokonywania ekshumacji<sup>59</sup>, dlatego te wszystkie formalności tak długo trwały. Przyznam, że nie wiedziałem o zakazie wydobywania ciał, gdy minie połowa kwietnia, choć jak się człowiek zastanowi, to przepis jest logiczny. Trzeba pamiętać o zagrożeniach, jakie niesie ze sobą otwarcie grobu z rozkładającymi się zwłokami w ciepły, a bywa, że i upalny dzień. Szast-prast i epidemia murowana! Ale my zadbamy o wszelkie zabezpieczenia, będzie specjalna skrzynia, płyn dezynfekujący, nawet specjalne ubrania ochronne, które potem się spali. Może się pan czuć bezpiecznie, doktorze.

– Wieź nas do kamienicy Bajera! – rzucił agent woźnicy i kontynuował.

– Ustaliłem już z jego ekscelencją termin naszej imprezy. Urządzimy ją w połowie maja, a to już niedługo. Postanowiliśmy, że będzie to wenta dobroczynna połączona z zabawą ogrodową, bo dzięki temu będzie dostępna dla wszystkich. Zebrane fundusze zostaną przeznaczone na letni wypoczynek sierot i dzieci z najuboższych rodzin. To chyba dobry i niezobowiązujący pretekst, prawda? Sądzi pan, że ludzie przyjdą?

– Z pewnością! W Kaliszu nie ma znów aż tak dużo rozrywek, żeby przepuścić taką okazję, jeśli tylko nie wiąże się to z... polityką. Ale gdzie pomieścić tyle osób, skoro ma to być zabawa, że tak powiem, powszechna?

– Anna wymyśliła, że najlepiej będzie urządzać ją w parku, który przylega do pałacu. Wczesnym wieczorem, żeby po jakimś czasie można było zapalić lampiony, a zakończyć pokazem sztucznych ogni. Zaczniemy bardziej oficjalnie na tarasie pałacu, gdzie zostaną wygłoszone wszystkie niezbędne mowy i podziękowania, a potem wszyscy i tak rozejdą się po parku. W różnych miejscach zostaną poustawiane stoły i krzesła, będzie też kilka parkietów do tańca. Jego ekscelencja zamówi muzykę, będą też

loterie fantowe i liczne konkursy.

– Bardzo dobrze. Mam wszelako nadzieję, że mnie pan nie zamierza namawiać do uczestnictwa w którymś z komitetów organizacyjnych, które niechybnie zaraz powstaną jak grzyby po deszczu? Nie mam natury wodzireja ani działacza, choć grosza nie poskapię.

– Wiem, wiem – roześmiał się Jezierski. – Anna oczywiście bardzo chciała mianować pana swoim głównym pomocnikiem, lecz zdołałem jej to wyperswadować.

Agent zerknął ukradkiem na oblicze doktora. Widać było jak w duszy nieboraka toczy się walka między jego naturą odludka, stroniącego od wszelkich publicznych wystąpień, a przemożną chęcią przebywania w towarzystwie ukochanej. Wszak przy organizacji wenty widywałby ją codziennie!

– Co by pan robił w tłumie starych dewotek i takichże jegomościów, którzy uważają, że wszystko wiedzą najlepiej? – pocieszył go fałszywie Jezierski. – Nie miałby pan nawet czasu spokojnie porozmawiać z Anną. I tak znajdzie się jeszcze wiele okazji. Osobiście także nie znoszę tłoku i jazgotu, a taki niechybnie nastąpi w najbliższych dniach. Chyba przez jakiś czas rzadziej będę bywać w moim gabinecie w pałacu, a częściej w cyrkule i na stacji. Mam nadzieję, że moja gospodyni także zajmie się jakimiś przygotowaniami do wenty i nie będzie mi co chwilę zawracać głowy. To bardzo poczciwa kobieta, ale strasznie nadopiekuńcza. Na zmianę usiłuje mnie albo karmić, albo swatać! My, kawalerowie, musimy się trzymać razem, nieprawdaż?

Zakochany Zaif, który od niedawna diametralnie zmienił swoje myślenie o małżeństwie, na szczęście nie musiał odpowiadać na to pytanie, bo powóz właśnie zatrzymał się przed kamienicą Bajera. Obaj mężczyźni podeszli do drzwi, które czujny kamerdyner otworzył niemal natychmiast, jakby już na nich czekał.

– Nikt nic nie ruszał? – zapytał po powitaniach Jezierski.

– Wszystko zgodnie z wolą waszej ekscelencji – odrzekł sługa i poprowadził przybyłych do salonu, który otworzył kluczem wyjętym z kieszeni. Jak z zadowoleniem zauważył Jezierski, nic się tu od jego wyjścia nie zmieniło.



– Czy będzie pan czegoś potrzebował, doktorze?

– Przydałoby się jakieś pudło kartonowe albo worek. Na szczątki – wyjaśnił. – Resztę niezbędnych rzeczy mam ze sobą – tu Zaif poklepał wypchany neseser, który dziś zastąpił mniejszą torbę lekarską, jaką zazwyczaj nosił.

– Poszukujcie zatem czegoś, o czym mówił pan doktor – polecił Jezierski kamerdynerowi.

– W tej chwili – rzekł tamten, kłaniając się i zaraz wyszedł. Wtedy Jezierski podszedł do kasetki w ścianie.

Przedtem jeszcze raz omiół wzrokiem pokój. Wszystko było bez zmian: zdjęty obraz nadal stał oparty o ścianę, a na stole piętrzyły się wyciągnięte do czyszczenia srebra i szmatki. Nawet odstawione w pośpiechu dwa krzesła wciąż psuły harmonię równego szyku pozostałych mebli. Agent wyjął mały klucz z kieszonki kamizelki i otworzył wmurowaną w ścianę skrytkę. Zaif zajrzał ciekawie do wnętrza i jako człowiek nawykły do obcowania z nieżyjącymi, bez wstrętu i pośpiechu wydobyl ostrożnie leżącą na boku makabrycznie wyszczerzoną głowę. Krew z rany już zakrzepła, tworząc brunatne sople, ohydnie ciągnące się i zwisające. Jezierski z obrzydzeniem odwrócił wzrok, lecz nie mógł nie usłyszeć nieprzyjemnego plaśnięcia, jakie się rozległo, gdy lekarz umieścił głowę na jednym ze srebrnych półmisków.

– Taak – mrucał do siebie w skupieniu Zaif, badając szczątki nieszczęsnego radcy, czemu towarzyszyły ohydne odgłosy, jakby martwa głowa mlaskała. – Cięcie jest gładkie, niemal jednolite... Hm... Teraz zobaczmy, czy gdzieś tu nie ma śladów uderzenia... Dziwne... Nic nie ma... Niemożliwe, żeby tak ryzykował... Przecież wystarczyłoby, by ofiara lekko zmieniła położenie i nie trafiłby tak równo... Dziwne... hm, naprawdę dziwne...

– I co pan znalazł? – nie wytrzymał Jezierski, wciąż nie patrząc.

Lekarz spojrział w jego stronę.

– Przed chwilą widział pan zasztyletowaną kobietę i ciało bez głowy, a teraz pan się brzydzi? – zapytał zdumiony.

– Sama głowa... – wymamrotał Jezierski. – To tak strasznie wygląda... Jakby się uśmiechała, drwiła z nas...

– Tak, ten niby uśmiech może się rzeczywiście wydawać upiorny – przyznał Zaif, na którym jednak wyszczerzone zęby nie robiły wrażenia poza zawodowym zainteresowaniem. – Sądzę, że to wynik jakiegoś silnie działającego środka, być może nawet trucizny. Garszyński mógł być w chwili śmierci nieświadomy, co się wokół dzieje, ale z pewnością jeszcze żył, gdy mu ścinano głowę. To było jakieś bardzo ostre narzędzie o szerokim, gładkim ostrzu. Najbardziej mi tu pasuje maczeta, ale chyba niczego takiego nie widziałem w gabinecie radcy, gdy byliśmy tam z pierwszą wizytą, a pan?

– Nie wiem, nie przyglądałem się. Zwróciłem tylko uwagę na to, co było wyeksponowane. On tyle gadał, że nie chciałem, by zaczął nam jeszcze opowiadać historię każdego z jego bezcennych okazów!

– Tak czy inaczej, teraz maczety, miecza czy szpady tam nie było. Specjalnie się rozglądałem, szukając narzędzia zbrodni. Morderca zabrał je więc ze sobą. Może też i przyniósł, ale to nieważne. Dość, że teraz na pewno tego typu narzędzie jest w jego posiadaniu, choć nie przypuszczam, żeby się z nim afiszował. Szybko byśmy się dowiedzieli, że w okolicy grasuje ktoś z wielkim nożem czy tasakiem.

– Co zatem pan w końcu ustalił z tą głową? – zniecierpliwił się agent, który nie lubił rozmawiać odwrócony do kogoś plecami. Jednak świadomość, że odcięta głowa wciąż leży na stole, była silniejsza, więc nie zamierzał się odwracać, póki przykry widok nie zniknie.

– To, co już mówiłem – słowom lekarza towarzyszył tym razem głośny szelest papieru. Agent zerknął i zobaczył, że Zaif owija odciętą głowę wielkim arkuszem woskowanego papieru. Teraz, gdy makabryczny dowód zbrodni przestał być widoczny, odetchnął z ulgą i odwrócił się przodem do medyka.

– Garszyńskiego najpierw oszołomiono jakimś środkiem, najpewniej dodanym do wina lub pożywienia. Siedział za biurkiem, niczego się nie spodziewając, gdy sprawca pozbawił go głowy jednym lub dwoma cięciami. Śmierć nastąpiła szybko, choć nie natychmiast.

– Czy cierpiał? – zapytał ochryple agent, przelżykając głośno ślinę.

– Nie sądę. Muszę jeszcze zbadać, jaki środek mu podano, ale wygląda mi na to, że był tak oszołomiony, że nie wiedział, co się z nim dzieje.

Rozległo się pukanie do drzwi i na głośne „Proszę!” agenta wszedł kamerdyner Radziejowskich z pudłem na kapelusze pod pachą.

– To najlepsze, co znalazłem – oznajmił, niespokojnie zerkając w stronę leżącego na stole przerażającego pakunku. On także odetchnął z ulgą, widząc, że głowa została już owinięta papierem i nie musi jej oglądać.

– Znakomicie – stwierdził Zaif, uśmiechając się w duchu nad ironią tak trafnie dobranego „środka transportu”. – Jesteście bardzo praktycznym człowiekiem.

– Dziękuję ekscelencji – kamerdyner skłonił się, przyjmując te słowa jako pochwałę. – Staram się.

Zaif sam zapakował głowę do pudła, gdyż wiedział, że żaden z mężczyzn nie pokwapi się do tego.

– Niech pan weźmie mój neseser – powiedział do agenta. – Ja poniosę głowę.

Agent skwapliwie skorzystał z tej propozycji i po chwili już siedzieli w powozie, zegnani z ulgą przez kamerdynera.

– Odwieźć pana z tym... pakunkiem do szpitala? – zapytał agent.

– Tak, głowę trzeba umieścić jak najszybciej w lodowni. Ponownie badać już jej nie ma raczej potrzeby. Sprawdzeniem, co zażył denat, zajmę się jutro, Staś mi chętnie pomoże. Dziś tylko przygotuję próbki krwi i treści żołądkowej.

Ruszyli kłusem przez miasto, które tętniło wieczornym życiem. Ludzie odpoczęli już po pracy i teraz wychodzili zjeść późną kolację w restauracji lub u przyjaciół, do teatru albo po prostu na przechadzkę po parku, który wabił urokami wiosny.

– Piękny wieczór! – Jezierski odetchnął pełną piersią. – To był naprawdę męczący dzień! Niech pan nie siedzi długo, tylko wraca do domu i dobrze wypocznie. Mam nadzieję, że nie będę pana potrzebował przez te cztery dni, jakie pozostały do ekshumacji. Umówmy się zatem, że za cztery dni przyjadę po pana o szóstej rano pod dom. Szkoda, że nie udało się jeszcze założyć panu telefonu! Nasz majster obiecywał, że to szybko pójdzie, ale pojawiły się jakieś trudności ze sprzętem. Muszą go sprowadzić z Warszawy, a coś tam się opóźnia. Obiecał nam jednak, że gdy tylko wszystko będzie na miejscu, uwinie się we dwa, najwyżej trzy

dni. Może szybciej, ale to zależy, jak im pójdzie przeciągnięcie tak długiego przewodu i czy nie napotkają przy tym jakichś przeszkód po drodze.

– Rozumiem. Ja w tym czasie przeprowadzę szybką sekcję nowych ciał, choć nie sądzę, bym odkrył coś nowego. Pan niech postara się odnaleźć rodzinę Garszyńskich, żeby zajęła się córkami i pochówkiem. Ciała będą gotowe do wydania w szpitalu Świętej Trójcy najpóźniej za dwa dni.

– W porządku. Wszystkim się zajmę.

– I niech pan się dowie, jaki testament zostawił radca. Może to rzuci jakieś światło na powód śmierci tej nieszczęsnej rodziny.

– Oczywiście, tym się zajmę zaraz po powrocie do gabinetu.

Jechali chwilę w milczeniu, gdy nagle Zaif uderzył się otwartą dłonią w czoło.

– Omal nie zapomniałem! Ojciec zaprasza pana w przyszłym tygodniu na czwartkowy wieczór z partyjką wista. Tym razem jednak nie będzie to spotkanie w ściśle męskim gronie, bo żony jego przyjaciół zwyczajnie się zbuntowały i powiedziały, że nie dopuszczą, by panowie sami zagarnęli agenta do specjalnych poruczeń. Po prostu umierają z ciekawości, by pana poznać!

– O, do licha! Czeka mnie zatem coś w rodzaju próby ogniowej? – zaniepokoił się agent.

– Może tak być. Szczególnie jeśli chodzi o płec piękną. Niektóre na pewno będą chciały pana wyswatać lub same się za pana wydać...

– Za Rosjanina?

– Proszę pamiętać, że wielu z przyjaciół i bliskich znajomych ojca to Żydzi. Naród bez własnego kraju. Poza tym kariera, władza i pieniądze są dla niektórych głównymi celami w życiu, niezależnie od narodowości. A tam będzie tak zwana śmietanka towarzyska. Miejscy notable, bankierzy, bogaci kupcy, lekarze i prawnicy. Kobiety zamężne oraz wdowy, które zajmują się kulturą i sztuką, ale głównie taką, co przynosi zyski...

– Ależ pan złośliwy!

– Cóż począć! Matka zmarła dawno, wychowywał mnie ojciec. Prywatnie wspomniały człowiek i bardzo go kocham. Ale zarabia jako

bankier. Uczciwy, ale jednak bankier. A światem finansów rządzą własne prawa. To trochę kosmopolityczna społeczność i ten rys nieco go upodobnia do arystokracji. Ale tylko pod tym względem, więc nie musi się pan obawiać, że ktoś będzie traktował pana z góry.

– Ha! W obliczu możliwych zamachów na mój kawalerski stan... dobre i to!

– A właściwie dlaczego pan się dotąd nie ożenił? – zapytał z zaciekawieniem, choć niezbyt taktownie, Zaif. – Wiele osób się zastanawia. Niestary, zamożny, a nieżonaty...

– Nie ma w tym żadnej tragicznej ani romantycznej tajemnicy! – roześmiał się Jezierski. – Po prostu nie spotkałem jeszcze kobiety, koło której chciałbym się co rano budzić i z którą chciałbym codziennie jeść śniadanie! A te, co by mi odpowiadały, były już zajęte lub po prostu nie chciały mnie!

– Nie traci pan łatwo głowy dla kobiet, prawda?

– Nie – przyznał agent.

– Ale nie wygląda mi pan na... nieobeznanego z kobietami.

– Jakoś zawsze umiałem rozróżnić flirt, czy nawet romans, od potrzeby małżeństwa! Najwyraźniej przyszła pani Jezierska wciąż gdzieś się ukrywa!

– W Kaliszu to się może zmienić. Polki są bardzo piękne, ale kaliszanki najpiękniejsze. I nie jest to tylko zdanie miejscowych mężczyzn – zapewnił go medyk.

– Pan też jakoś nie dał się ustrzelić strzale Amora... do niedawna – wytknął mu agent.

– Co nie znaczy, że nie jestem ślepy!

Obaj się zaśmiali. Czuli się w swoim towarzystwie znakomicie, zmęczeni, ale już nieco odprężeni po wstrząsających wydarzeniach dzisiejszego dnia. Na miasto opadła już noc, którą z rzadka rozświetlały uliczne latarnie gazowe. W ich ciepłym świetle niknęły wszelkie niedoskonałości, odrapane stare domy, błoto po wiosennych deszczach i śmieci. Zostały tajemnicze cienie drżących w lekkim powiewie drzew i oświetlone wnętrza domostw. A oni jechali powoli, uśmiechnięci, choć w pełni świadomi czającej się gdzieś tam groźnej istoty, dla której życie

ludzkie nie miało żadnej wartości. Cóż, jeśli śmiech jest lekarstwem, które każdy może sobie przepisać, powinno się je stosować przy każdej okazji.

## Rozdział 12

Kaliszem niepodzielnie zawładnął kipiący zielenią i kwietnymi zapachami maj. Ubrany wizytowo Jezierski jechał otwartym powozem na czwartkową partyjkę wista u bankiera Maksa Zaifa, wdychał rześkie powietrze i przyglądał się miastu. Kazał stangretowi jechać okreśną trasą, gdyż denerwował się nieco przed tą wizytą. Nie nawykł do spotkań towarzyskich w podległym Rosji kraju, jego dotychczasowe kontakty z miejscową ludnością były czysto zawodowe. I to on zazwyczaj stał na uprzywilejowanej pozycji przedstawiciela władzy. A że dom Maksa Zaifa znajdował się kawałek za miastem, agent ruszył w drogę sporo przed umówioną godziną. Postanowił zabić czas przejażdżką ulicami Kalisza, by na spokojnie przemyśleć ostatnie nowiny. Dostał znakomity portret dwóch cudzoziemców, którzy chcieli kupić pamiątki po masonach. Musiał przyznać, że panna Szczepankiewiczówna popisała się niemałym talentem. Przemknęło mu przez myśl, czy nie powinien zatrudnić na etat jakiegoś rysownika. Fotografia jest lepsza, jasne, ale fotograf może zrobić zdjęcie tylko czegoś, co widzi. A jak sfotografować ustny opis czyjegoś wyglądu? Te listy gończe, które wydawały władze, wyglądały, jakby rysowało je dziecko. Nic dziwnego, że trudno było złapać tak sportretowanych przestępców.

Wyniki sekcji państwa Garszyńskich były zwykłą formalnością, bo tylko potwierdziły to, co doktor ustalił po wstępnych oględzinach. Jedyną nowością było wykrycie, czym sprawca oszołomił prawnika. Była to cykuta, trucizna powodująca paraliż, która, jak powiedział mu Zaif, była stosowana już przez starożytnych Greków do wykonywania wyroków sądowych, którzy w ten właśnie sposób stracili w 390 roku p.n.e. Sokratesa.

Zaif nie wiedział, jak sprawca podał truciznę Garszyńskiemu, ale nie miało to znaczenia, bo śmierć i tak nastąpiła z powodu dekapitacji. Mimo to Jezierski zastanawiał się, czy ścięcie głowy nie było spowodowane obawą mordercy, że podał zbyt małą dawkę trucizny, a wtedy prawnik

mógłby przeżyć. Brr... Koszmarne myśli. Ileż dałby za to, by morderca był już pod kluczem, a jeszcze lepiej – dyndał na szubienicy!

Jezierski postanowił chwilowo przestać myśleć o wciąż nieuchwytnym mordercy i jego zbrodniach, by całkiem nie zepsuć sobie humoru. Lepiej popatrzeć na miasto, które z nadejściem cieplejszych dni piękniało w oczach. Jakież kontrast z ponurym zimowym, biało-czarnym krajobrazem! Musiał przyznać, że teraz bardziej rozumiał swojego przyjaciela, gubernatora, który darzył Kalisz jakimś niezrozumiałym afektem. Gdy wiosna wokół roztaczała swe magiczne wdzięki, agent stwierdził, że wreszcie jest na co popatrzeć.

Niemniej im bardziej zbliżał się moment wizyty u bankiera, tym bardziej agent miał ochotę dać drapaką. Musiał szczerze przyznać, że wizja czyhających na niego kobiet, którą onegdaj roztoczył przed nim Jakub, nieco go przerażała. Cóż jednak było robić, trzeba iść odważnie w paszczę lwa!

Niespełna kwadrans później agent uznał, że przynajmniej zewnętrznie owa „paszczka” nie wygląda aż tak groźnie. Dom bankiera stanowił pośród przypadkowości podmiejskiej zabudowy przykład nie tylko dobrego gustu, ale i... tajemniczości. Okazała rezydencja łączyła w sobie cechy ziemiańskiego dworku z nowoczesną willą. Z jednej strony wznosiła się smukła wieżyczka z okienkiem w gotyckim stylu, a z boku rosła strzelista, rozłożysta samotna sosna. Obraz ten mimowolnie skojarzył się Jezierskiemu z powieściami grozy, które namiętnie pochłaniał w tajemnicy przed rodzicami, gdy był jeszcze wyrostkiem. Poza tym lokalizacja domu była świetna, gdyż znajdował się stosunkowo blisko centrum, a jednocześnie z dala od zgiełku miasta, pośród pól, ogrodów i nielicznych tu zabudowań.

Wewnątrz było równie wspaniale, jak na zewnątrz, a nawet lepiej, gdyż bankier był człowiekiem niezwykle ceniącym sobie nie tylko spokój, ale i wygodę. Wszystko zostało więc urządzone tak, by sprawiać przyjemność nieco otyłemu właścicielowi, jego gościom, a nawet służbie. Maks Zaif nie skąpił bowiem grosza na nowoczesne wynalazki mogące ułatwić pracę jego służącym, dlatego dostać u niego posadę stanowiło dla wielu szczyt marzeń. Tyle że, kiedy ktoś już się u niego zatrudnił, to nie odchodził,



chyba że z powodu śmierci, ciężkiej choroby lub innych poważnych wydarzeń losowych. Nie zdarzyło się też, by bankier musiał komuś wymówić, gdyż miał niezawodne oko w ocenie i dobieraniu personelu. Dlatego jego bank świetnie prosperował, a i w gospodarstwie wszystko szło jak w zegarku.

Gdy tylko dokonano wszystkich wymaganych prezentacji, ekscentryczny Zaif senior porwał nowego gościa, by go oprowadzić po swoim królestwie i z dumą dziecka pokazać mu swoje skarby. Były to przede wszystkim zdobycze najnowszej techniki, jakie udało mu się pozyskać za niemałe pieniądze. Opowiadał, jak dzięki temu ułatwił życie sobie i służbie.

– Wie pan, ja jestem Żydem i większość mojej służby też – tłumaczył, zatrzymując się przed czymś, co nazwał chłodziarką. – Szabat jest cotygodniowym żydowskim świętem, które zaczyna się o zmierzchu w piątek i trwa do zmierzchu w sobotę. W sobotę wyznawców judaizmu obowiązuje zakaz wykonywania większości codziennych czynności. Nie wolno nam wtedy na przykład pracować zarobkowo, sprzątać i rozniecać ognia, a więc i gotować. Nie wolno też żądać od innych Żydów wykonywania tych obowiązków zarówno pośrednio, jak i bezpośrednio. Gotujemy więc wszystko wcześniej, chowamy do wolno stygnących pieców, żeby część posiłku mogła być podana na ciepło, lub wstawiamy do takiej chłodziarki i mamy pewność, że nic się nie zepsuje!

– Zdaje się, że rozumiem – odparł zaskoczony agent, który do tej pory nieszczególnie przejmował się własną religią czy zbawieniem, więc tym bardziej nie interesował się innymi wyznaniem. – Jak sobie jednak radzi pański syn, który jest lekarzem? Choroba nie wybiera i zawsze może się zdarzyć, że właśnie w sobotę wezwie go do siebie jakiś chory i co wtedy? Musi odmówić?

– Nie, skądże! – obruszył się pan domu. – Gdy chodzi o ratowanie życia, obowiązuje zasada *pikuach nefesz*<sup>60</sup>, w myśl której każdy z owych zakazów wolno, a nawet trzeba złamać! Tylko lekarzowi nie wolno wówczas wziąć za pomoc żadnych pieniędzy, bo to już byłaby praca zarobkowa.

– Wydaje mi się, że doktor Zaif i bez tego jest nieskory do brania

pieniędzy – rzekł agent.

– To prawda – przyznał bankier. – Nie wiem, w kogo się wrodził, chyba w moją żonę, choć jej rodzice to nad wyraz zamożni i zaradni ludzie. Ale ona miała złote serce, czy to dla ludzi, czy dla zwierząt. Jakub też zachowuje się jak dobroczyńca ludzkości, ale stać go na to. Gdy studiował, kilka lat mieszkał sam za granicą, choć mój brat zapraszał go do siebie. Powiedział, że nie może u niego mieszkać, bo zamierza szybko nabrać wprawy i jeszcze w czasie studiów pomagać ludziom. No i leczył za darmo całą okoliczną biedotę, a stryja tylko odwiedzał. Myśleliśmy z bratem, że zadał się z socjalistami, ale nie, polityka w ogóle go nie interesuje. Zaimponował tym memu bratu, nie przeczę, więc się nie zdziwiłem, gdy Dawid zapisał mu cały swój majątek. Teraz Jakub ma własne pieniądze, w tygodniu mieszka sam w mieście, a tu przyjeżdża na szabat, więc już od dawna nie wtrącam się w jego życie.

– Ale coś w szabat chyba wolno robić? – zainteresował się agent.

– Talmud zaleca radość. Na przykład poprzez takie przyjemności jak jedzenie, śpiewanie, zebrania towarzyskie, a zwłaszcza spędzanie czasu z rodziną i... – przymrużył figlarnie oko – małe tête-à-tête ze współmałżonkiem. Powinno się także odwiedzić synagogę, śpiewać hymny, czytać Torę<sup>61</sup> i dyskutować o niej. Ale chodźmy dalej, pokażę panu maszynę do zbierania kurzu. Mówię panu, fenomenalna!

Jezierski podążył za gospodarzem. Wiedział, że należy on do bardzo majątnych ludzi, a mimo to był i tak zdumiony. No bo chyba tylko w tym domu służba miała do dyspozycji chłodziarkę absorpcyjną oraz taką na lód<sup>62</sup>, żelazko na gaz, maszyny do szycia Singera<sup>63</sup> czy urządzenie do usuwania kurzu<sup>64</sup>! W pracy biurowej bankier również stosował jeden z ostatnich amerykańskich wynalazków, jakim była maszyna do pisania produkowana przez amerykańską fabrykę Remingtona, skądinąd specjalizującą się w produkcji broni. Teraz dla agenta stało się jasne, skąd w młodym medyku takie zamiłowanie do nauki i techniki. Dziw, że do tej pory nie miał jeszcze telefonu! Postanowił natychmiast to wyjaśnić.

– Doprawdy, jestem zdumiony, że nie zainstalował pan jeszcze telefonu!

Starszy pan uśmiechnął się szeroko.

– Wszystko w swoim czasie, drogi panie! To starannie przemyślana decyzja. Nie miałbym spokoju we własnym domu, ciągle dzwoniłby a to ktoś z banku, a to któryś z klientów, nie mówiąc już o telefonach od Jakuba! Nie, nie. To udogodnienie zostawiam innym, młodszemu. Na przykład jestem przekonany, że mój syn szybko sobie sprawi to urządzenie! Ja pozostanę przy wysyłaniu służącego z liścikiem do miasta albo liście pocztowym na dalsze odległości.

I tak gawędząc obeszli cały dom. Zaskoczony technicznymi upodobaniami gospodarza, Jezierski prawie nie zwrócił uwagi na wystrój wnętrza, choć było na co popatrzeć i bankier do tego zachęcał. Zauważył tylko mgliście, że rezydencji nie urządzono w określonym stylu. Na pewno była tam domieszka neogotyku, a także plafony, marmurowe kominki, miśnieńskie piece z ozdobnymi kaflami i intarsjowane dębowe parkiety. Zapamiętał jeszcze, że część wewnątrz została urządzona w stylu empire, czyli Pierwszego Cesarstwa francuskiego, bo właścicielowi podobał się jego powściągliwy luksus. Jakoś go to nie zdziwiło, gdyż empire został stworzony za panowania Napoleona I, którego Polacy nadal uwielbiali, mniej więcej tak samo, jak Rosja i kilka innych mocarstw nienawidziły. Zastanawiał się tylko, czy te same uczucia podziwu dla cesarza podzielali również Żydzi, lecz wyglądało na to, że tak.

Stary Zaif, jakby odgadując jego myśli, uśmiechnął się i powiedział:

– Pan pewnie nie wie, bo i skąd, że kaliscy Żydzi zawsze podkreślali swoją jedność z Polakami w czasie wojen i powstań. Nigdy bym tego panu nie powiedział, gdyby Jakub mnie nie zapewnił, że jest pan przyzwoitym człowiekiem, i nie przekazał mi, co pan myśli o ochronie. A Jakub rzadko się myli w ocenie ludzi. Ma to po mnie. Skoro zaliczył pana do grona przyjaciół, mogę panu zdradzić, że na przykład 14 października 1861 roku w tutejszej synagodze odbyła się uroczysta modlitwa w intencji arcybiskupa Fijałkowskiego, na którą przybyli nie tylko Żydzi, ale i chrześcijanie. Następnego dnia nabożeństwo w tej samej intencji odprawione zostało w kościele katolickim. A w roku 1863 Żydówki kaliskie wyhaftowały chorągiew bojową dla powstańców z napisem „Walecznym braciom Polakom od Polek-Izraelitek z Kalisza”<sup>65</sup>.

Jeziński wolał nie ryzykować wdawania się w dywagacje patriotyczno-polityczne, wrócił więc do komplementowania domu, zastrzegając wszakże, że nie bardzo się zna na sztuce i dla niego wnętrze w stylu empire oznacza tyle, że ściany są obwieszane obrazami i lustrami w obramowaniu rodem ze starożytnego Rzymu. Poza tym, zauważył, podobają mu się okna w tym domu, na co gospodarz objaśnił go, że przesłonięto je kotarami i lambrekinami z jedwabnego adamaszku lub haftowanego aksamitu. Na szczęście pozostała część rezydencji urządzona była współcześnie z naciskiem na wygodę, co nikogo nie narażało na rozmowy ani o sztuce, ani tym bardziej o polityce.

Cóż tam jednak meble, obrazy i dywany, skoro w końcu wrócili z bankierem do salonu i teraz agent musiał stanąć twarzą w twarz z okazałym gronem ludzi w różnym wieku, spragnionych zawarcia z nim bliższej znajomości! W obszernym pomieszczeniu nie wydawało się być ich dużo, niemniej Jeziński doliczył się co najmniej trzydziestu osób. Rozpoznał tylko kilka z nich – prezydenta miasta Przedpeńskiego, dwóch rajców, których nazwisk jednak nie pamiętał, oraz Emila Repphana, przemysłowca i prezesa Towarzystwa Kredytowego jednocześnie. Poza tym same obce twarze.

Poczuł jak pot występuje mu na czoło, ale w tym samym momencie podszedł do niego syn gospodarza. Na widok Jakuba otucha wstąpiła w serce agenta. Doktor w stroju wizytowym wyglądał na pewno bardziej sztywnie, ale nadal miał w sobie ten dar, który powinien mieć każdy lekarz – wzbudzał w innych poczucie bezpieczeństwa. Wciąż emanował ciepłem, dyskrecją i czymś, co Jeziński nazywał na własny użytek „spokojem zrodzonym z profesjonalizmu”. Agent już dawno zauważył, że każdy dobry fachowiec, niezależnie od dziedziny, jaką się para, emanuje taką spokojną pewnością siebie. Teraz opanowanie Jakuba pomogło mu okiełznać własne obawy.

– Mam nadzieję, że mój kochany staruszek nie zamęczył pana – powiedział z uśmiechem lekarz, patrząc z pobłażliwym, lecz czułym uśmiechem na swego rodzica, który mimo dopiero co skończonego obchodu wielkiej rezydencji wyglądał jak promieniejąca samozadowoleniem i energią kulka. Nieduży wzrost, łysa, kulista głowa

i wydatny brzuszek wyglądający, jakby jego właściciel połknął piłkę, jeszcze zwiększały to podobieństwo. Na pierwszy rzut oka jedyny potomek bankiera wydawał się więc zupełnie od niego różnić, ale przy dokładniejszej obserwacji zauważało się podobne rysy twarzy, sposób poruszania się i gestykulacji.

– Nie, skądże – zaprzeczył grzecznie agent, choć w głowie wciąż jeszcze czuł mętlik spowodowany zalewem chaotycznych informacji, jakich dostarczył mu „kochany staruszek”. – To było fascynujące doświadczenie – dodał zgodnie z prawdą.

Bankier uśmiechnął się szeroko, zadowolony, że goście mu podobał się jego dom, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo pierwszy lokaj odciągnął go dyskretnie na bok, szepcząc coś żywo do ucha. Twarz gospodarza pokryła się troską i obaj zaraz wyszli szybkim krokiem z salonu. Odprowadzając ich wzrokiem, Zaif junior powiedział:

– Zapewniam pana, że wszystkie niedogodności wynagrodzi panu kolacja. Kucharz ojca jest po prostu geniuszem w swoim zawodzie, ale niestety często przesadza. Nie może znieść takich drobiazgów, jak przekrzywiony plasterek cytryny na rybie, a grudka w beszamelu jest wprost nie do pomyślenia! Teraz też pewnie ma dylemat ze zbyt słabo, w jego mniemaniu, ubitą śmietaną albo nie dość zrumienionymi ziemniakami. A w tej chwili proszę się uzbroić nie tylko w cierpliwość, lecz niemal dosłownie, bo właśnie nadciąga pierwsza linia frontu...

Do rozmawiających podeszła kołyszącym się zmysłowo krokiem piękna, choć już niemłoda kobieta o ciemnej, nieco egzotycznej urodzie, cała skąpana w brylantach. Towarzyszył jej także niemłody już, szczupły, siwowłosy mężczyzna w wytwornym stroju wieczorowym. Jakub postąpił krok w stronę nadchodzącej pary.

– A, pan Dawid Izajnwaldow z małżonką Esterą. Pan Izajnwaldow również jest bankierem, jak mój ojciec.

Kobieta zalotnie przechyliła nieco głowę osadzoną na pięknej, długiej szyi, której wszelkie niedoskonałości, wywołane wiekiem, zakrywała olbrzymia diamentowa kolia, i wysunęła ku niemu upierścienioną dłoń. Jezierski ucałował ją szarmancko, następnie wymienił z jej mężem silny uścisk dłoni.

– Wszyscy jesteśmy pana ciekawi – odezwała się kobieta. – Czy to prawda, że jest pan teraz najważniejszą osobą po gubernatorze? – zapytała z rozbijającą szczerością.

– Ależ Estero! – upomniał ją mąż. – Pan radca gotów sobie pomyśleć, że jesteś osobą bez ogłady!

– Nigdy bym się nie ośmielił! – zaprotestował z galanterią Jezierski. – Damie o tak przepysznej urodzie wszystko przystoi.

Ta dworność spotkała się z aprobatą nie tylko u Izajnowaldów, ale i stojących nieopodal gości, a przynajmniej pań, których zaciekawione i taksujące dotąd spojrzenia nabrały sympatii i uznania.

– A widzisz! – wykrzyknęła zadowolona bankierowa do męża. – Pan Jezierski to dżentelmen.

Izajnowald skłonił głowę z uśmiechem na znak, że się z nią zgadza, i łagodnie pociągnął małżonkę na bok, by zrobić miejsce kolejnym osobom. Przed Jezierskim jął się przesuwac korowód osób, które w pewnym momencie przestał ogarniac. Grzecznie, acz zdawkowo odpowiadał, głównie potakiwał, nie wnikając już nawet czemu, i prawil paniom komplementy. Był wdzieczny Zaifowi, że go nie odstępował na krok, co pozwoliło agentowi znieść bez szwanku te towarzyskie męczarnie.

Po tych wszystkich ceremoniach zgłodniał tak, że szeptem spytał przyjaciela, kiedy będzie kolacja, bo zaraz padnie trupem z wycieńczenia. Zaif pocieszył go, że wkrótce. Opóźnienie na pewno wynika z nadmiaru perfekcjonizmu kucharza, którego teraz ojciec próbuje przebłagać, by podać potrawy takie, jakie są. Póki co, doktor zaproponował aperitif i zaprowadził agenta w drugi koniec olbrzymiego salonu, do jednego z bufetów, na których rozstawiono półmiski z zimnymi przekąskami. Agent z błogą miną wgryzł się wreszcie w coś treściwego, czyli w pieczone udko kurczęcia. Potem panowie tręcili się kieliszkami i z inicjatywy Jezierskiego postanowili zacząć mówić sobie po imieniu. Zaraz potem w drzwiach pojawił się lokaj i oznajmił, że podano do stołu.

– Wiesz, Jakubie, że podobno dowiedziono, iż zbrodnia zbliża do siebie ludzi? – zagaił agent w drodze do jadalni. – Ludzie, którzy ją wspólnie popełnili, są jakoś związani. Podobnie jest z tymi, co wspólnie próbują

wykryć sprawcę zbrodni, ale jest to, moim zdaniem, związek dużo zdrowszy, niż w przypadku samych zbrodniarzy. Mam wrażenie, że to się chyba jakoś wiąże z niebezpieczeństwem, ale nie jestem pewien.

– Niewątpliwie – zgodził się z nim doktor. – Wspólne przeżycia o silnym zabarwieniu emocjonalnym zawsze zbliżały ludzi. Znane są dozgonne przyjaźnie na przykład żołnierzy, którzy razem walczyli na wojnie.

– Święta prawda – wtrącił się nagle jakiś nieduży, wiekowy mężczyzna w staromodnym fraku, pamiętającym zapewne czasy Napoleona. – Sam służyłem niegdyś w wojsku i wiem coś o tym – tu starzec pokiwał głową tak energicznie, że aż zatrzęsły mu się siwe bokobrody. – Tak, panie, teraz nie ma już takich przyjaciół ani takich wrogów...

– Czy to prawda, że po mieście grasuje jakiś szalony morderca? – młoda kobieta o wyzywającej urodzie i takiejże kreacji bezceremonialnie przerwała staruszkowi, wpatrując się badawczo w agenta.

Jeziński nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć na tak bezpośrednie pytanie. Wolał za wszelką cenę zachować sprawę w tajemnicy, choć zdawał sobie sprawę, że na dłuższą metę jest to niemożliwe.

– To nie jest temat do rozmów przy kolacji, moja droga – zganiła ją inna kobieta w eleganckiej czarnej sukni, idąca nieco z boku. Miała stanowczy wyraz ust i podbródka. Nie była już młoda, ale emanowała z niej silna osobowość, która przejawiała się w postawie i każdym geście, powodując, że kobieta bez trudu zyskiwała posłuch.

– Pani Seidemanowa ma rację – poparł ją Jakub Zaif i zręcznie przeprowadził agenta pomiędzy gośćmi do stou. – To matka Władysława Seidemana<sup>66</sup>, słynnego śpiewaka operowego – szepnął mu na stronie, widząc zainteresowanie na twarzy Jezińskiego. – Silny charakter. Wiele osób wręcz się jej boi.

Jeziński skinął głową, bo całkowicie się z nimi zgadzał. Z ulgą spoczął wreszcie na przeznaczonym mu miejscu, pomiędzy Jakubem a ową przystojną niewiastą, której nazwiska kompletnie nie pamiętał. Wcześniej zwrócił tylko uwagę, że była sama, podczas gdy większość kobiet przyszła z mężami lub córkami na wydaniu. Jego towarzyszka zdawała się jednak nie podzielać powszechnego zainteresowania agentem, co dało mu chwilę



wytchnienia i wzbudziło sympatię do anonimowej sąsiadki.

Kolacja była prawdziwie królewska, zarówno pod względem jakości, jak i różnorodności potraw, a Jezierski miał przy tym okazję zapoznać się z tajnikami kuchni żydowskiej, której odrębność była powszechnie znana, lecz mało kto znał jej szczegóły. Agent wiedział na ten temat może odrobinę więcej, gdyż doktor postanowił na wszelki wypadek go uprzedzić. Cała jego wiedza sprowadzała się jednak tylko do tego, że w kuchni żydowskiej ważne jest ściśle przestrzeganie koszerności, to znaczy religijnego podziału pokarmów na kosherne, czyli czyste, a więc dozwolone, i zakazane, trefne, co znaczy nieczyste. Z jadłospisu wykluczono mięso niektórych zwierząt, w tym świń i zające, krew, a więc o kaszance czy czerninie nie było co marzyć, łączenie mięsa z mlekiem, ryby niemające łusek i płetw i owady, z czym akurat Jezierski w pełni się zgadzał. Wiedział też, że smakosze szczególnie cenią tradycyjne potrawy podawane w święta religijne, mające tak dziwne nazwy, że za nic nie mógł sobie ich w tej chwili przypomnieć<sup>67</sup>.

Nie dane mu było jednak długo pozostać poza centrum ogólnej uwagi, ponieważ gospodarz postanowił wyjaśnić mu z grubsza, co znajduje się na stole.

– Ma pan przed sobą mieszankę potraw z klasycznej kuchni żydowskiej, francuskiej oraz – na pana cześć – rosyjskiej. Te dwie ostatnie pomnę, bo na rosyjskiej z pewnością zna się pan lepiej niż ja, a francuską znają wszyscy. Pora zatem, by poznał pan kuchnię żydowską. Oto maca, tradycyjny praśny chleb, oraz bajgle – wskazał na apetycznie wyglądające pieczywo w kształcie płaskich placków oraz okrągłych jakby pączków z dziurką w środku. Gojom<sup>68</sup> zazwyczaj bardziej smakują bajgle posypane z wierzchu ziarnami maku i sezamu. Może pan je jeść z twarogiem i wędzonym łososiem albo z pastą z innych ryb. Na stole jest taka pasta ze śledzia i szprotek. Gdyby pan chciał kupić bajgla na ulicy, to powinien pan wiedzieć, że musi być miękki, ciepły i gąbczasty w środku, na zewnątrz zaś lekko chrupiący i absolutnie nie może być opiekany!

– Tu z kolei – kontynuował, wskazując płaski półmisek pełen zielonych kulek – mamy gefilte fysz, czyli pulpeciki z siekanej ryby. Robi się je



z białego mięsa słodkowodnych ryb, takich jak karp czy szczupak. Ich mięso rozdrabnia się na małe kawałeczki i miesza z siekaną cebulą, marchewką, selerem naciowym, pietruszką, jajkami i macą. Następnie przez chwilę gotuje się w rosole. Można je podawać na ciepło lub zimno, tak jak dziś, z ćwikłą, przybraną plasterkami marchewki.

– A to, co to jest? – zapytał agent, wskazując na dwa półmiski z interesującą, barwną zawartością.

Bankier roześmiał się, a za nim reszta gości.

– Przeszedł pan od razu do deseru! To żydowski jabłecznik, choć przepisu nie znajdzie pan w żadnej żydowskiej książce kucharskiej. To lekkie, prawie gąbczaste ciasto z kawałkami jabłka w środku. Nie zawiera żadnych produktów mlecznych, które zastępuje się sokiem jabłkowym, co sprawia, że ciasto jest bardzo słodkie. Zanim jednak przejdzie pan do deseru, proszę może skosztować czulentu. To bardzo wolno gotowany gulasz z fasolą, wołowiną, jęczmieniem i ziemniakami. Tradycyjne danie na szabatowy obiad, ponieważ może być przygotowane wcześniej i pozostawione do dogotowania przez cały szabat. A jeśli lubi pan słodczy, to proponuję cymes. To też gulasz, tyle że na słodko. Niech pan spojrzy, jaki ma piękny pomarańczowy kolor! W jego skład bowiem zazwyczaj wchodzi marchewka, słodkie pomidory i suszone śliwki. Oczywiście, jest wiele odmian cymesu. Na święto Paschy podają zazwyczaj cymes z marchewki i kawałków ananasa gotowanych w soku ananasowym. Dzisiaj akurat mamy cymes ze słodkich pomidorów, białych ziemniaków, marchewki i duszonej wołowiny.

Na stole są też bliny, zapożyczone z pańskiej kuchni. Nasze trochę różnią się od waszych, bo to cienkie, płaskie naleśniki smażone w oleju i wypełnione nadzieniem. Tutaj mamy bliny faszzerowane słodzonym serkiem ziarnistym oraz purée ziemniaczanym z cebulą, na tym drugim półmisku są natomiast bliny deserowe – nadziewane jabłkami, wiśniami i jagodami. Jada się je zazwyczaj z kwaśną śmietanką i sosem jabłkowym.

Jeziński poruszył się niespokojnie na krześle. Czuł się coraz bardziej nieswojo. Znowu znalazł się pod ostrzałem spojrzeń, choć, jak zauważył, w większości życzliwych lub pobłażliwych. Był głodny, sfrustrowany dużą liczbą obcych osób, a tu jeszcze pan domu przy wszystkich daje mu

wykład. Nieoczekiwanie w sukurs pospieszył mu postawny mężczyzna w sile wieku, o wesołej twarzy z bujnym wąsem i takimiz bokobrodami, który bezceremonialnie przerwał dywagacje gospodarza o potrawach. O ile agent pamiętał, nazywał się Józef Redlich i podobnie jak pan domu był bankierem.

– Maks! Dość już gadania o jedzeniu, pozwól nam chwycić za sztucce, bo będziesz gości musiał niedługo wynosić nogami do przodu! – zawołał ze śmiechem. – Będzie z nami jak z tym osłem z bajki hrabiego Fredry! Jak to szło? A, już mam: że „oślina pośród jadła z głodu padła”!

Odpowiedziała mu salwa śmiechu i oklaski. Całe towarzystwo chwyciło za widelce i zaatakowało liczne półmiski, podawane przez służbę pośród gwaru rozmów i śmiechu gości. Jezierski odetchnął z ulgą, bo przestał być wreszcie ośrodkiem uwagi, i dyskretnie wytarł pot z czoła. Pochwycił przy tym pełen zrozumienia i współczucia uśmiech swej sąsiadki z lewej, co znów dziwnie dodało mu otuchy. „Dorzeczna niewiasta”, pomyślał, nakładając sobie trójkątne pierożki kreplach z farszem z gotowanego mięsa. „W ogóle nie rwie się do gadania, a człowiek i tak ma wrażenie, że ona wszystko rozumie. No i prezencja niczego sobie, bez dwóch zdań”...

Siedzący z jego prawej strony Jakub przerwał mu te rozmyślenia, wskazując wagę trzymaną przez lokaja i pytając, czy chce spróbować.

– A co to jest? – zapytał ostrożnie agent, wciągając przyjemną woń jakiejś mięsnej potrawy.

– Duszone gęsie pipki – oznajmił Zaif bez mrugnięcia okiem. Widząc przerażenie na twarzy przyjaciela, zlitował się i wyjaśnił:

– To żołądki gęsie lub indycze z cebulą, czosnkiem i curry. Żołądki sparza się kilkakrotnie, przelewając je wrzątkiem na sitku, podsmaża cebulę, kilka ząbków czosnku, miesza, soli, pieprzy i dodaje curry. Całość dusi się półtorej godziny, a potem wkłada do piekarnika na 20 minut. Jada się to z chałką i surówką z tartej rzepy.

– Mogę spróbować – zaryzykował agent, pozwalając sobie nałożyć słuszną porcję.

Następne dwadzieścia minut upłynęło im w milczeniu przerywanym tylko szczękami sztucców i naczyń. Byli tak głodni, że bez reszty skupili się na pochłanianiu zawartości swych talerzy, które służba zmieniała po

każdym skończonym daniu, a na które obaj panowie dorzucali sobie coraz to nowe przysmaki. Gdy zaspokoiłi głód, doktor nałożył im po trosze z różnych deserów. Teraz jedli dużo wolniej, delektując się smakiem, i agent mógł znów skupić uwagę na otoczeniu. Przyglądał się leniwie towarzystwu, które najwidoczniej dobrze się znało i lubiło. Uznał, że, jeśli pominąć zapędy pana domu do pokazywania i tłumaczenia, w tym gronie chyba przyjemnie spędza się czas. Ciekawy był też, na czym polega gra w wista, pod warunkiem wszakże, że nikt nie będzie go zmuszał, by sam siadł do stolika, których kilka czekało już w palarni. Nagle z lewej strony dobiegł go niski, zmysłowy kobiecy głos:

– Czy pan grywa w wista?

Jeziński odwrócił się i spojrzał zaskoczony prosto w jasnopiwnie oczy swej sąsiadki, okolone długimi, czarnymi rzęsami. I choć siedziała przy nim dobre pół godziny, dopiero teraz poczuł się, jakby mu ktoś zadał cios prosto w serce, bo zamarło na moment, by potem zacząć bić ze zdwojoną prędkością.

– Nie, pani – odpowiedział krótko, bo tylko tyle był w stanie chwilowo z siebie wydusić.

– Ja również nie – uśmiechnęła się. – Jeśli zatem nie ma pan nic przeciwko temu, możemy razem popatrzeć na grających. Chętnie opowiem panu o naszych gościach, bo wydaje mi się, że niewiele zdołał pan spamiętać z pierwszej prezentacji.

– Będę zaszczycony – głos już łatwiej wydobywał mu się z krtani – a przy sposobności uwolnię trochę Jakuba od mojego towarzystwa, co pozwoli mu porozmawiać również z innymi gośćmi.

– Cóż to? Słyszę, że masz nowego przewodnika? – zaśmiał się młody medyk, nachylając się nieco nad stołem, by widzieć twarz sąsiadki agenta.

– Tak, nie będziesz musiał mnie niańczyć cały wieczór.

– Zostawiam cię w godnych rękach Debory Goldberg, mojej kuzynki ze strony matki – Zaif jak zwykle wiedział, jak dyskretnie pomóc przyjacielowi, przekazując podstawowe informacje o damie. – Na pewno będzie ciekawszą rozmówczynią ode mnie, bo jest bardzo wykształcona, ocytana, mądra i... niebywale spokojna. Gdyby nie była ze mną

spokrewniona, na pewno bym się z nią ożenił!

Kobieta uśmiechnęła się i pogroziła mu palcem.

– Jakubie, jestem sporo starsza od ciebie, więc uważaj. Ty też jesteś bardzo wykształcony, odcytany i mądry.

– Ale ani w połowie tak czarujący – zaśmiał się medyk. – A co do wieku, to faktycznie bardziej pasujecie do siebie z Walerym – odpowiedział przekornie doktor.

Jezierski uśmiechnął się, ale jednocześnie czuł zdziwienie, bo nigdy nie widział przyjaciela tak swobodnego i w tak dobrym humorze. No, może trochę przy Annie, lecz był w niej zakochany na zabój, więc nie mógł się całkiem rozluźnić, a przy tym spojrzenie robiło mu się takie maślane... Po plecach agenta przeszły ciarki, gdy uświadomił sobie, że i jego być może czeka podobny los. Nie chciał wyglądać i zachowywać się jak kompletny dureń, zatem zabronił sobie jak najsurowiej jakichkolwiek flirtów z tą niepokojącą kobietą.

Niepokojąca. To określenie najlepiej oddawało istotę jej czaru. Właściwie nie była piękna, a przynajmniej nie tak wyzywająco, jak na przykład córki pani Morgensternowej, żony bogatego przemysłowca. Obie siedziały po przeciwnej stronie stołu, nieco dalej, ale zauważył, że często zerkają w jego stronę. Ładne, ale pospolite, ocenił chłodno agent. Natomiast twarz Debory Goldberg przykuwała uwagę, budziła niepokój. Chciało się na nią znów spojrzeć, by odkryć coś nowego, jak wygięcie kącika ust czy złociste iskierki w lewej tęczę. W ogóle zdawała się bardziej interesująca niż inne kobiety, które przy niej wyglądały na bardziej nijakie, jakby wyblakłe.

Nawet ubiór na pierwszy rzut oka specjalnie jej nie wyróżniał, choć już drugie spojrzenie upewniało, iż wszystko jest eleganckie i najwyższej jakości. Miała na sobie popielaty kostium wełniany przybrany aksamitkami, sprowadzony z Paryża, ale był on bardzo spokojny w tonacji, absolutnie nierzucający się w oczy. Uznała, że będzie w sam raz na wizytowy wieczór. Zupełnie nie przeszkadzało jej, że niknął wśród krzykliwych barw, błyszczących kreacji i biżuterii innych pań. Jej niecodzienna uroda tylko zyskiwała na takim dyskretnym tle. Nic nie odciągało uwagi od jej twarzy.

Jeziernski chłonał urok sąsiadki i próbował się połapać w gmatwaniu niespodziewanych uczuć. Czuł się ogłuszony. Siedział tak nieruchomo, wpatrując się w swój talerz, że śmiało mógł konkurować z żoną Lota. Tymczasem reszta towarzystwa świetnie się bawiła. Poprzez gwar rozmów czasami przebijał czyjś donośniejszy głos. W tej chwili słyhać było pełen werwy głos rabina Eliasza Chajesa, który najwyraźniej z kimś zawzięcie dyskutował.

– To jeszcze nic! Wiecie, że kiedyś nad Kaliszem pojawiła się najprawdziwsza zorza polarna?

– Niemożliwe. Kalisz nie leży przy kole podbiegunowym! – zaproponował ktoś.

– Ale to prawda, widziałem ją na własne oczy – upierał się rabin.

– Kiedy to było?

– 1 lutego 1870 roku o wpół do siódmej wieczorem<sup>69</sup> – oznajmił uroczyście Chajes. – Sprawdziłem czas i notowałem. Zorza jaśniała przez jakieś dwie godziny i była wspaniała. Powtórzyła się dwa miesiące później, pomiędzy dziewiątą a dziesiątą wieczorem.

– Rabi sobie z nas dworuje? – dopytywała się jedna z Morgensterówien.

– Skądże! – obruszył się rabin. – To, że nie jesteśmy w synagodze, nie znaczy wcale, że teraz wam bajki opowiadam. Możecie spytać pana Chodyńskiego, bo jego gazeta to opisała. Będzie to pamiętał, bo dopiero co zaczęli wtedy razem z Hindemithem wydawać tego swojego „Kaliszanina”<sup>70</sup>.

– Takie niezwykle zjawisko, i to na naszej szerokości geograficznej! – wzruszyła się egzaltowana pani Izajnwaldowa.

– To po prostu anomalia pogodowa – skwitował z niewzruszonym spokojem jej mąż.

– A nie sądzicie, że takie zjawisko mogło być zwiastunem jakichś ważnych wydarzeń? – zapytał z namaszczeniem Redlich, podnosząc dłoń z widelcem i patrząc z zastanowieniem w sufit, w który wycelował również sztuciec.

– To nie kometa, by zwiastowała wojny i morowe powietrze, czy też

inne nieszczęścia – zaoponował rabin.

– Mogła zwiastować dla odmiany coś dobrego – obstawał przy swoim bankier.

– Jakoś nie wydaje mi się – rabin potarł w zamyśleniu nos. – O ile sobie przypominam, to wzmianki o tej niespotykanej feerii były umieszczone pomiędzy doniesieniami o chorobach, pożarach i najazdach obcych wojsk.

– Czyli jednak jak kometa – zaśmiała się piskliwie tłuściutka pani Morgensternowa, a córki, na szczęście jeszcze niepodobne pod względem tuszy do matki, zawtórowały jej.

– Niekoniecznie. Może było jakieś ważne wydarzenie, tylko teraz go nie pamiętacie – upierał się Redlich.

– A cóż to za ważne wydarzenie, jeśli nikt o nim nie pamięta – zakpił pan domu.

– Mogę wam pomóc – odezwał się nieoczekiwanie jego syn. – Zaraz przyniosę kronikę.

Wstał i wyszedł. Wrócił po kilku minutach, dzierżąc wielką księgę, którą po drodze kartkował.

– Rok 1870, proszę bardzo – powiedział, a całe towarzystwo zamilkło, słuchając z uwagą. – Ukazał się pierwszy numer czasopisma „Kaliszanin”... W „Kaliszaninie” Adam Asnyk wydrukował wiersz „Rodzinnemu miastu”<sup>71</sup>... Maria Konopnicka debiutowała na łamach „Kaliszanina” wierszem „W zimowy poranek”<sup>72</sup>... Fryderyk Hintz założył wytwórnię fortepianów... Na ulicach miasta pojawiły się pierwsze dorożki konne... Na kanale Bernardyńskim postawiono pierwszy w Królestwie most żelazny. To wszystko.

Jakiś czas jeszcze trwała cisza, by po chwili ustąpić miejsca nieopisanemu gwarowi. Wszyscy mówili jednocześnie, przekomarzali się i zaśmiewali.

– To na pewno chodziło o gazetę! – dowodziła ze śmiechem pani Izajnowaldowa.

– Skądże, to fortepian był ważny! – zaprzeczyła pani Rosen, rozkładając wachlarz. Była zawołaną pianistką, znaną ze znakomitej gry. – Gdyby nie

Hintz, nie byłoby dzisiaj Fibigera, bo od niego Gustaw wszystkiego się nauczył. Jego firma liczy się już nie tylko w kraju, a przecież zaledwie pięć lat temu zdobył srebrny medal na wystawie w Warszawie<sup>73</sup>.

– Ty to ciągle albo o pianinach, albo o muzyce! – skwitowała z niezadowoleniem jedna z panien Morgenstern. – To nudne!

– Dla ciebie na pewno, bo w ogóle nie umiesz grać – odcięła się pani Rosen.

– Drogie panie, nie ma się o co kłócić. I tak na pewno chodziło o most żelazny – wtrącił przekornie Redlich, z upodobaniem znów wymachując widelcem. – Jakub wyraźnie przeczytał, że to był pierwszy taki most w Królestwie!

Wszyscy świetnie się bawili. Rozochoczone towarzystwo przerzucało się anegdotami i dykteryjkami, śmiech rozlewał się miękką, rozłożystą falą. Gdy kolacja wreszcie dobiegła końca, towarzystwo rozproszyło się po domu i ogrodzie. Część zasiadła od razu do stolików karcianych, inni oglądali dom, a garstka odważnych wyszła na dwór. Wieczór był przyjemny, ale jeszcze chłodny, mimo że trwał już maj.

Jezierski przechadzał się z panią Goldberg po ogrodzie, wdychając upojne zapachy świeżo zakwitłych bzów, forsycji i narcyzów. Nie miał najmniejszego pojęcia, jak do tego doszło, że oto sami spacerują w ciemnościach łagodzonych tylko przez światła padające z okien domu. Ona wsparta na jego ramieniu, a on podekscytowany jak sztubak, wyęzający wzrok, by w porę dojrzeć każdą przeszkodę, o którą jego dama mogłaby, nie daj Boże, zawadzić pantofelkiem... Pomyślał, że to doprawdy... dziwne!

Dłuższą chwilę spacerowali w milczeniu, co już było zaskakujące. Ta fascynująca istota w ogóle nie usiłowała przerwać ciszy, nie pytała go o nic! A on? On miał ochotę wypytać ją o wszystko, o całe jej dotychczasowe życie, które spędziła bez niego... Miał wrażenie, że dopiero teraz zaczyna żyć, a wszystko, co było przedtem, straciło znaczenie. Jestem szalony! – pomyślał z przestrawieniem, na pewno coś mi zaszkodziło, za szybko jadłem...

– Cóż pan taki niespokojny? – zapytała Debora, widząc, że z agentem wyraźnie coś się dzieje.

– Przepraszam, to nic – bąknął zmieszany i z wysiłkiem usiłował sobie przypomnieć, jaki temat mógłby bezpiecznie poruszyć, tyle że w głowie czuł niemal całkowitą pustkę.

– Pewnie pan zmarzył – zaniepokoiła się. – To moja wina, niepotrzebnie pana namówiłam na spacer po ogrodzie...

– Nie zamierzam nigdzie wracać, mnie tu dobrze! – wypalił, bojąc się, że będzie chciała wrócić do pełnego ludzi salonu. – Chyba, że to pani zimno...

– Nie, wcale – zaprzeczyła. – Prawdę mówiąc, nie lubię upałów, wolę takie rześkie powietrze. W salonie było mi za duszno.

– To chodźmy dalej – zaproponował agent. – Ten ogród wygląda jak zaczarowany, może dlatego, że go nigdy przedtem nie widziałem, więc nie wiem, czego się spodziewać za następnym zakrętem lub krzewem.

– No i jest ciemno, więc w ogóle niewiele widać – żartowała.

– I nie boi się pani przebywać ze mną w tych ciemnościach sam na sam?

– Z kim kobieta może czuć się bezpieczniejsza, jeśli nie z szefem policji, postrachem światka przestępczego guberni kaliskiej!

– Nie poskąpię zdrowia ni życia, by pani była bezpieczna, ale myślę, że nie docenia pani przestępców. Szczególnie jeden zatruwa życie mnie i doktorowi, wyjątkowo paskudny typ! I tak niebezpieczny, że wołałaby pani spotkać stado wilków na swej drodze niż jego! Mam nadzieję, że nie ma pani żadnych związków z masonami? – zaniepokoił się nagle. Debora delikatnie uwolniła ręce, nie odwróciła jednak spojrzenia.

– A jeśli mam, to i cóż z tego? – zapytała odrobinę zaczepnie.

– Proszę nie żartować, to naprawdę sprawa życia i śmierci! – wykrzyknął wzburzony. – Nikt tego nie wie poza kilkoma wtajemniczonymi osobami, ale po Kaliszu grasuje bezlitosny morderca, który posuwa się do wszelkich możliwych aktów przemocy, by tylko zdobyć coś, po co tu przyjechał. Nie wiemy, co to jest ani gdzie, jednak wszystko wskazuje na to, że łączy się jakoś z masonami. Giną osoby, które miały przedmioty należące do wolnomularzy lub wiedziały coś o nich. Niektóre były nawet okrutnie torturowane. To nie są żarty! Proszę powiedzieć mi prawdę! – znów chwycił jej ręce.



Zaskoczona gwałtownością agenta Debora wydała cichy okrzyk. Usiłowała wyrwać dłonie, ale Jezierski trzymał je mocno. Nagle poczuł, że wszystko mu jedno, nie będzie się przejmował opinią publiczną i dobrym wychowaniem w momencie, gdy kobieta, na którą być może czekał całe życie, może znaleźć się w niebezpieczeństwie! Ucałował jej dłonie i powiedział:

– Wiem, że to zabrzmie nieprawdopodobnie, ale wzbudziła pani we mnie uczucia, których nigdy się nie spodziewałem. Jeśli pani pozwoli, chciałbym starać się o rękę pani. Wiem, że w tej chwili nic pani do mnie nie czuje, ale proszę pozwolić mi czasem widywać panią. Nic na to nie poradzę, ale mam wrażenie, jakbym znał panią od zawsze i czekał na to całe życie. Tyle lat szukałem takiej kobiety jak pani! Wiedziałem, że gdy ją spotkam, natychmiast rozpoznam! I oto poznałem panią.

Zapadło krótkie milczenie, słychać było jedynie trele słowików ukrytych w krzewach. Tę romantyczną scenę przerwało dyskretne chrząknięcie, które dobiegło z boku. Zaskoczony agent odwrócił się, co Debora natychmiast wykorzystała, znikając lekka i cicha, jak jakiś nocny motyl.

Jezierski z wściekłością ruszył w stronę intruza, ale gdy zobaczył, że to Jakub, opanował się.

– Nie chciałem przeszkadzać – jał usprawiedliwiać się medyk – ale nie mogłem już dłużej czekać. Przyjechał Jasiak Poraj z jakimiś pilnymi wiadomościami, więc sam rozumiesz... Mam nadzieję, że mi wybaczysz?

– Jasne, ale gdyby to był ktoś inny, to bym mu chyba skręcił kark! – warknął agent, przecierając czoło. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale zamierzam ożenić się z twoją kuzynką natychmiast, gdy tylko to będzie możliwe!

– Rozumiem więc, że nie ma potrzeby pytać, czy ty z Deborą na poważnie... – zaczął Zaif. – Nie jesteś ciekaw, na przykład, czy ona nie ma czasem męża? – dorzucił niewinnie.

Jezierski zamarł na moment.

– Mów natychmiast! – wykrztusił ze ściśniętego gardła. – Ma męża?

– Jest wdową.

Agent odetchnął z ulgą.

– Ile ona ma właściwie lat? Nie wygląda na moją rówieśnicę.  
– Debora ma trzydzieści cztery lata. Owdowiała przed trzema.  
– Taka młoda! Ja mam już czterdzieści pięć! Nigdy czegoś takiego nie przeżyłem. Jakby piorun we mnie strzelił!

– Nawet trafnie odgadłeś nazwę, bo to tak zwany piorun sycylijski.

– Ki diabeł?

– Cóż, miłość erotyczna wywodzi się z seksualnej natury człowieka. Ten „piorun” to po prostu zasługa całej tzw. chemii miłości, której tajemnic nauka jeszcze nie poznała. Sprawia, że do tej właśnie, a nie innej osoby poczułeś tak mocny pociąg, choć sam nie wiesz dlaczego. Muszę cię jednak przestrzec, że taka gwałtowna namiętność okropnie dezorganizuje życie! Wszystko odsuwa się na plan dalszy, a ty żyjesz jak w transie. Tryskasz optymizmem, rzeczywistość postrzegasz różowo, ale tak naprawdę świat niewiele cię obchodzi. Liczysz się tylko ty i ona. Namiętność jest też bardzo wyczerpująca, bo mobilizuje cały organizm, który fizycznie i psychicznie gna wtedy jak koń w cwale. Ale to rzadki przypadek. Widzisz kogoś pierwszy raz i czujesz, że bardzo go pragniesz. Nie wiesz, czy ta osoba jest interesująca, dowcipna, jakie ma poglądy. Nawet typ urody może nie mieć znaczenia.

– Bardzo dokładnie to ująłeś. Pewnie nabrałeś wprawy po własnym piorunie sycylijskim, który, o ile mnie wzrok nie mylił, trafił cię niedawno w pałacu gubernatora...

Zaif spłonął rumieńcem.

– Dobrze, już dobrze – zaśmiał się agent. – Powiedz lepiej, czy to szaleństwo mija?

Lekarz rzucił mu szybkie spojrzenie, jakby chciał go ocenić, potem odwrócił wzrok i wolnym krokiem ruszył w stronę domu.

– Jeśli nie wyjdzie się poza etap erotycznej fascynacji, to tak – odparł. – Ale jeżeli dojdzie do tego uczucie, to szaleństwo mija dopiero wraz ze śmiercią. Twoją. Bo śmierć tej drugiej osoby nic nie zmieni, poza tym, że będziesz za nią szaleńczo tęsknił.

– Czyli, że ona też coś do mnie czuje? – ucieszył się agent, a nadzieja w jego głosie rozbroiła medyka.

– Najprawdopodobniej tak, choć bywają przypadki, że tylko jedna

strona czuje taki nieopanowany pociąg, a ta druga wprost przeciwnie. I to z siłą odwrotnie proporcjonalną do siły uczucia tej pierwszej. Miejmy nadzieję, że w twoim przypadku nie to było przyczyną ucieczki Debory – zakończył bezlitośnie doktor.

– Jesteś bezdusznym cynikiem! Ja tu serce przed tobą otwieram, a ty...

– Oj, żartowałem. Ale nie mam pojęcia, co czuje Debora, więc nie mnie o to pytaj, lecz ją.

– Chciałem! Ale akurat wtedy ty musiałeś nadejść, więc nadal nic nie wiem!

– Pójdiesz do niej jutro, to się dowiesz.

– Nawet nie wiem, gdzie ona mieszka.

– To nie powinno być przeszkodą dla agenta do specjalnych poruczeń.

– Niewątpliwie nie będzie przeszkodą zaraz cię udusić!

I tak przekomarzając się wesoło, wrócili do salonu. Agent natychmiast powiódł wzrokiem po zgromadzonych, szukając jedynych w swoim rodzaju oczu, ale nigdzie nie dostrzegł kuzynki Zaifa. Zmarkotniał, ale nie miał czasu rozczulać się nad sobą, bo medyk zaprowadził go do bocznego saloniku, gdzie czekał Poraj, pochłaniający właśnie kopiastą porcję blinów z takim zapamiętaniem, jakby zaraz miał nastąpić koniec świata. Na widok przełożonego odsunął talerz, poderwał się i wyprężył salutując.

– Mów szybko i oby to było coś ważnego – rzucił groźnie agent.

– Na granicy zatrzymano dwóch cudzoziemców, którzy jak ułał pasowali do portretu wykonanego przez córkę pana Szczepankiewicza – powiedział nieco niewyraźnie Jasiak, usiłując przełknąć resztę blina. – Właśnie ich przywieźli do cyrkułu i nie wiemy, czy ich zamknąć, czy też ekscelencja raczy ich przesłuchać?

– Noc pod kluczem trochę by ich zmiękczyła – westchnął Jezierski na myśl o tym, co tracił wychodząc z tego przyjęcia. Wszak może jeszcze zobaczyłby Debore! – Ale nie będziemy ryzykować, bo a nuż są to zupełnie uczciwi i praworządni ludzie. Nie potrzeba nam skarg na działania kaliskiej policji. Uwiń się z tymi blinami, bo tylko włożę płaszcz i jedziemy!

## Rozdział 13

Kilka godzin po tym, jak musiał przedwcześnie wyjść z „wieczorku czwartkowego” od ojca doktora Zaifa, Jezierski dziękował niebiosom, że nie kazał podwładnym zamknąć zatrzymanych cudzoziemców w areszcie, tylko od razu nimi się zajął. Dobry duch, czy też wspomnienie poznanej kobiety natchnęły go w miarę dobrym humorem i wyrozumiałością. To spowodowało, że rozmowa z zatrzymanymi miała charakter pogawędki, a nie przesłuchania. Wolał nie myśleć, co by się działo, gdyby ich wsadził za kratki!

Po wstępnej wymianie zdań okazało się bowiem, że Karl Schneider, baron, i Ludwig Wagner, przemysłowiec, to nieskazitelni poddani cesarza Fryderyka III<sup>74</sup>, niemający żadnych zatargów z prawem. Jeśli nawet było inaczej, to agent, póki co, nie miał na to żadnych dowodów. Umowa zawarta z księgarzem była w pełni legalna, żaden z panów nie miał zastrzeżeń do pracy Szczepankiewicza, więc o groźbach nie mogło być mowy. A skoro żaden list z pogrózkami nie dotarł do rąk Jezierskiego, ten nie miał im czego zarzucić, wszak córka księgarza mogła kłamać.

Jakby tego było mało, na drugi dzień niespodziewanie znalazł się sam zaginiony, o którego porwaniu zaczęło już być głośno w mieście. Musiał pilnie zasięgnąć pomocy lekarskiej, a doktor Wilczewski, do którego się zwrócił, tak był uradowany jego widokiem, że nie omieszkiał powiadomić rodziny księgarza. Na szczęście jego córka wykazała dużo przytomności umysłu i natychmiast dała o tym znać agentowi.

Szybko okazało się, że pan Bronisław sam się „porwał”, tak jak podejrzewał ojciec Andrzej z zakonu Franciszkanów. Ukrywał się w szopie stojącej na niezabudowanej parceli pod miastem, należącej do jego znajomych. Było już na tyle ciepło, że mógł tam nocować bez obawy, że zmarznie, poza tym w szopie znajomi trzymali mnóstwo starych mebli przeznaczonych do porąbania, które teraz bardzo przydały się uciekinierowi.

Niestety, okazało się, że szopa ma także innych lokatorów, a mianowicie uwielbiające stare tapczany i fotele pluskwy, nie wspominając już o stadach komarów i innych owadów, które czyhają na człowieka w takim zarośniętym i rzadko odwiedzanym zakątku. Nieszczęśliwy zbieg został przez nie tak pogryziony, że na plecach potworzyły mu się wręcz rany i pomoc lekarza okazała się niezbędna. W szpitalu biedaka zdezynfekowano, natarto różnymi maściami i zaaplikowano leki.

Gdy Jezierski w końcu mógł go przesłuchać, nie miał serca nawet go porządnie zbesztać za samoporwanie i wprowadzenie policji w błąd. Skruszony księgarz przyznał się do wszystkiego, ale listu z pogrózkami już nie miał, bo ten podczas pobytu pod miastem wpadł mu przypadkiem do ogniska i spłonął. Za to z wielką ulgą przyjął wiadomość, że teraz nie musi się już niczego obawiać, bo panowie Schneider i Wagner zostali oficjalnie poinformowani o kradzieży, jakiej dokonał w domu księgarza nieznany sprawca, podejrzany o liczne zabójstwa. Skutek był natychmiastowy. Najpierw obaj zbledli, a zaraz potem gorąco zapewnili szefa kaliskiej policji, że nie mają żadnych pretensji do kochanego „Herr Bronisława”, co nikogo szczególnie nie zdziwiło. Wystraszyli się tak bardzo, że postanowili nazajutrz wracać do Niemiec, nic nie zabierając. Nie chcieli, by padł na nich choćby cień podejrzenia, że mają jakikolwiek związek z poszukiwanym bezwzględnym mordercą. Zaproponowali, że rozliczą się z księgarzem za pośrednictwem banku i tyle ich w Kaliszu widziano.

Agent uśmiechnął się z zadowoleniem, że chociaż ta sprawa szybko i pomyślnie została rozwiązana. Podleczonego księgarz wrócił ze szpitala na łono rodziny niemal jako bohater. Obroty w jego sklepie podwoiły się, gdyż ciekawscy ciągnęli tam jak muchy do miodu. Każdy chciał pod byle pretekstem osobiście usłyszeć historię o tym, „jak dzielny pan Bronisław przechytrzył Niemca”. A żeby nie wydać się wścibskim, każdy chętny wieści musiał najpierw kupić choćby ołówek lub najtańszą papeterię.

A życie toczyło się dalej. W sprawie dotychczasowych morderstw, w tym państwa Garszyńskich, nadal niewiele było wiadomo. Ich córkami zajęła się rodzina z Warszawy, która wszelkie formalności załatwiała przez pełnomocnika, by dziewczynki trzymać z dala od miejsca zbrodni. Jednak

śledztwo utknęło w martwym punkcie i jedyne, co agent mógł robić, to co jakiś czas przeglądać zebrane informacje w nadziei, że coś go nagle olśni lub że wpadnie na jakiś pomysł, który zaprowadzi go na nowy trop.

Niestety, nawet ekshumacja Jana Lubelskiego, właściciela sklepu wielobranżowego przy cerkwi, niewiele do sprawy wniosła. Co prawda Zaif odkrył ślady arszeniku, ale po czasie, jaki upłynął od zgonu, trudno było stwierdzić z całkowitą pewnością, czy było to otrucie. Nie znaleziono też żadnych związków, które pozwalałyby połączyć nieboszczyka ze sprawą wielokrotnych morderstw. Zaif stwierdził tylko, że zmarły mógł być długo poddawany systematycznemu podtruwaniu, co tłumaczyłoby jego przewlekłe kłopoty z żołądkiem. Objawy zatrucia arszenikiem łatwo pomylić z chorobami gastrycznymi. Wszystko zależało od dawki podawanej ofierze.

W przypadku Lubelskiego Zaif znalazł ślady arszeniku we włosach i paznokciach, ale nie była to jednorazowa duża dawka. Stąd medyk bardziej był skłonny przychylić się do tezy, że jeżeli sklepikarza ktoś truł, to powoli i systematycznie. Równie dobrze jednak mógł on zażywać płyn Fowlera, który spowodował przewlekłe zatrucie. Tak naprawdę nie sposób było udowodnić, że ktoś maczał w tym palce. Jezierski postanowił więc nie rozpoczynać dochodzenia, które byłoby długie i kosztowne, a wynik niepewny. Zgon Lubelskiego pozostał zatem zgonem z przyczyn naturalnych.

Co do ofiar zbrodni niebudzących takich wątpliwości, nie było problemu z odnalezieniem krewnych radcy Garszyńskiego, jak to miało miejsce po śmierci pani Radziejowskiej, której daleka rodzina miała dopiero przyjechać do Kalisza. Prawnik miał dużo krewnych, a najbliższym był jego młodszy o trzy lata brat, który mieszkał w Kaliszu i pracował w tym samym zawodzie, tyle że jako adwokat. Można było zatem szybko wyprawić pogrzeb i uporządkować sprawy spadkowe. Adwokat oczywiście chciał przygarnąć córki brata, ale Garszyńscy z Warszawy zaprotestowali, twierdząc, że dziewczynkom będzie lepiej u nich, gdyż są bezdzietni i mogą się bez reszty nimi zająć. Poza tym nie powinny przebywać w mieście, gdzie nadal grasuje morderca ich rodziców.

Wyjaśniła się również sytuacja Adama Forstera, którego pobyt w Dobrzycy został potwierdzony, mimo że nie miał porządnego alibi. Młodzieniec bowiem, za zgodą hrabiego Czarneckiego, właściciela pałacu, nocował w Panteonie, pawilonie ogrodowym o unikalnym wnętrzu. Znajdowały się w nim dwie kręcone klatki schodowe prowadzące na swego rodzaju taras nad wejściem przeznaczony dla muzykantów uprzyjemniających picie herbaty przez hrabiostwo Czarneckich wraz z przyjaciółmi lub zaproszonymi gośćmi. Najważniejsze jednak było to, że w czasie, kiedy rezydencja należała do Augustyna Gorzeńskiego, Panteon pełnił funkcję sali zebrań loży masonskiej. Położony na uboczu w głębi ogrodu pawilon był obecnie nieużywany i pies z kulawą nogą tam nie zaglądał. Nikt też, poza Forsterem, tam nie mieszkał, zatem młodzieniec rzadko był widywany w pałacu lub miasteczku. Mógłby wyjechać, wrócić i nikt by tego nie zauważył, zwłaszcza w nocy.

Jezierskiemu nie podobało się również zainteresowanie Forstera masonerią, ale rozumiał, że dla takiego mola książkowego mogło to stanowić nie lada atrakcję. Poza tym trudno było coś mu zarzucić, choć formalnie rzecz biorąc, mógł on tamtej krwawej nocy opuścić Dobrzycę, pojechać do Kalisza, zabić Garszyńskich i potem niezauważony wrócić do swojego pawilonu. Jednak patrząc na tego bezbarwnego, nijakiego mężczyznę, trudno było w to uwierzyć. Co, oczywiście, nie powstrzymałoby agenta przed aresztowaniem go, gdyby tylko istniał jakiś cień podejrzenia. Na razie jednak nie było żadnych dowodów, że młodzieniec popełnił jakikolwiek czyn niezgodny z prawem.

Forster zachował się jak wzorowy obywatel. Dowiedziawszy się o zbrodni, której ofiarą padli Garszyńscy, natychmiast wrócił do Kalisza i zgłosił się na policję, choć nie na wiele się przydał. Potem jednak nie wyjechał do Niemiec, lecz zaoferował pomoc bratu radcy w porządkowaniu majątku zmarłego. Obecnie mieszkał w Hotelu Polskim, który opłacał mu adwokat. Prócz pomocy rodzinie Garszyńskich, miał zamiar dokończyć badania, w ciągu miesiąca lub dwóch pozamykać swoje sprawy i dopiero wtedy wrócić do domu, do Niemiec.

Wspominając ostatnie dni, agent przechadzał się po swoim gabinecie w pałacu gubernatora. Skończywszy przegląd faktów dotyczący

niewyjaśnionych zabójstw, co robił przynajmniej raz dziennie, skierował myśli w stronę zbliżającej się imprezy dobroczynnej. Prawie wcale nie widywał teraz Anny ani Marii, zajętych przygotowaniami i niezliczonymi spotkaniami z członkiniami różnych komitetów, co zresztą bardzo dobrze przysłużyło się gubernatorowi, którego szanowano między innymi za to, że dzieci wychowywał w przyjaznym dla Polaków duchu.

Zaif także na próżno wyglądał ukochanej, gdy zachodził do Walerego z wizytą towarzyską, czy też służbowo. Co prawda ostatnio liczba spraw służbowych bardzo zmalała, bo drobna przestępczość w guberni spadła wraz z nastaniem lata i zapotrzebowaniem na pracowników sezonowych. Morderca też najwyraźniej się przyczał i od dłuższego czasu nie dawał o sobie znać. Niepokoiło to obu przyjaciół, którzy obawiali się, że znalazł już to, czego szukał, i wyjechał z Kalisza. Mieli też nadzieję, że dotychczasowa bezkarność na tyle go ośmieliła, że nie spieszył się z wyjazdem, więc może uda im się w końcu dopaść zbrodniarza. Wenta dawała na to ogromną, lecz chyba i ostatnią szansę. Dobrze chociaż, że policja mogła się pochwalić stuprocentową wykrywalnością pozostałych przestępstw i wykroczeń, jakie zdarzyły się na terenie guberni, inaczej byłoby z nim krucho. Już teraz musiał chować przed jego ekscelencją ponagląjące pisma od generał-gubernatora Hurki z Warszawy, domagające się wyjaśnień i szczegółowych raportów. Na razie zbywał go sążnistymi analizami, planami oraz rozwlekłymi opisami sukcesów w zwalczaniu pozostałej przestępczości, jakie tworzył dla niego w pocie czoła Kaminski, ale wiedział, że nie może to trwać wiecznie.

Jeziński westchnął i jego myśli, jakby tylko na to czekały, poszybowały w stronę Debory Goldberg. No cóż, niezależnie od tego, co robił i nad czym akurat rozmyślał, w centrum jego uwagi ostatnio była tylko Debora. Po wielu trudach i z pomocą Jakuba udało mu się namówić ją na spotkanie, po którym nastąpiły kolejne, choć z początku był prawie pewien, że wszystko zepsuł swym nagłym wybuchem uczuć w czasie pamiętnego wieczoru w ogrodzie Zaifa seniora.

Teraz też siedział jak na szpilkach, z niecierpliwością wyczekując Zaifa, który obiecał do niego zajrzeć po pracy. Doktor, zakochany czy nie, nigdy nie zaniedbywał obowiązków ani przyjaciół. Był rzetelny i pracowity...



Jezierski zadumał się i jego myśli poszybowały w innym kierunku. Dziwne miasto ten Kalisz, pomyślał. Człowiek znalazł tu wszystko, czego próżno szukał po całym świecie. I miłość, i przyjaźń, i ciekawą pracę...

– Jak się masz, Walery! – rozległ się dziarski okrzyk od drzwi, w których stanął Jakub. – Widziałem się przed chwilą z Anną! Rozmawialiśmy na osobności może ze trzy minuty, ale i tak jestem szczęśliwy, bo mogłem na nią patrzeć przez całe pół godziny!

– I tak masz więcej szczęścia niż ja, bo Debora wczoraj wyjechała z chorą ciotką na tydzień do Buska czy innego uzdrowiska. Nie będę jej widział co najmniej dziesięć dni, jeśli doliczyć do tego podróż w obie strony!

– Ciesz się, że wróci – poradził mu medyk, który tak był podekscytowany niedawnym spotkaniem z ukochaną, że nie mógł usiedzieć w miejscu, więc krążył w podnieceniu po gabinecie.

– Cieszę się, ale wolałbym, żeby za mnie wyszła! Chcę ją widzieć codziennie, a nie raz na jakiś czas.

– To niełatwa sprawa, gdy pobrać się mają dwie osoby odmiennego wyznania, choć wdzięczny jestem losowi, że przecierasz mi szlaki...

– Nie widzę żadnego problemu. Najwyżej weźmiemy dwa śluby i kwita! Ja zresztą mógłbym nawet wiarę dla niej zmienić, ale ona powiedziała, że nigdy mi na to nie pozwoli, bo kiedyś mogłoby to stać się przyczyną rozpadu naszego małżeństwa.

– Ma rację. A ty się nic nie bój, bo jej rodzina nie ma w tej materii nic do gadania. Rodzice Debory już nie żyją, a dalsi krewni nie mogą jej nic narzucić. Szczególnie, że ma własne pieniądze i od nikogo nie zależy. A co by było, gdyby rodzina się sprzeciwiała?

– Bierzesz ślub z kobietą, a nie z jej rodziną! – agent uderzył pięścią w biurko, jakby chciał w zarodku zdusić wszelkie próby odebrania mu ukochanej.

– Niby tak, ale sam wiesz, że w praktyce wygląda to inaczej.

– Ja tam mogę się obejść bez rodziny. Jeśli ona też, to nie ma problemu.

– Łatwo ci mówić, bo twoi i jej rodzice już nie żyją. A co ja mam powiedzieć? Nie sądzisz chyba, że Anna nie chciałaby widywać się

z ojcem? Ja też bym nie chciał, żeby doszło do jakiejś nieodwracalnej rodzinnej zwady. Dlatego nie wiem, czy gubernator zgodzi się, by wyszła za Żyda. Co prawda nieortodoksyjnego, ale jednak. Wiem, że Anna jest bardzo młoda, ale moglibyśmy się zaręczyć i poczekać ze ślubem trzy, cztery lata. Ja bym czekał i bez zaręczyn, byłem miał bodaj cień nadziei, że zgodzi się zostać moją żoną... Mimo to boję się, że gubernator odmówi mi jej ręki. Już dawno bym o nią błagał, ale Anna kazała mi czekać, aż odbędzie się wenta, bo może wtedy wykryjemy zabójcę. Może w obliczu takich zasług jego ekscelencja się zgodzi...

– Masz pecha, że jest gubernatorem – przyznał Jeziński, który dokładnie znał zdanie Daragana na ten temat, ale nigdy nie zdradzał powierzonych sobie sekretów. Zaif tym bardziej go za to cenił, bo miał pewność, że i jego sekrety pozostają bezpieczne. Wiedział, że przyjaciel nie powierzy ich nawet ukochanej kobiecie. – Dla niego najważniejsze jest szczęście dzieci, ale musi się również liczyć ze swoim stanowiskiem.

– To zrozumiałe. Nawet nie miałbym do niego pretensji, chyba...

Młody medyk zwiesił smutno głowę.

– Nie martw się na zapas, przecież jeszcze nic się nie stało! Powiedz lepiej, co tam z naszą wentą. Coś musiałeś słyszeć, mimo że pewnie wgapiałeś się w Annę jak sroka w gnat!

– No cóż, zapowiada się ogromny tłum, dlatego dobrze, że impreza odbędzie się w parku, choć i tak może być ciasno. Śmietanka towarzyska zgromadzi się najpierw na tarasie, a później przy specjalnie przygotowanym stole. Reszta gości wejdzie od razu do otwartej części parku, skąd będzie oglądać rozpoczęcie, przemowy i tak dalej. Potem wszyscy i tak się wymieszają.

– To już za trzy dni! – agent westchnął po raz setny tego dnia. – A najgorsze, że nie będzie Debory!

– Dla ciebie to lepiej, przynajmniej skupisz się na pracy. Wiesz, ile będziemy mieć roboty z tymi kieliszkami i zbieraniem odcisków palców?

– Wiem i poczyniłem nawet w tej sprawie kroki – agent uśmiechnął się i wyprostował z dumą.

– Jakże? – zainteresował się Zaif, wreszcie siadając.

– Zatrudniłem uczniów Męskiego Gimnazjum Klasycznego!<sup>75</sup> –

zawołał radośnie agent. – Sam im zrobiłem kurs przygotowawczy z pobierania linii papilarnych!

– Nauczyłeś ich zbierania odcisków palców? – zdziwił się medyk.

– Sam mnie nauczyłeś, więc to nie takie trudne. Ale ćwiczyłem z nimi tylko zdejmowanie odcisków ze szkła. Poza tym najwięcej czasu poświęciliśmy sprawnemu zbieraniu i opisywaniu kieliszków, żeby poszło szybko i bez pomyłek. To łebskie chłopaki. Sami nawet wymyślili system i teraz go dopracowują, żeby im się goście nie mylili i nie dublowali. Mamy też przygotowane wszystkie niezbędne akcesoria: pocięte karteczki, ołówki, pędzelki, pudełeczka z proszkiem węglowym i grafitowym. Być może coś jeszcze, ale w tej chwili nie pamiętam. Oni tego pilnują. Tak więc będziemy mieć do dyspozycji co najmniej trzydziestu dodatkowych ludzi uwijających się na zapleczu!

– Znakomity pomysł – pochwalił Zaif.

– To nie koniec. Wymyśliłem coś jeszcze.

– Słucham.

– Przy takiej liczbie pomocników nie będziesz musiał sam zdejmować odcisków z kieliszków. Lepiej będzie, jak od razu na miejscu zajmiesz się ich porównywaniem z tymi z miejsc zbrodni. Jeśli nam się poszczęści, to szybko znajdziemy właściciela i nie trzeba będzie męczyć się z resztą gości. W końcu będzie tam tłum!

– A wzięłeś pod uwagę fakt, że mordercy może tam w ogóle nie być?

Jeziarski wzruszył ramionami.

– Pewnie, ale po co mam zamartwiać się na zapas? W końcu mordercą może się okazać jakiś zbir, typ spod ciemnej gwiazdy, który całe życie przepędził w spelunkach i mordowniach.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – zaprotestował gwałtownie doktor, zrywając się z fotela. – Już ci kiedyś tłumaczyłem, że sposób działania mordercy zawsze coś o nim mówi. Ten tutaj na pewno jest wykształcony, zna języki obce. Pamiętasz, jak ukradł niemiecki przewodnik po Kaliszu? Ukradł też książki po francusku, niemiecku, musi też dobrze znać polski. Właściwie, na zdrowy rozum, to powinien być Polak, bo jest mało prawdopodobne, żeby cudzoziemiec tak dobrze dogadał się ze stolarzem.

Widząc pytające spojrzenie przyjaciela, wyjaśnił:

– Chodzi mi o stolarza, który pracował u franciszkanów. Pamiętasz tego Nowaka, czy jakoś tak? No więc jeszcze w klasztorze mówiłem ci, że morderca to typ bezwzględny, wyrachowany i bardzo inteligentny. Żaden tam z niego zbir z ciemnej ulicy. Wszystko dokładnie planuje, świetnie się maskuje, nie zostawia świadków i śladów. Jedyne, jakie znaleźliśmy, to odciski palców, bo mało kto słyszał o liniach papilarnych, a jeszcze mniej w to wierzy.

Zaif nadal przemierzał gabinet wielkimi krokami, agent zaś wodził za nim zamysłonym wzrokiem i bębnił palcami po blacie biurka.

– Według mnie istnieje duża szansa, że tam będzie – stwierdził po chwili milczenia Zaif.

– Dobrze by było. Chyba że już wyjechał.

– Dlaczego właściwie zakładamy, że on nie jest stąd i że musi gdzieś wyjeżdżać? – zastanowił się doktor.

Agent wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Chyba dlatego, że przedtem takie zbrodnie się tu nie zdarzały.

– Morderca zaczął zabijać dopiero wtedy, gdy stwierdził, że inną drogą nie osiągnie celu – zaprotestował medyk. – A to przecież nie znaczy, że nie jest mieszkańcem miasta lub okolicy.

– Miejscowy wcześniej by zaczął szukać.

– Niekoniecznie. Mógł się dopiero całkiem niedawno dowiedzieć czegoś, co go naprowadziło na cel.

– Strasznie to zagmatwane – uznał Jeziński. – A najgorsze jest to, że wciąż nie wiemy nawet, czego on szuka!

– Otóż to.

– No nic – stwierdził agent, wstając. – Nie ma co martwić się na zapas. Chodźmy lepiej do cukierni. A po drodze wstąpimy do krawca. Pomożesz mi wybrać cylinder i rękawiczki...?

Przerwał, bo Zaif nagle złapał się za głowę i jęknął rozdzierająco.

– Co się stało? – zaniepokoił się Jeziński.

– Rękawiczki! – powiedział zdławionym głosem Zaif. – Ależ z nas osły!

– Nadal nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Nie mam prawa nazywać się człowiekiem inteligentnym! – jęczał

dalej doktor.

– Będę ci to przypominał – zgodził się z szerokim uśmiechem agent.

– Ty też nie jesteś lepszy!

– Co to, to nie! Absolutnie nie mogę się z tobą zgodzić! – zaprotestował agent. – Ale ty możesz się nazywać osłem, ilekroć zechcesz.

– Nadal nic nie rozumiesz, to znaczy, że jesteś większym osłem niż ja! – odparował doktor, uspokajając się z wolna. – Pomyśl. Wielu obecnych, zwłaszcza kobiety, będzie w rękawiczkach! I nie zostawią odcisków palców na kieliszkach!

Agent zamarł i opadł na najbliższy fotel, jakby uszło z niego całe powietrze.

– I co teraz zrobimy? – wykrztusił, załamany.

– Nie wiem. Wymyśl coś. To ty jesteś przedstawicielem władzy. Wydaj jakiś okólnik albo coś.

– Kpisz sobie?! – obruszył się agent. – Jakże ja mogę wydać rozporządzenie w sprawie zakazu noszenia rękawiczek?! I czym je, na Boga, wytłumaczę? Nawet gdybym ogłosił, że jakaś choroba może się rozprzestrzeniać, to rękawiczki lepiej wtedy zakładać niż zdejmować! – zauważył kąśliwie.

– Już wiem! – wykrzyknął medyk, zrywając się z kanapy. – Powiedz, że to z powodu bezpieczeństwa jego ekscelencji!

– Całkiem oszalałeś – podsumował agent, przyglądając się przyjacielowi z nieukrywaną troską.

Zaif nie zwrócił na to uwagi.

– Powiesz, że ktoś się odgrażał wniesieniem czegoś małego, ale niebezpiecznego, więc strażnicy muszą dokładnie widzieć dłonie wchodzących!

– Kieszeni też mam zabronić? – przytomnie zauważył agent. – Bo jak małe i niebezpieczne, to lepiej schować to coś w kieszeni. Wiesz, co się stanie? Każdy niemal mężczyzna musiałby sobie sprawić nowy strój. Zadowoleni byłiby tylko krawcy...

– No to powiedz, że ktoś doniósł o zamachowcu, który nie ma trzech palców u lewej ręki albo ma jakiś inny defekt dłoni.

– A kobiety? Im też mam zabronić założenia rękawiczek? One rzadko

kiedy są zamachowcami.

– Za kobietę można się przebrać. Wszyscy mają być bez rękawiczek i basta!

Agent westchnął, wstał i jeszcze raz westchnął.

– Ty mnie kiedyś do grobu wpędzisz. No dobrze, pomyślę nad tym. Dobrze, że zostało jeszcze kilka dni i mogę dać ogłoszenie w gazecie, a nawet kazać rozwiesić je na słupach. Inaczej nie zdołalibyśmy wszystkich o tym powiadomić. A tymczasem chodźmy do cukierni. Muszę się czymś pokrzepić i mam ochotę mówić i myśleć tylko o ślubie z Deborą!

Tym razem nic im nie przeszkodziło w spędzeniu miłej godzinki, a nawet dwóch przy kawie, lemoniadzie, ciastkach i lodach. I na pogawędce, rzecz jasna. Ale przyjaciele nie rozmawiali już o sprawie, gdyż zbyt wiele osób przysiadało się do nich w cukierni. Zaif jak zwykle więcej milczał, niż mówił. Uśmiechał się przy tym nieznacznie, widząc że Rosjanin najwyraźniej zaaklimatyzował się już w Kaliszu i został szybko zaakceptowany przez miejscową elitę. Przynajmniej przez większą jej część. A on, Żyd, razem z nim. Dziwny to był rok, doprawdy. Może z powodu trzech ósemek?

## Rozdział 14

Nadszedł wreszcie dzień dobroczynnego balu. Był piękny i słoneczny, ale teraz, gdy zbliżał się już wieczór, gorąco nie dokuczało. Po wciąż jasnym niebie leniwie dryfowały białe obłoczki, lekki zefirek szeleścił liśćmi i swawolił wśród koronek przy kobiecych sukniach i kapeluszach. Ludzie gromadzili się przed rzęsiście oświetlonym wejściem do parku, gdzie strażnicy w galowych mundurach sprawdzali zaproszenia i... ręce. Zgodnie bowiem z sensacyjnym zarządzeniem numer 1254, ogłoszonym w trosce o bezpieczeństwo uczestników imprezy wraz z listem gończym przedstawiającym trudnego do rozpoznania osobnika, wszyscy musieli przybyć bez rękawiczek, by umożliwić przedostanie się na bal zuchwałego złodzieja, niejakiego Czeska o pseudonimie „Złoty”, który podobno umiał przebrać się i za kobietę, i za arystokratę, i za żebraka. Ów mistrz złodziejski miał wielkie upodobanie do zawartości cudzych kieszeni, a już szczególnie do biżuterii. Do miasta zwabiła go wiadomość o balu, wymarzonej dlań okazji. Kradł ponoć jak wirtuoz, ofiara nigdy nie czuła, że coś znika z jej kieszeni, szyi czy dłoni... A przy tym tak był przystojny i szarmancki, że nikt by nie odgadł jego gminnego pochodzenia.

Ów Czesiek miał wszakże pewien defekt prawej dłoni, a mianowicie dwa ostatnie jej palce były dużo krótsze i trochę zrośnięte, jakby błoną, dlatego zawsze nosił rękawiczki. Ale wszyscy byli zdania, że tego wieczoru „Złoty Czesio” nie ma jednak szans wkraść się na imprezę dobroczynną wyprawioną przez gubernatora. Gubernialna policja świetnie bowiem zorganizowała akcję zapobiegawczą i cały czas czuwała w parku, aczkolwiek dyskretnie, w cywilnych strojach. I co najważniejsze, tym razem nikomu nie przeszkadzała jej obecność ani niedogodność sprawdzania rąk. Przeciwnie, wszyscy z tego powodu świetnie się bawili i głośno dowcipkowali.

Jednym słowem, humory dopisywały znakomicie, tak jak pogoda, zwłaszcza że wybornego jedzenia i dobrej muzyki nie brakowało. Widać

było, że gubernator nie poskąpił grosza, by godnie podjąć swych licznych gości. On sam, w paradnym mundurze pułkownika, ze szpadą u boku i błyszczącymi orderami prezentował się znakomicie. Wraz z córkami osobiście witał każdą osobę czy parę, której nazwisko czytał z zaproszenia głośno i z namaszczeniem strażnik. Daragan nie szczędził przy tym miłych a grzecznych słów, przeto wszyscy, zwłaszcza ci pomniejsi, czuli się naprawdę wyróżnieni.

Stojący w pobliżu jego ekscelencji Jezierski właśnie ze zdumieniem obserwował przejętych mistrzów cechu piekarzy i piwowarów, z których pierwszy ścisnął dłoń gubernatora, a drugi pochylał się nad dłońmi jego córek. Obaj mieli w oczach łzy wzruszenia. Nie sądził, że tak niewiele potrzeba, by ci mniej zamożni, co nie znaczy, że biedni, o nie! ludzie nienależący do wyższych warstw społecznych i niewywodzący się ze starych kaliskich rodów, poczuli się docenieni. Wystarczyło specjalnie ich zaprosić na dobroczynną wentę, by uznali to za zaszczyt i sugestię, że uważa się ich za ludzi godnych, mogących wspomóc innych.

Jezierski kręcił głową w niemym podziwieniu nad zapoznanymi talentami swojego szefa, zapominając, że ów robił to nie z wyrachowania, lecz taką miał naturę. Że to wrodzone dobro i poczucie sprawiedliwości kierowały poczynaniami gubernatora. W prostocie ducha agent czasami żałował, że Michał Piotrowicz Daragan nie korzysta z tych talentów, by zdobyć świetniejszą pozycję u boku najwyższych rosyjskich dostojników, a choćby i samego cara, że wystarcza mu ta skromna gubernia i uroczy, acz nieduży i trącający prowincją Kalisz. Nie zastanawiał się nad tym, czy Daragan byłby gdzie indziej równie szczęśliwy jak w tej chwili i czy w ogóle zależało mu na splendorach petersburskiego życia. Po prostu nie zdawał sobie sprawy, jak zresztą nikt inny, że taka sytuacja była wówczas pod każdym względem – społecznym, obyczajowym, politycznym – zupełnie wyjątkowa. Kalisz miał szczęście, że dostał takiego gubernatora, a gubernator miał szczęście, że dali mu Kalisz. I że szczęście, jak to szczęście, zawsze trwa zbyt krótko.

Nadchodziły kolejne osoby i myśli agenta do specjalnych poruczeń szybko zwróciły się w innym kierunku. Zerknął w stronę stojącego nieopodal Zaifa, który był wolny do czasu, gdy kelnerzy nie zaczną



roznosić szampana. Ślepy i głuchy na inne kobiety, doktor pochłaniał wzrokiem swą ukochaną, chcąc do ostatniej chwili na nią patrzeć.

Anna wyglądała rzeczywiście prześlicznie w podkreślającej kolor jej oczu bladobłękitnej sukni, której dół był obszyty lekką koronką i zwiewną gazą haftowaną w małe, barwne kolibry. Na szyi córki gubernatora pyszniła się kolia z brylantów zrobiona tak zmyślnie, że prawie w ogóle nie było widać ich złotej oprawy. Do tego stanowiące z nią komplet kolczyki i pojedyncze kamienie wplecione we włosy, ujarzmione w tym dniu kunsztowną fryzurą. Wszystko strojne i eleganckie, lecz nie przeładowane ozdobami.

Strumień gości wciąż napływał, choć w oddali zaczęło się nieco przerzedzać. Agent pomyślał z ulgą, że chyba zaraz będzie można rozpocząć. Rzucił Zaifowi porozumiewawcze spojrzenie i powoli, by nie zwracać na siebie uwagi, zaczął się przesuwac w jego kierunku.

– Wszystko gotowe? – zapytał niespokojnie doktor, gdy tylko przyjaciel stanął obok.

– Oczywiście – opanowany głos agenta nie pozostawiał wątpliwości, że był dobrze przygotowany na każdą okoliczność.

– Trochę się martwię, bo przyszło tyle nieznanymi mi osób!

– A co dopiero ja mam powiedzieć! – uśmiechnął się Jezierski. – Ale są też i znane postacie. Prezydent miasta z żoną, wszyscy rajcowie, doktor Wilczewski, asesor Majewski, rodzina Szczepankiewiczów w komplecie... O, tam jest brat nieboszczyka Garszyńskiego – Jezierski dyskretnie wskazał na stojącą nieopodal w kręgu grupę osób. – Przyprowadził chyba całą rodzinę, bo widziałem z nim nawet tego wyblakłego Forstera.

– No, dziś nie jest taki wyblakły – zauważył doktor, rzuciwszy okiem we wskazanym kierunku. – Wystroił się jak dandys!

– Może uderza w konkury do którejś z córek Garszyńskiego, skoro los sprzątnął mu sprzed nosa łakome kąski poprzedniego gospodarza. Drugi z braci Garszyńskich nie jest już tylko biedniejszym bratem, ma teraz w garści cały majątek nieboszczyka! Jego córki są niepełnoletnie i zanim coś będzie musiał im wypłacić, dużo wody w Prośnie upłynie, a kto wie, co może się do tego czasu wydarzyć.

– Nie bądź złośliwy, Walery – mitygował go medyk. – Śmierć brata

i jego żony na pewno nim wstrząsnęła!

– Jeśli tak, to dobrze to ukrywa – Jezierski był bezlitosny. – Zobacz tylko, jak się puszy i spogląda z góry na biednego Szczepankiewicza. Co teraz znaczy dla niego byle sklepikarz? Chyba podejść do nieboraka i powitam go z wszelkimi rewerencjami, a tej prawniczej gnidzie skinę tylko chłodno głową. Patrz i podziwiał, bo spotkamy się dopiero na tarasie. Muszę jeszcze sprawdzić moich gimnazjalistów...

I agent, któremu znudziło się już długie stanie w miejscu i obserwowanie bliźnich, natychmiast wprowadził w czyn swoje słowa. Zaif chciał go zatrzymać, ale nie zdążył, więc teraz z zażenowaniem przyglądał się jak nieprzejednany radca stanu składa głęboki ukłon księgarzowi otoczonemu wianuszkami rodziny i wdaje się z nim w grzeczną pogawędkę. Do rozanielonego takim wyróżnieniem kupca natychmiast dołączyło kilka osób, także spragnionych pochwalenia się konfidencją z szefem policji. I z nimi agent przywitał się równie grzecznie. Potem ruszył spacerkiem w stronę tarasu, zatrzymując się na chwilę przy różnych grupach. Tylko osobom niemal mu nieznanym posyłał z dala ukłon i taki właśnie przypadł w darze napuszonemu Garszyńskiemu, który musiał się zadowolić jedynie krótkim skinieniem głowy drugiej po gubernatorze persony.

Zaifowi w końcu żal się zrobiło prawnika, a zwłaszcza jego rodziny. Może i „młody Garszyński” był snobem, może i niezbyt grzecznie traktował bliźnich, ale przeżył niedawno wielką tragedię rodzinną i należało okazać mu nieco miłosierdzia.

Doktor ruszył w ślad za agentem, zatem kierując się w stronę tarasu. Odkłaniał się przy tym znajomym twarzom, wśród których zauważył uczynnego kamerdynera państwa Radziejowskich. Przystanął też na dłuższą chwilę przy rodzinach doktora Rymarkiewicza i aptekarza Prusinowskiego, które tworzyły jedną grupę wraz z kilkoma mniej znanymi w Kaliszu, nieżonatymi jeszcze lekarzami. W końcu dotarł do rodziny Garszyńskich, gdzie postanowił chwilę zabawić, by osłodzić im nieco gorycz chłodnego ukłonu agenta do specjalnych poruczeń.

Doktor uprzejmie zapytał panie o zdrowie i chwalił ich toalety, z panami zamienił parę słów o interesach i polityce. Nawet milkliwego jak

zwykle Forstera zagadnął o pogodę i jego pobyt w Dobrzycy.

– Znalazł pan tam coś ciekawego do swoich studiów? – grzecznie dopytywał się Zaif, a i reszta rodziny Garszyńskich objawiła niejakię zainteresowanie.

– Och, księgozbiór jest znaczny i sporo jest w nim śladów masonskich, jednak przyznam, że spodziewałem się znaleźć więcej.

– Czyli, że skarbu żadnego pan nie odkrył? – zaśmiał się jowialnie adwokat.

Młody człowiek z zakłopotaniem stwierdził, że nie, ale też i nie spodziewał się go znaleźć.

– Mój brat też kiedyś dokładnie przejrzał pałac i park, ale nic ciekawego nie znalazł. A on miał oko do wszystkiego, co masonskie, oj miał – skwitował prawnik.

Nastała chwila ciszy, bo nikt nie wiedział, co dalej powiedzieć. Zaif, nieco już znudzony tą konwersacją, zaczął szukać pretekstu, by opuścić towarzystwo, gdy akurat Forster niechcący upuścił binokle. Schylił się, by je podnieść, ale Zaif okazał się szybszy i go wyręczył. Zauważył przy tym, że mają one przymocowane druciane zauszki. Poprosił więc Forstera, by zdradził mu szczegóły tego przyrządu optycznego i pozwolił mu się przyjrzeć.

– To właściwie okulary – wyjaśnił młodzieniec nieśmiało. Widocznie mówienie o czymś dobrze znanym pomagało mu się rozluźnić, bo jego polszczyzna stała się teraz niemal idealna i zupełnie pozbawiona obcego akcentu. – Są dużo wygodniejsze od binokli, w których zacisk często się rozluźnia i spadają z nosa.

– Pan jest krótko- czy dalekowidzem? – zapytał odruchowo medyk, wręczając młodzieńcowi upuszczony przedmiot.

– Jako mól książkowy cierpię na krótkowzroczność, ale to nie jest na razie duża wada – odparł nieśmiało Forster.

– Pozwoli pan, że na moment przymierzę pańskie okulary? – poprosił młody medyk. – Chciałbym je polecić ojcu, który potrzebuje szkieł do czytania, a binokle co i rusz oddaje do naprawy.

– Ależ proszę bardzo! – odparł młodzieniec z nieśmiałym uśmiechem, dodając zaraz z zakłopotaniem. – Jak pan zapewne spostrzegł, zauszki

nie są z czystego złota, lecz z domieszką innego metalu. Dzięki temu są sztywne, ale i elastyczne zarazem, więc łatwo dadzą się dopasować do każdej głowy.

Zaif nie zwrócił na to dotąd uwagi, ale po uwadze Forstera rzeczywiście zauważył różnicę między oprawą a zausznikami. Zupełnie mu nie przeszkadzało, że nie były z czystego złota, jeśli dzięki temu stawały się wygodniejsze w użyciu. Młodzieniec widać obawiał się, by nie wzięto go za nie dość bogatego, szczególnie jeśli faktycznie starał się o rękę którejś z córek adwokata.

To jednak medyka w ogóle nie obchodziło, nie odpowiedział więc, tylko skinął głową i ostrożnie założył okulary. Towarzyszyły mu śmiechy i żartobliwe słowa aprobaty reszty towarzystwa. Jedna z córek adwokata wyjęła nawet z torebki balowej małe lusterko i podała je doktorowi, by mógł się przejrzeć. Jak można się było spodziewać, niewiele dojrzał, ale to też mu nie przeszkadzało.

– Wspaniale! A jakie wygodne! Gdzie można kupić takie cacko? – zapytał, zwracając okulary właścicielowi.

– W Niemczech są dość powszechne i nietrudno je kupić. W Polsce, niestety, nie wiem. Może w Warszawie lub Gdańsku.

– W takim razie napiszę do przyjaciela w Niemczech, żeby mi znalazł dobry zakład optyczny, w którym mój ojciec będzie mógł sobie sprawić takie okulary. Krótka podróż dobrze mu zrobi, bo dawno się już nie ruszał z domu. Przez całą zimę nic tylko praca albo gra w wista...

I tu rozmowa gładko potoczyła się w stronę podróży, wyjazdów na wilegiaturę i innych wojaży. Niebawem dołączyli do ich grona inni znajomi adwokata i jego żony, a po nich kolejni. Zaif, stwierdziwszy, że towarzystwo jest już samowystarczalne, dyskretnie się oddalił.

Szedł lekkim krokiem, uśmiechnięty i zadowolony. Dobry humor towarzyszył mu od rana, cieszyło go też, że porozmawiał z Garszyńskimi. Ni stąd, ni zowąd poczuł, że coś mu umknęło. Nic konkretnego, zupełnie jakby jego podświadomość niedawno coś zauważyła i teraz próbowała przebić się z tą informacją do umysłu. Nie mógł sobie skojarzyć, co by to mogło być, ale niepokój, choć słaby, uparcie go nurtował. Próbował zanalizować jego źródło, ale nie było po temu warunków w panującym

wokół rozgardiaszu, zatem potrząsnął tylko głową, by odgonić niemile wrażenie, że oto uciekło mu sprzed nosa coś istotnego.

Tymczasem wszyscy zaproszeni już przybyli i można było rozpocząć imprezę. Zabawę poprzedzi część oficjalna, czyli kilka na szczęście krótkich przemów, wręczenie odznaczeń paru osobom zasłużonym dla Kalisza i społeczności gubernialnej oraz podziękowania jego ekscelencji Michała Piotrowicza Daragana skierowane do gości. Gubernator wyraził swe wzruszenie i zadowolenie, że tyle osób okazało chęć pomocy sierotom i dzieciom z najuboższych rodzin, czego dowodem było tak liczne stawienie się gości. Każdy z zaproszonych musiał bowiem wykupić przy wejściu bilet dla siebie i osób towarzyszących. Zebrane w ten sposób pieniądze miano przeznaczyć na letni wypoczynek ubogich dzieci w miejscowościach uzdrowiskowych. Gubernator powiedział na koniec, że w razie konieczności dołoży z własnej kieszeni brakujące pieniądze, tak by każde dziecko mogło wyjechać nad morze, do wód albo w góry.

Rozległy się gromkie brawa, które zamiast cichnąc, nie ustawały, gdyż po gubernatorze zaczęli występować najzamożniejsi przedstawiciele kaliskiej socjety, by także zadeklarować dodatkową pomoc. Ich gest był zaiste wielkoduszny, zważywszy, że takie dziecko nigdy potem nie będzie już mogło zaznać dobrodziejstwa takiego wyjazdu! Nic dziwnego, że organizatorzy zacierali ręce, a będący prywatnie na balu przedstawiciele różnorodnych towarzystw dobroczynnych gorączkowo przemyślali, jak by tu wciągnąć w swe szeregi córkę gubernatora, skoro wenta przez nią zaproponowana i obmyślona odniosła taki sukces! Samego gubernatora nie śmiano już fatygować, bo oprócz codziennej pracy, którą bardzo sumiennie wykonywał, był już członkiem wielu takich towarzystw. Pełnił przecież funkcje prezesa kaliskiego gubernialnego Kolegium Trzeźwości, kaliskiego Oddziału Towarzystwa Dobroczynności, kaliskiego Towarzystwa Czerwonego Krzyża, kasy pożyczkowo-oszczędnościowej urzędu gubernialnego, kaliskiej Resursy Miejskiej, był prezesem dozoru kościelnego cerkwi prawosławnej, a z urzędu przewodniczącym rad i komitetów urzędu gubernialnego. Pomagał też założyć Towarzystwo Ratowania Tonących, czyli późniejsze Kaliskie Towarzystwo Wioślarskie, którego nieformalny prezes, Józef Radwan, stał teraz z niedawno

poślubioną małżonką w pierwszym szeregu i klaskał wraz z innymi.

Tuż za Radwanem stał Jezierski z Zaifem, dyskretnie obserwując gości. Nie wiedzieli, oczywiście, o czym oni myślą, choć pierwszy z nich dużo by dał, aby móc zajrzeć do głów i myśli zgromadzonych ludzi. Drugi dałby tyle samo, aby móc odnaleźć we własnej to, co mu ciągle ulatywało, budząc jednocześnie dręczący niepokój, że przeoczył coś, co mogłoby się okazać ważne dla sprawy. Niestety, im bardziej starał się przypomnieć sobie ów malutki błysk, tym bardziej mu to umykało. Postanowił skierować myśli w inną stronę, choć nie było to łatwe.

W końcu z kłopotu wybawiła go konieczność udania się „na zaplecze”, czyli do jednego z dwóch pokoi oddanych do użytku Jezierskiego i jego ekipy gimnazjalistów. Specjalnie wybrani i przeszkoleni przez agenta kelnerzy, wśród których znalazło się także na wszelki wypadek kilku policjantów, zaczęli roznosić szampana. Czas więc był najwyższy, by medyk wziął się za porównywanie odcisków palców, które mieli zbierać gimnazjaliści. Lada chwila napłyną bowiem pierwsze kieliszki. Poszedł więc w towarzystwie agenta do przydzielonego mu pokoju, do którego gimnazjaliści mieli znosić znalezione i opisane odciski palców, a on miał je po kolei analizować i porównywać z tymi, które się powtarzały na miejscach zbrodni.

Na miejscu zaczął sprawdzać, czy niczego mu nie brakuje, podczas gdy Jezierski kręcił się niespokojnie po pokoju, nie mogąc usiedzieć na miejscu. Zaif zaczął mu właśnie mówić, że doznał dziwnego uczucia, jakby coś było nie tak, ale nim zdążył dokończyć zdanie, do pokoju wpadł Poraj ze wzburzeniem na spoconym obliczu i zmierzwionym włosom.

– Jasiu... – zawołał zaskoczony agent. – Jak ty, u licha, wyglądasz...!

– Ojciec Andrzej czeka na waszą ekscelencję tuż przed wejściem do parku! – wyrzucił z siebie Jasiu, nie pomny na nic. – Powiedział, że to strasznie pilne!

– Czemu go tu nie wprowadziłeś?

– Powiedział, że nie wypada, by zakonnika na zabawie widziano... Niech pan już idzie, szefie! On wyglądał na bardzo, ale to bardzo przejętego! Musi znowu coś straszego się wydarzyć!

## Rozdział 15

Jezierski wyszedł pospiesznie w ślad za Porajem, który niemal biegiem poprowadził go do miejsca, gdzie oczekiwał ojciec Andrzej. Po drodze zdążyli potrącić mnóstwo osób, w tym sędziego Jasińskiego, Józefa Radwana, Forstera, adwokata Garszyńskiego i prezydenta miasta Franciszka Przedpeńskiego, więc agent kłął w duchu na czym świat stoi, że pozwolił Jaškowi prowadzić, zamiast wziąć go do bocznego, ukrytego wyjścia. Znacznie skróciłiby drogę, a przede wszystkim ominęliby te tłumy gości. Teraz nie miało już to sensu, więc posłusznie starał się nadążyć za chłopakiem, co chwila kogoś przepraszając.

Zakonnik siedział na ocienionej wielkimi krzewami ławce nieco na uboczu, tuż przy wejściu do parku. Teraz nie było tam spacerowiczów, lecz w pobliżu koczowało kilka dorożek, które ustawiły się tu w nadziei na dodatkowy zarobek. Bo choć bal dopiero się zaczął, zawsze była szansa, że znajdzie się jakiś zapominalski, który każe się szybko wieźć do domu i z powrotem. Przy takiej imprezie jak bal u gubernatora wiadomo było, że ruch w interesie murowany.

Ojciec Andrzej siedział niespokojnie na ławce, z roztargnieniem przebierając paciorki różańca. Z daleka było widać, iż jest wielce poruszony. Na widok nadchodzącego agenta zerwał się na równe nogi i prędko ruszył w jego stronę.

– Niestety, panie radco stanu! – zawołał z daleka. – Nie upilnowałem!

Jezierski dotarł do niego w kilku krokach i poprowadził z powrotem do ławki.

– Proszę usiąść i spokojnie mi opowiedzieć, co się stało.

Zakonnik siadł posłusznie.

– Wojtusia mi zabili... – łzy potoczyły się po surowej twarzy zakonnika.

– Nie upilnowałem... Biada mi, biada!

Jezierski zbladł. W sumie nie spodziewał się, że zabójca odważy się na taki krok. Miał teraz wyrzuty sumienia, że niedostatecznie zadbał

o bezpieczeństwo chłopaka.

– Jasiu, każ Pietii zajeżdżać! – rzucił krótko do stojącego w pewnym oddaleniu i w pełnej szacunku pozie Poraja. – I wezwij tu pilnie doktora Zaifa! Sam też pojedziesz, więc załatw wszystko migiem!

– Niech ojciec mówi po kolei – Jezierski zwrócił się znów do zakonnika, wiedząc, że musi go od razu czymś zająć, by powstrzymać natłok uczuć, z jakimi biedak teraz się zmagał. – Gdzie jest Wojtek? W klasztorze?

– Tak! Zupełnie nie wiem, jak do tego doszło! Ten człowiek musiał się włamać, bo Wojtek nigdzie z klasztoru nie wychodził. Pilnowałem go sam, a jak nie mogłem, robili to inni zakonnicy, a nawet nasi scholarzy.

– Co się w takim razie stało? Niech ojciec po kolei mi opowie, co ojciec dzisiaj robił.

Zakonnik odetchnął głęboko, zastanowił się chwilę i zaczął mówić urywanymi zdaniami.

– Rano wstałem, poszedłem na modły... Potem szybko coś zjadłem w kuchni, żeby nie marnować czasu... Posiłki w refektarzu trwają zbyt długo, a ja miałem masę pracy... Wszedłem do celi Wojtka, by go zabrać do piwnicy, gdzie trwają prace remontowe... Pracowaliśmy razem z robotnikami cały dzień... Nie wracaliśmy nawet na obiad, mieliśmy ze sobą suchy prowiant... Potem poszliśmy się umyć i przebrać... A gdy poszedłem zawołać go na kolację... Nie było go w celi... Ruszyłem więc go szukać... Zacząłem od piwnicy, bo pomyślałem, że zapomniał czegoś i wrócił... I był tam... – tu głos zakonnika niebezpiecznie się załamał, ale mężczyzna zacisnął zęby. Przez chwilę milczał, tylko mięśnie jego szczęki drgały, gdy ścisnął je, hamując ból, a dłonie machinalnie zwinęły się w pięści.

– Leżał tam z rozbitą głową... Cały we krwi... Płynęła mu z ust... Drań nawet mu wybił kilka zębów!... Wojtuś jeszcze dychał... Ale był nieprzytomny... To moja wina! Za mało go pilnowałem! Trzeba mi było wszędzie go brać i nie zostawiać na chwilę samego!

– Nie może ojciec tak się obwiniać – przerwał agent łagodnie. – Po tragedii w bibliotece w klasztorze znów było bezpiecznie. Mimo to wszyscy się pilnowali, bo wiedzieli, że morderca jest na wolności. Notabene, dziwię się, że tak ryzykował. Wydaje mi się to wręcz



absurdalne! Od tamtych wydarzeń upłynęło już trochę czasu i mimo że Wojtek żył, morderca nadal nie został złapany. Po co więc ryzykował włamanie do klasztoru i kolejne morderstwo, skoro na razie nic mu nie zagrażało? Coś mi tu się nie zgadza!

Zakonnik bezradnie rozłożył ręce. W tym momencie rozległo się głośne rżenie i tupot podkutych końskich kopyt. Jezierski i zakonnik odwrócili się w stronę hałasu i zobaczyli, jak dwóch dorożkarzy w pośpiechu zeskakuje z kozłów i chwyta przestraszone czymś konie za uzdy przy pysku.

– Cicho, Karo, cicho! – uspokajał swojego gniasza dorożkarz. – To ino jakiś fircyk z zabawy drogę zgubił i płacze się nam tu pod nogami.

– Pewnikiem pijany! – zawyrokował drugi dorożkarz, klepiąc swojego siwka po szyi. – Te wycylindrowane bawidamki łążą jak popadnie. Ani taki pomyśli, ino rwie naprzód, jakby go diabeł ścigał!...

Obaj wybuchnęli śmiechem, do którego zaraz przyłączyli się inni. Widząc, że nic się nikomu nie stało, agent zwrócił się w stronę zakonnika.

– Musiało chodzić o coś jeszcze! Czy ojciec niczego nowego nie odkrył? Nie dowiedział się o czymś?

Ojciec Andrzej tylko pokręcił przecząco głową.

– O, dobrze, że już jesteś, Jakubie! – agent skierował się w stronę przybyłego w pośpiechu lekarza. – Mówił ci Jasiek, że musimy natychmiast jechać do klasztoru? Ktoś zaatakował siostrzeńca ojca Andrzeja! Ale, jak zrozumiałem, chłopak żył jeszcze, gdy ojciec przyszedł po mnie, czy tak?

– Tak, ale ledwie zipał, biedaczek... Ojciec Herakliusz, który trzyma pieczę nad naszą apteką, powiedział, że chłopak nie dożyje ranka...

Tu ojciec Andrzej rozpląkał się bezradnie.

– Nie ma co rozpaczać, trzeba ratować chłopaka! – zawołał szorstko Jezierski, nie chcąc, by zakonnik poddał się rozpacz. – Jest powóz, jedziemy!

Wsiedli. Poraj usiadł na kozle razem z woźnicą. Krótka podróż upłynęła im w całkowitym milczeniu, nie licząc modlitw, jakie szeptem odmawiał zakonnik, przesuając paciorki różańca.

Na miejscu furtian już na nich czekał. Ojciec Andrzej zaprowadził

swych towarzyszy do pokoiku, w którym położono nieprzytomnego Wojtka.

– Ja się nim zajmę, wy idźcie do piwnicy – powiedział medyk do agenta i Jaśka.

Jezierski skinął na Poraja i zabrał zakonnik z pokoju. Kazał mu zaprowadzić ich do piwnicy.

– Mam nadzieję, że nic tam nie ruszono? – zapytał.

– Nie, chyba nie – powiedział z wahaniem zakonnik. – Mówiłem, żeby nic nie ruszali, dopóki pan nie przyjdzie... Tylko Wojtka zabraliśmy, nie mogłem przecież go tam zostawić!...

– Nie, oczywiście że nie! Czy to już tu?

Stanęli właśnie przed solidnymi, ciężkimi drzwiami zwieńczonymi u góry łukiem.

– Tak, to wejście do piwnicy. Zaraz znajdę klucz.

– Co w niej trzymacie?

– Teraz nic, bo ją właśnie remontujemy. Gwardian zarządził, żeby część piwnicy przystosować do przechowywania zimowych zapasów warzyw i przetworów, zrobić półki, wie pan... Druga część ma być przeznaczona na wino. Tam też trzeba zbić odpowiednie regały... To miała być robota dla świętej pamięci Nowaka, stolarza... Cóż, biedak nic już nie robi na chwałę Pańską. Szkoda go. Nie ma już takich stolarzy, więc nie bardzo mam go kim zastąpić, każdy inny przy nim wydaje się zwykłym partaczem. O, mam ten klucz! Zapodział mi się w tych szpargałach, jakie mam poupychane po kieszeniach. Nie wiem, po co tyle tego przy sobie noszę – to mówiąc, ze stęknieniem przekreślił wielki, ciężki klucz w zamku zbitych z grubych desek i okutych żelazem drzwi. Musiały być naprawdę ciężkie, bo zakonnik, zaprawiony w pracy fizycznej, z trudem je rozwarł. Musiał na nie naprzeć całym ciałem.

Na ścianie zaraz za drzwiami umieszczono drewnianą półkę, na której była lampa naftowa, kilka świec i zapałki. Zakonnik zapalił lampę i zszedł pierwszy po dość stromych, kamiennych schodach w ciemną czeluść. Agent z Porajem szli tuż za nim, rozglądając się ciekawie wokół. Jezierski zobaczył lekko wilgotne, ceglane ściany i schody z szarego kamienia, które przeszły w posadzkę z dużych kamiennych płyt tego samego koloru.

W powietrzu unosiła się lekka woń stęchlizny. Gdzieś tam widniały oznaki prowadzonych robót – pod ścianami stały wiadra z piaskiem, leżały sterty desek i różne narzędzia.

Zakonnik zatrzymał się nagle i wskazał ręką miejsce na posadzce, które na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżniało z otoczenia.

– O, tu leżał Wojtuś.

– Pozwoli ojciec, że wezmę na chwilę lampę – powiedział agent.

Zakonnik podał mu ją, a sam usiadł na starym zydlu pod ścianą. Agent pochylił się i uważnie zaczął przetrząsać wskazane miejsce. Znalazł niewielką plamę zakrzepłej już krwi, a tuż obok niej – drugą. Uznał, że tam musiała znajdować się głowa Wojtka, gdy ten upadł. Według słów zakonnika chłopak miał obrażenia z tyłu i przodu głowy. Jedną plamę zapewne utworzyła krew wydobywająca się z jego ust.

Trochę rozbryzgów krwi Jezierski znalazł również na ścianie, z czego wywnioskował, że atak nastąpił, gdy chłopak stał, prawdopodobnie odwrócony tyłem do napastnika. Przyjrzał się dokładnie posadzce, ale na kamieniach nie zachowały się prawie żadne ślady, prócz kilku niewyraźnych fragmentów odcisków butów. Żaden jednak nie był cały, co zmartwiło agenta, gdyż takie niekompletne ślady utrudniały, a właściwie uniemożliwiały porównanie ich z jakimkolwiek obuwem.

Westchnął, wyprostował się i wtedy dostrzegł zmięty kawałek pozółkłego papieru, który leżał pod ścianą nieco dalej. Jasiek też go zauważył i rzucił się, by go podnieść. Podał zwitek szefowi, który ostrożnie go rozwinął. Widniało na nim kilka zdań nakreślonych ręcznie, wyblakłym już atramentem i pełnym zawijasów pismem. Trudno mu było cokolwiek odcyfrować, więc podał zakonnikowi pomięty świstek i poświecił mu lampą.

– Może ojciec coś z tego zrozumie.

Zakonnik przyjrzał się dokładnie kawałkowi oddartego od większej całości papieru.

– To wygląda jak strona z zapisków księdza Przybylskiego – powiedział ze zdumieniem. Nagle jęknął. – Dałem te zapiski Wojtkowi do przeczytania, żeby mu się wieczorami tak nie cknęło... Było tam kilka rzeczy godnych uwagi i miałem panu o nich powiedzieć...

Widząc pełne wyrzutu spojrzenie agenta, pospiesznie dodał:

– Nic konkretnego, zapewniam! Chociaż dzięki nim wydaje mi się, że odkryłem, czego morderca może szukać...

– I ojciec nic mi do tej pory nie powiedział?!

– Chciałem podać informacje sprawdzone i ze szczegółami! – bronił się skonfundowany zakonnik. – Muszę jeszcze porozmawiać ze starym Anastazym od Świętego Mikołaja! On coś wie, na pewno! Umówiłem się z nim. Właśnie dziś wieczorem miałem do niego iść, ale całkiem wypadło mi to z głowy, gdy znalazłem Wojtusia...

– Co ojciec odkrył?! – przerwał mu szorstko agent. – Niech ojciec natychmiast mi to powie, zanim ktoś tym razem ojcu głowę rozbije! Czego szuka ten... – tu padł soczysty epitet, na szczęście dla zakonnika wypowiedziany w języku rosyjskim.

– Skarbu – odparł łagodnie zakonnik. – Ten zbir szuka skarbu.

– Jakiego znowu skarbu?

– Z zapisków księdza Przybylskiego wynika, że masoni dali mu na przechowanie swój skarb oraz kosztowności i złoto...

– Jak to? – Jezierski nie mógł opanować zdziwienia. – Przecież złoto i kosztowności to właśnie skarb, czyż nie?

– Widać mieli coś cenniejszego niż kosztowności – stwierdził zakonnik.

– Ale co?

– Nie mam pojęcia! Ksiądz Przybylski nie pisze. On też mógł nie wiedzieć, bo napomknął o zamkniętej skrzynce oraz sakwie pełnej kosztowności. Poza tym czyni tylko niejasne aluzje, nie nazywa niczego wprost, nie podaje żadnych nazwisk ani miejsc. Można się tylko domyślać, że być może skarb ukrył w swoim kościele, choć niekoniecznie. Wspomina tylko „o miejscu, które dobrze zna”. To mógł być jego dom, dom kogoś bliskiego, szkoła, w której wykładał... Ba! Nawet cmentarz! Napomyka też o strażniku skarbu. Nie wiem, kto to mógł być, ale wywnioskowałem, że tę funkcję pełnił ktoś wybrany przez masonów. Przed śmiercią miał przekazać całą wiedzę pierworodnemu dziecku. Potomka, bez względu na płeć, musiał wychować tak, by ten mógł kontynuować rodzinną tradycję strażnika skarbu. I że gdzieś są ukryte

wskazówki na wypadek, gdyby strażnikowi coś się stało, zanim przekazuje swą wiedzę. Wszak ludziom zawsze może się coś nagłego przytrafić...

– I to ma być „nic konkretnego”, tak? Całkiem dużo ojciec wywnioskował z tych zapisków! I nie dał mi ojciec znać przez tyle dni!

– Więcej zrozumiałem z rozmowy z księdzem Anastazym, niż z lektury zapisków – łagodnie perswadował zakonnik. – Anastazy to staruszek, ósmy krzyżyk już nosi. Od dawna posługi kościelnej nie czyni, tylko drzemki sobie ucina i w bibliotece myszkuje, ale osobiście znał księdza Przybylskiego. Miał mi wyszukać pewien dokument, który może zawierać jakoweś wskazówki... Wspomniał o tym papierze dopiero, gdy mu powiedziałem, co wyczytałem w zapiskach. Wtedy mu się przypomniało i zaczął mi opowiadać. On młody jeszcze był wtedy, dopiero po święceniach chyba, a księdzu Przybylskiemu bliżej już było do grobu, ale charakter miał, że hej! Wszyscy go szanowali i trochę się bali. Otóż Anastazy zobaczył kiedyś, jak się wymyka ukradkiem z domu księży w nocy, z niedużym pakunczkiem. W ogóle by tego pakunku nie zauważył, gdyby nie wiatr, który mu na chwilę rozwiął pelerynę i odsłonił jakieś zawiniątko. Poszedł więc za księdzem, strasznie ciekaw, dokąd tak późno się wybiera i co chowa za pazuchą. Niewiele zobaczył, ale i tak to, co ujrzał, wydało mu się niezmiernie tajemnicze, więc wryło mu się w pamięć...

– I dokąd to wybierał się ksiądz Przybylski? – przerwał agent, obawiając się, że zakonnik znów utonie w dygresjach i w końcu nie powie tego, co istotne.

– Na wieżę kościelną.

– Co tam robił?

– Nie wiadomo. Kiedy wreszcie Anastazy wdrapał się za nim, niczego właściwie nie zobaczył. Ksiądz stał zamyślony i dziwnie się uśmiechał. Zaraz potem wrócił do siebie, ale żadnego pakunku już przy sobie nie miał. Musiał go więc schować gdzieś na wieży.

– No to faktycznie sensacyjne odkrycie! Mógł wynosić cokolwiek, choćby stare ubrania czy papiery!

– Mówiłem przecież, że większość tej historii to zwykłe domysły – usprawiedliwiał się zakonnik. – Jednak Anastazy wierzy, że to było coś

ważnego. Podobno w końcu coś odkrył. Nie powiedział mi jeszcze co. Chciał to najpierw sam sprawdzić, bo nie zaglądał tam ponoć ze czterdzieści lat...

– Wracamy na górę – zdecydował agent. – Zobaczymy, co doktor Zaif powie o stanie Wojtka. Ojciec wybaczy, ale w sprawach medycyny bardziej mu wierzę niż jakimukolwiek innemu lekarzowi. Potem postanowimy, co dalej.

Ruszyli szybko na górę. Przed wejściem do pokoiku, w którym leżał chłopak, agent odesłał Poraja i nakazał mu czekać w powozie. Gdy wszedł do środka, zdziwił się, że zastał tam niespodziewanych gości. Prócz medyka w celi tłoczyli się jeszcze trzej zakonnicy – Ambroży i Herakliusz oraz gwardian. Wszyscy wydawali się czymś bardzo podekscytowani.

– Cud, ojcie Andrzeju, cud! – wołał zakonny aptekarz, wznosząc do góry ręce.

– Cud, ale spowodował go ten oto młody medyk! – sprostował znacznie spokojniej brat Ambroży, który jako znakomity pedagog wiedział, że ludzi należy chwalić za ich umiejętności, bo nic tak człowieka nie zniechęca, jak przyznanie ich komuś innemu, choćby Bogu.

– Ale to Bóg go natchnął – upierał się ojciec Herakliusz. – Użył jako narzędzia...

– Wystarczy, ojcie Herakliuszu – przerwał mu łagodnie, ale stanowczo gwardian, który wiedział, że Zaif jest Żydem. Nie znając jego zapatrywań na wiarę, obawiał się, że słowa zakonnika mogły mu sprawić przykrość. Herakliusz zamilkł posłusznie, ale wyraz jego twarzy świadczył, że czuje się mocno urażony.

Ojciec Andrzej spoglądał zdezorientowany to na jednego, to na drugiego, nic nie rozumiejąc. Jezierski natomiast od razu się domyślił, że Zaif uratował chłopakowi życie i szeroki uśmiech zagościł mu na twarzy, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?!”.

– Co się stało? – wyrzucił bez tchu ojciec Andrzej.

– Doktor Zaif wykonał zabieg... tracheotomii – powiedział gwardian, spoglądając pytająco na medyka, by sprawdzić, czy dobrze wymówił nazwę. Zaif przytaknął, więc ojciec Klemens ciągnął dalej: – Przeciął przednią ścianę tchawicy i wprowadził tam rurkę, aby umożliwić

oddychanie. Musiał tak zrobić, bo nastąpiło gwałtowne pogorszenie stanu chorego...

– Wojtek zaczął się dusić! – ojciec Herakliusz, mimo urażonej dumy, nie wytrzymał i wpadł gwardianowi w słowo. – O mały włos nie byłoby go wśród żywych!

Widząc przestach na twarzy zakonnika, gwardian odsunął delikatnie podeksycytowanego aptekarza i zbliżył się do ojca Andrzeja.

– Spokojnie, ojcze Andrzeju, twój siostrzeniec będzie żył – powiedział, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Doktor Zaif bez wątpienia uratował mu życie w ostatniej chwili, ale już jest lepiej. Doktor jest pewien, że chłopiec będzie żył i całkowicie wyzdrowieje. Tyle że przez jakiś czas będzie miał dziurę w szyi, ale i ona z czasem się zamknie.

Słowa gwardiana i widok uśmiechu na twarzy doktora wreszcie dotarły do zakonnika. Wtedy, nie bacząc na obecność tylu osób, runął na kolana i zalewając się łzami, wznosił dziękczynne modły. Ojciec Herakliusz bez namysłu poszedł w jego ślady. Jezierski, widząc, że jego przyjaciel czuje się zakłopotany całą tą sytuacją, dyskretnie wyprowadził go na zewnątrz.

– Dobra robota, Jakubie! – pogratulował mu, gdy tylko znaleźli się za drzwiami. – Byłem pewien, że jeśli ktoś mógłby tu coś pomóc, to tylko ty!

– Nie, to doprawdy przypadek, że niedawno czytałem o tej starej i trochę zapomnianej metodzie...

– Nie bądź taki skromny! – przerwał mu agent. – To całkowicie twoja zasługa. Nawet jeśli Bóg cię natchnął – przymrużył żartobliwie oko. – Jednak nie daje mi spokoju pytanie, jak to się stało, że chłopak miał trudności z oddychaniem, skoro dostał w tył głowy?

– Nie tylko w tył głowy, tyle że skutki tego ciosu były od razu widoczne, bo leciała mu z rany krew. Po dokładniejszym badaniu okazało się, że otrzymał również cios w krtań i w klatkę piersiową. Prawdopodobnie nie od razu stracił przytomność, więc morderca na wszelki wypadek uderzył go czymś w krtań, by Wojtek nie mógł krzyczeć. Myślę, że ciosy zadawał jakąś deską.

– To chyba jego ulubione narzędzie! – zirytował się agent. – Żebrowskiego też ktoś zdzielił deską! Ale trudno się dziwić, w piwnicy widziałem sporo walających się wszędzie desek różnej wielkości. Robią

tam remont, zbijają półki i regały, zatem desek tam nie brakuje! No i co się stało temu biednemu chłopcu?

– Doznał poważnych obrażeń twarzoczaszki. Dobrze, że byłem na miejscu, bo skutki razów, jakie otrzymał, dały o sobie znać z niejakim opóźnieniem i nagle się okazało, że tracheotomia jest niezbędna!

– Ale jakim cudem miałeś przy sobie odpowiedni sprzęt?

– Nie miałem – Zaif uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem. – Musiałem improwizować...

Jezierski spojrział ze zdumieniem, ale i z podziwem na przyjaciela.

– Jesteś naprawdę niesamowity! Chciałbym cię mieć w pobliżu w razie kłopotów.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie to konieczne. Teraz zajmie się nim inny lekarz. Ojciec Ambroży obiecał mi, że zapewni chłopcu odpowiednią opiekę i że nie muszę się już o to martwić. Wezwą mnie tylko wtedy, gdyby stan zdrowia chorego się pogorszył.

– To dobrze. Chciałem ci jednak powiedzieć, że coś jeszcze zwróciło moją uwagę. Otóż tam w pokoju mówili wszyscy, tylko ty się nie odezwałeś ani słówkiem. Stanowczo jesteś zbyt skromny! Ale dobrze się stało, bo teraz będziemy mogli spokojnie wrócić na bal, gdzie czeka nas huk pracy, a ojciec Andrzej uda się na spotkanie z księdzem Anastazym.

– Któż to jest?

– Opowiem ci po drodze. Tylko raz-dwa rozmówię się z ojcem Andrzejem. Ty idź już do powozu i powiedz Pietii, żeby się szykował do powrotu do pałacu. Niech podjedzie pod boczne wyjście!

Agent odwrócił się na pięcie i wrócił do pokoiku, w którym klęczeli już wszyscy zakonnicy. Stał w progu i chrząknął, na co trzy głowy jednocześnie zwróciły się w jego stronę i spojrzały w górę. Agent z trudem powstrzymał uśmiech, bo wyglądało to cokolwiek komicznie.

– Nigdy nie śmiałybym przeszkadzać w modlitwie, ale czas bardzo mnie goni... – zaczął przyciszonym głosem.

– Oczywiście, proszę się nami nie przejmować – powiedział gwardian, wciąż klęcząc. – Ojciec Andrzej pana wyprowadzi – dodał z uśmiechem, widząc, że zakonnik podnosi się z kolan. – Nie zdążył jeszcze podziękować doktorowi...



Za drzwiami agent zatrzymał zakonnika, który chciał odprowadzić go do powozu, by podziękować Zaifowi.

– Nie mamy czasu, ojcie Andrzeju – rzekł serdecznym tonem. – Póki co, ja dziękuję Jakubowi w imieniu ojca. On i tak wie, jak bardzo ojciec kocha siostrzeńca i jak mu jest teraz wdzięczny. Lepiej niech ojciec idzie zaraz na spotkanie z Anastazym, a my na balu spróbujemy zidentyfikować mordercę.

Widząc zdumienie i zainteresowanie w oczach zakonnika, dorzucił szybko:

– Nie wiadomo, czy się uda, ale będziemy próbować. Ojciec może nam bardziej pomóc, dowiadując się, gdzie jest ten skarb. Jeśli w ogóle jest.

– Nie wierzy pan w jego istnienie?

– Ze skarbami tak już bywa – westchnął agent – że nie zawsze są prawdziwe.

– Ale przecież tyle istnień ludzkich...

– Nawet gdyby skarb był, to nie usprawiedliwia mordercy!

– Oczywiście, ale gdyby skarbu nie było, to bezsens śmierci tych osób byłby porażający!

– Nie pierwszy i nie ostatni raz, niestety. Niewiele jest sytuacji usprawiedliwiających odebranie komuś życia.

– Tak, to prawda. Niewiele albo i wcale, lecz nie mnie o tym sądzić. Ten morderca musi być szalonym człowiekiem!

– Jeśli uznamy za szaleństwo bezwzględność, wybujały egoizm i brak skrupów!

– Ale nikt normalny nie traktuje swego bliźniego tak... tak przedmiotowo! Jak jakąś przeszkodę do pokonania!

– Zapewniam ojca, że wielu tak robi. Tyle że niewielu posuwa się do zabójstwa ze zwykłego strachu przed złapaniem i karą.

– Niezbyt dobre ma pan zdanie o naturze ludzkiej, nieprawdaż? Bardzo panu współczuję.

– Taka praca. Ojciec podobno też w życiu widział niejedno.

– To prawda, jednak nigdy czegoś tak zwyrodniałego! Aż trudno uwierzyć, by jeden człowiek był zdolny do takich czynów. Może jest ich więcej? Wie pan, nasz bibliotekarz nie był sam. Jak zbrodniarz poradził

sobie z dwiema osobami naraz?

– To, co powiem, wynika z bardzo drobiazgowych badań, jakie przeprowadził doktor Zaif, któremu między innymi na podstawie stopnia skrzepnięcia krwi i pośmiertnego stężenia ciała udało się w przybliżeniu ustalić, który z zakonników został pierwszy zaatakowany. Zabójca najwyraźniej miał szczęście, że obaj zakonnicy nie nadeszli razem. Najpierw przyszedł ojciec Bonawentura. Morderca zaczął się i ogłuszył go, a potem to samo zrobił z ojcem Mateuszem. Gdy obaj byli nieprzytomni, związał ich, a później... Sam ojciec wie. Zdarza mu się także odurzać ofiary silnie działającym środkiem, który w większej dawce jest trucizną.

Zakonnik pokiwał w milczeniu głową i westchnął ciężko.

– Tak, z pewnością ma pan rację. No cóż, zajrzę jeszcze do Wojtusia i pójde do Świętego Mikołaja spotkać się z księdzem Anastazym.

– Jak tylko wrócę do pałacu, wyślę tam po ojca powóz razem z Jaśkiem Porajem, moim zaufanym pomocnikiem. Będzie mógł mu ojciec przekazać od razu wszystkie uzyskane informacje, a on ojca odwiezie do klasztoru, żebym miał pewność, że nic się ojcu nie przytrafi. To młody chłopak, ale całkowicie mu ufam, może mu ojciec powiedzieć naprawdę wszystko.

Zakonnik podniósł głowę i spojrzał agentowi uważnie w oczy.

– To Polak, prawda?

– Tak.

– Ale mu pan ufa, panie radco?

– Dla mnie człowiek to człowiek, jego narodowość czy wyznanie nie mają tu nic do rzeczy – powiedział trochę szorstko Jezierski, który nie lubił się wypowiadać na ten temat. Wiedział, jak niemile jest widziana taka tolerancyjna postawa u jego zwierzchników.

– Dobry z pana człowiek. Dziękuję za wszystko! Będę się do końca życia za pana modlił, aby Bóg panu sprzyjał i zawsze pana prowadził!

– Dziękuję, ojcze. Bóg zapłać.

Rozstali się i agent szybkim krokiem ruszył do powozu, gdzie czekano na niego niecierpliwie. W czasie jazdy powrotnej Jezierski wydał Porajowi szczegółowe instrukcje dotyczące ojca Andrzeja, a potem krótko

zrelacjonował Zaifowi rozmowę z zakonnikiem.

Gdy podjechali pod boczne wejście do pałacu, zabawa trwała w pełni. Muzyka grała, goście tańczyli lub próbowali szczęścia w różnych loteriach, pozowali do zdjęć albo raczyli się przy obficie zastawionych stołach. Zewsząd dobiegały śmiechy, okrzyki i gwar rozmów. Jezierski i Zaif nie tracili jednak czasu na podziwianie sukcesu dobroczynnej imprezy, lecz od razu skierowali się do bocznych pokoi przeznaczonych na zbieranie odcisków palców.

Okazało się, że zdejmowanie odcisków z kieliszków pokrytych różnorakim pyłem (gdyż Jezierski kazał im wypróbować wszystko, co się da, byle było skuteczne) nie szło wcale łatwo. Mimo szkolenia gimnazjalistom często nie udawało się uzyskać pełnego i wyraźnego śladu linii papilarnych. Zazwyczaj rozmazywały się one w jednolite smugi. Dlatego szybko zrezygnowali z tej metody. Tylko pierwsza partia około piętnastu kieliszków została pokryta pyłem grafitowym, a do środka wrzucono kartki z nazwiskami osób, które je trzymały. Zaif z agentem uznali niemal za cud, że chłopcy dotąd się nie pomylili, ale ci gorąco ich zapewniali, że bardzo pilnowali porządku. Potem wymyślili zupełnie inny sposób na zdobycie wyraźnych linii papilarnych, potwierdzając tym samym pozytywną opinię, jaką z góry im wystawił agent. Sprytnie zdobyli także kolejne odciski tych osób, których dotychczasowe ślady rozmazały się na cienkich arkusikach papieru.

Nowy i co tu ukrywać, dużo lepszy sposób pobierania odcisków palców zadziałał znakomicie. Otóż chłopcy zaproponowali (jako pomysłodawcę wskazując przezornie Jezierskiego), żeby wszyscy goście dobroczynnego balu zostali upamiętnieni nie tylko na fotografiach, szczególnie że wszyscy na jednej się nie zmieszczą, ale i w bardziej nietypowy sposób. Miał to być „podpis” na płótnie, które będzie stanowiło swoisty załącznik do obrazu, namalowanego nieco później przez któregoś z kaliskich artystów. Pamiątkowy obraz miał zawisnąć później w sali recepcyjnej ratusza, gdy tylko jego budowa zostanie ukończona. A że wszystkie nazwiska mogłyby się nie zmieścić, niech więc goście umoczą palce w farbie olejnej i odcisną je na specjalnie przygotowanym, zagruntowanym już płótnie.

Gimnazjalistom pozostało tylko pilnowanie porządku i notowanie nazwisk kolejno „podpisujących się” gości, by można było obok obrazu umieścić ich listę, a przy okazji zachować te ważne informacje dla potomności.

Kaliszanom tak spodobał się ten oryginalny sposób upamiętnienia, że wręcz z entuzjazmem brudzili sobie palce farbami, dostarczonymi przez córki gubernatora. Robili to tak zapamiętale, że farb wkrótce zabrakło, ale zanim to nastąpiło, jeden z kupców przewidująco wysłał syna do swojego sklepu, by uzupełnił zapasy, więc żadnej przerwy w „podpisywaniu się” nie było. Niektórzy dowcipkowali sobie przy tym, że obraz z odciskami palców kaliszan będzie na pewno ładniejszy, a już na pewno więcej wart od tego, który dopiero ma powstać, więc nie warto go nawet zamawiać.

Gdy Zaif i Jezierski usłyszeli, w jaki sposób gimnazjaliści poradzili sobie z problemem, obaj wybuchnęli śmiechem. Nie szczędzili im pochwał i gratulacji za pomysłowość i przytomność umysłu. Agent obiecał im nawet specjalną nagrodę niespodziankę, kiedy tylko zakończy najpilniejsze obowiązki. Potem po cichu napomknął Jakubowi, że sprawi im kompletne wyposażenie do szkoły, ale wcześniej wyśle ich w sierpniu nad morze.

Potem Zaif zabrał się za przeglądanie zebranych odcisków palców. Najpierw podzielił na dwie grupy odciski zebrane na kieliszkach. Na jedną stronę odłożył opisane kartki, na których jako tako udało się gimnazjalistom odcisnąć linie papilarne z kieliszka. Na drugą stronę powędrowały same kieliszki pokryte pyłem grafitowym wraz z kartką z nazwiskiem. Już na pierwszy rzut oka stwierdził, że odciski na papierze nie były zbyt dobrej jakości i łatwiej mu będzie porównywać te zdjęte bezpośrednio ze szkła. Na szczęście nie było ich dużo, gdyż chłopcy wcześniej zorientowali się, że trzeba wymyślić inny sposób zbierania odcisków, bo wkrótce zabraknie kieliszków! Służba i tak niecierpliwiła się, że ich „fanaberie” trwają zbyt długo, chciała jak najszybciej zabrać od nich szkło do mycia, jako że kolejni goście czekali na lampkę szampana.

Doktor stwierdził zatem, że szybko upora się z tym co ma, a z resztą zaczeka, aż wszyscy odcisną swe linie papilarne na obrazie. Niestety, żaden z odcisków na kartce czy kieliszku nie okazał się zbieżny z tymi,

które zebrał na miejscach zbrodni.

Jezierski początkowo z uwagą obserwował jego poczynania, ale gdy okazało się, że nadal nic nie mają, wstał i zaczął się przechadzać po pokoju.

– Zachodzę w głowę, czemu to żaden z nas nie wpadł na taki sposób! – nie mógł się nadziwić Jezierski, wyglądając przez okno, by spojrzeć na bawiących się ludzi. – Biedne dziewczęta! Straciły wszystkie farby i zagruntowane płótno! Teraz muszą zrobić nowe zapasy, bo chciały namalować jakieś wiekopomne dzieło na imieniny ojca i...

Przerwał, bo do pokoju wpadł Poraj.

– Jasiek! – Jezierski wydawał się jednocześnie poirytowany i rozbawiony. – Miarkuj się, bo to wpadanie jak burza chyba ci weszło już w nawyk! Nie pamiętam, by ktoś inny miał takie dramatyczne wejścia jak ty!

Jasiek spuścił ze skrucłą spoconą głowę, ale rezonu nie stracił.

– Co ja na to poradzę, szefie, że widać los uczynił mnie posłańcem ważnych wieści!

– Proszę, jak to się chłopak wyszkolił! – kpił z niego agent. – Zawsze już zamierzasz takim górnolotnym językiem do mnie przemawiać? Oto jak nasz Jasiek nabrał pewności siebie, zhardział...

Jasiek zbył te żarty, mówiąc spokojnie:

– Niech się ekscelencja ze mnie nie śmieje, bo to ważne!

– No więc cóż to takiego?

– Byłem z ojcem Andrzejem w kościele...

– Czemuś od tego nie zaczął?! – zdenerwował się Jezierski. – Myślałem, żeś jeszcze tam nie dojechał! Mów szybko!

Jasiek wzruszył ramionami i zrobił taką minę, że Zaif omal nie wybuchnął śmiechem. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, że chłopak daje jasno do zrozumienia, że jest niedoceniany.

– Teraz nie ma już pośpiechu, to może powiem po kolei. Nie byliśmy tam długo, bo się okazało, że na obu staruszków zaczął się jakiś typ – powiedział Poraj, tym razem z namysłem dobierając słowa. – Może i ten sam morderca, ale trudno powiedzieć, bo był cały zakryty czarną peleryną, a twarz obwinął sobie jakąś szmatą. Też czarną.

– Nawet jakby nie był zamaskowany, to skąd byś wiedział, że to morderca? – ironicznie zapytał Jezierski. – Mógł być zwykłym złodziejem albo innym rzezimieszkiem. Przecież jeszcze nie wiemy, kto odpowiada za te zbrodnie.

– No, niby tak – zgodził się bez oporu Jasiek. – Ale musowo był to ktoś, kto miał nieczne zamiary!

– A dlaczego tak sądzisz? – zainteresował się agent.

Jasiek popatrzył nań zgorszony, jakby miał do czynienia z niedorozwiniętym dzieckiem.

– Boć przecie był zamaskowany!

Teraz agent spojrział na niego przeciągle i ciężko westchnął.

– To jeszcze niczego nie dowodzi. Mógł być chory...

– Ale tam! – prychnął Jasiek. – Ale jak szef chce: usiłował okraść księdza Anastazego!

– Tak już lepiej. Ale nie okradł?

– Nie.

– No to opowiadaj od początku.

– Ojciec Andrzej nie czekał na mnie w klasztorze, tylko od razu poszedł do kościoła św. Mikołaja. Szukałem ich obu, bo nie wiedziałem, gdzie się umówili. Nagle z bocznej nawy kościoła dobiegły mnie krzyki, więc ruszyłem z kopyta w tamtą stronę i widzę, jak jakiś zamaskowany typ usiłuje coś wyrwać staruszkowi, ale ojciec Andrzej ucapił go od tyłu i uwiesił się na nim, więc tamten nie mógł uciec. Kotłowali się tam zdrowo, nie powiem, całkiem nieźle jak na staruszków!... – Zmitygował się, widząc groźne spojrzenie zwierzchnika. – Jak nadbiegłem, to ten zbir się widać wystraszył, bo puścił to, co chciał zabrać księdzu, wyszarpnął się ojcu Andrzejowi i w nogi! I tyle żeśmy go widzieli! Anim nie zdążył mu przyłożyć! – uzalił się.

Jezierski pominął milczeniem waleczny zapał Poraja i skupił się na czym innym.

– Wiem, że napastnik był zamaskowany, ale może coś zauważyłeś? – powiedział. – Jak się poruszał? Młody był czy stary?

Jasiek zastanowił się chwilę.

– Stary raczej nie był. Ruszał się szybko, był zwinny, nie żaden dziadek,

co ledwo nogami powłóczy.

– Dziadek może nie, ale czy to mógł być ktoś w średnim wieku? Jak ja?

Poraj obejrzał sobie szefa od góry do dołu, czym wywołał w medyku niepohamowaną chęć śmiechu.

– Niby tak. Ale raczej nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem – przyznał Jasiak z rozbrajającą szczerością. – Młody rusza się inaczej, a starszy inaczej. A stary jeszcze inaczej.

– Bardzo precyzyjnie to opisałeś – agent nie krył sarkazmu. – Raport sporządź jednak w bardziej służbowym języku, bo wściekły Hurko gotów w najbliższy dylizans wskoczyć i przygnać tu z Warszawy, żeby nas zrugać. Zauważyłeś coś jeszcze? Słyszałeś jego głos? Mówił coś?

– Nic, ino sapanie i jakby przekleństwo. Teraz, jak ekscelencja zapytał, tak mi się widzi, że bardzo się pilnował, coby słówka nie pisnąć.

– Ciekawe dlaczego?

– Jest kilka możliwości – odezwał się milczący dotąd Zaif. – Albo Jasiak rozpoznałby jego głos, czyli że musiałby go znać. Może mieć jakąś charakterystyczną wadę wymowy albo też nie mówi dobrze po polsku.

– Albo w ogóle nie mówi – zirytował się agent. – To nas donikąd nie prowadzi!

– A jakie to było przekleństwo? – zainteresował się Zaif.

– Nie wiem, nie dokończył – odparł Jasiak.

– Skoro nie dokończył, to znaczy, że zaczął. Coś w końcu musiałeś usłyszeć. Przypomnij sobie.

– Próbuje, ale jakoś nie mogę. Naprawdę nie wiem, co on tam zaszwargotał. Głośno tego nie powiedział, tylko po cichu, jakby do siebie, a potem już nic.

– No dobrze, zostawmy to – zdecydował agent. – A widziałeś jego oczy?

– Chyba tak...

– Musiałeś widzieć! Kto by chodził z zakrytymi oczami?

– No niby tak... – zgodził się ostrożnie Jasiak. – Ale...

– Ale co?

– Ale on prawie cały czas był do mnie odwrócony tyłem!

– No tak, ale może choć na moment odwrócił się twarzą? Co miał na tej twarzy?

– Jakiś kapelusz na głowie i czarną chustkę zawiązaną aż pod oczy!

– A te oczy, jaki miały kolor?

– Chyba niebieski. Ale jakiś taki blady.

Jezierski westchnął z rezygnacją i zmienił temat.

– Co chciał ukraść ten zbir?

– Jakies papiery. Udało mu się nawet oderwać kawałek, ale nieduży...

Chłopak urwał i spojrzał niespokojnie na szefa, czekając na jego reakcję. Gdy ten nie odpowiadał, Jasiek wiedział, że musi tłumaczyć się dalej.

– Nigdzie nie znalazłem tego oderwanego świstka, więc pewnie zabrał ze sobą, ale ksiądz Anastazy powiedział, że napisze od nowa ten oddarty kawałek, bo wie, co na nim było. To chyba nic takiego się nie stało?

Agent westchnął.

– Nie wiem. To się okaże. Gdzie te papiery?

– Ojciec Andrzej zabrał. Powiedział, że wszystko jeszcze raz przejrzy i na jutro będzie gotów. Kazał mi zaprosić szefa do klasztoru koło południa.

– Nie puściłeś chyba ojca Andrzeja samego do klasztoru? – zapytał z niepokojem Jezierski.

– A gdzieżby! – Jasiek uderzył się w piersi. – Taki głupi to ja nie jestem! Odwiozłem go na miejsce i jeszcze odprowadziłem do samej celi. Nawet zajrzałem do środka, czy nikt tam się nie zaczął...

– Właśnie! – wykrzyknął nagle agent. – Nie sprawdziliśmy, jak ten morderca dostał się do klasztoru i zaatakował Wojtka! W ogóle, jak Wojtek znalazł się w piwnicy? Po co tam poszedł, i to z zapiskami księdza Przybylskiego? Jasiek, wracaj migiem do klasztoru i pilnuj ojca Andrzeja. Powiedz też, że pod żadnym pozorem nie wolno zostawiać Wojtka samego! Mieli go pilnować, ale kto ich wie...

Poraj tęsknym okiem rzucił za okno na tańczących, ale nie zaprotestował, tylko zasalutował służbiście.

– Wiem, że ta zabawa cię ominie, chłopcze – powiedział niespodziewanie agent, podchodząc do niego i kładąc mu rękę na



ramieniu. – Ale będą jeszcze inne bale, inne imprezy. Pamiętaj, że stajesz w obronie ludzkiego życia, a to ważniejsze niż zabawa!

– Tak jest, ekscelencjo!

Gdy chłopak wyszedł, Jezierski zwrócił się w stronę zamyszonego medyka.

– I co o tym wszystkim sądzisz?

Zaif nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się chwilę.

– Myślę, że morderca zabrał klucze jednego z zamordowanych mnichów lub zrobił z nich odciski. Stawiałbym jednak na to pierwsze, gdyż miał prawo przypuszczać, że w zamieszaniu, jakie zapanuje po odkryciu ich śmierci, nikomu do głowy nie przyjdzie sprawdzać, czy nie zginęły jakieś klucze.

Jezierski podjął nerwowy spacer, uderzając co jakiś czas pięścią w mijany mebel.

– No i miał rację, drań! Nikomu to nie przyszło do głowy! Powinienem kazać się wybatożyć!

– Nie wiń się tak, Walery – zaproponował Zaif. – Nie przyszło ci to do głowy, bo powiedziano ci, że to Wojtek wpuścił zbrodniarza. Więc nie było potrzeby zastanawiać się nad kluczami.

– Faktycznie – zgodził się z ponurą miną agent. – Powinienem był jednak kazać sprawdzić mnichom, czy zamordowanym nic nie zginęło. To mój obowiązek.

– Nie możesz pilnować wszystkiego sam. Masz ludzi, a oni powinni wiedzieć, co do nich należy.

– Ja jednak mam nadzór nad całością i nic mnie nie usprawiedliwia!

– Trochę na to za późno, ale możesz jeszcze przywołać swoich podwładnych do porządku, lecz nie powinieneś ich teraz karać za coś, co wydarzyło się tak dawno temu. Zwróć im po prostu uwagę, że zaniedbali niektóre obowiązki, i ostrzeż, że następnym razem wyciągniesz surowe konsekwencje. Powinni wiedzieć, że ich przełożony prędzej czy później zauważy ich niedociągnięcia.

– Może tak i zrobię. Ale co teraz?

– Musimy zaczekać, aż będziemy mieli wszystkie odciski palców. Przejrzałem już te z kieliszków, choć nie wyszły zbyt dobrze. Ty możesz

przepytała strażników, czy ktoś czasem nie wyszedł wcześniej z parku, zanim zaczęto tę akcję z obrazem, może nawet znają nazwiska tych osób, czy w jakiś inny sposób mogą je zidentyfikować. W końcu bał to nie przymus, każdy może wyjść, kiedy chce.

– Myślisz, że ktoś wystraszył się tego zbierania odcisków palców?

– Mało prawdopodobne, choć całkowicie nie możemy tego wykluczyć.

– To dlaczego przypuszczasz, że ktoś wyszedł wcześniej?

– Bo wybiegaliśmy w pośpiechu. Jeśli morderca był wśród gości i to zobaczył, na pewno poczuł się zaniepokojony, dlatego tak nagle opuszczamy bal.

– I co, śledził nas?

– Nie musiał iść za nami krok w krok, wystarczyło, by znalazł się niedaleko w momencie, gdy mówiłaś woźnicy, dokąd jedziemy. Mógł też domyślić się tego z samego kierunku jazdy. Tak czy inaczej, morderca na pewno był zainteresowany tym, czego się dowiedzieliśmy i co zamierzamy, więc musiał wyjść choćby na chwilę. Mógł potem wrócić na bal.

– Tak, to ma sens. Ale nie wiemy na pewno.

– Nie, nie wiemy.

– Co za przekłeta sprawa! Same domysły!

– I tak nie mamy nic innego do roboty, to idź i popytaj tych strażników.

– No dobrze. Ale ty powinieneś iść ze mną i choć raz zatańczyć z Anną. Jej odciski przecież już masz – uśmiechnął się.

Zaif spojrział na przyjaciela i zaczerwienił się.

– Myślisz, że się zgodzi?

– A czemu nie? – zdumiał się agent.

Zaif popatrzył z rozterką na zgromadzone kieliszki z powrzuconymi do nich kartkami, a w końcu machnął ręką i wstał.

– Nic więcej na razie nie zrobię – powiedział, usprawiedliwiając się bardziej przed sobą niż przyjacielem. – I tak muszę poczekać na obraz, więc... chodźmy!

Następne dwie godziny doktor spędził w towarzystwie ukochanej i nie przeszkadzało mu nawet fakt, że co chwila musiał się nią dzielić z innymi.

Była gospodynią wieczoru, więc wiele osób chciało zamienić z nią kilka słów czy o coś zapytać. Jednak tańczyła tylko z nim. Aż pięć razy!

Jeziński, widząc wniebowziętą minę przyjaciela, nie miał sumienia odciągać go od Anny, choć obraz z odciskami palców czekał na nich już od godziny.

Gdy doktor tańczył, agent wypytał strażników o wychodzące osoby, ale szybko okazało się, że to droga donikąd, ponieważ co chwilę ktoś wychodził lub wracał. Strażnicy pilnowali tylko, by wychodzący miał przy sobie zaproszenie, jeśli chciał ponownie wejść na bal. Nikt nie był w stanie spamiętać wszystkich kręcących się gości. Gdyby agent podał konkretne nazwisko, to co innego, ale tak? Jeziński dał więc sobie z tym spokój i poszedł do pokoju. Wyjął z neseserka doktora kilka szkieł powiększających o różnej mocy i sam zajął się porównywaniem odcisków palców z tymi, które Zaif tak starannie zbierał w każdym miejscu, gdzie popełniono morderstwo.

Nie miał wprawy przyjaciela, więc porównanie każdego odcisku zajmowało mu sporo czasu. Po jakimś czasie wzrok mu się trochę zmęczył, ale przetarł oczy i wpatrzył się w gęstą kępę wawrzynów i oleandrów, które Anna sprowadziła znaną z Morza Czarnego. Przyglądając się soczystej zieleni liści i zawiązującym się na oleandrach kwiatom, poczuł przyływ świeżych sił. Zza okna dobiegała stłumiona muzyka i gwar rozbawionych głosów, ale tak już do tego nawykł, że wcale go to nie rozpraszało.

Wrócił do swojej znużonej pracy. Przesunął ostrożnie długi papierowy pasek, którym opasał obraz. Pasek miał wycięte małe okienko, tak by mieścił się w nim tylko jeden odcisk palca, resztę zakrywał papier. Przesuwał pasek tak, by w okienku znalazł się kolejny odcisk z obrazu. Znowu nic. Odłożył z rosnącym rozczarowaniem kartonik, na którym Zaif jakimś cudem utrzymał najczęściej powtarzający się na miejscach zbrodni odcisk. Do kogo należy? Kto dotykał narzędzi mordu, mebli należących do zabitych, ich binokli, zegarków? Potarł oczy i z rezygnacją spojrział na kolejny odcisk. Wyciągnął rękę, by znowu przesunąć pasek, ale coś zwróciło jego uwagę. Przysunął twarz do obrazu i jeszcze raz dokładnie obejrzał przez lupę odcisk, porównując go z kartonikami Zaifa. Zamarł, a serce

zabiło mu szybciej. Stojący na kominku nieduży zegar zaczął cicho, acz dźwięcznie wydzwaniać północ.

Tak zastał go Zaif, który musiał, choć z żalem, rozstać się z ukochaną. Organizatorzy właśnie zaczęli tajemnicze przygotowania do pokazu sztucznych ogni, jednak Anna nie chciała mu zdradzić niespodzianki, bo miała nadzieję, że go namówi, by obejrzał fajerwerki. Lecz sama nie mogła mu towarzyszyć, bo musiała zasiąść obok prezydenta miasta i ojca na specjalnie przygotowanej trybunie. A skoro nie mógł być przy niej, doktor postanowił wrócić do przyjaciela. Jeden rzut oka na jego twarz wystarczył mu, by zrozumieć, że agentowi się udało.

– I co? – wyrzucił jednym tchem, dopadając stołu, na którym stał obraz.

– To niemożliwe – powiedział agent tonem pełnym bezbrzeżnego zdumienia. – To musi być jakaś pomyłka. Zobacz sam.

Doktor pochylił się nad kartonikiem, a potem przyjrzał obrazowi. Wziął z rąk agenta listę nazwisk i przeczytał podkreślone przez niego nazwisko.

– Nigdy bym nie pomyślał... – wyszeptał z nie mniejszym zdumieniem. – To wydaje się wręcz nieprawdopodobne!

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, w czasie której każdy z nich starał się przetrwać to, czego właśnie się dowiedział.

– Chodźmy po niego! – agent nagle zerwał się z fotela. – Zawsze możemy go zatrzymać na dobę czy dwie!

– Już go nie ma – powiedział cicho Zaif. – Wyszedł jakiś czas temu. Nawet pożegnał się ze mną...

– A to bezczelny typ! Pewnie cały czas ma z nas nie lada uciechę!

– Na pewno. Na balu wydawał się być bardzo zadowolony, ale wtedy kładłem to na karb udanej zabawy...

– Wiemy, gdzie mieszka, chodź, zatrzymamy go!

Zaif pokręcił przecząco głową.

– Skoro nas nie podejrzewa, nic się nie powinno stać, przynajmniej przez tę noc. A lepiej zrobimy, idąc rano do ojca Andrzeja, by spojrzeć na te papiery. Myślę, że tam jest ostatnia wskazówka pozwalająca odnaleźć skarb. Lepiej najpierw go wyjąć i zabezpieczyć, a potem zaczekać tam na

mordercę. Wtedy złapiemy go za rękę...

– Może masz rację. Wolałbym jednak mieć go w garści. A co, jeśli w nocy spróbuje zakraść się do klasztoru? W końcu nie udało mu się zdobyć tych papierów księdza Anastazego!

– To jedź do klasztoru i sam pilnuj ojca Andrzeja. Na pewno da ci te papierzyska do przeczytania. Kto wie, może szybko rozszyfrujecie miejsce ukrycia skarbu.

Jeziński natychmiast podjął decyzję.

– Tak zrobię! – powiedział. – A ty, co zamierzasz?

– Ja pojadę do domu i wreszcie się wyśpię.

## Rozdział 16

Tymczasem bal miał się powoli ku końcowi. Jego punktem kulminacyjnym miał być pokaz sztucznych ogni, zaplanowany krótko po północy, a po nim już tylko godzina czy dwie tańców. Teraz zegar wybijał właśnie godzinę jedenastą i goście zostali poproszeni o przejście w głąb parku, gdzie czekać miała na nich kolejna niespodzianka. Rozległy się szepty i okrzyki zaciekawienia, towarzystwo było zachwycone, bo impreza dobroczynna okazała się nad wyraz atrakcyjna. Ruszyli oświetloną chińskimi lampionami aleją, tworząc długi korowód, który poprowadził gubernator w towarzystwie córek i prezydenta miasta. Gdy stanęli na miejscu, oczom gości ukazały się pięknie oświetlone smolnymi pochodniami romantyczne ruiny<sup>76</sup>. Pochodnie trzymali stojący nieruchomo kalisy kadeci, którzy wyglądali, jakby pełnili straż przy jakimś starożytnym grobowcu.

Goście partiami podziwiali nowy obiekt, gdyż wszyscy naraz nie mogli się pomieścić w jego wnętrzu. Miał on postać ceglanej bramy z łukowatym przejściem wyłaniającej się ze wzgórza. Na górze, dokąd prowadziły dość szerokie kamienne schody, znajdował się otoczony balustradą taras, ozdobiony połamanymi kolumnami. Wzrok przyciągała też wielka terakotowa waza ustawiona na postumencie z wykutą datą budowy: 1888 rok.

Widok z wysokości ruin był po prostu wspaniały. Obejmował nie tylko cały park i Prosnę, gdyż wycięto trochę drzew tak, aby na horyzoncie odsłonił się kościół w Chełmcach.

Dodatkową atrakcję ruin stanowiły rzeźby stylizowane na „starożytne”. Obok nich postawiono także autentyczne zabytki przeszłości. I tak na wyeksponowanym miejscu ustawiono herbowy kartusz, a w jedną ze ścian wmurowano kamienną kulę wykopaną w miejscowości Lis.

Prezentacja ruin trwała z konieczności bardzo krótko, bo już zbliżała się północ, o której miał się rozpocząć pokaz sztucznych ogni. Na tarasie

szybko urządzono coś w rodzaju łoża honorowej dla miejskich notabli i innych ważnych person, pozostali mieli oglądać świetlne widowisko stojąc u stóp wzgórza.

Fajerwerki były bajeczne, a ich pokaz okazał się prawdziwym triumfem organizatorów i samego gubernatora, który tak umiejętnie potrafił połączyć je z otwarciem sztucznych ruin. Oglądanie feerii barw w tak romantycznej i tajemniczej scenerii wszystkim przypadło do gustu. W dodatku jeden z fajerwerków przypominał zaczarowane drzewo, pokryte gęstym, błyszczącym na zielono listowiem, z którego wytryskiwały purpurowe i złote kwiaty ognia. Prawdę mówiąc, publiczność nie bardzo wiedziała, co chwalić bardziej, zatem zachwycano się wszystkim. Łatwo było jednak przewidzieć, że ruiny natychmiast staną się atrakcją parku, ulubionym miejscem spacerów i... schadzek.

Po wielkiej owacji, jaką zachwyceni kaliszanie zgotowali organizatorom balu, powrócono do stołów i parkietów. Kto miał jeszcze siłę, szedł tańczyć, pić i bawić się wśród znajomych (albo i nie). Jednak co bardziej wiekowe osoby zdecydowały się opuścić bal. Nastrój zrobił się więc swobodniejszy, towarzystwo się rozochociło i było bardziej skore do figli i żartów. Śmiech płynął strugą równie szeroką jak wino.

Ze stołów dyskretnie sprzątnięto potrawy, zostały tylko zimne napoje, słodycze i owoce. Parkiety do tańca nieco opustoszały, dając miłośnikom tańca więcej przestrzeni do popisu. Niektóre pary snuły się sennie wśród krzewów, nachylając się ku sobie i szepcząc coś namiętnie. Od czasu do czasu z oddali rozlegał się szybko stłumiony zalotny kobiecy śmiech lub męski okrzyk. Ciepła noc sprzyjała nie tylko tańcom, ale i flirtom.

Gubernator przechadzał się pośród gości, których liczba znacznie się zmniejszyła. Podszedł do swoich córek, stojących nieopodal w towarzystwie prezydenta miasta i kilku młodzieńców, których nazwisk Daragan nie mógł sobie przypomnieć.

– A gdzie to podział się Waliesza i jego nieodłączny towarzysz? – zapytał, rozglądając się. – Dawno ich już nie widziałem.

– Pewnie siedzą z Jakubem w tym swoim tajnym pokoju – roześmiała się Anna. – Są jak chłopcy na tropie wielkiej tajemnicy.

Gubernator pogroził jej żartobliwie palcem.

– Nie śmiej się, Anno. To, czym się zajmują, to naprawdę poważna sprawa.

– Wiem, papo. Chodziło mi tylko o ich sposób zachowania.

– To zajrzyj tam do nich i poproś, żeby zaszczylili nas swoją obecnością także pod koniec balu, skoro już byli na jego otwarciu.

– Dobrze, papo!

Anna pobiegła lekko jak gazela, ściągając na chwilę spojrzenia wszystkich, i znikła z tarasu niczym zwiewny obłok. Panowie odwrócili się i zapalili. Każdy wedle własnych upodobań: fajkę, papierosa lub cygaro. Dym snuł się leniwie ku górze. Pierwszy przerwał błogie milczenie prezydent miasta Przedpeński.

– Czym zajmują się panowie Jezierski i Zaif? – zapytał z zaciekawieniem. – Przyznam, że dobiegają mnie przeróżne wieści na ten temat, jedna bardziej fantastyczna od drugiej!

– Sam dokładnie nie wiem – powiedział dyplomatycznie gubernator, wiedząc, jaką niechęć Jezierski żywi do przekazywania informacji o śledztwie, które jeszcze się nie zakończyło. – Jedno jest pewne, że to bardzo poważna sprawa.

– Czy wiąże się jakoś z tajemniczymi zgonami, jakie ostatnio miały miejsce w naszej społeczności? – nie rezygnował jego rozmówca. – Jako prezydent miasta Kalisza powinienem chyba wiedzieć, co się dzieje?

Łagodna wymówka w ustach Przedpeńskiego nie skłoniła gubernatora do większej wylewności.

– Zapewne, drogi panie, zapewne – zdawkowo zgodził się Daragan. – Mimo to nie mogę panu powiedzieć czegoś, czego sam nie wiem. I tak jest lepiej.

Widząc zdumienie na twarzy rozmówcy, gubernator westchnął, wyciągnął z kieszeni przybornik i podłubał nim w główce swojej fajki.

– Za mocno ubiłem tytoń – wyjaśnił, widząc wpatrzone weń spojrzenia, jakby nie rozumiał, co ich naprawdę interesuje. – A teraz co do wiedzy urzędników państwowych. Jeśli ma pan dobrego psa łańcuchowego, to przecież sam pan za niego nie szczeka, prawda? Czy też ma pan może taki zwyczaj? Nie? Otóż to. Pozwala mu pan robić, co do niego należy i nie wtrąca się, dopóki nie trzeba. Tak samo jest z Jezierskim. Nie ma



potrzeby, bym wtrącał się w jego pracę, chyba że sam mnie o to poprosi. Jak się ma fachowca, to trzeba mu zostawić wolną rękę. W odpowiednim czasie wszystkiego się dowiem. A wtedy pan również.

Daragan schował przyborek i ponownie zaczął pykać z fajki. Zawstydzony prezydent miasta zasłonił się gęstym obłokiem dymu z cygara.

– Nie zamierzałem się w nic wtrącać, ale rozumie ekscelencja, zarządzając miastem trzeba wiedzieć, co się w nim dzieje... – zaczął się usprawiedliwiać.

– I na co to panu? – zdziwił się dobrodusznie Daragan. – Czy to zmieni bieg śledztwa? Przyczyni się do złapania złoczyńców? A może jednak sam pan zamierza ich łapać?

Towarzystwo parsknęło śmiechem. Prezydent miasta był już czerwony jak burak i marzył o tym, by znaleźć się jak najdalej stąd. W myślach przeklinał rajcę Wapińskiego, który od wielu dni go namawiał, by przy najbliższej okazji zagadnął gubernatora o postępy w śledztwie, szef policji był bowiem głuchy na pytania i apele rady miasta. Teraz biedny prezydent miasta już widział oczyma duszy te dowcipne karykatury, jakie wkrótce zapełnią strony „Kaliszanina”, gdyż jeden z młodzieńców stojących obok był rysownikiem. Na pewno wykorzysta pomysł z psem... Mój Boże, on jako pies łańcuchowy!...

– Drogi panie Przedpełski – gubernator serdecznie poklepał go po ramieniu, by złagodzić nieco swe poprzednie słowa, i zdziwił się, że prezydent miasta tak zadygotał. – Niech pan się nie martwi. Radca stanu Jezierski wie, co robi, a jeśli uzna, że sobie nie poradzi, natychmiast poprosi o pomoc. U niego nie ma fałszywej dumy. A na razie nic nie mówi, żeby nie zaszkodzić śledztwu. Dopóki nie wiadomo, kto jest sprawcą, nie ma co trąbić na prawo i lewo o tym, co się robi, bo łatwo może się okazać, że informacje docierają także do przestępcy. Sam pan wie, że trudno coś w tym mieście utrzymać w tajemnicy. Tak jak z nieudanym romansiem doktorowej Dobkowskiej... Chyba już wszyscy o nim słyszeli, jak i o tym, że mąż postrzelił gacha z myśliwskiej dwururki...? To nie była dwururka?

Daragan, dawszy w ten sposób do zrozumienia, że temat śledztwa

uważa za zakończony, zρέcznie skierował rozmowę na wygodniejszy temat, jakim były najświeższe plotki towarzyskie. Wiedział, że, wbrew pozorom, nie mogą im się oprzeć nie tylko panie. Wymianę pikantnych informacji przerwało nadejście Anny, której poprzednia radość gdzieś się ulotniła.

– Widzę, że wracasz sama, Anno – gubernator natychmiast zauważył córkę, mimo że podeszła tak cicho, iż nikt inny tego nie spostrzegł. Wszyscy jak na komendę odwrócili się w jej stronę.

„Jakże ja tego nie cierpię!”, pomyślała dziewczyna, ale знаła swoje obowiązki, więc przywołała na twarz uprzejmy uśmiech.

– Panowie widać byli już zmęczeni, bo wyjechali przed końcem pokazu sztucznych ogni – poinformowała.

– Ale nic się nie stało? – zapytał niespokojnie prezydent miasta, rzucając gubernatorowi przepraszające spojrzenie. Anna nawet nie musiała słyszeć niedawnej rozmowy prezydenta miasta z ojcem, by odruchowo przywołać na usta dyplomatyczną odpowiedź, która grzecznie kończyła temat.

– Nie, skądże. Po prostu byli zmęczeni.

– Nic dziwnego – stwierdził Daragan. – Ostatnio rzadko mają okazję pospać dłużej niż trzy, cztery godziny na dobę, a czasem nawet mniej. Organizm w końcu musi upomnieć się o swoje. Tak było w przypadku tego nieufnego ziemianina spod Koła, który nie spał sześć dni i nocy z rzędu, bo się uparł, że przyłapie żonę na niewierności. Nie wiem, czy już to panowie słyszeli?

– A tak! – wykrzyknął jeden z młodzieńców, którego nazwiska gubernator nie mógł sobie przypomnieć. – Pamiętam! To dopiero pocieszna historia! Każdego wieczora udawał...

Opowieść potoczyła się żywo już bez udziału Daragana. Towarzystwo było tak zainteresowane, że nawet nie zauważyło, kiedy gubernator z córką dyskretnie się oddalili i usiedli na stojącej kawalek dalej ławce, wciąż pozostając widocznymi, lecz poza zasięgiem słuchu.

– Nie smuć się, Anno – mówił Daragan. – Waliesza i pan Zaif nie mogli się pożegnać w czasie pokazu, nie wywołując tym samym zamieszania.

– Wiem, papo.

– To nie zwieszaj tak noska na kwintę.

– Nie zwieszam.

– Mnie nie zmylisz, córeczko.

Nastała chwila milczenia, które im jednak wcale nie ciążyło.

– Trudną sobie wybrałaś miłość, dziecko – powiedział z westchnieniem gubernator. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak, papo. Jesteśmy różnych wyznań.

– Ba! Żeby on był chociaż katolikiem, to już by było łatwiej. Ale Żyd!

Sama wiesz, jak w Rosji traktuje się Żydów. Od czasu zamachu<sup>77</sup> na poprzedniego cara, Aleksandra II, ludzie ich nienawidzą! Obecnie miłościwie nam panujący Aleksander III uczynił wszak z Żydów główny obiekt prześladowań. Sama przecież wiesz o tym dobrze?

– Wiem, papo! – powiedziała gwałtownie. – Ale to takie niesprawiedliwe! Jakub jest wspaniałym, mądrym człowiekiem o wielkim sercu i nieprzeciętnym umyśle!

– Tak, córeczko, jak wielu przed nim i po nim – ojciec starał się załagodzić jej wybuch, bo wciąż byli w miejscu publicznym. Nie chciał, by ktoś się zainteresował, o czym z takim ożywieniem rozprawiają. – Trzeba jednak brać życie takie, jakie jest i liczyć się z panującymi warunkami. Nic nie jest tak trwałe jak ludzkie przyzwyczajenia, tradycje i... przesady.

– Ale gdyby Jakub zasłużył się dla miasta? Sądzisz, że wtedy moglibyśmy się pobrać?

Gubernator westchnął, bo mimo całej sympatii dla Zaifa, którego zresztą znał głównie z entuzjastycznych opowiadań Anny i Jezierskiego, był zwykłym ojcem, który chciałby, aby jego córka zawarła małżeństwo z kimś, kto nie wzbudzałby tylu kontrowersji. Ponadto atmosfera nawet niezbyt głośnego i tylko lokalnego skandalu wcale nie podniosłaby jego notowań u bezpośredniego zwierzchnika, czyli służbisty Hurki, który jak tylko mógł, psuł mu opinię u wyższych władz. Ten byłby w stanie wszystko wykorzystać przeciw Daraganowi, byle tylko mu zaszkodzić albo chociaż dopiec. Trudno orzec, skąd w tym człowieku tyle nienawiści, zastanawiał się Daragan, może po prostu taki już ma charakter. Dla Hurki zawsze najważniejsze było wojsko. Może dlatego właśnie nienawidzili go nie tylko Polacy? Nienawiść tych ostatnich była akurat

zrozumiała, bo Hurko w lot odgadywał i spełniał życzenia cara. A że Aleksander III usiłował umocnić znaczenie języka rosyjskiego i religii prawosławnej, kosztem m.in. prześladowania języka polskiego i praw katolików za pomocą rusyfikacji, Hurko wychodził ze skóry, by z nawiązką zadośćuczynić oczekiwaniom swego cara. Toteż nie tylko kierował budową twierdz i dróg strategicznych, ale też zaciekle forsował rusyfikację i w końcu wyrugował język polski ze szkół i urzędów oraz zaostrzył cenzurę.

Gubernator westchnął.

– Musisz pamiętać o tym, że nie jestem zwykłym poddanym miłościwie nam panującego Aleksandra III, choć moje notowania na carskim dworze nie są też zbytnio wysokie. To prawda, że żyjemy z dala od głównego strumienia władzy, ale też i nie całkiem poza nim.

– Wolalabym, żeby ludzie mogli kochać, kogo zechcą!

– Cóż, kochać mogą. Gorzej z małżeństwem. Nie zawsze można poślubić tego, kogo się chce. Ciesz się, że nie jesteś księżniczką z domu panującego, bo wtedy w ogóle byś nie miała nic do powiedzenia, jeśli chodzi o małżeństwo.

Anna roześmiała się cicho, co niezmiernie uradowało jej ojca, którego była ulubienicą, choć trzeba przyznać zgodnie z prawdą, że gubernator nie mógł znieść smutku na obliczu żadnego ze swych dzieci.

– Wracajmy do towarzystwa, bo ludzie pomyślą, że coś złego się stało.

Jego niepokój okazał się bezpodstawny. Kiedy wstali i dołączyli do reszty towarzystwa, okazało się, że jest ono tak pochłonięte plotkami, że wcale nie zauważyło ich krótkiej nieobecności. Zresztą takich odosobnionych par i grup liczących od kilku do kilkunastu osób było w pobliżu więcej, wszystkie zajęte sobą. Nieopodal na przykład stali państwo Garszyńscy z rodziną Wapińskich i Zegarskich. Pani Garszyńska, prezentując na zewnątrz uśmiechnięte i beztroskie oblicze, sztorcowała właśnie szeptem swojego męża. Czarujący uśmiech kłócił się z niecierpliwym i pełnym złości uderzaniem złożonym wachlarzem o dłoń.

– Ty w ogóle nie myślisz, mój drogi! Puściłeś go samego do domu, zamiast kazać go odwieźć naszym powozem! Przyjechał z nami i nie

powinien szukać dorożki, jeśli był zmęczony i chciał wcześniej wrócić. A ty go odesłałaś jak chłopca służącego! Co sobie pomyśli jego matka! A ojczym? Ty wiesz, że jego ojczym ma trzy czy cztery browary w Bawarii? I jest podobno bardzo do niego przywiązany, traktuje go jak własnego syna! Chcesz uniemożliwić naszej córce takie korzystne małżeństwo?

– Nie pomyślałem o tym, jak Boga Kocham! – kajał się skruszony adwokat. – Ten Forster jest taki jakiś wymoczkowaty, że człowiek w ogóle o nim zapomina, ledwie odwróci od niego wzrok! Jutro pójdę do niego i przeproszę.

– I zaprosz go na obiad, na miłość boską! Kiedyż Basia ma go zachęcić do oświadczeń, jeśli ty ciągle zapominasz ściągnąć go do domu? Przecież nie mogę wciąż jej aranżować przypadkowych spotkań! Brak mi już konceptów i gdyby nie to, że Adam lubi spacerować po parku, nie wiem doprawdy, co bym mogła jeszcze wymyślić! Nasze biedne dziecko wcale by go chyba nie widywało!

– Cóż ja na to poradzę, że taki z niego odludek! – bronił się mąż, spuszczać wzrok na swoje buty, by nie widzieć lekko drwiących spojrzeń przyjaciół, którzy znakomicie wiedzieli, kiedy małżonka go łajała. – Nawet na spacerach chodzi sam...

– I bardzo dobrze! Wolałbyś, żeby się włóczył z Bóg wie kim i Bóg wie gdzie? Wtedy nasza Basia nie miałaby żadnych szans! Ty wiesz, ile jest w Kaliszu panien na wydaniu?

– No, chyba tyle, co zwykle – mruknął jej mąż, mając już szczerze dość tych wyrzutów i wracającego jak bumerang tematu zamążpójścia ich córek, który od jakiegoś czasu zmonopolizował wypowiedzi jego połowicy.

– Otóż nie! Jest ich więcej niż kawalerów, mój drogi! – wykrzyknęła pani Garszyńska i ku wielkiej uldze adwokata odwróciła się do niego plecami. To był znak, że dręczący jego połowicę wątek przeniesie się na forum publiczne, wzbudzając zainteresowanie innych pań. Tak się też stało.

– Gabrysiu – Garszyńska zwróciła się do pani Zegarskiej, rozkładając leniwie wachlarz, rzucając kryształowe błyski – pamiętasz, jak mało było

nieżonatych mężczyzn na ostatnim wieczorku tańczącym? Co to się dzieje na tym świecie! Przecież nie ma chyba żadnej wojny...

Widząc gwałtowne ożywienie dam, które natychmiast wdały się w dyskusję, mężczyźni wyciągnęli przybory do palenia i, jak nakazywało dobre wychowanie, przenieśli się od stolika na dość odległą ławkę.

Tymczasem nastąpiła chwila wytchnienia od tańców, bo orkiestra zrobiła sobie dłuższą przerwę na „przepłukanie gardeł”. Tańczący dołączyli zatem do siedzących i potoczyły się miłe pogawędki w małych grupkach lub flirty w parach. W ruch poszły wachlarze, szklanki z chłodzącymi napojami i kieliszki z winem. Tę sielską atmosferę przerwał nagły i gwałtowny incydent. Ponad szmer rozmów wybił się łoskot przewracanego krzesła, gdy jedna z dam zerwała się nagle od stolika, a w zaskoczoną ciszę wwiercił się ostry kobiecy krzyk:

– Ty szantrapo!

I choć zaraz ucichł, jako że niewiastę chwyciła męska ręka, próbując ją uspokoić, to i tak wszystkie znajdujące się w pobliżu osoby zwróciły głowy w stronę, skąd dobiegł ów elektryzujący epitet. Goście poczuli się, jakby przeniesiono ich do teatru na jakąś pikantną sztukę. Jak na komendę wpili zachłannie oczy w towarzystwo składające się z dwóch kobiet i tyluż mężczyzn, z zapartym tchem czekając na ciąg dalszy. Cóż, trzeba przyznać, że się nie zawiedli.

Czworo młodych ludzi szeptało bowiem między sobą gwałtownie i z pasją. Widać było gołym okiem, że z jakiegoś powodu emocje tam aż kipią. Było to o tyle zaskakujące, że osoby owe wyglądały na pochodzące z towarzystwa, a nie z jakiegoś półświatka. Gapie zamarli, bo oto od stolika wstała jedna z kobiet. Przy bliższym przyjrzeniu się, od razu można było zauważyć, że w jej przypadku bycie damą sprowadzało się do ciężkiego wysiłku bycia piękną.

Wystarczyło spojrzeć choćby na jej włosy. Moda wymagała, aby były długie, sięgające co najmniej kolan i kunsztownie upięte. Reklama kaliskiego zakładu fryzjerskiego Millera z 1887 roku nawet nie wspominała o możliwości ich obcięcia. W tym salonie kobieta mogła się tylko uczesać bądź, gdy natura poskąpiła odpowiednio obfitego i mocnego owłosienia głowy, zakupić „gotowe wyroby z włosów”. W niedawnym

numerze „Kaliszanina” niejaka Maria M. pisaa, iż „noszenie koków i szynionów<sup>78</sup> tak się rozpowszechniło, że na teraz przynajmniej stało się potrzebą”.

Tymczasem na kobietę, która przed chwilą wstała, rzuciła się druga, też siedząca przy tym samym stoliku, i bez żadnego ostrzeżenia chwyciła ją za kunsztownie upięty kok. Kapelusz, choć przymocowany szpilkami, odpadł pod impetem ataku i zadzierzista napastniczka mogła drapieżnie sięgnąć po całą fryzurę, z czego natychmiast skorzystała. Po czym, ku zdumieniu pilnie śledzących incydent gapiów oraz samej agresorki, nagle została z kokiem w garści! Goście wydali jednogłośnie, głębokie westchnienie pełne zarówno zaskoczenia, jak i satysfakcji, a krewka napastniczka stanęła oszołomiona, wpatrując się w trzymaną w garści zdobycz.

Zaatakowana kobieta nie od razu sobie zdała sprawę, co jej się przydarzyło, toteż odskoczyła do tyłu, zadowolona, że udało jej się wyrwać z rąk napastniczki. Dopiero po chwili zrozumiała, co się naprawdę stało, i jak tygrysica skoczyła na swą prześladowczynię, usiłując wyrwać jej kok, który w tej chwili już wcale nie przypominał koka, tylko jakieś duże, włochate i poczochrane zwierzątko futerkowe; jednak pragnienie odzyskania swej własności było widać silniejsze.

Niestety, próba odebrania zdobyczy wyrwała napastniczkę z zaskoczenia. Pisnęła z triumfem, tak głośno i przenikliwie, że wszystkim zaświdrowało w uszach, i uniosła w górę dłoń z nieszczęsnym kokiem, potrząsając nim zwycięsko niczym jakaś dzika puszczańska boginka, której udało się dopaść ofiarę. Potem zwróciła się w stronę stolika, gdzie do niedawna siedziała.

– Zobacz, co ta twoja farbowana lafirynda nosi na łbie! – wrzasnęła do jednego z mężczyzn, usiłującego bez większego powodzenia skryć się za trzymaną w obu rękach tacą po owocach. Gdy wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę, biedak nie wytrzymał napięcia i dał drapaka w pobliskie krzaki. Uczestnicy balu trwali jeszcze chwilę w oszołomieniu, wstrzymując oddech, a gdy ucichł tupot kroków nieszczęśnika, rozległo się pierwsze, nieśmiałe jeszcze, parsknięcie śmiechem. To, co po nim nastąpiło, przypominało z lekka trzęsienie ziemi lub zbiorową epidemię. Całe towarzystwo zarykiwało się, skręcało w dzikich konwulsjach

i ocierało łzy rozbawienia. Nikt nie zauważył nawet, kiedy w ślady mężczyzny poszła niewiasta pozbawiona koka, a pozostała przy stoliku para także dyskretnie wycofała się w ciemności parkowych krzewów, choć bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że mężczyzna niemal wyniósł chichoczącą triumfalnie zwyciężczynię damskiego pojedynku.

– To były chyba jakieś córy Koryntu! – zawołała odważnie, rozbawiona sceną i dużą ilością szampana pani Garszyńska, nie bacząc na ostre spojrzenie, jakie rzucił jej mąż, słysząc tak niestosowne w ustach damy słownictwo.

– Ciekawe, jaką nosiły bieliznę? – zastanowiła się pani Wapińska, której wino także uderzyło już nieco do głowy. Jej słowa spowodowały, że rajca Wapiński omal nie spadł z krzesła.

– O ile w ogóle miały jakąś bieliznę! – parsknęła Garszyńska i obie niewiasty wybuchnęły tak zaraźliwym śmiechem, że w ich ślady poszły także inne znajdujące się w pobliżu panie. Panowie już od dawna nie mieli takiej uciechy.

– Waławie, a gdzie w Kaliszu są lupanary? – zagadnęła nagle męża pani Wapińska, pragnąc zgłębić temat do reszty. – Jako rajca musisz to chyba wiedzieć?

Nieszczęsny rajca nie zdołałby odpowiedzieć, nawet gdyby chciał, tak nisko opadła mu szczeka. Za to pani Garszyńska zainteresowała się nagle wypowiedzią przyjaciółki.

– Chcesz powiedzieć, że nasi radni mają obowiązek kontrolować te... nocne ćmy? Chodzi o podatki, tak?

To spowodowało, że mężczyźni przy sąsiednich stolikach, wstrzymujący dotąd śmiech, by nie uronić ani słowa z interesującej rozmowy, nie mogli już powstrzymać wesołości. Natomiast pan Wapiński bladł i czerwieniał na zmianę tak szybko, że w każdej chwili można się było spodziewać palpacji lub wylewu. Śmiech innych gości nie odwiódł dociekliwych dam od drażenia tematu.

– No powiedzże wreszcie, gdzie w Kaliszu są zamtuzy! – przynagliła męża pani Wapińska.

– Właśnie! – zawtórowała jej adwokatowa.

– Na moście kamiennym! – zawołał jakiś obcy mężczyzna, śmiejąc się



rubasznie.

– W hotelach! – dorzucił inny.

– Ale tylko tych drugorzędnych!

Panie Garszyńska i Wapińska nie dowiedziały się już niczego więcej, ponieważ mężowie wreszcie podjęli zdecydowane kroki i wyprowadzili lekko opierające się połowice z parku.

A miały czego żałować, gdyż rozochoceni panowie zaczęli szczegółowo roztrząsać temat nagości, a właściwie jej braku, poza nagością kamiennych boginek w parku. A gdy ich małżonki stanowczo zmitygowały panów, rozmowy zeszyły na pokrewny, acz bezpieczniejszy temat kąpieli w Prośnie. Panie zachwyciły się dobrodziejstwem postawienia letnich łazienek<sup>79</sup>, pod których osłoną, nie narażając na szwank zagrożonej moralności, niewiasty mogły skorzystać z uroków kąpieli. Mężczyźni wszelako byli zdecydowanie przeciwni temu wynalazkowi, skoro kostiumy kąpielowe, najczęściej ozdabiane mało twarzowym wzorem w poprzeczne pasy, i tak szczelnie zasłaniały ciało.

## Rozdział 17

Mniej więcej kwadrans po odkryciu, kto był właścicielem znajdujących się na miejscu zbrodni odcisków palców, każdy z obu przyjaciół pędził powozem w inną stronę. Jezierski skierował się do klasztoru i bardzo był rad, że furtian jeszcze nie śpi. Nie musiał tracić czasu na szukanie go i budzenie. Zostawił pod jego pieczęcią powóz wraz z woźnicą, a sam wpadł do klasztoru, jakby się paliło, i z zadowoleniem stwierdził, że ojciec Andrzej także jeszcze się nie położył. Za to Jasiek chrapał aż miło na przytuszczonym z gabinetu gwardiana wygodnym fotelu, przykryty jego kocem. Trzeba jednak przyznać, że na odgłos głosu Jezierskiego obudził się, a właściwie zerwał na równe nogi i natychmiast zaczął wywijać mu przed nosem trzymaną w dłoni pałkę. Na jego szczęście, choć zaskoczony, w porę zdążył ją powstrzymać, nim naraził się na coś więcej niż reprimendę za spanie na służbie.

– Wracaj spać – powiedział Jezierski, nie okazując złości, co wielce zdumiało chłopaka, ale i nappełniło ulgą. – Ja posiedzę z ojcem Andrzejem. Pozwoli ojciec? – zapytał, przysuwając sobie zydeł i sadowiąc się bliżej rozłożonych na prostym, zbitym z desek stole, papierów.

– Oczywiście, zapraszam! Mam tu jeszcze łyk wina i trochę chleba z serem, któremu Jasiek nie dał rady – zakonnik wskazał wiktuały przykryte czystą ściereczką i cynowy dzbanek z winem.

– Jestem pewien, że to już druga albo i trzecia dokładka – bezlitośnie stwierdził agent, znając apetyt swojego asystenta. Zakonnik uśmiechnął się tylko pobłaźliwie.

– Może mi ojciec opowie, co tam jest w tych papierach? Udało się ojcu coś ustalić?

– A tak, chyba tak – zakonnik niespodziewanie zatarł z radością dłoń. – Nie jestem do końca pewien, ale proszę, niech pan tu spojrzy...

Pochylili się obaj nad stołem, a blask lampy naftowej oświetlał im twarze, rzucając na ściany tajemnicze, ruchome cienie. Jasiek znów cicho pochrapywał, wciąż ściskając w dłoni pałkę. Na badaniu zapisków i cichej

rozmowie minęła im godzina, potem druga i trzecia. W końcu agent zamyślił się na chwilę i rzekł:

– Pozwoli ojciec, że podsumuję. Z tych wszystkich zapisków księdza Przybylskiego, Anastazego i listów masonów wynika, że ksiądz Przybylski dawno temu schował coś w swoim kościele na prośbę masonów.

Ojciec Andrzej kiwnął głową i wyjrzał za okno. Niebo straciło swą atramentową czerń i zaczęło nieznacznie się przejaśniać. Nie był to jeszcze świt, lecz jakby jego zapowiedź. Zakonnik przetarł zmęczone oczy i zapytał:

– I co pan o tym wszystkim myśli?

Jeziarski ziewnął i przeciągnął się.

– To ma sens. Musimy tam jechać, gdy tylko zrobi się jasno.

– A nie obawia się pan, że morderca nas wyprzedzi? Może już tam jest?

Jeziarski zastanawiał się przez chwilę.

– Myśli ojciec, że domyślił się wszystkiego z tego kawałka kartki, którą udało mu się wyszarpnąć?

– Możliwe, bo to był akurat najważniejszy fragment. Musi pan też pamiętać, że on ma cały czas zapiski ojca Przybylskiego, listy masonów, książki masonów i nie wiadomo co jeszcze! Na pewno po wielokroć je studiował, podczas gdy my nawet nie wiemy, co tam jest napisane! Zapiski księdza Przybylskiego przeczytałem tylko ja, w dodatku raz i niedokładnie. Nie przypuszczałem przecież, że ktoś je zaraz ukradnie. Obawiam się, że morderca ma więcej wskazówek i nawet bez notatek księdza Anastazego może się domyślić, gdzie jest skarb.

Jeziarski pogładził podbródek, rozważając słowa zakonnika, który patrzył na niego z niemym pytaniem w oczach.

– Ale dlaczego miałby tam iść w nocy? Przecież gdyby ktoś go zobaczył, na pewno by zapamiętał takiego nocnego marksa? Poza tym szukać po ciemku nie może, musi zapalić lampę. Światło w nocy widać z daleka...

– Mimo to w nocy łatwiej się ukryć.

– Sam nie wiem – w głosie Jeziarskiego pobrzmiwało niezdecydowanie. – Obiecałem Zaifowi, że zrobimy to razem. Że też nie

udało się do tej pory zainstalować tego przekłętego telefonu! Ale poza tym właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy tam zaraz pojechali. Nic poza naszym zmęczeniem.

– A zaśnie pan teraz ze świadomością, że rozwiązanie zagadki jest w zasięgu ręki?

Jezierski zaśmiał się cicho i powziął decyzję.

– Ma ojciec rację, jedziemy. Jakub na pewno mnie zrozumie.

Wstał i delikatnie potrząsnął Jaśkiem, który spał jak dziecko, tuląc do siebie pałkę niczym ulubioną zabawkę z gałganków.

– Obudź się, Jasiek. Zaraz ruszamy szukać skarbu...

To wystarczyło, by chłopak szybko otrzeźwiał. Minęło jednak jeszcze trochę czasu, zanim udało im się odciągnąć go od stołu, z którego skrzątnie wymiatał resztki jedzenia aż do ostatniej okruszyny.

Wreszcie wsiedli do powozu, na którego kozle Pietia ziewał od ucha do ucha, mruczając pod nosem coś niezrozumiale, jednak nie pozostawiając wątpliwości, co myśli o wyjazdach o tak wczesnej porze. Jezierski wszakże nie przejął się jego humorami i huknął mu tylko, żeby zamknął gębę, jeśli nie chce oberwać w ucho, i wiózł ich do kościoła św. Mikołaja. Obrażony Pietia nie odezwał się już ani słowem, toteż zajechali na miejsce w całkowitym milczeniu.

Niebo jaśniało coraz bardziej, ale na ziemi panował jeszcze głęboki półmrok, jakby noc niechętnie ustępowała miejsca. W każdym zaułku, bramie i sklepionym przejściu czaiły się cienie. Mężczyźni rozglądali się mimo woli, jakby wśród mroku czyhało na nich nieznane niebezpieczeństwo, gotowe wyskoczyć z ukrycia w najmniej spodziewanym momencie. Wsiedli nieco wcześniej, bo Jezierski obawiał się, że stojący pod kościołem powóz wzbudzi niepokój mordercy, gdyby oczywiście był on już, czy też jeszcze, na miejscu. Starali się zachowywać cicho, co oczywiście nie całkiem im się udało. Nie było jednak tak źle, ocenił w duchu agent, sprawdzając, czy rewolwer łatwo wysuwa się z kieszeni. Poraj wytrzeszczył oczy i otworzył usta z podziwem, gdy zobaczył, co szef trzyma w dłoni. Ojciec Andrzej za to się zafrasował, ale nic nie powiedział, jeno uczynił znak krzyża.

Na rozkaz agenta Pietia wjechał w małą, boczną uliczkę, by nie rzucać

się nikomu w oczy. Miał tam czekać na nich lub na inne rozkazy. Nie był już obrażony, lecz pełen szacunku i respektu. Na gwałtowną zmianę jego uczuć wpłynęła zawartość kieszeni agenta. Tak, tak, gdy przychodzi co do czego, z Jezierskim nie ma żartów, mawiano o agencji w pałacu gubernatora i teraz Pietia nareszcie zrozumiał, co tamci mieli na myśli.

– Niech ojciec prowadzi, bo ja w tym kościele nigdy nie byłem – agent szepnął do zakonnika. – Idziemy chyba do wieży?

Zakonnik kiwnął twierdząco głową, przeżegnał się i ruszył w półmroku w stronę wejścia do zakrystii. Z kieszeni wyjął wielki klucz, którym otworzył drzwi. Zawiasy musiały być dobrze naoliwione, bo nie skrzypnęły. Stanęli w całkowitych ciemnościach, czekając aż ojciec Andrzej zapali światło. Chwilę trwało, zanim znalazł zapalki, ale wreszcie doczekali się jasnego płomyka świecy. W jej świetle zakonnik znalazł i zapalił ślepą latarnię<sup>80</sup>. Jego towarzysze rozglądali się ciekawie po wnętrzu pełnym starych, misternie rzeźbionych szaf, ale zakonnik nie pozwolił im na szczegółowe oględziny.

– Nie ma czasu, zaraz robi się jasno! – ponaglił ich. – W kościele zacznie się ruch!

Wyszli z zakrystii i ruszyli ciemną nawą w stronę chóru. Jezierski żałował, że nie ma oczu dookoła głowy, by dojrzeć najmniejszy podejrzany ruch, choć rozsądek podpowiadał mu, że tutaj nie powinno ich nic zaskoczyć.

W końcu dotarli na drugi kraniec kościoła. Po żeliwnych schodach weszli z głównej nawy na chór, aż dotarli do małych drzwiczek w murze. Schody wiodące na pierwszy poziom wieży były już drewniane. Pokrywała je gruba warstwa kurzu, w którym bystre oko Jezierskiego wypatrzyło rozmazane ślady stóp. Ktoś niedawno tamtędy przechodził.

– Nie bardzo wiem, gdzie właściwie powinniśmy iść? – idący przodem zakonnik zatrzymał się nagle i spojrzał niepewnie na agenta. Wiodące na wyższe poziomy wieży schody wyraźnie się zwężyły, gdyż zwężyła się sama wieża. – Jesteśmy chyba w dawnym archiwum miejskim<sup>81</sup>. Możemy wspiąć się jeszcze trochę, ale nie za wysoko, bo dalej nie ma już schodów, tylko drabiny.

– Wejdźmy tu – zdecydował agent. – Nigdy nie uwierzę, że na starość ksiądz Przybylski skakał niczym kozica po drabinach, by wdrapać się na sam szczyt!

Zakonnik skinął głową na znak, że się z nim w zupełności zgadza, i poprowadził ich do przestronnego pomieszczenia, które w dzień z pewnością było rozjaśnione światłem wpadającym przez duże, ostrołukowe okno. Teraz jednak wszystko tonęło jeszcze w gęstym półmroku.

Weszli w milczeniu i przystanęli, by rozejrzeć się po wnętrzu. Wypełniała je solidna drewniana konstrukcja, na której wspierały się wielkie spizowe dzwony. Agentowi trudno było uwierzyć, że znajdowało się tu kiedyś archiwum. Gdzie mieściły się przepastne skrzynie albo półki, na których spoczywały sterty dokumentów i akt, z których najstarsze podobno pamiętały jeszcze czasy lokacji miasta? Ojciec Andrzej opowiadał mu dziś w nocy, że tą skarbnicą długo opiekował się tylko jeden archiwista, zmagający się z kurzem i szybami wybijanymi przez łobuzerię i wiatr.

Porzucił myśli o starym archiwum i przyjrzał się płataninie belek. Na jednej z nich znalazł napis wyryty osiemnastowiecznym pismem: „George Gandier Anno 1722”. Pewnie nazwisko cieśli. Na innych belkach widniały już tylko rzymskie cyfry. Jezierski domyślił się, że belki oznaczano przed montażem, aby potem sprawnie złożyć konstrukcję.

Agent wciąż wodził wzrokiem po pomieszczeniu, zastanawiając się, gdzie też ksiądz Przybylski mógł ukryć skarb masonów. Wiedział, że kondygnacja, na której zawieszono dzwony, powstała stosunkowo niedawno. Zbudowano ją dopiero w 1874 roku, podczas gdy najstarsza część wieży pochodziła z drugiej połowy XIV wieku. Można ją było łatwo odróżnić – stare mury były ciemniejsze, a cegły miały bardziej nieregularny kształt. Natomiast te sprzed czternastu lat zostały już wykonane maszynowo, więc miały proste krawędzie, a ich powierzchnia nie ściemniała jeszcze, nietknięta patyną czasu. Dawną średniowieczną budowlę zniszczył pożar z 1706 roku, tak więc z wysokiej niegdyś wieży przez długi czas pozostawała tylko dolna część.

Jezierski wykalkulował, że na zdrowy rozum ksiądz Przybylski nie

mógł nic schować na wyższym poziomie, skoro za jego życia jeszcze nie odbudowano wieży po pożarze. Gdzie zatem, u licha, mógł ukryć ów skarb? Na samym dole? Z zapisków i wspomnień księdza Anastazego wynika, że nie, bo szedł po schodach. No tak. Ależ z niego głupiec. Przecież skarb mógł zostać później przeniesiony! W końcu był tam jakiś jego strażnik... Agent zdenerwował się, gdy tylko myśl ta zaświtała mu w głowie, bo to by oznaczało, że teraz skarb mógł się znajdować dosłownie wszędzie! I to wcale nie w kościelnej wieży! Ba! Nawet nie w tym kościele!

I wtedy to usłyszał. Ciche z początku chrobotanie, które przechodziło w wyraźny odgłos drapania. Jezierski przyłożył palec do ust, nakazując swoim towarzyszom milczenie, choć i tak od niemal kwadransa stali w całkowitej ciszy i niemal bez ruchu. Agent ostrożnie zrobił krok w stronę, z której, jak mu się wydawało, dobiegały odgłosy. Uważnie przyglądał się podłodze, by nie nadepnąć na jakąś spróchniałą deskę, mogącą się załamać pod jego ciężarem lub choćby tylko głośno zaskrzypieć. Przeszedł tak powolutku może z pięć kroków, gdy dostrzegł słaby i niewyraźny odbłask czegoś, co mogło być zapaloną świecą lub lampą naftową, ukrytą za jedną z grubych i szerokich belek konstrukcji pod dzwonami.

Skierował się w tamtą stronę, gestem wzywając towarzyszy, by szli za nim. Dotarcie do miejsca, z którego spodziewali się zobaczyć źródło światła, zajęło im przynajmniej dziesięć minut, posuwali się bowiem bardzo wolno, uważnie stawiając stopy. Wreszcie stanęli tuż za grubym filarem drewnianej konstrukcji i ostrożnie wyjrzel. Musieli stanowić zabawny widok: trzy głowy wystające zza belki, jedna nad drugą.

Widok, jaki ujrzeli, wydobył z usta Jaśka westchnienie, które przeraziło Jezierskiego. Był przekonany, że tajemnicza, starannie zamaskowana postać ich usłyszy. Ale to, co słyszał agent tuż przy swoim uchu, nie było głośniejsze od tchnienia wiatru. Mimo to szturchnął delikatnie podwładnego, modląc się w duchu, by chłopak nie jęknął teraz z powodu niespodziewanego kuksańca. Potem całą swą uwagę skoncentrował na intruzie.

Zamaskowana postać była szczupła i dość wysoka, choć nie przesadnie.

Na pewno nie był to nikt stary, o czym świadczyły lekkie i zwinne ruchy, gdy osobnik, bo Jezierskiemu nie mogło pomieścić się w głowie, by mogła to być kobieta, ostrożnie wyciągał cegły ze ściany, w której ział już spory otwór. Na podłodze u jego stóp stała torba i mniejszy neseser. Agent zastanawiał się, po co mu tyle niewygodnych do dźwigania rzeczy, i w końcu doszedł do wniosku, że neseserek mógł kryć w sobie narzędzia, a torba była przeznaczona na skarb, choć wcale nie wyglądała mu na pustą. Szybko porzucił te niepotrzebne w tej chwili rozważania i zaczął szykować się do ujęcia intruza. Czekał już teraz tylko na dogodny moment. Ostrożnie odwrócił głowę w stronę Poraja i na migi pokazał mu, by zaszedł tajemniczego osobnika z prawej. Zakonnikowi pokazał, że ma zostać na miejscu, czyli za plecami intruza, a sam powolutku skierował się w lewo, by zastąpić mu drogę od strony, którą prowadziła najkrótsza droga do drzwi.

Mimo iż udało im się poruszać całkowicie bezgłośnie, osobnik widać wyczuł, że coś dzieje się za jego plecami. Odwrócił się gwałtownie i wtedy agent ujrzał, że intruz trzyma w jednej dłoni drewnianą szkatułę, a w drugiej pistolet. Rzucił gorączkowe spojrzenia na otaczających go przeciwników, lecz w jego oczach agent nie dostrzegł strachu, lecz namysł i coś jakby lekkie rozbawienie. Rozwścieczyło go to i bez namysłu wyszarpnął z kieszeni swój rewolwer. Miał właśnie zamiar krzyknąć tradycyjne: „Ręce do góry!” lub „Stój, bo strzelam!”, gdy ze zdumieniem spostrzegł, że osobnik w ogóle nie patrzy w jego stronę, choć tylko on z całej trójki miał broń. Przez głowę przebiegła mu nieprzyjemna myśl, że inteligentny i pomysłowy przestępca miał już opracowany plan na wypadek takiej sytuacji.

Niemal natychmiast okazało się, że miał rację. Osobnik wystrzelił prosto w zakonnika, jednocześnie rzucając szkatułę Jaśkowi w twarz. Potem skoczył w stronę agenta, który zagrażał mu drogę do drzwi, po drodze kopiąc z całej siły w torbę, która wystrzeliła jak pocisk i uderzyła Jezierskiego w nogi pod kolanami.

Agent zdążył wystrzelić, ale właśnie w tym momencie torba ugodziła go w łydki, podcinając nogi. Nie wiedział więc, czy trafił napastnika, bo jego uwagę pochłonęło rozpaczliwe usiłowanie zachowania równowagi. Nic to



jednak nie dało i agent jak długi wylądował na podłodze, wzbijając kłęby kurzu. Jego głowa znalazła się w pobliżu ramienia leżącego zakonnika i agent z przerażeniem zauważył, że cały przód habitu tamtego jest zalany krwią. Wtedy dotarła do niego cała perfidia planu zbrodniarza. Strzelił do nieuzbrojonej, niewinnej osoby, by on i Jasiek wstrzymali się na chwilę z pościgiem i zdecydowali, co robić dalej. Czy ratować zakonnika, czy gonić napastnika. Nawet jeśli jeden z nich pobiegnie teraz za nim, ma on już sporą przewagę i być może się wymknie!

Agent zerwał się i przyklęknął przy zakonniku, by sprawdzić, jakie odniósł obrażenia. Jednocześnie kątem oka dostrzegł, że Jasiek z wytrzeszczonymi oczyma ogląda garść klejnotów, które wysypały się ze szkatuły. Na podłodze walały się nieoprawione drogocenne kamienie, sznury pereł, naszyjniki, brosze i pierścienie wysadzone klejnotami, a także wykonane ze złota lub srebra drobne przedmioty, jak tabakiery czy nieduże naczynia. Jasiek trzymał właśnie w ręku złoty kielich i usiłował odczytać umieszczony na nóżce napis wykonany gotycko-słowiańskimi literami. Nad nim widniały cztery białe orły piastowskie, pola pod nimi wypełniała emalia szafirowa. Taka sama emalia okalała dół czaszy kielicha.

– Jasiek! Do mnie! – krzyknął agent, zirytowany zachowaniem Poraja. Chłopak przecież powinien na pierwszym miejscu zajmować się ochroną obywateli i łapaniem złoczyńców, a nie podziwianiem ocalonego łupu! – Oderwij kawałek koszuli i tamuj krew! Ja muszę ścigać tego zbira, który wystrychnął nas na dudka! Po drodze wezwę dla was pomoc!

– To zabytkowy kielich z kolegiaty! – wykrzyknął podekscytowany Jasiek. – Ma z pięćset lat! Czytałem o nim onegdaj w „Kaliszaninie”. Skąd się tu wziął, skoro wywieźli go do Paryża, do naprawy?

– Jasiek! Teraz nie czas na klejnoty, choćby najcenniejsze. Ratuj człowieka! To cenniejsze niż złoto, ośle!

Gdy tylko chłopak znalazł się przy rannym, agent zerwał się na równe nogi i ruszył pędem do wyjścia. Zbiegł po drewnianych schodach aż dudniło i wpadł na żeliwne stopnie, na których omal nie zderzył się z Zaifem.

– Dobrze, że jesteś! – krzyknął agent, chwytając na moment lekarza za

ramię, by się nie przewrócić i wyminąć przyjaciela. – Na górze leży ranny ojciec Andrzej! Ratuj go, bo chyba stracił dużo krwi. Ja ścigam sprawcę. I zastrzelę drania jak psa!

I nie czekając na odpowiedź, popędził dalej, trzymając przed sobą gotowy do strzału rewolwer. Wpadł do głównej nawy i z ulgą dostrzegł, że kościelny otworzył już drzwi kościoła, więc nie musi biec dookoła przez zakrystię.

Na zewnątrz było już całkiem jasno. Ptaki radośnie świergotały w złocistych promieniach słońca, obłoczki mknęły zwawo po lekko jeszcze zaróżowionym od wschodu niebie. Istna sielanka, mocno kontrastująca z wydarzeniami, które rozegrały się na wieży. Agent przystanął, by zastanowić się, co robić dalej. Po zbiegu nie było już śladu, a on przecież nie wiedział, dokąd pobiegł. Czy aby na pewno? Jezierskiemu przyszło do głowy, że tamten musi teraz jak najszybciej opuścić miasto. Miał przecież nawet ze sobą torby z rzeczami... Dopiero teraz agent uświadomił sobie, że były to torby podróżne, zatem morderca chciał uciec natychmiast po wydobyciu skarbu. Ale skarb przepadł, bo agent na własne oczy widział rozrzucone po zakurzonej podłodze klejnoty. Złoczyńca nie miał więc powodu, by dalej ryzykować, lecz powinien jak najszybciej opuścić Kalisz. Musiał się jednak liczyć z tym, że Jezierski postawi całą policję na nogi, by zablokować miasto, a potem zawiadomi wszystkie okoliczne posterunki, każe obstawić drogi i powiadomi straż graniczną.

„Myśl, Walery, myśl”, ponaglał się gorączkowo. „Którędy byś opuścił miasto, będąc na jego miejscu?” Wtedy jak błyskawica przeleciała mu po głowie myśl o lochach. Przecież morderca ukradł ich mapę. Jezierski dobrze pamiętał, że wejście do nich prowadziło z refektarza. Lochy ciągnęły się pod rzeką, w kierunku Rypinka i Starego Miasta.

Namacał ręką wewnętrzną kieszeń surduta, by sprawdzić, czy ma tam odręczną mapę, nakreśloną tej nocy ręką ojca Andrzeja. Gdy wyczuł pod palcami gruby papier, uspokoił się i zwawym krokiem poszedł szukać powozu, który powinien stać niedaleko w bocznej uliczce. Uliczka nazywała się chyba Grodzka i łączyła się bezpośrednio z Kanoniczną, przy której stała katedra. Zakładał, że zabójca uciekał pieszo, bo nie widział żadnego środka lokomocji, więc nawet jeśli mógł biec na skróty, przez

bramy i podwórka, to nie powinien być w klasztorze dużo wcześniej od niego.

„Raz kozie śmierć”, pomyślał, machając do Pietii, który siedział na koźle i kurzył jakąś podłą machorkę, buchając kłębamii dymu niczym lokomobila lub bez mała parowóz! Ten dostrzegł swego szefa i zaraz zaciął konia. Powóz potoczył się w stronę agenta, który wskoczył do niego w biegu i kazał wieźć się czym prędzej do klasztoru Franciszkanów.

Jako że ścisłe centrum Kalisza nie było zbyt rozległe, na miejsce dotarli szybko, choć powóz nie pędził na złamanie karku, bo to niechybnie zwróciłoby powszechną uwagę. Co prawda o tej porze spotkać można było głównie zamiatających ulice dozorców, dostawców mleka i idące na targ gospodynie, ale i tak robiło się już w miarę tłoczno i gwarno.

Jeziński kazał Pietii wprowadzić powóz na klasztorne podwórko przy stajni, a sam wbiegł do środka. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności natrafił na brata Ambrożego, spieszącego do szkoły. Zatrzymał go i krótko poinformował o ostatnich wydarzeniach. Zakonnik obiecał, że natychmiast wyśle pomoc do katedry św. Mikołaja, więc agent pobiegł do refektarza. Znalazł zamaskowane drzwi, chwycił kilka świec ze stołu i wrzucił je do kieszeni. Jedną zapalił i natychmiast zagłębił się w mroczne czeluście zapomnianych lochów. Po drodze co chwilę rzucał okiem na plan, sprawdzając, czy dobrze idzie. Miał tylko nadzieję, że wskazówki ojca Andrzeja będą na tyle jasne, że nie zabłądzi i dopadnie mordercę, zanim tamten zdąży wydostać się z lochów. Agent nie mógł się zaciąć na niego przy wyjściu z boku, gdyż było ich kilka. Nie wiedział, które wybierze morderca, i nie miał czasu na zawiadomienie swoich ludzi, choć cyrkuł był o krok od klasztoru.

Ściany lochu były ceglane. Pod nogami miał ubitą ziemię utwardzoną pokruszoną cegłą, choć gdzieś tam pozostały jeszcze fragmenty oryginalnej posadzki z kamiennych płyt. Franciszkanie nie mieli jednak dość pieniędzy, by odgruzowane lochy odremontować równie solidnie, jak je niegdyś zbudowano. Musiał jednak przyznać, że to, co udało się zrobić ojcu Andrzejowi i jego zaufanym robotnikom, było wykonane starannie.

Z powodu bliskości rzeki ziemia nasiąkła wilgocią, która przesączała się poprzez porowatą cegłę. W lochu było więc mokro, w niektórych

miejskach po ścianach ściekały wręcz strużki wody, tworząc tu i ówdzie błotniste kałuże. Agent nie zwracał na nie uwagi, podobnie jak na kapiący ze świecy gorący wosk, który parzył mu dłonie. Szedł szybko, rozglądając się uważnie na boki i wyglądając jakiegoś światełka, które by zwiastowało niedaleką obecność zbiega. Musiał przy tym uważać na fałszywe boczne odnogi, kończące się ślełą ścianą, przez które tylko by zmarnował cenny czas.

Gdy już niemal stracił nadzieję, los wreszcie się do niego uśmiechnął. Zobaczył daleko przed sobą poruszający się blask. Czym prędzej zdmuchnął własną świecę i ruszył przed siebie, wyciągniętą lewą ręką macając ściany, dopóki wzrok mu się nie oswoił z ciemnością. Nie chciał się zatrzymywać i tracić czasu, bo drogę i tak wskazywał mu nikły poblask lampy lub świecy ściganego.

Jeziński parł przed siebie, z zaciśniętymi zębami, gotów gołymi rękoma schwytać i obezwładnić znieprawionego mordercę. W uszach mu szumiało z podniecenia, a przez głowę przelatywały setki myśli. Nie zdecydował, co zrobi, gdy dogoni łotra, postanowił zdać się na okoliczności.

Już po dwudziestu krokach odbłask światła zrobił się dużo jaśniejszy, co świadczyło o tym, że zbieg porusza się dość powoli. „Pewnie drań co chwilę spogląda na mapę!”, pomyślał agent, wyciągając nogi. Po następnych piętnastu krokach usłyszał przyspieszony oddech ściganego, ale jego samego zasłaniał załom muru, gdyż w tym akurat miejscu droga skręcała w prawo. Agent postanowił to wykorzystać. Opadł na czworaki i ostrożnie wyjrzał zza węgła.

Okazało się, że dobrze zrobił, ponieważ zamaskowany zabójca akurat się odwrócił, by sprawdzić, czy nikt za nim nie idzie. Na szczęście patrzył tylko przed siebie, nie opuszczając wzroku, inaczej musiałby dostrzec głowę Jezińskiego. A tak, nie zobaczywszy nikogo, uważnie przyjrzał się trzymanej w ręku mapie, zamruczał coś do siebie i znów powoli ruszył naprzód. Jeziński, zgięty niemal wpół, chyłkiem podążył za nim, systematycznie zmniejszając dystans dzielący go od ściganego, aż wreszcie znalazł się tuż za nim. Tamten akurat znów się zatrzymał, by sprawdzić mapę, co Jeziński natychmiast wykorzystał. Wyprostował się

i błyskawicznie założył mu półnelsona, jedną ręką przyginając kark schwytanego ku ziemi, a drugą boleśnie wykręcając mu ramię.

Unieruchomiwszy niczego niespodziewającego się wroga, wyciągnął z kieszeni kawałek sznura, w który przezornie zaopatrzył się przed wyprawą, i naprędce oplótł nim najpierw prawy, a potem lewy przegub zbrodniarza. Dokonawszy tego, niezbyt delikatnie cisnął swą zdobycz na ziemię i usiadł obok, opierając się o ceglaną, wilgotną ścianę. Chciał uspokoić oddech i spojrzeć na mapę, by znaleźć najbliższe wyjście.

Nie spodziewał się bynajmniej, że zdesperowany morderca poderwie się na nogi i zacznie uciekać, mimo skrępowanych z tyłu rąk. Zaskoczony agent zaklął i ruszył za nim w pościg. Doprawdy ten podlec poruszał się zadziwiająco szybko! Czy nic nie jest w stanie go zatrzymać? Jezierski miał już serdecznie dość męczącego pościgu, wyjął więc rewolwer, by strzelić nad głową zbiega i krzyknąć, by stanął. To powinno go zatrzymać, bo drugi strzał na pewno byłby wymierzony w samego uciekiniera, z czego tamten musiał sobie zdawać sprawę!

Los jednak zadecydował inaczej. W momencie gdy agent naciskał spust, pod jego nogą znalazł się akurat duży odłamek cegły, wystający bardziej niż inne z podłoża. Agent potknął się o niego i poleciał do przodu, starając się zachować równowagę. To sprawiło, że pocisk nie poszedł w górę, lecz dużo niżej, trafiając ściganego w sam środek pleców. Ten wrzasnął dziko i runął na twarz.

Jezierski stanął nieruchomo i zaskoczony wpatrywał się chwilę w leżące przed nim nieruchome ciało. Potem powoli podszedł i pochylił się nad leżącym. Odwrócił go na plecy i spojrział. Od razu wiedział, że nie ma po co wzywać pomocy. Mężczyzna już nie żył.

Agent poczuł nagły przypływ zmęczenia i siadł bezwładnie pod ścianą. Musiał się zastanowić, co robić dalej. Sprawca już nigdzie nie ucieknie, więc nie ma pośpiechu, ale trzeba go w końcu wyciągnąć z tego lochu, a on nie czuł się teraz na siłach, by zrobić to samemu.

Nie wiedział, ile czasu tak przesiedział, nim usłyszał za sobą narastający gwar ludzkich głosów. Przez chwilę zmroziła go myśl, że morderca miał współnika, sami przecież rozważali taką możliwość, ale nie udało się jej ani potwierdzić, ani zaprzeczyć. Jednak po chwili wyraźnie

usłyszał, że ktoś woła go po imieniu, a chwilę później zobaczył wyłaniającą się z mroku twarz Zaifa. Jeszcze moment i mógł zobaczyć całą jego sylwetkę. Wtedy dostrzegł też, że na ramieniu medyka wspiera się ojciec Andrzej z ręką na prowizorycznym temblaku. Nadal miał na sobie zakrwawiony habit.

Obaj nadchodzący odetchnęli z wyraźną ulgą, widząc agenta żywego, choć umazanego błotem jak nieboskie stworzenie. Ich rozjaśnione radością twarze napelniły go otuchą i wzruszeniem. Ktoś jednak martwił się o niego i spieszył mu z pomocą! Nie był do tego przyzwyczajony, gdyż do tej pory ludzie raczej oczekiwali pomocy od niego. To naturalne, wszak policjant każdemu wydaje się niezniszczalny. Ot, taka maszyna do ścigania przestępców i obrony obywateli, jakby nie do końca człowiek... „Cóż to za dziwaczne myśli przychodzą mi do głowy!”, pomyślał zirytowany, odpędzając je czym prędzej.

Tymczasem przyjaciel i zakonnik stanęli tuż przed nim.

– Żyjesz! – zawołał z ulgą Zaif. – Słyszeliśmy strzał, a byliśmy jeszcze tak daleko! Baliśmy się o ciebie, Walery!

Jeziński wstał i otrzepał ubranie, co było gestem czysto symbolicznym. Odetchnął, by nie zdradzić głosem wzruszenia.

– Nic mi nie jest. Ale niechcący drania zastrzeliłem. Szkoda. Ominie go sąd i szubienica.

– Przecież chciałeś go zastrzelić? – zdziwił się doktor.

– Tylko tak mówiłem, bo byłem wściekły. Los oszczędził mi publicznego pohańbienia i oczekiwania na śmierć, a ja sądzę, że tylko publiczna rozprawa i ogólne potępienie są początkiem odpowiedniej kary, kiedy taki łotr wie, że całe społeczeństwo go nienawidzi, a śmierć nieuchronnie się zbliża. A tak? Szast-prast i pewnie nawet nie poczuł, że nie żyje! W ogóle drań nie cierpiał!

– Wiedziałem, że Bóg nie dopuści, by zbrodniarz uszedł cało – oznajmił spokojnie ojciec Andrzej, pochylając się nad zwłokami. – Z sądami różnie bywa. Mógł uciec...

– To prawda – przyznał agent. – Jak żyję, nie spotkałem takiego śliskiego piskorza jak ten tu! Uciekał znakomicie, muszę mu to przyznać.

– Nosił wilk razy kilka... – zaczął sentencjonalnie medyk, ale przerwał

mu zakonnik.

– Ale kto to właściwie jest?

Zaif z Jezierskim spojrzeli na siebie w niemym zaskoczeniu. Dotarło do nich, że do tej pory żaden z nich nie wypowiedział na głos nazwiska mordercy!

– Niech ojciec sam zobaczy – powiedział agent, podchodząc do ciała uciekiniera i zrywając mu czarną chustę z twarzy.

## Rozdział 18

Dwa dni później w pałacu gubernatora zebrało się niewielkie grono osób związanych w jakiś sposób ze śledztwem. Oprócz samego Daragana i jego córek, w salonie był jeszcze ojciec Andrzej, Zaif i oczywiście Jezierski. Tylko tym osobom agent do specjalnych poruczeń zgodził się zdać osobistą relację z końcowej fazy śledztwa, które wreszcie zdołał pomyślnie zakończyć, wyjaśniając przy tym większość wątków i spraw, o których przedtem nie wiadano.

Wszyscy siedzieli wokół suto zastawionego stołu, na którym stały półmiski z kanapkami i zimnymi mięsiami, patery owoców, ciast, a także wino. Obok syczał samowar, a z pękaty, porcelanowych dzbanków unosił się aromatyczny zapach świeżo zmielonej i zaparzonej kawy. Byli zaopatrzeni we wszystko, co niezbędne do wygodnego wysłuchania ciekawej opowieści, jaką snuł radca stanu, od czasu do czasu wspomagany przez przyjaciela, Jakuba Zaifa.

Jezierski starał się wszystko zrelacjonować w takim porządku, w jakim śledczy poznawali fakty, na koniec zostawiając to, czego się dowiedział, badając rzeczy pozostawione przez mordercę. Dopiero one pozwoliły poznać motywy jego postępowania, a cała ta nieprawdopodobna historia stała się wreszcie zrozumiała.

– No to kiedy właściwie zorientowaliście się, kto jest mordercą? – zapytał gubernator, gdy agent skończył pierwszą część opowieści i zamilkł na chwilę, by napić się herbaty. – Naprawdę niczego wcześniej się nie domyślaliście?

Jezierski przełknął kęs tartinki.

– Prawdę mówiąc, dopiero odciski palców z obrazu upewniły nas, kto jest mordercą. Przyznaję, wcześniej go nie podejrzewałem, choć teoretycznie brałem pod uwagę jako osobę niemającą pełnego alibi. Nigdy jednak na poważnie. Wydawał się taki bezbarwny i nieporadny! Jakub zaczął go podejrzewać troszkę wcześniej...

– Jak to? – wykrzyknęła zarumieniona Anna, dumna, że jej wybrane



był odrobinę szybszy niż taki stary wyga, jak wujek Waliesza.

– Powiedz sam, Jakubie.

– To nic ważnego...

– Niechże nas pan nie trzyma w niepewności – zachęcił go gubernator z życzliwym uśmiechem.

– To było na początku balu, gdy goście jeszcze się schodzili. Forster stał już z Garszyńskimi, a Walery dał im odczuć, że za nimi nie przepada – medyk ostrożnie zerknął w stronę przyjaciela, ale ten tylko się uśmiechnął pod nosem. – Zrobiło mi się ich trochę żal. Podeszedłem więc, by chwilę porozmawiać. Forster wydawał się taki zakłopotany, nikt nie zwracał na niego uwagi. Ścisnął wtedy w rękach te swoje binokle z zausznikami, które upuścił. Podniosłem je i zaczęliśmy rozmowę o wadach wzroku i tych dziwnie wyglądających binoklach. On się wtedy trochę odprężył i opowiedział mi, że jest krótkowidzem i że w Niemczech wyrabia się już takie binokle, zwane okularami, które nie spadają z nosa. Mniejsza z tym. Wówczas zapytałem, czy mógłbym te okulary przymierzyć i wtedy zauważyłem coś dziwnego. Otóż mam doskonały wzrok, więc przymierzając szkła korekcyjne, widziałbym wszystko zamazane. A w tych nadal świetnie widziałem! Przyznaję, że nie od razu to do mnie dotarło. Cały czas jednak coś nie dawało mi spokoju. W końcu zrozumiałem, że Forster udaje tylko, iż ma wadę wzroku, ale po co miałyby to robić? Zazwyczaj tak zachowują się ludzie, którzy podają się za kogoś innego albo chcą, by wszyscy myśleli, że są nieporadni jak zwykle nieszkodliwe mole książkowe... Wtedy zrozumiałem, że byłaby to świetna maska dla naszego mordercy. Niezwracający na siebie uwagi, niepozorny i niedowidzący sekretarz prawnika i zbieracza osobliwości. Nikomu by nawet przez myśl nie przeszło, że to on jest tym zwinnym, nieuchwytnym zabójcą! Wtedy zacząłem go na serio podejrzewać.

– Cicha woda brzegi rwie! – stwierdził sentencjonalnie zakonnik.

– A pozory często mylą! – dorzucił z uśmiechem medyk.

– Tak, tak, w tych porzekadłach tkwi prawda uniwersalna – stwierdził zakonnik. – Przynajmniej tak mnie zapewniał niedawno ojciec Ambroży. Ale wracając do tematu, proponuję, by pan agent do specjalnych poruczeń wyjaśnił nam wszystko, co ostatnio odkrył, bo podobno jest tego

niemało? Nie kryję, że rad bym się dowiedzieć...

– Właśnie – gubernator zgodził się z nim skwapliwie. – Przejdźmy od razu do sedna sprawy. Na początek powiedz nam, Waliesza, dlaczego ten młody człowiek zabijał wszystkich jak opętany? Nie mógł ich tylko ogłuszyć?

– No cóż. Myślę, a właściwie jestem pewny, że robił tak po części z lenistwa, a po części z przeczności. Przynajmniej tak wynika z dziennika, który sumiennie prowadził.

Odpowiedziały mu okrzyki zdumienia i niedowierzania.

– Tak, tak. Adam Forster prowadził dziennik, w którym opisywał wszystko ze szczegółami...

– Ale dlaczego? – przerwał mu Daragan, który nie mógł wyjść ze zdumienia. – Przecież gdyby to wpadło w niepowołane ręce, to sam by sobie założył strzykawkę na szyję!

– To prawda, ale on, jak każdy morderca, był bardzo próżny i przekonany o tym, że nikt go nigdy nie złapie. Muszę przyznać, że miał ku temu podstawy, bo mimo młodego wieku był niezwykle inteligentnym i przez to niezwykle trudnym przeciwnikiem. Najważniejszą jednak przyczyną pisania dziennika był fakt, że Forster chciał przystąpić do pewnego sekretnego bractwa. Część zdobytego skarbu masonów oraz jego osobiste... hm... „dokonania” miały być jego przepustką.

– Powiedziałeś „część skarbu”? – zdziwił się Zaif.

Jezierski roześmiał się.

– Nic ci nie umknie, Jakubie. Tak, powiedziałem, że bractwu, do którego chciał wstąpić, zamierzał dać tylko część skarbu. Resztę przeznaczał na użytek swój i rodziny. Jego ojczym bardzo chciał zdobyć ten skarb masonów, ale że sam również należy do owego bractwa, zadowoliliby się tylko jego częścią.

– A cóż to za dziwne bractwo, które z odebrania ludzkiego życia uczyniło zasługę?! – ojca Andrzeja w ogóle nie interesował podział łupu, tylko śmierć tylu niewinnych osób.

– Bractwo Czarnej Słońca. Przynajmniej on tak je nazywał w swoim dzienniku.

– Nigdy nie słyszałem o takim bractwie! – zdziwił się zakonnik. –

A wy?

Wszyscy zgodnie pokręcili głowami, łącznie z Jezierskim.

– Teraz nowe bractwa i stowarzyszenia wyrastają jak grzyby po deszczu – stwierdził agent. – Specjalny wydział policji ma je na oku, bo wiele z nich założyli zwykli anarchiści, którzy chcą podstępem i przemocą zburzyć panujący ład. Dlatego przygotowują zamachy na głowy państw lub innych znanych ludzi.

– I co ochrona wie o tym bractwie? – zapytał gubernator.

– Nie wiem, jeszcze nie dostałem od nich odpowiedzi.

– W takim razie zostawmy na razie ten wątek i zajmijmy się tym, co nas bezpośrednio dotyczy.

– Oczywiście – Jezierski w tym akurat punkcie był zgodny z szefem, zatem chętnie powrócił do przerwanej opowieści. – Forster robił zapiski w dzienniku przynajmniej raz dziennie, czasem częściej. Z nich dowiedziałem się wszystkiego, o czym wcześniej nie miałem – bo i nie mogłem mieć – pojęcia. Potwierdziły się też niektóre moje lub Jakuba podejrzenia.

– Mówże, radco, mów – zakonnik nie mógł usiedzieć na miejscu.

– No to usiądźcie wygodnie i przygotujcie się na dłuższą opowieść pełną przemocy, pychy, arogancji i zła. Ten niepozorny młody człowiek był mieszanką wszystkich wymienionych cech. Jedyną zaletą, jaką w nim znalazłem, była jego inteligencja. On oczywiście widział to zupełnie inaczej, miał się niemal za Boga...

– Biedny człowiek, będę modlił się za jego duszę.

Gdy ojciec Andrzej wygłosił to niespodziewane oświadczenie, pozostali spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Rozumiem, że osoba duchowna ma w sobie więcej miłosierdzia niż inni, ale czy ojciec trochę nie przesadza? To był jednak bezlitosny zabójca!

– Właśnie dlatego potrzebuje więcej modlitw niż zwykły człowiek...

– Mniejsza z tym – przerwał im z lekka zniecierpliwiony gubernator. – Mów dalej, Waliesza. I powiedz mi wreszcie, czemu on zabijał, choć nie musiał?

Walery westchnął, twarz mu spoważniała.

– Podstawowy powód był bardzo prozaiczny. Przede wszystkim chronił siebie, bo nie chciał zostać złapany. Był próżny, to prawda, ale nie na tyle, by ryzykować. Może z czasem stałby się mniej ostrożny, ale jeszcze nie teraz. Poza tym nie był głupi. Postanowił nie zaniedbywać niczego i narażać się na zdemaskowanie tylko w ostateczności. Jego tok rozumowania był następujący: kiedy można mieć pewność, że świadek nie rozpozna przestępcy? Tylko wtedy, gdy jest martwy. Wolał zatem zabijać wszystkich, z którymi się zetknął podczas swego węszenia, by nikt nie mógł naprowadzić na jego ślad, choć przecież nie wszyscy znali go osobiście.

– Na pewno nie nasi bracia, ojciec Mateusz i Bonawentura! – zawołał zakonnik.

– I chyba nie Żebrowski – dorzucił Zaif.

Jezierski uśmiechnął się do Jakuba.

– Do Żebrowskiego przejdę później, bo faktycznie to nie Forster go zabił.

– Jak to?! – rozległy się okrzyki.

– O tym za chwilę. Wróćmy do Forstera. Wojtek też go nie znał. Widział go za to Nowak, znał Garszyński i wdowa Radziejowska.

– Czyli zabijał wszystkich, od których chciał wyciągnąć jakieś informacje oraz tych, którzy wiedzieli, że robi coś niezgodnego z prawem? – upewnił się gubernator. – Dlaczego jednak zabił państwa Garszyńskich? Przecież mieszkał u nich, miał dostęp do całej kolekcji pana domu. Nie musiał się nawet włamywać. Czemu ich więc zabił i dlaczego akurat wtedy, a nie wcześniej lub później?

– Tego nigdy byśmy się sami nie domyślili – przyznał agent – gdyby nie dziennik Forstera. Z tej prostej przyczyny, że nie planował ich zabijać.

Rozległ się zbiorowy okrzyk zdumienia. Jezierski uśmiechnął się zadowolony, że wciąż potrafi ich czymś zaskoczyć.

– Otóż chciał on koniecznie sprawdzić zawartość skrytki w domu pani Radziejowskiej – kontynuował agent – a nie potrafił się do niej włamać, nie budząc całego domu. Wiedział, że Garszyński nie trzyma klucza w domu, tylko w depozycie bankowym. Czekał więc, aż prawnik zacznie przygotowywać spis inwentaryzacyjny majątku wdowy i przyniesie klucz

do domu. Chciał go tylko „pożyczyć” i pierwszy przejrzeć zawartość skrytki. Miał swoje informacje, że może tam być coś dla niego cennego, no i było. List, w którym jednoznacznie wskazano miejsce ukrycia skarbu, a właściwie jego przeniesienia. Skarb bowiem pierwotnie znajdował się w innym miejscu i dopiero kilkadziesiąt lat później przeniesiono go gdzie indziej. Tak więc Forster dostał w ręce to, czego z trudem poszukiwał od wielu miesięcy i przez co tyle osób straciło życie! Od samego początku ta informacja była w domu wdowy, która o tym nie wiedziała. Zabił ją, by móc przeszukać dom, ale nie miał pojęcia o skrytce za obrazem, bo sam Garszyński o niej zapomniał! Przypomniał sobie dopiero, gdy z nami rozmawiał, pamiętasz, Jakubie?

Zaif skinął głową i zapytał:

– Podśluchiwał nas wtedy?

– Nie przez cały czas, bo został wtedy z kobietami przy stole. Ale wychodził dwa lub trzy razy pod różnymi pretekstami.

– To skąd wiedział, że w tej skrytce jest to, czego szukał?

– Wiedział tylko, że coś jest w posiadaniu wdowy, nie wiedział gdzie. Gdy początkowo nic u niej nie znalazł, zaczął szukać wskazówek w innym miejscu. Musiał znaleźć sposób, by ustalić miejsce ukrycia skarbu.

– To co się w końcu stało u Garszyńskich? – przerwał im zniecierpliwiony już gubernator. – Ciągłe zmieniacie temat i nie odpowiadacie na moje pytanie! – poskarżył się.

– Forster postanowił wyjechać do Dobrzycy, która miała być jego alibi i gdzie przy okazji liczył na znalezienie jakichś wskazówek. Stamtąd zamierzał zrobić nocny wypad do Garszyńskich, by wykraść klucz, który prawnik już przyniósł z banku, ale wciąż nie miał czasu sprawdzić skrytki. Gdyby Garszyński zauważył kradzież, zanim on podrzuci klucz z powrotem, nikt by go nie podejrzewał. Był przecież w Dobrzycy, więc nie mógł tego zrobić.

– No i co się stało?

– Zwykły pech. Po północy Garszyński się obudził i nie mógł już zasnąć, co nie było niczym dziwnym, często bowiem cierpiał na bezsenność. Forster o tym nie wiedział, bo przecież nie spali w jednym pokoju, a nie było powodu, by starszy mężczyzna zwierzał mu się ze swych kłopotów

zdrowotnych. Poszedł więc, jak zwykle w takich razach, do swojego gabinetu. Tam mógł swobodnie palić cygara, pić koniak lub wino, a przede wszystkim podziwiać swoją kolekcję.

– I zastał tam Forstera?! – wykrzyknął podekscytowany gubernator, mając nadzieję, że wreszcie wykaże się choć odrobiną domyślności.

Jezierski przytaknął z kamienną twarzą.

– Otóż to. Forster był, jako się rzekło, nader bystry, więc na poczekaniu zaserwował mu jakąś bajeczkę, ale wiedział, że nawet jeśli prawnik w tej chwili mu uwierzy, to już nazajutrz zaczną go dręczyć wątpliwości i podejrzenia. Włał mu więc niepostrzeżenie truciznę, którą zawsze nosił ze sobą w małym flakoniku. Sam, a właściwie przy pomocy Żebrowskiego, zrobił kiedyś ekstrakt z korzenia szaleju jadowitego, by móc w razie schwytania przez policję popełnić samobójstwo. Okazało się jednak, że jad nie był dość silny. Kiedy więc uznał, że Garszyński może przeżyć, ściał mu głowę. Użył do tego nie maczety, lecz jatagana, takiej specyficznej tureckiej szabli o zakrzywionym ostrzu. Był w kolekcji prawnika.

– A żona Garszyńskiego?

Agent westchnął z przygnębieniem.

– Jak pech, to pech. Zanim morderca wyszedł, musiał się umyć. Lecąca w łazience woda obudziła panią Garszyńską. Gdy zobaczyła go całego we krwi, zaczęła krzyczeć i uciekać, więc rzucił się za nią i zadał szereg ran nożem, który miał zawsze przy sobie. Potem zaniósł ciało do łazienki, by nie leżało na widoku, i zostawił na podłodze.

– To straszne! – wykrzyknęła ze zgrozą Anna. Przygnębienie zakonnika pogłębiło się, ale dalej odmawiał szeptem modlitwy za zabójcę, choć teraz głos mu wyraźnie drżał.

– A co z panią Radziejowską? Nie mógł jej po prostu okraść?

– Raz próbował, ale nic nie znalazł. Umordował się wtedy nieźle, bo nie chcąc, by zauważyli, że ktoś przetrząsał mieszkanie, wszystko odkładał na miejsce. Zajęło mu to tyle czasu, że nie zdążył przejrzeć wszystkiego. Miał jeszcze nadzieję, gdy wezwała Garszyńskiego, by obejrzał skrzynię z książkami, ale tam też niczego nie znalazł. Wpadł więc na pomysł, żeby ją zabić, by Garszyński, jako jej pełnomocnik, musiał zrobić spis inwentaryzacyjny majątku. Wtedy miałby do niego dostęp. Upozorował

przy tym samobójstwo wdowy, żeby policja za bardzo nie węszyła w tej sprawie.

Agent zamilkł na chwilę, bo zaschło mu w gardle. Pociągnął łyk herbaty i widząc wpatrzone w siebie oczy całego towarzystwa, zaraz jął mówić dalej.

– No i Garszyński spis zrobił. Tyle że, choć rozmawiał o skrytce z nami, to znaczy ze mną i Jakubem, wciąż ją zapominał sprawdzić. W końcu sobie przypomniał, gdy już ukazały się ogłoszenia o licytacji. Niestety, skończyło się to tragicznie, mimo że morderca miał nadzieję, iż zdąży wszystko sprawdzić przed prawnikiem.

– Przykra historia – gubernator pokiwał głową ze smutkiem.

– Tak, Forster bardzo ubolewał w swoim dzienniku, że musiał zabić państwa Garszyńskich. Na swój sposób przywiązał się do nich, chociaż prawnik go wykorzystywał. Dzięki temu jednak miał oficjalny dostęp do wielu informacji, zbiorów i książek. Wymarzona sytuacja.

– Wyjaśnij teraz, czemu zabił zakonników? – polecił gubernator.

– Wtedy szukał innych wskazówek i miał nadzieję znaleźć je w bibliotece klasztoru. Z informacji, jakie dostał od bractwa, wiedział, że część książek przeniesiono do kościoła św. Mikołaja. Traf jednak chciał, że akurat niedawno oddano je franciszkanom. Dostał się więc podstępnie do klasztoru, wykorzystując do tego celu Nowaka, a ten z kolei Wojtka. Forster chciał z bibliotekarza torturami wymusić informacje o pewnych książkach. A że bibliotekarz nie był sam, bo towarzyszył mu ojciec Bonawentura... Cóż, jeden więcej czy mniej... Tym razem nie musiał ukrywać swoich zabójstw, bo już wiedział, że policja dzięki doktorowi Zaifowi nie uwierzyła w rzekome samobójstwa i szuka mordercy. Lecz najważniejsze, że się spieszył, więc nie miał czasu przeszukiwać całej biblioteki, no a życie ludzkie, jak już tego dowiódł, było dlań niczym. Wcześniej przecież zabił stolarza Nowaka, głównie dlatego, że tamten go widział i z nim rozmawiał. Próbował zabić Wojtka, bo bał się, że stolarz mógł mu coś powiedzieć o osobie, która go przekupiła...

– A to drań! – wykrzyknął ojciec Andrzej, nie mogąc już powstrzymać oburzenia. – Żal mi go, ale gdy pomyślę o Wojtusiu i o tym, co przeżyła jego biedna matka...

– Każdy z zabitych miał kogoś bliskiego...

– To prawda – wyszeptał zakonnik. – Cóż, będę się dalej za niego modlił, skoro już zacząłem. Bogu by się nie spodobało, gdybym tak co chwila zmieniał zdanie. Ale też nie zapomnę o modłach za ofiary.

Jezierski uśmiechnął się dyskretnie, zauważywszy kątem oka, że i Zaif spuszcza szybko wzrok.

– Jak się ten piekielnik dostał do klasztoru wtedy, gdy zaatakował Wojtusia? I dlaczego? – zapytał ojciec Andrzej. – I skąd tyle rzeczy wiedział?

– Wojtka chciał zabić na wszelki wypadek. A klucze ukradł ojcu Mateuszowi. Myśmy wtedy nie wpadli na to, by sprawdzić, czy coś nie zginęło zamordowanym zakonnikom.

– Miał szczęście, bo nie każdy zakonnik ma klucze od klasztoru – stwierdził ojciec Andrzej. – Mają je tylko ci, którzy muszą często wychodzić. A wtedy akurat ojciec Mateusz odbierał nasz księgozbiór, uzupełniał go o nowe pozycje. Dopóki biblioteka się nie powiększyła, nie miał klucza. A skąd wiedział, co robimy? Wszak zawsze był krok przed nami?

– Wiedział o wiele więcej od nas, już gdy tu przyjechał. Bractwo Czarnego Słońca dobrze go przygotowało na tę wyprawę. Wielu członków tego stowarzyszenia było przedtem w masonerii, mnóstwo rzeczy więc wiedzieli, mieli różne dokumenty. Niektóre po swoich przodkach, którzy też byli masonami, tak jak jego ojczym, a przedtem ojciec. Ten był nawet w ścisłym gronie wtajemniczonych, tylko że jako niezwykle chciwy człowiek, postanowił skarb przejąć. Znał trasę i wynajął kilku zbirów. Na szczęście spisek wykryto w porę i ostrzeżono kuriera, a starego Forstera wydano z masonerii za zdradę. Stąd Forsterowie tyle wiedzieli o tym skarbie, wywiezionym z Niemiec do Polski. Zresztą miał on trafić gdzie indziej, chyba do Anglii. Tyle jednak było napadów na kurierów, no i wykryto wreszcie zdradę Forstera, więc postanowiono zmienić trasę. W wyniku ożywionej korespondencji z masonami w całej Europie, także w Polsce, ustalono, iż skarb zostanie przewieziony do Gdańska, a stamtąd statkiem do Anglii. Zdrajcy jednak nie próżnowali i dowiedzieli się o zmianie trasy. Szybko ruszyli za właściwym kurierem...



- Co to znaczy „właściwym” kurierem? – zapytał Zaif.
- Moja wina. Nie powiedziałem, że wysłano kilku kurierów jednocześnie. W różnych kierunkach.
- Aby zmylić przeciwnika? – było to bardziej stwierdzenie, niż pytanie ze strony gubernatora.
- Właśnie. Wówczas kaliscy masoni zgodzili się skarb przechować. Mało kto by go szukał w takim miasteczku, prędzej w Warszawie lub Gdańsku. I tak się też stało – złoczyńcy szukali nie tam, gdzie trzeba.
- Jakoś jednak się dowiedzieli o Kaliszu? – skonstatowała Anna.
- Tak, ale to już dzięki Bractwu Czarnego Słońca, do którego wstąpił ojczym Forstera. Gdy stał się tam już uznanym członkiem, opowiedział o historii skarbu. Okazało się, że inni członkowie też byli w masonerii i mają różne dokumenty, a przede wszystkim listy. Zaczęli je badać i porównywać i tak, krok po kroku, doszli do Kalisza. Zgodzili się wysłać tu młodego Forstera, choć było wielu innych chętnych. Jednak ojczymowi Adama jakoś udało się załatwić tę sprawę. Kandydatem do przyjazdu tutaj był też młodszy przyrodni brat Adama, Johann. Zaraz wytłumaczę – powiedział, widząc, że jego słuchacze są zdezorientowani. – Matka Adama owdowiała, gdy ten miał jakieś trzy lata. Wyszła znów za męża za bogatego Niemca Forstera, właściciela kilku browarów. On przysposobił dziecko, które odtąd nosiło jego nazwisko. Kilka lat później urodził im się ich już wspólny syn, młodszy Johann. Ojczym musiał naprawdę kochać Adama jak swojego, skoro powierzył mu tak ważną misję.
- Czy wiedział, że jego pasierb jest gotów zabijać, by osiągnąć cel?
- Niekoniecznie. Adam kochał go jak ojca, byli udaną rodziną. Mógł chcieć za wszelką cenę przysłużyć się ojczymowi, który tyle dla niego zrobił. Ale pewności nie mam, bo skoro ojczym należał do takiego stowarzyszenia, które nie bało się rozlać krwi...
- Nic nie napisał w dzienniku na ten temat?
- Nic. Opisywał w nim tylko to, co robił tutaj, w Kaliszu, a nie, co działo się wcześniej. A robił wiele. Przede wszystkim szukał dodatkowych informacji, mordując wszystkich świadków. No i podsłuchiwał nas, kiedy tylko się dało.
- A tak, mówiłeś, że nas podsłuchiwał, gdy byliśmy pierwszy raz

u Garszyńskiego – przypomniał sobie Zaif.

– W rzeczy samej, ale nie tylko wtedy. Pamiętasz, jak wybiegliśmy z balu porozmawiać z ojcem Andrzejem? Wyszedł prędko za nami i schował się w krzakach za ławką. Przez przypadek omal nie zdemaskowały go konie dorożkarzy, którzy tam stali...

– Pamiętam! – wykrzyknął medyk. – Dwóch woźniców uspokajało spłoszone konie i mówiło o fircykach z balu.

– Chodziło im właśnie o uciekającego Forstera. Niestety, tak szybko umknął, że nie zdążyliśmy go zobaczyć.

– A ja bym chciała wiedzieć, o co chodziło z tym Żebrowskim – odezwała się Anna.

Jeziński uderzył się w czoło.

– Omal o nim nie zapomniałem. Dziękuję ci, Anno. O, i herbatki świeżej nalałaś! Istny anioł...

– No więc, co było z tym Żebrowskim? – zniecierpliwił się gubernator. – Chciałbym się wreszcie czegoś dowiedzieć – dodał usprawiedliwiająco.

– Już mówię! – opamiętał się Jeziński. – Żebrowskiego przekupiono, zanim Adam tu przyjechał. Miał mu pomagać w poszukiwaniach. Dlatego już od kilku miesięcy skupował pamiątki po masonach, bo mogły one kryć wskazówki prowadzące do skarbu, o którym nikt oczywiście Żebrowskiemu nie powiedział. Ale ten umiał zadbać o siebie i część rzeczy sobie przywłaszczał. Przypuszczam, że przekupił go ojczym Forstera i że to on udawał pod fałszywym nazwiskiem lekarza, który przepisał miksturę wzmacniającą pani Radziejowskiej. Z opisu wynikało, że był to starszy mężczyzna z bujnym zarostem, pasuje więc tylko ojczym.

– Nie tylko – zauważył Zaif. – Starszych mężczyzn z bujnym zarostem jest mnóstwo, także w Kaliszu. Mógł to być na przykład ktoś inny z tego Bractwa Czarnego Słońca.

– Możliwe – zgodził się agent. – Ja bym jednak stawiał na ojczyma. Stary Forster jest nie tylko bogaty, ale i ustosunkowany w Europie. Nie afiszuje się z tym, bo woli rolę szarej eminencji. Poza tym jest mściwy.

– A za co miałby się wtedy mścić? – zapytała Anna. – Teraz już ma powód: śmierć pasierba, ale wtedy?

– Gdy Żebrowski zorientował się, że jego zleceniodawcy go

podejrzewają, chciał ostrzec panią Radziejowską, żeby nie piła mikstury, którą jej przyniósł. Wtedy, gdy zginął, szedł właśnie do niej. Miał nadzieję zyskać sojusznika, z którym poszedłby na policję i przedstawił plan otrucia wdowy przez Forstera, czy kto tam był tym fałszywym lekarzem. Ale nie zdążył.

– To w końcu kto był tym niby-lekarzem? Zdaje się, że co do tego nie mamy pewności? – gubernator lubił wiedzieć dokładnie, na czym stoi.

– Nie, ekscelencjo – przyznał agent. – Forster nie wymienił w dzienniku żadnego nazwiska, pisał tylko „on”. I ten tajemniczy ktoś zapłacił najpierw Żebrowskiemu, kazał otruć wdowę, a po jej śmierci wynajął kilku zbirów, by uciszeli Żebrowskiego. Po pierwsze dlatego, że pomocnik aptekarza dorabiał na boku. Od czasu do czasu z tego, co kupował za pieniądze Forsterów, zachowywał coś dla siebie, by potem sprzedać z zyskiem. A przecież mogła tam być bezcenna wskazówka! Poza tym istniała z jego strony możliwość zdrady. Podziękowano więc panu Żebrowskiemu, waląc go deską po głowie i spychając z wieży kościoła niedaleko pałacu gubernatora... Oczywiście miało to wyglądać na samobójstwo.

– Dobrze, że pan Zaif pomagał ci w śledztwie, bo jak nic byś się potknął o tego Żebrowskiego – zakpił dobrotliwie Daragan. – No i dobrze się stało, że ten zbir prowadził dziennik. Inaczej niewiele byś nam mógł tu wyjaśnić.

– Miał też inne papiery, listy, kwity, rachunki. Wiele rzeczy pewnie mógłbym wydedukować.

– Ale nie wiedziałbyś na pewno!

– Coś tam dałoby się w końcu potwierdzić. Przyznaję jednak, że dziennik bardzo się przydał.

– Mów dalej, Waliesza, nie przejmuj się moimi uwagami.

– Wedle życzenia. Po odkryciu, że ani Żebrowski, ani pani Radziejowska nie popełnili samobójstwa, ktoś usiłował przejechać doktora Zaifa – ciągnął dalej agent. – Gdy mu się to nie udało, dał sobie spokój. Sądzę, bo nie było tego w dzienniku – zaznaczył Jezierski – że skoro i tak już się wydało, że samobójstwa są morderstwami, zabijanie doktora byłoby taką musztardą po obiedzie. Napisał jednak, że ma dwóch

godnych przeciwników, więc gra nie jest nudna. Jak sądzicie, kogo miał na myśli?

– Na pewno ciebie i Jakuba – uznała Anna i dodała, rumieniąc się: – Jednak jestem bardzo wdzięczna temu mordercy, że dał sobie spokój z doktorem...

– Ja także! – poparł ją z uśmiechem Jeziński, widząc lekką zmarszczkę na czole gubernatora.

– I ja również – wtrącił spokojnie medyk, wywołując ogólny wybuch śmiechu.

– Co jeszcze chcecie wiedzieć? – zapytał agent, gdy wszyscy już się uspokoili.

– No jak to? Co to był za skarb!

– To jest trochę dziwne, przynajmniej tak mi się wydaje. Z zapisków księdza Przybylskiego wynika, że to miał być skarb oraz klejnoty. Tymczasem w szkatule, którą Forster rzucił w Jaśka, gdy uciekał z wieży, były tylko klejnoty. Nie wiem nic więcej. Ale co tam, najważniejsze, że morderca i tak nie dostał tego, na czym tak mu zależało.

– I został niemal od razu ukarany – zakonnik wymownie wzniosł oczy ku niebu.

– Tak, nie dożył ziemskiej sprawiedliwości.

– I Bóg wybrał pana na swoje narzędzie.

– No cóż, skoro ojciec tak chce o tym myśleć... – Jeziński skrzywił się zabawnie. – Jeśli nie macie na razie innych pytań, to chętnie zrobię sobie przerwę. Gardło wyszło mi na wiór!

– Chodźmy do parku! Pogoda taka piękna, a my tu tkwimy już zbyt długo! – zawołała Maria, którą nieco znudziły te rozmowy.

– Świetny pomysł! – podchwyciła reszta.

Zapanowało małe zamieszanie, wszyscy wstawali i kręcili się po salonie. Gubernator wezwał Jacentego i wydawał mu jakieś dyspozycje, a Anna z siostrą pobiegły po koronkowe parasolki, by osłonić się od słońca.

Jeziński skinął na Zaifa i razem wyszli wolnym krokiem na taras.

– Jakubie, muszę cię o coś spytać – powiedział agent dziwnym głosem.

Medyk spojrział z lekkim zaskoczeniem, ale skinął przyzwalająco głową.

Jezierski najpierw rozejrzał się bacznie wokół, czy nikogo nie ma w pobliżu, co jeszcze bardziej zdumiało Zaifa.

– Wiem, że tam, na wieży, nie byłeś przypadkiem.

– Skąd wiesz? – spytał spokojnie Jakub.

– Miałeś to samo ubranie, co na balu. I mankiety uwalane ceglanym pyłem. Początkowo nie zwróciłem na to uwagi, ale potem...

– I czego to dowodzi?

– Że nie wróciłeś tej nocy do domu. Gdzie wtedy byłeś?

Zaif milczał długą chwilę, jakby coś ważąc w myślach. Potem westchnął i zapytał:

– Chcesz usłyszeć prawdę, czy tylko wiarygodną odpowiedź?

Teraz agent milczał dłuższą chwilę, wpatrując się w przyjaciela.

– Domyślam się, że to tajemnica, więc jeśli nie ma wpływu na śledztwo, to nigdy nie zawiódę twojego zaufania.

– Jakie śledztwo masz na myśli?

– Jak możesz, Jakubie! W sprawie tych morderstw!

– W takim razie – oświadczył medyk. – Trochę się to wiąże ze śledztwem, ale moim zdaniem nie ma na nie wpływu.

– Chyba nie zataiłeś jakichś istotnych informacji lub dowodów? – zapytał z rozpaczą agent.

– Zataiłem. Lecz tylko miejsce ukrycia skarbu. Ale przecież nie prowadzisz śledztwa w sprawie samego skarbu, prawda?...

Tego Jezierski się nie spodziewał. Stał jak wryty i osłupiały patrzył nic nierozumiejącym wzrokiem na przyjaciela. Zaif westchnął.

– Powiem ci wszystko, a przynajmniej większość, jeśli zachowasz to w tajemnicy.

Wciąż jeszcze oniemiały agent skinął głową.

– To ja jestem strażnikiem skarbu. Od niedawna zresztą, przedtem był nim mój ojciec.

Jezierski chrząknął i opadł na ławkę, do której akurat szczęśliwie doszli. Inaczej pewnie usiadłby wprost na ziemi ze zdumienia.

– Ksiądz Przybylski naprawdę ukrył skarb na naszą prośbę. Moja rodzina od pokoleń należy do masonerii i zajmuje tam poczesne miejsce.

– To stąd wiedziałeś tyle o masonach!

– Tak. Ale to naprawdę ciekawy temat – uśmiechnął się przekornie medyk.

– Dobrze, mów dalej! – ponaglił go przyjaciel słabym głosem. Był bardzo ciekaw dalszych rewelacji.

– Ojciec przekazał mi funkcję strażnika, gdy wyszło na jaw, że morderca szuka skarbu, a ja akurat pomagam ci w śledztwie. Miałem większe szanse ocalić skarb.

– Ale przecież skarb jedzie teraz do Hurki, do Warszawy!...

Zaif uśmiechnął się.

– No, no. Coś mi się widzi, że generał Hurko nieco się rozczaruje!

– Jak to? – zapytał agent, pełen jak najgorszych przeczuć.

Uśmiech Zaifa stał się jeszcze szerszy.

– To zręczna imitacja, a nie prawdziwe klejnoty. Nie mogłem przecież pozwolić, żeby Forster ukradł prawdziwy skarb.

– To znaczy, że wyjąłeś prawdziwy skarb i podłożyłeś jakieś szkiełka?

– Żadne szkiełka – Zaif wydawał się urażony. – Prawdziwe cyrkonie i inne barwione kryształy. Tyle że do diamentów czy rubinów raczej im daleko.

– A prawdziwy skarb?

– W tym czasie leżał nienaruszony tam, gdzie go schowano.

Agent bezradnie wzruszył ramionami.

– Nic już teraz nie rozumiem.

– To proste. Skarb nigdy nie był przenoszony. Ksiądz Przybylski ukrył go na szczycie tego, co zostało ze spalonej wieży, a nie na samym dole, jak pewnie przypuszczałeś. Ja tylko pilnowałem, żeby morderca tego nie odkrył. Wszystkie wskazówki o przeniesieniu skarbu zostały spreparowane już dawno temu i wysłane w listach za granicę. Zrobiliśmy to od razu, gdy zaczęto interesować się Kaliszem. Najwyraźniej ktoś z Bractwa Czarnego Słońca znalazł się w posiadaniu takiego listu.

– Fałszywy skarb! A to ci dopiero! – wykrzyknął Jezierski. – A gdzie jest prawdziwy? I co to w końcu jest? Coś więcej niż klejnoty?

– Tak, ale tego akurat nie mogę ci zdradzić. Poza tym, że teraz jednak zmieniliśmy miejsce ukrycia skarbu, bo nie wiadomo, komu jeszcze zechce się grzebać w wieży. Księża byliby bardzo niezadowoleni, gdyby

kościół doznał jakichś uszkodzeń. Zatem od wczoraj skarb został naprawdę przeniesiony.

– A gdzie był przedtem?

– W niszy wykutej w murze. A nisza znajdowała się trzy łokcie pod rozetowym oknem, na półtora łokcia od strony zewnętrznej, pół trzeciego łokcia od strony wewnętrznej. Żeby było łatwiej, powiem ci, że mur w tym miejscu ma cztery łokcie <sup>82</sup>.

Agent zaczął przeliczać w myślach, ale szybko się poddał.

– Później sobie policzę. Mów dalej.

– Historia ukrycia skarbu też jest ciekawa – kontynuował Zaif. – Zwłaszcza że czternaście lat temu omal wszystko się wydało. Murarze podczas odbudowy wieży w 1874 roku natrafili przypadkiem na małą skrzyneczkę. Mocno się zdziwili, gdy zamiast spodziewanego skarbu, czyli drogocennych klejnotów, ujrzeli stos pożółkłych pergaminowych dokumentów. Wezwali księdza, ale okazało się, że nie potrafił zrozumieć ani słowa ze starodawnego tekstu. Poproszono zatem o pomoc rabina, ale i on nic nie wskórał. Długo się nad tym zastanawiano, dziwiono i namyślano. W końcu zdecydowano, że skoro wieża w ciągu wieków była trzy razy niszczona, a skrzyneczka przetrwała, to należy ją z powrotem umieścić w murze w nadziei, że przyszłe pokolenia będą potrafiły odczytać, co tam jest zapisane. Skrzynkę więc ponownie zamurowano, zabezpieczając najpierw niszę cementem i ołowiem. Jak zatem widzisz, nikomu do tej pory nie udało się wydrzeć tajemnicy z milczącego muru.

– Skąd to wszystko wiesz?

– O tych pergaminach nie do odczytania napisał historyk i proboszcz kościoła św. Mikołaja, ksiądz Jan Nepomucen Sobczyński <sup>83</sup>.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, skrzyneczka stanowiła część skarbu masonów?

– Tak.

– A ty wiesz, co tam jest napisane?

Zaif wzruszył ramionami. Jezierski zrozumiał, że przyjaciel nie odpowie na to pytanie i nie miał mu tego za złe. Zamiast tego powiedział coś zupełnie innego. I znów go zaskoczył.

– Muszę ci jeszcze coś oznajmić – odezwał się medyk, a jego głos wydał się agentowi smutny. Od razu coś go tknęło. – Na polecenie mistrza mojej łoży muszę pewną część skarbu wywieźć za granicę. Dlatego wkrótce wyjeżdżam do Anglii, a potem do Ameryki.

Jezierski był wstrząśnięty.

– Co ty mówisz, Jakubie?! Do Ameryki? Ależ to strasznie daleko! Długo tam będziesz?

– Dość długo, bo muszę spędzić trochę czasu z rodzicami matki. Dziadek jest ciężko chory i podobno długo już nie pożyje. Obiecałem przyjechać i zostać z nim aż do... no, aż do końca. A potem zając się babcią, dopóki jakoś nie przyjdzie do siebie po śmierci męża.

– Jak długo może cię nie być?

– Myślę, że około dwóch, najwyżej trzech lat.

– To bardzo długo!

– Cóż począć, sama podróż, w tym przeprawa przez Atlantyk, do Ameryki trwa kilka tygodni. Jeśli dojdą do tego sztormy, nawet dłużej.

– A co z Anną? Mówiłeś jej?

– Jeszcze nie... Może na mnie poczeka...

– Jak to? Nie oświadczyłeś się nawet?

– W tej sytuacji, gdy mam wyjechać na tak długo? Ona nie może się czuć związana, musi mieć całkowitą wolność wyboru. Może się przecież w kimś zakochać...

– Bzdura! Ale będziesz pisał? Do niej i do mnie?

– Lepiej! – zawołał Zaif i niespodziewanie klepnął go po plecach. – Dziadkowie mają telefon!

– Żarty się ciebie trzymają! – oburzył się Jezierski. – Nauka nie jest aż tak szybka i wiesz najlepiej, że rozmowa telefoniczna przez ocean nie jest na razie możliwa.

– Nie denerwuj się. Przecież wiesz, że będę pisał. I tęsknił za wami, za ojcem, za Kaliszem.

\* \* \*

Nie wiadomo dokładnie, co robił Jakub Zaif po swoim wyjeździe z Polski, gdyż skutecznie zadbał o zachowanie tajemnicy. W czasie długiej



podróży statkami i pociągami wysyłał co prawda listy do ojca, Anny i Jezierskiego, ale opisywał w nich mało ważne wydarzenia, jakie go spotykały w czasie wyprawy. Niewiele z nich można było wyczytać co do głównego celu wycieczki, więcej było ciekawostek dotyczących krajów, które mijał po drodze, opisów przyrody i miejscowego folkloru.

Jednak jakiś czas po niezbyt długim pobycie Zaifa w Anglii pewien angielski adept sztuki wolnomularskiej otrzymał od anonimowego darczyńcy stary manuskrypt zawierający dziwny tekst zapisany niezrozumiałym szyfrem. Dokument ten przekazał swemu „bratu” z Wielkiej Zjednoczonej Łoży Angielskiej, dr. Williamowi Wynnowi Westcottowi. A to dało początek wielkiemu odrodzeniu okultyzmu i magii, jakie nastąpiło pod koniec XIX wieku w zachodniej Europie.

Głównym katalizatorem tego procesu stała się organizacja, która jako pierwsza stworzyła solidny system okultystyczny. Nazwała się Hermetycznym Zakonem Złotego Brzasku<sup>84</sup>, a powstała w 1888 roku z inicjatywy trzech byłych teozofów i „różokrzyżowców”: Williama Wynna Westcotta, Williama Woodmana i Samuela Liddella MacGregora Mathersa. Wieść niosła, że do powstania zakonu przyczynił się właśnie ów tajemniczy manuskrypt, który dostał Westcott. Po rozwikłaniu zawilego szyfru, odkrył on, że rękopis zawiera pięć rytuałów masonskich niewiadomego pochodzenia. Zwrócił się do Mathersa z propozycją, żeby na podstawie tajemniczego rękopisu opracował inne rytuały, dając tym samym podstawy do założenia nowego zakonu okultystycznego.

Jakiś czas później zakon zyskał nie tylko zwolenników, ale i liczne rzesze przeciwników. Ci ostatni twierdzili, że założyciele dokumenty sfalszowali, a pochodzenie zakonu wymyślili, żeby stworzyć organizację z odpowiednią podbudową mistyczną, tak bowiem nakazywała ówczesna moda. W drugiej połowie XIX wieku obowiązywała aura tajemniczości i konspiracji, podtrzymywana przez modę na lekturę „powieści gotyckiej”, dlatego Westcott chciał wykazać, że jego zakon wywodzi się ze starożytności i poprzez rozmaite tajne stowarzyszenia przetrwał aż do współczesnych czasów. W tym celu odwołał się do najpopularniejszego wówczas mitu, według którego istnieją Tajemni Przywódcy Świata, z ukrycia kierujący (lub manipulujący, jak wolą niektórzy) losami

ludzkości.

Westcott ogłosił również, że zaszyfrowany rękopis zawierał karteczkę z adresem niejkiej pani Anny Sprengel w Norymberdze. Miała ona być spadkobierczynią nauk różokrzyżowców i przywódczynią tajemniczego zakonu Die Goldene Demmerung, do tradycji którego rzekomo należały zaszyfrowane rytuały. W drodze wymiany korespondencji z ową panią Sprengel Westcott miał otrzymać upoważnienie do prowadzenia niejako filii tego zakonu pod tą samą nazwą, która po przetłumaczeniu na język angielski brzmiała Hermetic Order of the Golden Dawn, czyli Hermetyczny Zakon Złotego Brzasku.

Późniejsi badacze mocno kwestionowali historyczność owego zaszyfrowanego rękopisu, twierdząc, iż Westcott sfalszował oryginalne dokumenty Złotego Brzasku, a historijkę o pani Sprengel – i ją samą – wymyślił. Uważali również, że nie było żadnego związku między zakonem Złotego Brzasku a tradycją różokrzyżowców. Mimo tych wątpliwości zakon wciąż cieszył się ogromną popularnością.

Niespodziewanie dla wszystkich, a już szczególnie dla wyżej wymienionych badaczy, odnaleziono dokumenty świadczące na korzyść zakonu. Otóż pewien Polak, badacz okultyzmu, Rafał Prinke, natrafił na fakty potwierdzające mityczne źródła Złotego Brzasku. Według nich na początku XIX wieku istniała we Frankfurcie pewna żydowska loża masońska. Nazywała się „Chabrath Zereh Boqer Aour”, co oznaczało dokładnie to samo, co „Hermetyczny Zakon Złotego Brzasku”. Niemalże identyczny napis widniał na owym tajemniczym manuskrypcie, który otrzymał Westcott.

Żydowska loża należała do masonerii Wielkiego Wschodu Francji, ale jej członkowie – ze względu na swe pochodzenie – zajmowali się również studiowaniem kabały, spektakularnego mistycznego nurtu judaizmu, stworzonego w XIII wieku przez Izaaka Lurię. W 1817 roku otworzono w Londynie filię tej loży pod auspicjami księcia Sussex, który był jednocześnie Mistrzem Wielkiej Loży Angielskiej. Można zatem przyjąć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że Westcott, Mathers i Woodman przynajmniej pod względem formalnym byli kontynuatorami tej linii.

Niezależnie od tego, jaka była prawda historyczna, skonstruowany

przez Westcotta mit założycielski pozwolił zakonowi rozwinąć regularną działalność okultystyczną. Aura tajemniczości przyciągała do Złotego Brzasku całe rzesze neofitów spragnionych „zakazanej wiedzy”. Wśród nich znaleźli się naprawdę wybitni przedstawiciele swojej epoki, prawdziwe sławy: mistrz horroru i nauczyciel Lovecrafta Arthur Machen, autor *Drakuli* Bram Stoker, pisarz skandalista Oscar Wilde, jogin i kabalista, założyciel pierwszej organizacji buddyjskiej na Zachodzie Allan Bennett oraz wybitny poeta William Butler Yeats.

W tych czasach kobiet na ogół nie dopuszczano do arkanów wiedzy tajemnej. Złoty Brzask odstąpił jednak od tej zasady i chętnie przyjmował w swe szeregi przedstawicielki płci pięknej. Dlatego pojawiły się w nim takie osobistości jak Moina Mathers, siostra filozofa Henriego Bergssona, czy aktorki Florence Farr i Dion Fortune. Ta ostatnia po odejściu ze Złotego Brzasku otworzyła własną szkołę okultystyczną. Ogółem w ciągu pierwszego roku „naboru” do zakonu wstąpiło trzydziestu dwóch nowicjuszy, w tym aż dziewięć kobiet. W latach 1892–1896 zakon osiągnął rekordową liczbę 200 członków, stając się największym ówczesnym stowarzyszeniem okultystycznym.

Przy tak znacznej liczbie członków nie można było uniknąć kłopotów. Przysporzyły ich w dużej mierze właśnie kobiety, lepiej zorganizowane i bardziej zaangażowane w sprawy zakonu niż wielu mężczyzn, nie wyłączając samych założycieli. Narastająca krytyka i głosy niezadowolenia wobec Mathersa, który od 1892 roku został jedynym przywódcą, spowodowały, iż cztery lata później zażądał on od członków zakonu natychmiastowego złożenia ślubów lojalności. Uczynili to wszyscy, poza kobietą oczywiście, którą była Annie Horniman. Jeszcze w tym samym roku wyrzucono ją z zakonu, a wraz z tym bulwersującym wydarzeniem nad Hermetycznym Zakonem Złotego Brzasku zawisło widmo upadku. Do ostatecznego końca przyczynił się młody, ale charyzmatyczny adept magii – Aleister Crowley.

Związał się on z Hermetycznym Zakonem Złotego Brzasku w 1898 roku dzięki znajomości z jego członkiem Julianem Bakerem. Zrobił tam błyskawiczną karierę, pnąc się po szczeblach hierarchii, ale szybko stracił nadzieje związane z „wyjątkową” naturą przekazywanych

mu nauk. Nie mogąc dopatrzeć się w nich żadnej wyjątkowości oraz z powodu panujących w zakonie nieporozumień, opuścił go i zaczął podróżować po świecie. Po drodze między innymi został buddystą, napisał także kilka własnych prac, które nazwał *Księgami Bestii*. W 1902 roku całkowicie zerwał kontakty ze Złotym Brzaskiem i założył własny zakon – Srebrnej Gwiazdy. W efekcie ten niezwykle, choć nie cieszący się najlepszą sławą człowiek mocno przyłożył rękę do rozpadu zakonu, który opuścił. Miało to miejsce w początkach XX wieku.

Po Złotym Brzasku pozostało kilka małych grup w różnych krajach, które powoli odchodziły w niebyt. Lecz mimo negatywnego nastawienia Crowleya i innych członków, stowarzyszenie musiało jednak coś w sobie mieć, jakiś magnes, wabik, a przynajmniej silną wolę przetrwania, skoro uaktywniło się ponownie w latach dziewięćdziesiątych XX wieku. Organizacja reaktywowała się w Stanach Zjednoczonych pod nieco zmienioną nazwą, nawiązującą jednak do Złotego Brzasku. Co ciekawe, istnieje po dziś dzień i ma swoich akolitów nawet w Polsce<sup>85</sup>.

A wracając jeszcze do Jakuba Zaifa. Jego przyjaciele i rodzina zyskali jednak pewność, że przebywał jakiś czas w Anglii. Stało się to wtedy, gdy dotarły do nich wieści, że osławiony seryjny zabójca kobiet, znany jako Kuba Rozpruwacz, nagle przestał zabijać i znikł, jakby rozpułnął się w powietrzu. Nie wiadomo było, czy został zabity, czy też może uciekł do Stanów Zjednoczonych, jak przypuszczali niektórzy, dość, że morderstwa ustały tak nagle, jak się zaczęły. Przyjaciele Zaifa byli jednak pewni, że do końca makabrycznej kariery Rozpruwacza w Anglii przyczynił się właśnie Jakub. Jesienią 1889 roku przyszły od niego dwa listy, oba z londyńskimi pieczęciami, i choć w żadnym z nich nie było nawet wzmianki o seryjnym mordercy, agent Jezierski pokazał im kilka artykułów z angielskiej prasy. Wspominano w nich o pewnym pomocniku Scotland Yardu, który pragnął zachować anonimowość. Wiadomo było o nim tylko tyle, że był wybitnie zdolnym młodym cudzoziemcem, prawdopodobnie lekarzem.

Przyjaciele Jakuba z niecierpliwością oczekiwali jego powrotu, choć wiedzieli, że podróż miała potrwać co najmniej dwa lata. Byli ciekawi jego przygód, gdyż nikt nie wątpił, że jakieś będzie miał. Tacy jak on przyciągają nietypowe zdarzenia, powtarzał Jezierski. Znając jednak

skromność i dyskrecję medyka, nie mieli pewności, czy kiedykolwiek ujawni im prawdę o Kubie Rozpruwaczu. Zresztą może to nie był jeszcze koniec tej historii. Niektórzy przebąkiwali, że zbrodniarz opuścił Anglię, gdzie grunt palił mu się pod nogami, i wyjechał do Ameryki. A przecież głównym celem podróży Zaifa były właśnie Stany Zjednoczone, gdzie miał zabawić nieco dłużej. Kto wie, co go tam czeka? Dla bliskich lekarza najważniejsze było, by wrócił wreszcie do kraju. Los już pokazał, że przygoda może zdarzyć się wszędzie, także w Kaliszu.

# Przypisy

## [ ← 1 ]

Anna Tabaka, Maciej Błachowicz, *Sztuczne ruiny i zagubiony duch romantyczności*, „Życie Kalisza”; <http://www.zyciekalisza.pl/index.php?str=82&nr=17>.

## [ ← 2 ]

Wydarzenie opisane przez A. Tabakę, M. Błachowicza w *Al Capone z Kalisza i inni*, „Życie Kalisza”; <http://www.zyciekalisza.pl/index.php?str=82&id=12990>.

## [ ← 3 ]

System służby państwowej, cywilnej i wojskowej ujęto w jednolity schemat przewidujący 14 stopni (rang), wg których mogli awansować urzędnicy i oficerowie. Ranga 14 była najniższa, 1 najwyższa. System powstał w 1722 r. i przetrwał do upadku caratu. Otrzymanie wysokiej rangi dawało prawo zdobycia szlachectwa. Radca stanu plasował się na piątej pozycji. Za: Władysław A. Serczyk, *Piotr I Wielki*, Wrocław 2003.

## [ ← 4 ]

Rząd Gubernialny Kaliski, który utworzono na mocy ukazu z dnia 31.12.1866 r. o zarządzie gubernialnym i powiatowym w Królestwie Polskim, był władzą administracji ogólnej II instancji. Na jego czele stał gubernator mianowany przez cara. Rząd podlegał Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Zwierzchni nadzór na terenie Królestwa Polskiego sprawował nad nim także namiestnik, a od 1874 r. generał-gubernator warszawski. Rząd obradował pod przewodnictwem gubernatora lub wicegubernatora. Do kompetencji tego rządu początkowo należały sprawy gospodarcze, podatkowe, wyznaniowe, więziennictwo, pobór rekrutów, zaopatrzenie oddziałów wojskowych i straży ziemskiej, ustalanie granic powiatów i gmin, nadzór nad budownictwem sanitarnym oraz budowę dróg i mostów, zatwierdzanie planów i kosztorysów na wznoszenie i reperację zabudowań miejskich, skarbowych, przemysłowych, domów prywatnych oraz kościołów i kaplic, sprawy zarządu miast, w tym od 1903 r. zatwierdzanie ich budżetów, kontrola ruchu ludności oraz sprawy personalne urzędników gubernialnych. Po ewakuacji władz rosyjskich w roku 1914 Rząd Gubernialny funkcjonował jeszcze do 1918 r.

## [ ← 5 ]

1 stopa rosyjska to 6 i 6/7 werszka, czyli 0,3048 m. 6 stóp to w przybliżeniu 1,80 m wzrostu

## [ ← 6 ]

Dr Józef Rymarkiewicz był lekarzem szpitalnym od 1873 do 1898 r. i dobrze się zapisał jako naczelny lekarz Szpitala Starozakonnego. Pełnił także funkcję prezesa Towarzystwa Lekarzy Guberni Kaliskiej.

## [ ← 7 ]

Rozmar, Rozmark – plac leżący w centrum ówczesnej dzielnicy żydowskiej. Stała przy nim

stara zabytkowa synagoga z kopułą zwieńczoną gwiazdą Syjonu, przy której znajdowała się wyznaniowa szkoła żydowska, czyli cheder (obecnie mieści się tam II Urząd Skarbowy). Dzielnica żydowska, w której zamieszkiwali prawie wyłącznie starozakonni (tj. Żydzi, którzy zachowywali tradycyjne praktyki religijne i takiż styl życia), rozciągała się w północno-zachodniej części miasta. Jej granice wyznaczały dzisiejsze ulice Złota, Nowy Rynek, Kanonicka i Szopena.

## [ ← 8 ]

Szpital-przysłup powstał na Przedmieściu Wrocławskim, zaraz za roгатką (dziś ul. Nowy Świat), prawdopodobnie w 1462 r. Opiekę nad nim sprawowały władze miejskie.

## [ ← 9 ]

Wg informacji z *Kroniki miasta Kalisza* w 1886 r. służbę zdrowia miasta stanowiło 14 lekarzy, 3 dentyistów, 18 aptekarzy i 10 akuszerok. Por.: W. Kościelniak, K. Walczak, *Kronika...*, Kaliskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Kalisz 1989, s. 143.

## [ ← 10 ]

Feliks Prusinowski, postać autentyczna. Odziedziczył po ojcu aptekę przy ul. Warszawskiej, urzędowo dokonywał ogłędzin zwłok. Był też prezesem instytucji charytatywnej „Kropla Mleka”.

## [ ← 11 ]

W wieku XIX ul. Warszawska znajdowała się w miejscu dzisiejszej ul. Zamkowej. Na przestrzeni lat przybierała kolejno nazwy: Toruńska, Warszawska, Pocztowa, gen. Świerczewskiego, Zamkowa. Za: Bogumił Kunicki, *Ballady kaliskie*, Kaliskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Kalisz 1991, s. 75.

## [ ← 12 ]

Ochraną – potoczna nazwa carskiej policji politycznej utworzonej w roku 1881. Skrót pochodzi od ros. *Otdielenije po ochranieniju poriadka i obszestwiennoj biezopasnosti*, co po polsku oznacza „Oddział ochrony porządku i bezpieczeństwa państwowego”.

## [ ← 13 ]

Nazwa oryginalna: „Royal York zur Freundschaft”. Większość informacji na temat kaliskich masonów pochodzi z książki Krzysztofa Walczaka, *Łoże masonskie i organizacje parawolnomularskie Kalisza*, Libri 2004, s. 13–51.

## [ ← 14 ]

W 1858 r., kiedy książkę wydawano, słowo „album” było nowością zapożyczoną z łaciny. W tym języku termin ten był rodzaju nijakiego, dopasowano więc do niego przymiotnik w tym samym rodzaju, tak jak „dziecko kaliskie”. Por. A. Tabaka, M. Błachowiak, *Pierwszy album kaliski*, „Życie Kalisza”; <http://www.zyciekalisza.pl/index.php?str=82&id=2016>.

## [ ← 15 ]

„Gazeta Kaliska” nr 17 z 1893 r., anons reklamowy Gintera

## [ ← 16 ]

Jean Servais Stas (21 sierpnia 1813–13 grudnia 1891) – chemik belgijski; wykładowca w szkole wojskowej w Brukseli i członek Belgijskiej Królewskiej Akademii Nauk; jako pierwszy ustalił z dużą dokładnością masy atomowe pierwiastków i zaproponował, by określano je w stosunku do masy atomowej tlenu; metodę tę stosowano do 1961 r.

[ ← 17 ]

Chodzi o nieistniejący już sobór prawosławny pw. św. św. Piotra i Pawła, wzniesiony w 1877 r. w miejscu kamienicy zwanej „Między Nogi”. Władze carskie wybudowały go na pl. św. Józefa, nieopodal kolegiaty pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Cerkiew została rozebrana w 1920 r.

[ ← 18 ]

Mydło w kartkach, a nie na kartki. Informacje za B. Kunickim, *Balla-dy kaliskie, op. cit.*, s. 80.

[ ← 19 ]

Wydziały kaliskiego Rządu Gubernialnego. Zakres obowiązków Referatu Ogólnego obejmował: akta personalne urzędników, wydatkowanie kapitałów instytucji wyznaniowych na budowę i remonty świątyń oraz utrzymanie cmentarzy, legaty i zapisy, uchwały zebrań gminnych, zatwierdzanie ławników, skargi na urzędników gminnych, odszkodowania za grunty zajęte pod budowę kolei, otwieranie i zamykanie stacji pocztowych, jarmarki i targi. Wydział Lekarski wydawał zezwolenia na otwieranie aptek i składów aptecznych, gabinetów lekarskich oraz laboratoriów, akta personalne lekarzy i farmaceutów, spisy aptek, sprawozdania szpitali o liczbie chorych.

[ ← 20 ]

Wg relacji „Kaliszanina” telefon zepsuł się wówczas dwa razy. Pokaz zorganizowano 21 stycznia 1878 r. Wynalazek obejrzało i wypróbowało ok. dwustu osób, co oszacowano na podstawie zebranych funduszy wynoszących 2 srebrne ruble.

[ ← 21 ]

Zdarzenie autentyczne, tyle że miało miejsce wiele lat później, w niepodległym już Kaliszu. Zanotowała je „Gazeta Kaliska” z 1904 r. Tutaj celowo przeniesiono je w przeszłość.

[ ← 22 ]

Jest to niemal dosłowny cytat z instrukcji obsługi telefonu, jaką dołączono do listy abonentów z 1905 r. i którą co roku publikowały kalendarze kaliskie.

[ ← 23 ]

1 szeń to 3 arszyny (ok.  $\frac{3}{4}$  m), czyli ok. 2,2 m.

[ ← 24 ]

Dla porównania: na przełomie XIX i XX w. zarobki robotników w średnim i wielkim przemyśle Królestwa wynosiły przeciętnie 240 rubli rocznie. Płace były mocno zróżnicowane. Np. w okręgu łódzkim mężczyźni zarabiali ok. 24 rubli miesięcznie, kobiety – 17, a młodociani (w wieku 15–17 lat) – 7 rubli. Za: A. Jezierski, C. Leszczyńska, *Historia gospodarcza Polski*, s. 161.



[ ← 25 ]

Anna Tabaka, Maciej Błachowicz, *Pierniki od dostawcy dworu*, „Życie Kalisza”; <http://www.zyciekalisza.pl/?str=82&id=9804>.

[ ← 26 ]

*Ibid.*

[ ← 27 ]

Puchar ten wraz z płaskorzeźbą św. Jerzego gubernator wypożyczył na wystawę starożytności w kaliskim ratuszu w 1900 r. Za: Anna Tabaka, Maciej Błachowicz, *Nasz gubernator*, „Życie Kalisza”;

<http://www.zyciekalisza.pl/?str=82&id=2010>.

[ ← 28 ]

Tiurniura (turniura) – stosowany głównie w drugiej połowie XIX w. element sukni, podkreślający tył bioder i nadający kobiecej sylwetce kształt litery S; poduszeczka, którą damy podkładały pod suknię z tyłu poniżej talii w okresach, kiedy bywało to nakazem mody.

[ ← 29 ]

Obie siostry urodziły się 17 grudnia 1871 roku. Za: A. Tabaka, „Nowy Kaliszanie”, Miejska Biblioteka Publiczna im. Adama Asnyka, Kalisz 2010, s. 201.

[ ← 30 ]

Za: Bogumił Kunicki, *Ballady kaliskie*, Kaliskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Kalisz 1991, s. 138.

[ ← 31 ]

O tym skarbie pisał Władysław Kościelniak w „Kalisia Nowa”, 5/2001.

[ ← 32 ]

Ryt (z łac. ritus „święty obyczaj”) – obrządek, rytuał obowiązujący w danej loży. Ryty wolnomularskie różnią się między sobą, lecz ogólnie mają umacniać braterską więź, poczucie wspólnoty i tożsamości, a także sprzyjać odpowiednio podniosłej atmosferze. Można wyróżnić następujące ryty: Francuski (Nowoczesny), Memphis-Misraim (Egipski), Royal Arch (Emulation), Szkocki Dawny i Uznany, Szkocki Rektyfikowany Horus, Szwedzki, York i ryty niemieckie.

[ ← 33 ]

Odczyt miał miejsce 6 marca 1882 r., w całości przytoczył go „Kaliszanin”.

[ ← 34 ]

W końcu maja 1880 r. Henryk Sienkiewicz przebywał w Kaliszu na zaproszenie Towarzystwa Dobroczynności. 29 i 30 maja wygłosił dwa odczyty „O kraju i ludziach w Nowym Świecie”.

[ ← 35 ]

Kościelniak, K. Walczak, *Kronika...*, *op. cit.*, s. 144.

[ ← 36 ]

„Kaliszanin”, marzec 1888 r.

[ ← 37 ]

Na tyłach klasztoru Franciszkanów znajdowały się budynki po wcześniej zlikwidowanym klasztorze Klarysek (Franciszkanek). W dawnych celach siostr urządono więzienie i wojskowy lazaret. Za: B. Kunicki, *Ballady...*, *op. cit.*, s. 115.

[ ← 38 ]

Dokładnie 64 zakonników z 15 zlikwidowanych klasztorów: z Bełcha-towa, Dobrzyń, Górecka, Łagiewnik, Nieszawy, Nowego Miasta Korczyna, Puszczy Solskiej, Radomska, Radziejowa, Smardzewic, Stawisk, Stężycy, Warki, Warszawy i Zawichostu. Por.: K. i J. Splitt, *Kościół...*, *op. cit.*

[ ← 39 ]

Franciszkanie to nazwa potoczna. Poprawna nazwa zakonu tłumaczona z łaciny, oznacza Zakon Braci Mniejszych (Ordo Fratrum Minorum). Potem podzielił się na obserwantów, braci mniejszych konwentualnych i kapucynów, ale wszyscy oni opierają się na regule napisanej przez św. Franciszka z Asyżu.

[ ← 40 ]

Łac. „Idź precz, szatanie!”. Fragment tzw. małego egzorcyzmu odpędzającego złe duchy.

[ ← 41 ]

Wincenty Boretti (1859–1932), jeden z najbardziej znanych kaliskich fotografów (tradycja rodzinna). Na zachowanych w zbiorach kaliskiego muzeum fotografiach Boretiego można znaleźć różne adresy firmy: Józefa 10, później – Niecała 12 (przy parku, dom z półokrągłą werandą, dzisiaj mieści się tam lecznica dla zwierząt)

[ ← 42 ]

Jeden z nielicznych zachowanych do czasów współczesnych druków masońskich związanych z Kaliszem. Tytuł zrekonstruowany na podstawie książki K. Walczaka, *Łoże masońskie...*, *op. cit.*, s. 38.

[ ← 43 ]

Taki pokaz miał miejsce m.in. w 1805 r.; *ibid.*, s. 41–42.

[ ← 44 ]

Przewodnik przygotowało berlińskie wydawnictwo B. Gropiusa na zjazd władców, który miał miejsce w 1835 r. w Kaliszu. Przybył wówczas car Mikołaj I, który podejmował „u siebie” króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III. Za: Anna Tabaka, Maciej Błachowicz, *Do Kalisza wojaże*

[ ← 45 ]

Aluzja do gubernatora warszawskiego, gen. Josifa Hurki, który zanim odszedł ze stanowiska, podobno posunął się do kradzieży kosztownych posadzek w Zamku Królewskim w Warszawie. Fakt miał miejsce później, gdyż Hurko był gubernatorem Warszawy do 1894 r. (od roku 1883).

[ ← 46 ]

Bronisław Dziuryt Szczepankiewicz urodził się w 1843 r. w Wielkopolsce. Do Kalisza przybył ok. roku 1869. W 1878 r. otworzył księgarnię, skład nut i czytelnię. Zmarł w wieku 85 lat 30 października 1922 r.

[ ← 47 ]

Cukiernia ta powstała przy moście Parkowym, prawdopodobnie ok. 1825 r., gdyż została umieszczona na planie miasta opracowanym przez inż. Bernharda w tym roku i miała kształt drewnianej altany. Pod koniec lat dwudziestych XIX w. jej właścicielem był Ernest Foerster, który w roku 1832 rozebrał altanę i postawił na jej miejscu elegancki, drewniano-ceglany budynek z obszerną salą, w której odbywały się koncerty i przedstawienia, a także bale i rauty oraz wystawne obiady. W 1879 r. cukiernię parkową nabył E. Wehner – naczelnik straży pożarnej w Turku i właściciel tamtejszego hotelu. Powiększył lokal i plac przed cukiernią, urządził ozdobny skwerek z fontanną i zdobiącymi go rzeźbami oraz zbudował estradę, na której koncertowały znane kaliskie orkiestry – damska Lewandowskiego i męska 15. Aleksandryjskiego Pułku Dragonów. Za: J. A. Splitt, „...Perłą jest park jego...”, Muzeum Okręgowe Ziemi Kaliskiej, Kalisz 1998; <http://www.info.kalisz.pl/historia/park.htm>.

[ ← 48 ]

Obecnie nazywane są kotletami kijowskimi. Autorstwo przypisuje się francuskiemu kucharzowi i cukiernikowi Marie-Antoine’owi Careme, który w XVIII w. gotował na dworach wielu słynnych arystokratów, dyplomatów i monarchów, także cara Aleksandra I. Po rewolucji październikowej na długo poszły w zapomnienie, ale w 1947 r. przypomniał sobie o nich kucharz przygotowujący przyjęcie na cześć delegacji ukraińskiej, która wracała z uroczystości podpisania traktatu pokojowego z Niemcami. Wówczas właśnie nazwano je kotletami kijowskimi i obecnie znajdują się w menu prawie każdej restauracji rosyjskiej. W Polsce dzisiejszej to po prostu dewolaje.

[ ← 49 ]

Zapałki bezpieczne zaczął produkować w 1855 r. Szwed (stąd ich nazwa) J. E. Lundström. Miały główki z czerwonego fosforu, a do ich zapalania potrzebna była specjalna draska, o którą je pocierano. Ale od 1833 r. produkowano też zapałki z główką wykonaną z białego fosforu pokrytego izolującą od dostępu powietrza masą. Przy potarciu o dowolną powierzchnię masa izolująca ścierała się, a fosfor ulegał zapaleniu. Zapałki te były niebezpieczne zarówno w produkcji, jak i w użyciu ze względu na trujące właściwości fosforu. Zatruciu ulegały bawiące się nimi dzieci, a nieszczęśliwie zakochane kobiety popełniały za ich pomocą samobójstwa. Pod wpływem opinii publicznej od końca XIX w. w różnych krajach stopniowo zakazywano używania w zapałkach fosforu białego.

[ ← 50 ]

Za: A. Tabaka, M. Błachowicz, *Dziwny ksiądz*, „Życie Kalisza”; <http://www.zyciekalisza.pl/?str=82&id=1991>.

## [ ← 51 ]

Za: K. Walczak, *Losy franciszkańskiej biblioteki*, „Kalisia Nowa”, 5, 6, 7/2007, s. 18. Numer ten wydano na 750-lecie kościoła i klasztoru Franciszkanów, zawiera więc mnóstwo innych cennych informacji na ten temat.

## [ ← 52 ]

W rzeczywistości zdarzenie to miało miejsce dopiero w 1902 r., kiedy zakon Franciszkanów powtórnie skasowano. Wówczas klasztorną bibliotekę wraz z archiwum konwentu przeniesiono do pomieszczeń biblioteki kapitulnej kaliskiej, natomiast część historyczną zbiorów przejął ks. Jan Sobczyński, proboszcz parafii św. Mikołaja. Wywiezione w 1802 r. książki umieszczono w skarbcu konwentu grabowskiego i zachowały się tam aż do okresu międzywojennego, kiedy to na skutek starań franciszkanów wróciły do Kalisza; *ibid.*

## [ ← 53 ]

Tu także zmieniono datę, umieszczając zdarzenie w czasie akcji powieści, czyli wcześniejszym niż naprawdę miało miejsce. Gromadzenie rozproszonych zbiorów zaczęto dopiero w 1918 r., natychmiast po powrocie franciszkanów do kaliskiego klasztoru. Najpierw odzyskano księgozbiór z kolegiaty, później archiwalia od ks. Jana Sobczyńskiego; *ibid.*

## [ ← 54 ]

Na podstawie pracy Józefa Raciborskiego *Monografia Kalisza*, wydanej nakładem „Gazety Kaliskiej” w 1912 r.

## [ ← 55 ]

Wydarzenie to miało miejsce w 1865 r.

## [ ← 56 ]

Waliesza – rosyjskie zdrobnienie imienia Walery. Zwrot „wujku” w obyczajowości rosyjskiej był używany nie tylko w stosunku do krewnych, ale także osób starszych i blisko zaprzyjaźnionych, stanowiąc wyraz zarazem szacunku i serdeczności.

## [ ← 57 ]

Josif Władimirowicz Romejko-Hurko (Gurko) (28 lipca 1828–28 stycznia 1901 r.) – feldmarszałek rosyjski. Pochodził on z białoruskiego rodu szlacheckiego herbu Pierzchała odmienny. Wychowanek Korpusu Paziów. W latach 1883–1894 był generał-gubernatorem warszawskim i dowódcą Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Od roku 1886 członek rosyjskiej Rady Państwa. W grudniu 1894 r. w uznaniu zasług wojskowych awansowany do stopnia generała-feldmarszałka. Po wstąpieniu na tron Mikołaja II zdymisjonowany i skierowany w stan spoczynku. Resztę życia spędził we własnym majątku ziemskim.

## [ ← 58 ]

Antoine Laurent de Lavoisier (ur. 26 sierpnia 1743 r. w Paryżu, zm. 8 maja 1794 r.) – francuski fizyk, chemik i prawnik stracony na gilotynie z wyroku Trybunału Rewolucyjnego Republiki Francuskiej jako jeden z 28 francuskich poborców podatkowych.

## [ ← 59 ]

Ekshumacja zwłok i szczątków była dopuszczalna w okresie od 16 października do 15 kwietnia, we wczesnych godzinach rannych.

## [ ← 60 ]

Pikuach nefesz („szczelina dla duszy”) – zasada głosząca, że nic nie jest ważniejsze od ratowania życia, oznaczająca prymat życia nad halachą, czyli prawem żydowskim. Halacha dotyczy przepisów kultowo-liturgicznych, pokarmowych – koszerność (kaszrut) – i różnych aspektów życia codziennego, obowiązujących Żydów ortodoksyjnych. Zawiera 613 przykazań (noszących nazwę micwa), na które składa się 248 nakazów i 365 zakazów.

## [ ← 61 ]

Tora – hebr. prawo, nauka, droga, dosł. nauczanie. W węższym znaczeniu – pięć pierwszych ksiąg Biblii (Pięcioksiąg, Pentateuch), w szerszym – cała Biblia hebrajska (Tora pisana, Tanach) oraz tradycja teologiczno-prawna judaizmu (Tora ustna). Najważniejszy tekst objawiony judaizmu, składający się z pięciu ksiąg w języku hebrajskim, spisanych wedle tradycji przez Mojżesza na polecenie Boga.

## [ ← 62 ]

Środkiem schładzającym w tego typu chłodziarce był eter dimetylowy lub amoniak, a za jej wynalazcę uważa się bawarskiego inżyniera, Carla von Linde, który w 1871 r. zastosował taki system chłodzenia w browarze Spaten w Monachium, aby umożliwić produkcję piwa latem. Natomiast w urządzeniach na lód ten ostatni przechowywano przez cały rok w specjalnych dołach, wyściełanych słomą i zasypywanych solą, by zawsze był gotowy do użytku.

## [ ← 63 ]

Za wynalazcę uważa się Isaaca M. Singera z Bostonu, który w 1851 r. rozpoczął produkcję maszyny do szycia, a Urząd Patentowy USA uznał go za jej wynalazcę. Maszyna była bardzo droga, ale można ją było kupić na raty. Była to pierwsza rzecz na świecie sprzedawana w ten sposób.

## [ ← 64 ]

Odkurzacz o napędzie jeszcze ręcznym, marki „Whirlwind”, wynaleziony w 1865 r. w Chicago

## [ ← 65 ]

Na podst. artykułu Haliny Marcinkowskiej Na wielokulturowych ścieżkach Kalisza – śladami społeczności żydowskiej; <http://-www.kalisz.pl/>.

## [ ← 66 ]

Władysław Seideman, znany także pod nazwiskiem Wolf Seidemann, urodził się w Kaliszu w 1848 r. Początkowo był kantorem synagogi. W roku 1878 zadebiutował w Operze Wiedeńskiej. Występował na scenach teatrów operowych Europy i Ameryki. W latach 1882–1888 był pierwszym basem w Operze Warszawskiej. Uczył śpiewu w New York Conservatory, w założonej przez siebie szkole śpiewu w Berlinie oraz w Konserwatorium Sterna. Zmarł w 1919 r. w Berlinie.

## [ ← 67 ]

Główne święta żydowskie to Sukkot, Chanuka, Purim, Pascha, Szawuot.

[ ← 68 ]

Goj – w hebrajskim i jidysz nie-Żyd.

[ ← 69 ]

Zjawisko opisał „Kaliszanin” z 1 lutego 1870 r.

[ ← 70 ]

„Kaliszanin. Gazeta miasta Kalisza i jego okolic” – pismo wydawane w latach 1870–1892 w Kaliszu, dwa razy w tygodniu, przez Karola Hindemitha. Od 1892 r. ukazywało się pod tytułem „Gazeta Kaliska”. Redaktorami „Kaliszanina” byli m.in. Adam Chodyński (współzałożyciel), Jan Tański, Julian Miłkowski, Teodor Esse i Karol Witkowski (od 1875 r. także właściciel pisma), Michał Rawita-Witanowski.

[ ← 71 ]

„Kaliszanin” z 7 lutego 1870 r.

[ ← 72 ]

Ogłoszony w 37 numerze „Kaliszanina” z 10 maja 1870 r., s. 148.

[ ← 73 ]

Gustaw Arnold Fibiger założył w 1873 r. własną firmę przy dzisiejszej alei Wolności. Początkowo firma Fibigera funkcjonowała jako pracownia naprawcza, lecz w niedługim czasie przekształciła się w zakład produkcyjny. W roku 1878 Fibiger przeniósł swoją firmę na ul. Szewską przemianowaną następnie na ul. Chopina. Pierwszy fortepian w Fabryce Fortepianów i Pianin „Arnold Fibiger” wyprodukowany został w 1878 r. i tę datę przyjmuje się jako rok założenia fabryki. Nagrodę w Warszawie otrzymał za fortepian koncertowy (240 cm) własnej konstrukcji z krzyżowym układem strun w roku 1885. W 1890 r. fortepian z kaliskiej fabryki nagrodzony został kolejnym – tym razem już złotym – medalem.

[ ← 74 ]

W 1888 r. cesarz niemiecki i król Prus. Panował zaledwie 99 dni, od 9 marca do 15 czerwca. Był liberałem i żywił niechęć do polityki księcia Ottona von Bismarcka. Zmarł na raka gardła. W momencie opisywanym w książce jeszcze żył.

[ ← 75 ]

Obecnie I Liceum Ogólnokształcące im. Adama Asnyka w Kaliszu, założone w 1773 r. przez Komisję Edukacji Narodowej, jedna z najstarszych szkół średnich w Polsce i najstarsza w województwie wielkopolskim; spadkobierczyni i kontynuatorka tradycji szkoły kolegiackiej założonej przy kolegiacie św. Pawła Apostoła w Kaliszu w 1160 r.

[ ← 76 ]

Ruiny znajdowały się między przedszkolem a restauracją KTW po drugiej stronie obecnej rzeczki, która płynie mniej więcej w miejscu kanału Babinka. Za: A. Tabaka, M. Błachowicz, *Sztuczne ruiny i zagubiony duch romantyczności*, „Życie

Kalisza”; <http://www.zyciekalisza.pl/index.php?str=82 &id=10524>.

[ ← 77 ]

13 marca 1881 r. Hesia Helfman, Żydówka, podjęła się nieudanej próby zamachu na cara Aleksandra II. Stało się to pretekstem dla władz carskich do rozpoczęcia fali pogromów w Rosji. Na wielką skalę przeprowadzono agitację, która wmówiła chłopom i mieszczańom, że za zamachem na cara kryje się spisek żydowski. W ten sposób całą Rosję zalała fala pogromów. Sytuacja Żydów uległa poprawie dopiero w 1905 r., gdyż wielu z nich było socjalistami, którzy wzięli czynny udział w zmianie ustroju Rosji.

[ ← 78 ]

Szynion – mała, upięta z tyłu peruczka

[ ← 79 ]

Rodzaj drewnianych przegrodzonych boksów, pobudowanych na rzece w pobliżu obecnego teatru (z tyłu fasady), wewnątrz których kobiety zażywały kąpiele.

[ ← 80 ]

Ślepa latarnia – latarnia z ruchomą przesłoną, ukierunkowującą światło.

[ ← 81 ]

Archiwum miejskie mieściło się tu aż do 1845 r.

[ ← 82 ]

Lokieć liczył 57,6 cm, zatem skarb był zamurowany ok. półtora metra poniżej rozety

[ ← 83 ]

Za Anna Tabaka, Maciej Błachowicz, *Tajemnice katedralnej wieży*, „Życie Kalisza”; <http://www.zyciekalisza.pl/?str=82&id=815>.

[ ← 84 ]

Hermetic Order of the Golden Dawn – jedno z wielu okultystyczno-ezoterycznych stowarzyszeń. Nawiązywało do tradycji różokrzyżowców, a przedmiotem jego zainteresowania stały się magia, alchemia, astrologia oraz inne dziedziny ezoteryki, w tym również tarot, do którego opracowano własną swoistą wersję. Israel Regardie opublikował w latach 1937–1940 czterotomowe dzieło *The Golden Dawn*, w którym opisał rytuały stowarzyszenia.

[ ← 85 ]

Istnieje polska strona internetowa, na której są publikowane materiały udostępnione przez amerykański zakon OSOGD – Open Source Order of the Golden Dawn; <http://www.osgd.pl/>.